

**nr 1 (18)  
zima 1998**

**Rok VI  
ISSN 1231-5451**

# **SCRIPTORES SCHOLARUM**

**Kwartalnik  
uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół**

**Lublin**

## SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół

Redagowanie i wydawanie kwartalnika „Scriptores Scholarum” jest jedną z form programu edukacyjnego „Pamięć - Miejsce - Obecność” realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”.

**Koordynator programu edukacyjnego:** Marcin Skrzypek.

**Wydawca:** „Brama Grodzka - Teatr NN”; Stowarzyszenie „Brama Grodzka”.

**Dyrektor Ośrodka:** Tomasz Pietrasiewicz.

**Adres wydawcy i redakcji:** Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”; Stowarzyszenie „Brama Grodzka”, ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin, tel. (0-81) 532-58-67; fax. (0-81) 534-61-10.

**Redakcja:** Sławomir J. Żurek - redaktor naczelny; zastępcy redaktora naczelnego: Adrian Lesiakowski i Jacek Wojtysiak; Katarzyna Grzybowska, sekretarz redakcji.

**Zespół:** dział literacki: Katarzyna Grzybowska - kierownik, Sławomir J. Żurek - opiekun; dział filozoficzny: Jan Gałkowski - kierownik, Jacek Wojtysiak - opiekun; Adam Dobrzyński; dział ekumeniczny: Sebastian Rejak - kierownik, ks. Roman Pracki - opiekun, Mariusz Krawiec SPP; Michał Kopaczewski; dział kulturalny: Marzena Tarasińska - kierownik, Danuta Kurczab - opiekun; dział teatralny: Anna Barć - kierownik, Karolina Rozwód; dział edukacyjny: Michał Hucal - kierownik, Magdalena Pokrzycka-Walczak - opiekun, Szymon Pietrasiewicz; dział artystyczny: Adrian Lesiakowski - kierownik; promocja i marketing: Marcin Życzyński.

**Projekt okładki:** Adrian Lesiakowski

**Fotografie:** Magdalena Gajko.

**Redaktor prowadzący:** Magdalena Pokrzycka -Walczak.

**Korekta:** Zespół.

Pismo wyróżnione w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej za „wysoki poziom merytoryczny, walory edukacyjne pisma oraz jego oryginalność”.  
Kwartalnik „Scriptores Scholarum” może być wykorzystywany jako materiał pomocniczy w nauczaniu szkolnym.  
*Kuratorium Oświaty w Lublinie*

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adriustacji, redagowania i zmiany tytułów nadsyłanych tekstów.

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”.

**ISSN 1231 - 5451**

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” na terenie całego kraju oraz wydawca.

Pismo ukazało się dzięki pomocy następujących instytucji i firm: Urząd Miejski w Lublinie oraz Wydawnictwo „Norbertinum” • **Dziękujemy!**

Numer zamknięto w marcu 1998. Oddano do druku w maju 1998.

**Skład komputerowy:** ART – PRESS Studio Graficzne, Paweł Markisz.

**Druk:** Drukarnia NORBERTINUM.

Pismo powstało w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Kazimierza Gostyńskiego.

## Spis treści

Słowo wstępne .....	5
<b>rozmowy akademickie</b>	
Między sacrum a profanum – rozmowa z ks. prof. Romanem E. Rogowskim (PFT) .....	8
Historia mówiona – rozmowa z prof. Tadeuszem Radzikiem (UMCS) .....	11
Strażnica pamięci – rozmowa z Edwardem Balawajderem (Muzeum na Majdanku) .....	18
<b>Pamięć: ἀνάμνησις – μνήμη</b>	
• <i>szkice o pamięci</i>	
Jacek Wojtysiak, Pamięć .....	26
Kinga Tucholska, Kilka słów o pamięci .....	27
Wiesław Wysocki, Doświadczenie Auschwitz a pedagogika pamięci .....	30
Tomasz Fronczek, Wychowanie a pamięć .....	39
• <i>rozmowy o pamięci</i>	
„Wystarczy wyjść na te place puste i o tym pomyśleć...”	
– zapis spotkania z Tomaszem Pietrasiewiczem (Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”) .....	43
Publicystyka pamięci	
– zapis lekcji z Konstantym Gebertem .....	47
• <i>świadczenia o Lublinie i okolicach</i>	
Anastazja Śniechowska, O wspomnieniach Barbary Koterwas .....	51
Barbara Koterwas, Na Bronowicach (1912-1944) .....	56
„Na Lublin patrzę oczami trzynastoletniej dziewczynki...”	
– relacja Reginy Winograd z domu Milsztajn (oprac. R. Kuwałek) .....	67
Żydzi i Polacy w okolicach Bychawy przed wojną i w okresie wojny	
– relacja Franciszka Markiewicza (oprac. B. Piotrowska) .....	78
„Urodziłam się w Lublinie. (...) Tu się urodziłam i tutaj umrę...”	
– relacja Marii Weisberg .....	81
Magdalena Pokrzycka-Walczak, Pracowity żywot kolejarza .....	84
• <i>z historii mówionej Lublina</i>	
Wielka Księga Miasta. Historia mówiona – Historia prawdziwa	
(oprac. całości oraz wstęp M. Przybyła) .....	87

**Miejsce: τόπος**• *o sensie miejsca*

- Zbigniew Charytanowicz, Genius loci .....98  
 Różnorodność Małych Ojczyzn – rozmowa z Andrzej Zielińskim .....102

• *miejsca święte*

- Ireneusz Ziemiński, Na cmentarzu .....105  
 Marta Jedliczko, Piekło w opowiadaniach Isaaka Bashevisa Singera .....107  
 William Blake, Duch Abla (tłum. P. Sobolczyk) .....115  
 Marcin Biegaj, Macondo i inne czasy? .....119  
 Karolina Rozwód, Teatr na ulicy .....124  
 Jakub Iskrzak, Początek, czyli przypowieści o stworzeniu świata .....128  
 Michał Kopaczewski, Puste miejsca (Poemat o braku) .....133

• *miejsca nie-święte*

- Lublin – moje miasto? – sonda (oprac. M. Tarasińska) .....138  
 W barze Smaczek – rozmowa z panią Helą i Zosią (oprac. K. Zienkiewicz) .....139  
 Gdyby nie krótsze wiosenne spódniczki dziewcząt i kobiet...  
 – rozmowa ze sprzedawcą w budce z gazetami (oprac. K. Zienkiewicz) .....140  
 W Knajpie. Mini sonda młodzieżowa (oprac. J. Niedziałek) .....141  
 W dyskotecce... Uff.. jak gorąco... (oprac. P. Chęć) .....142  
 Marek Marczewski (junior), Toaleta – szczególnie miejsce na Placu Litewskim .....144  
 Ireneusz Ziemiński, Babcia klozetowa .....147

**Obecność: παρουσία**• *obecność Bytu – obecność Transcendencji*

- Jacek Wojtysiak, Ufać istnieniu. (Pytającym o obecność Bytu) .....150  
 Mariusz Krawiec SSP, Paweł z Tarsu i mass media. Krótka historia pewnej wspólnoty .....153  
 Sebastian Omiełańczuk, O kulturze masowej .....157

• *obecność w Europie – obecność Europy*

- Ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel, Chrześcijański uniwersalizm – biblijny personalizm .160  
 Jerzy W. Gałkowski, Jedność człowieka, jedność świata .....165  
 Ks. Roman Pracki, Integracja w dialogu .....168  
 Tadeusz Kwiatkowski, Unia Europejska – moje obawy .....173  
 Jan P. Hudzik, O postmodernizmie inaczej .....175

• *obecność sztuki*

- Wiersze (W. Blake, W. Czajka, O. Letkiewicz, K. Grzybowska,  
 J. Mankiewicz, M. Komosa, M. Jedliczko) .....178  
 Magdalena Gajko, Fotoreportaż o drodze do Próźni.....197



## Słowo wstępne

Nowy numer „Scriptores Scholarum” [1 (18) 1998] to „Zeszyt Mówiony: Pamięć – Miejsce – Obecność”. Poświęciliśmy go w całości sprawie ludzkiej **Pamięci**, która przywoływana jest z pozycji osobistego świadectwa, wypowiedzianego z konkretnego **Miejsca**. Dzięki temu Przeszłość ma szansę raz jeszcze nabrać realnego znaczenia i zaistnieć w Teraźniejszości, stając się **Obecnością**. W naszych rozważaniach wracamy do etymologii, czyli pierwotnych znaczeń trzech kluczowych terminów dla kultury śródziemnomorskiej, stąd też sięgamy do greckich słów: ἀνάμνησις [anamnesis] lub μνήμη [mneme] (Przypomnienie – Ponowienie – Pamięć), τόπος [topos] (Wspólna okolica – Ślad – Miejsce) oraz παρουσία [parousia] (Przybycie – Objawienie – Obecność).

Jak zawsze rozpoczynamy od rozmów akademickich z autorytetami. Tym razem spotkaliśmy się z profesorami reprezentującymi bardzo różne dyscypliny humanistyczne oraz działalności badawcze: teologiem (ks. prof. Romanem E. Rogowskim), historykiem (prof. Tadeuszem Radzikiem) oraz dyrektorem Muzeum na Majdanku (Edwardem Balawejderem). Tworzą one jednak pewną całość. Przecież właśnie w tych trzech obszarach Pamięć utrwalona jest najpełniej: jako Uobecnienie Transcendencji (religia), jako Następowanie zdarzeń ludzkich losów (dzieje) oraz w konsekwencji utrwalenie i zapis jako Pozostawienie śladów cierpienia i poniżenia (czas Zagłady i Pogardy).

Pierwsza część „Zeszytu Mówionego” dotyczy więc Pamięci, a składają się na nią szkice, rozmowy, a także, co najciekawsze (mamy przynajmniej takie wrażenie) – osobiste świadectwa mieszkańców Lublina, układające się w jego „Mówioną Historię”, która w przyszłości złoży się w „Wielką Księgę Miasta”. Kluczowym doświadczeniem dla naszego Grodu było w przeszłości współlistnienie obok siebie wielu kultur, wielu religii i wielu narodów. Przedwojenny Lublin był przede wszystkim miastem polsko-żydowskim, o czym zapominają już dzisiaj jego mieszkańcy. Stało się tak, ze względu na najtragiczniejsze doświadczenie naszego Miasta. Była nim Zagłada, która miała miejsce także na Majdanku. Naród żyjący obok nas – skazany na Pogardę – został przeznaczony przez nazistowski totalitaryzm do „likwidacji” i całkowitego nieistnienia.

Świadectwem naszych współczesnych zainteresowań jest część Zeszytu poświęcona różnym miejscom, istniejącym na duchowej i materialnej mapie Małej Ojczyzny. Chodzi tu też o zwykłe i niezwykłe, święte i nieświęte miejsca naszego Miasta. Tam rozgrywają się przyziemne sprawy ludzkie – otwierające na tajemnicę Obecności Bytu

i Transcendencji. Publikujemy materiały bardzo różne, począwszy od debiutanckich prób licealistów aż po wypowiedzi profesorów uniwersytetu.

Tej ostatniej poświęciliśmy trzecią część Kwartalnika. Zamieściliśmy tu zapis dyskusji, która odbyła się podczas promocji ostatniego numeru naszego Pisma. Rozmawialiśmy na temat kulturowych aspektów Obecności w Europie. Bezpośrednim pretekstem spotkania stał się opublikowany w poprzednim Zeszycie [1997, 4 (17)] artykuł Ks. Abpa Józefa Życińskiego – „Uniwersalizm chrześcijański w wizji zjednoczonej Europy u Jana Pawła II”. Prezentujemy wypowiedzi prelegentów, które (wydaje nam się) dają pełen obraz stanowisk, jakie wobec kulturowych wyzwań niesionych przez europejską integrację, zajmują reprezentatywne grupy naszego społeczeństwa. Nie wszystkie publikowane głosy są nam bliskie. Na przykład trudno jest nam zgodzić się z poglądami prof. Tadeusza Kwiatkowskiego. Odnotowujemy jednak jego opinie, gdyż stanowią one sposób myślenia nieobcy wielu Polakom. Fakt ten jednak zmusza nas do zastanowienia się nad problemem różnego rodzaju stereotypów społecznych. Zajmiemy się nimi w następnym numerze.

*Redaktorzy*



*(...) ziemia jest w wodzie ... woda w niebie, niebo nie jest już w niczym innym...*

*Arystoteles, Fizyka 212b*

**rozmowy akademickie**

---

## Między sacrum a profanum

– rozmowa z ks. prof. Romanem E. Rogowskim

**Roman E. Rogowski** – ur. w 1936 roku, ksiądz i teolog katolicki, twórca „teoekologii”, profesor Papieskiego Fakultetu Teologicznego we Wrocławiu. Autor kilkudziesięciu książek (m.in. *Mistyka gór*, *Ewangelia na co dzień*, *Bóg na moich drogach*, *Światłość i tajemnica*) i wielu artykułów, a także niedzielnego cyklu „Romanlandia” w Polskim Radiu Wrocław. Z zamiłowania podróżnik i alpinista, poznał niemal wszystkie góry Europy i niektóre Azji.

---

**Mariusz Krawiec:** *Słyszysz się opinię, że człowiek zatracił dziś poczucie miejsc świętych. Przyroda nie budzi już takich emocji, gdyż wszystko, bądź prawie wszystko jest do wyjaśnienia. Świątynia dla wielu ludzi staje się jedynie galerią obrazów i posągów. Czy takie zjawiska nie stanowią zagrożenia dla naszej cywilizacji?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Owszem, utrata poczucia miejsc świętych stwarza olbrzymie niebezpieczeństwo, które wiąże się z degradacją kultury i cywilizacji.

**M.K.:** *Czy ten proces dotyczy całego świata, czy może pozostały jeszcze miejsca, w których nie zapomniano czym jest sacrum?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Enklawy zachowujące poczucie sakralności istnieją zarówno w chrześcijaństwie jak i w innych kręgach kulturowych. Z dużym powodzeniem opierają się desakralizacji religie Azji. My natomiast patrząc globalnie musimy z bólem przyznać, że chrześcijaństwo, zwłaszcza to w wydaniu zachodnim, w znacznej mierze zatraciło poczucie sacrum.

**M.K.:** *Czy można wyznaczyć granicę między tym co święte i wieczne, a tym co jest materialne i śmiertelne?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Jeżeli podzielimy dzieje ludzkości na Stare i Nowe Przymierze, to od momentu nieposłuszeństwa człowieka w Ogródzie Czterech Rzek, grzech miał nie tylko konsekwencje ludzkie, ale i kosmiczne. Całość bytu została zdesakralizowana. Natomiast od chwili wcielenia Syna Bożego nastąpiła sakralizacja całego wszechświata.

**M.K.:** *Czyżby dziś podział na sacrum i profanum był już nieaktualny?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Dzielenie rzeczywistości na sacrum i profanum po Chrystusie nie ma już uzasadnienia. Wszystko jest sacrum. Jeżeli się bardzo upierać, to owszem, istnieje profanum, ale jest nim tylko jedna rzeczywistość na tym świecie – ludzki grzech. Zło moralne jest jedynym profanum na tym świecie. Aczkolwiek patrząc na Chrystusa, Jego odkupieńczą śmierć i naszą nadzieję zbawienia, jeżeli człowiek żyje trochę tą sakralnością, to nawet to profanum potrafi wykorzystać dla rzeczy dobrych. Śpiewamy przecież w Wielką Sobotę w Exultecie – *felix culpa* (błogostawiona wina).

**M.K.:** *Czy w naszej materialnej rzeczywistości istnieją miejsca, w których doświadczamy w sposób szczególny obecności Boga?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Wszystko, co istnieje, jest znakiem obecności Bożej. To, o czym mówi Święty Paweł na Areopagu: *Bo w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy* (Dz 17, 28) zostaje ukonkretnione w znakach widzialnych, pod którymi obecność Boża istnieje. Znaki te są widzialne, gdyż w ten sposób odpowiadają naturze człowieka, a człowiek lubi rzeczy widzialne. Takimi znakami są nie tylko dzieła przyrody: góry, morza, lasy; ale są nimi także dzieła ludzkie, które mają charakter sakralny. Wyjątkiem może jest tylko to profanum jakim jest grzech. Osobiście preferuję wśród tych ludzkich dzieł szczególnie dzieła sztuki.

**M.K.:** *Dzieła sztuki powstawały najczęściej w wielkich miastach jak Ateny czy Rzym. Czy miasto może być miejscem spotkania człowieka z Bogiem?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Środowiskiem sakralnym, w którym człowiek może znaleźć dzisiaj Boga, nie są tylko dzieła przyrody, ale i dzieła ludzkie; miasto jak najbardziej. Musimy unikać tylko pewnego romantyzmu. Łatwo być w pięknych i cudownych górach i widzieć w nich znak obecności Bożej. Trudniej natomiast jest żyć w betonowej dżungli, w ulicznym korku czy gwarze przechodniów, i tam odkrywać znaki obecności Bożej. To jest dużo trudniejsze. Uważam jednak, że jest to możliwe i może nawet ważniejsze, niż to pierwsze.

**M.K.:** *Mówiąc o mieście jako miejscu świętym, dostrzegamy także problemy wobec których stoi cywilizacja miejska. Klęska ekologiczna, narkomania, neurozy – to tylko niektóre z problemów jakie dotyczą mieszkańców wielkich aglomeracji. Część mieszkańców szuka ratunku poza miastem, by w lesie czy nad jeziorem doświadczyć spotkania z Bogiem.*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Dzisiaj jeśli człowiek ucieka do natury, aby odkryć w niej istnienie Boga, czyni to w takim celu, aby gdy wróci do betonowej dżungli umiał tam szukać Boga pod postacią tych znaków, które są dzie-

łem ludzkim. Inaczej mówiąc, poznanie Boga w naturze ma charakter narzędziowy. Chodzi o to, aby łatwiej rozpoznać Boga w obszarach cywilizacyjnych.

**M.K.:** *A co z człowiekiem? Czy można podziwiać piękno Kaplicy Sykstyńskiej nie biorąc pod uwagę udziału człowieka?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Dla mnie najwspanialszym znakiem obecności Boga jest człowiek, który jest zarówno elementem środowiska naturalnego, jak i środowiska cywilizacji. Jest znakiem dlatego, że jest człowiekiem. Człowieczeństwo jest tutaj kryterium podstawowym. Według naszej ludzkiej percepcji znacznie łatwiej jest widzieć Boga w pobożnej matce siedmiorga dzieci czy w jeszcze bardziej pobożnej zakonnicy. Natomiast o wiele trudniej jest ujrzeć obraz Boga w kłoszardzie mieszkającym pod mostem, lub w przestępcy na ławie oskarżonych.

**M.K.:** *Książd profesor jest znanym alpinistą i podróżnikiem. Jak to się stało, że Książd wyruszył w góry?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Góry są pewną formą dobrego narkotyku. Jeżeli się w nie wejdzie, to potem przyciągają i tak jak wszystko, co wciąga, stają się niebezpieczne. A dlaczego wyruszyłem? Jeden ze znanych alpinistów, zapytany w podobny sposób, odpowiedział: chodzę po górach dlatego, że góry są. To chyba siedzi w człowieku. Ale nie jest wykluczone, że gdybym miał kontakt z morzem, to z wielkim sercem oddalbym się żeglarstwu.

**M.K.:** *Czyżby skłonność do balansowania na krawędzi życia i śmierci?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Wbrew obiegowym opiniom 99 % alpinistów to ludzie, którzy szalenie kochają życie i nie można ich określić mianem samobójców. Kiedy człowiek spotyka się z jakąś formą ryzyka, to życie nabiera smaku. Człowiek jest taką dziwną istotą której wydaje się, że jeśli coś posiada, to tak już być powinno i to się mu słusznie należy. Kiedy natomiast to jego posiadanie zostanie zagrożone, uświadamia sobie, że to co przedtem posiadał, wcale się mu nie należało, a był to raczej dar

jakiejś szczególnej łaski. Góry dają to, że chodząc na krawędzi ryzyka człowiek jeszcze bardziej docenia czym jest życie.

**M.K.:** *Czy góry sprzyjają nawróceniu? André Frossard przeżył swoje nawrócenie wchodząc przypadkowo do jednego z paryskich kościołów. Czy poleciliby Ksiądz komuś, kto na „nizinie” nie może znaleźć Boga, aby wyszedł w góry na Jego poszukiwanie?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Żeby Boga odnajdywać w Jego dziełach – także w górach – należy już w niego trochę wierzyć, a przynajmniej być na tyle otwartym, chłonnym i przygotowanym, aby móc Go tam doświadczyć. Jeżeli człowiek uważa się za ateistę i wyjdzie w góry w pancerzu swojej niewiary, to należy przypuszczać, że taki sam z nich zejdzie. Owszem, może zdarzyć się cud, ale to już zależy od działania Boga. Katalog alpinistów wygląda różnie – dla niektórych góry są „skupiskiem” sacrum, inni są w tym względzie obojętni.

**M.K.:** *Piękno jest potrzebne człowiekowi jak chleb – pisał S. Witkiewicz. Czy piękno gór jest*

*dla człowieka chlebem, który karmi jego wrażliwość duchową?*

**Ks. prof. Roman E. Rogowski:** Zarówno natura, z pięknem świata przyrody, jak i cywilizacja miejska z dziełami sztuki mogą podprowadzać człowieka do wiary. Człowiek jest z natury istotą religijną; piękno może tę jego naturalną religijność jedynie uaktywnić. Piękno miejsca czy przedmiotu działa trochę jak katalizator – przyspiesza reakcję, nie biorąc w niej bezpośredniego udziału. Dziś musimy uczyć się umiejętności obcowania z naturą, ale nie tylko z nią – także z wszelkim pięknem, jakie wytworzyła nasza cywilizacja. Jest tylko jeden warunek: otwartość człowieka na wartości dobre i piękne. Jeżeli ta otwartość istnieje, jest duże prawdopodobieństwo, że człowiek w każdej sytuacji, czy to w warunkach środowiska naturalnego, czy betonowej dżungli, odczuje oddech Absolutu.

**M.K.:** *Dziękuję Księdzu Profesorowi za rozmowę.*

Opracowanie:  
**Mariusz Krawiec SSP**

## Historia mówiona

– rozmowa z prof. Tadeuszem Radzikiem (UMCS)

**Tadeusz Radzik** – ur. 1953; prof. dr hab., dyrektor Instytutu Historii UMCS. Wielokrotny stypendysta i visiting prof. uczelni amerykańskich i brytyjskich. Główne kierunki badań: historia dziejów najnowszych, problematyka emigracji i mniejszości narodowych oraz historia regionu lubelskiego. Autor ponad stu publikacji, w tym ośmiu monografii, między innymi: *Polonia amerykańska wobec Polski 1918-1939*, *Stosunki polsko-żydowskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki w latach 1918-1921*. Współredaktor *Słownika bibliograficznego miasta Lublina* oraz monografii *Żydzi w Lublinie*. Członek Komitetu Badań Polonii PAN; prezes i wiceprezes lubelskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego.

---

**Szymon Pietrasiewicz:** *Co to jest historia mówiona?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Historia mówiona jest to niezwykle ciekawy temat, cieszę się, że w Lublinie tego rodzaju przedsięwzięcia są podejmowane. Po raz pierwszy zetknąłem się z tym przed osiemnastu laty w Stanach Zjednoczonych, w Chicago, przebywając w archiwum, robiąc kweryndy potrzebne mi do mojej pracy naukowej. Otóż historycy amerykańscy w ramach programu historii mówionej skonstruowali program, który przewidywał wywiady z setkami osób. Historyk korzysta z pewnego rodzaju źródeł, są to źródła pisane, z których korzysta w archiwum, są to pamiętniki, zapisane relacje. Ale pamiętajmy o jednym, że są to źródła wytworzone bądź przez instytucję, bądź przez pewną szczególną grupę ludzi, którzy zostawiają po sobie pamiętniki, którzy czują potrzebę pisania pamiętników, dzienników wspomnień. Natomiast dzisiaj coraz częściej interesujemy się historią społeczną, interesujemy się nie tylko wydarzeniami, faktami, nie tylko próbujemy rekonstruować pewne wydarzenia. Historyk coraz częściej interesuje się tym, jak ludzie my

śleli przed stu, pięćdziesięciu, osiemdziesięciu laty, jaki był ich system wartości, jak wyglądało ich życie codziennie. I tutaj okazuje się, że patrząc na te zagadnienia przez pryzmat archiwum nasze spojrzenie jest nieco ubogie. Sięgając do historii mówionej możemy uzyskać bardzo interesujące informacje na temat życia codziennego, sposobu myślenia, systemu wartości ludzi, którzy nigdy by po sobie nie zostawili źródeł pisanych. I to ma szczególną wartość. Stało się to modne przed dwudziestu laty na Zachodzie i z czasem przyszło do Polski. W przypadku naszego, miasta źródła archiwalne nie są ubogie, one są stosunkowo bogate, zwłaszcza źródła dotyczące dziejów miasta czy polskiej ludności miasta. Natomiast bardziej ubogie są źródła populacji żydowskiej w Lublinie. Tu historia mówiona umożliwia nam nie tylko przekazanie faktu, bo nie to jest najbardziej istotne, ale nadaje kolorytu temu, co robimy. Pozwala lepiej nam wczuć się w epokę, odtworzyć system wartości, sposób myślenia ludzi, wzajemne relacje pomiędzy poszczególnymi grupami społeczności miejskiej, polską, żydowską czy poszczególnymi grupami w ramach

tej społeczności. Stąd też traktujemy to jako źródła bardzo cenne o charakterze uzupełniającym. Tego rodzaju projekty są chętnie podejmowane, mile widziane i wspierane. Dodajmy tylko, że nie tylko historycy to robią, ale również filolodzy, językoznawcy, dla których historia mówiona jest niesłychanie ważna, bo ona obejmuje krąg ludzi, którzy nigdy po sobie nie pozostawiliby innego rodzaju źródeł.

**Stawomir J. Żurek:** *Panie Profesorze, żyjemy w społeczeństwie posttotalitarnym i jest wyraźna różnica pomiędzy społeczeństwem amerykańskim, które ma za sobą dwieście lat demokracji, a społeczeństwem polskim. Czy ludzie są w stanie rzeczywiście mówić tak jak było, czy są w stanie zrekonstruować te wydarzenia, czy są tak otwarci i mówią prawdę, tak jak robią to Amerykanie, którzy nie mają obciążenia związanych z totalitaryzmem?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Sądzę, że tak i czasami jesteśmy wręcz zaskakiwani tą otwartością i szczerością, zwłaszcza dotyczy to ludzi, którzy o nic nie zabiegają. Musimy jako historycy brać pod uwagę, że czasami intencje osób wypowiadających się bywają różne. Czasami jest to załatwianie porachunków jeszcze z przeszłości, nie załatwianie tych porachunków w złym tego słowa znaczeniu, ale dokonywanie pewnych rozliczeń. Wywołanie przeszłości wzbudza w nich bardzo gwałtowne emocje, są to często wypowiedzi osób, które o coś zabiegają, a więc o rentę, o jakieś świadczenia. I tu są doświadczenia muzeum na Majdanku, gdzie zgłasza się cały szereg osób które nigdy na Majdanku nie były, próbując uzyskać jakieś świadectwo swojego kombatanctwa, bo za tym idą konkretne świadczenia materialne.

Inna jest sytuacja, gdy my nie mówimy o tego rodzaju przypadkach, natomiast pytamy o życie codzienne, jak naprawdę ono wyglądało. Wtedy te relacje wyglądają zupełnie inaczej, ponieważ ludzie bardzo chętnie wracają w swoich wspomnieniach, zwłaszcza na starość wracają do czasów młodości. To jest ciekawe, oni czasami nie bardzo pamiętają, co było dwa, trzy tygodnie temu, natomiast znakomicie pa-

miętają jak się ubierali lat temu pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, na co ich było stać, jakie były relacje z sąsiadami, kto się cieszył prestiżem w tym domu, na tej ulicy, w tej instytucji, gdzie pracowali, jak wyglądało życie szkoły na co dzień, i to jest dla nas najcenniejsze. Pamiętamy o tym, że historia mówiona nie służy temu, żeby załatwiać jakieś bardzo konkretne sprawy, ona ma nam oddać obraz społeczeństwa przed kilkudziesięciu lat. To trzeba robić, pamiętamy, że ludzie w sposób naturalny odchodzą.

Odchodzą całe pokolenia, lat temu dwadzieścia można było sięgnąć do wielu relacji osób, które pamiętają pierwszą wojnę światową. Dzisiaj jest to niesłychanie trudne, dlatego trzeba to czynić i cieszymy się my historycy, że studenci, uczniowie, młodzi ludzie, czy ośrodki takie jak „Brama Grodzka – Teatr NN” podejmują tego rodzaju działania, ponieważ to służy wszystkim i to zostanie na lata.

**Piotr Kuć:** *Czy historyk może stosować techniki psychologiczne w celu uzyskania informacji?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Jeśli jest do tego przygotowany.

**P.K.:** *A czy jest?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Nie zawsze, i to jest kwestia także jego przygotowania oraz tematu, którym się zajmuje. To, na ile on jest do tego przygotowany, warunkuje użycie narzędzi i metod psychologicznych i socjologicznych. Staramy się kształcić przyszłych historyków przygotowanych. Prowadzone są zajęcia z psychologii. Oczywiście to jest również kwestia wyboru seminarium, zainteresowań. Inny warsztat naukowy zdobywa historyk, który chce się zajmować historią powszechną średniowiecza i obyczajami we Francji w czternastym, czy dwunastym wieku, a inny jest warsztat badawczy, czy przygotowanie historyka, który zajmuje się historią Polski Ludowej. Począwszy od przygotowania archiwalnego, poprzez bazę źródłową, aż po kształtowanie warsztatu badawczego. I to jest rola seminariów magisterskich, tej bezpośredniej pracy w bardzo małym, kilkuosobowym gronie studentów i profesora.



**S.J.Ż.:** *Z tego wynika, że ten, kto zajmuje się historią mówioną musi wypracować w sobie dodatkowe predyspozycje, aby móc poprowadzić tego typu badania.*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Mówiąc żartobliwie, wczoraj czytałem wywiad z właścicielem pubu na temat, jakie predyspozycje powinien mieć barman. Ma to być człowiek niekonfliktowy, który potrafi nawiązać z każdym klientem kontakt, zachęcić go do pozostania w lokalu jak najdłużej, nawiązać z każdym przyjacielską rozmowę. Nie może to być człowiek zamknięty w sobie sztywny, bo ludzie przychodzą do pubu po to aby spędzić tam mile pół godziny, czy godzinę, porozmawiać, i wyjść. Podobnie historyk, który chce rozmawiać z ludźmi, który chce uzyskać relacje, czy to relacje mówione czy pisane, musi ten kontakt nawiązać bezpośrednio. Powinien być człowiekiem kontaktowym. Jeżeli nawet ma odmienne cechy psychiczne to powinien to w sobie przelamać, i co jest bardzo istotne – musi być do tego rodzaju wywiadów przygotowany, ponieważ respondent bardzo często „ucieka” od podstawowego pytania. Gdy zaczyna mówić o wydarzeniach sprzed pięćdziesięciu lat, nagle zaczyna mówić o zupełnie innych kwestiach, tematach aniżeli był pytany. Po prostu ten wątek u niego się rozwija, narasta i trzeba bardzo oględnie, w sposób delikatny, subtelny sprowadzać na właściwe tory rozmowę, żeby wydobyc te konkretne informacje, o które nam chodzi. W historii mówionej opracowanie relacji powinno być bardzo staranne. Widziałem takie piękne opracowania drukowane, gdzie poszczególne racje są podzielone na te wątki tematyczne, następnie drukuje się katalogi, wiadomo więc, od której minuty tej relacji, respondent mówi o rzeczach, które mnie interesują, bo relacja może dotyczyć piętnastu problemów. I teraz trzeba bardzo precyzyjnie odworzyć, to, co mnie interesuje.

**Rafał Mamelko:** *Czy historia mówiona może zniekształcać prawdę historyczną, bo przecież ludzka pamięć trochę może zawodzić?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Ludzka pamięć zawodzi, mało tego, jeżeli trzy osoby relacjonują nam wydarzenia sprzed pięćdziesięciu laty, czasami są to trzy zupełnie różne relacje. Czasami po latach ludzie swoje oczekiwania, czy fantazje biorą za fakty i to się w nich bardzo mocno utrwała. Czasami trudno jest wyprowadzić człowieka z błędu, że powiedzmy Hitler nie był w Lublinie, „a ja przecież go widziałem!”. Stąd też ten, który tę relację przeprowadza musi być dobrze przygotowany warsztatowo, żeby ograniczyć pole fantazji.

**S.P.:** *A jakie znaczenie w historii mówionej ma pamięć?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Gdy mówimy o historii mówionej, to mamy na myśli obraz pokolenia, które jeszcze żyje i my ten obraz chcemy zarejestrować. Dla naszego społeczeństwa jest to historia Polski od lat dwudziestych i to jest ta pamięć.

**S.P.:** *A czy nie ma w tym pewnej zasadzki, bo ta pamięć przecież może być relatywna, jeden to widział tak, drugi inaczej, a właściwie historyk musi być jak najbardziej obiektywny?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Historyk musi przede wszystkim znać fakty i to jest podstawa. Jeżeli ma trzy sprzeczne z sobą relacje, to po to jest historykiem, po to uzyskał wykształcenie, żeby wiedzieć, która z tych relacji odwołuje się do wydarzeń rzeczywistych. Może być, jest i będzie różna interpretacja tych faktów. Natomiast nie może być dyskusji co do faktów.

Stąd też, rozmawiając na temat przeszłości naszego miasta historyk pytając respondenta powinien wiedzieć, jak było rzeczywiście, znać fakty. Natomiast chodzi teraz o ten koloryt, o nastroje, o odczucia, o postrzeganie tych faktów przed laty i też trzeba to rozdzielić, to jest bardzo istotne. Bo pytamy respondenta co o tym sądził, ale to są dwie różne rzeczy – jak on to postrzegał przed laty, co wtedy myślał. Dzisiaj może już myśleć inaczej, ponieważ jego doświadczenia życiowe lat pięćdziesięciu powoduje, że jego obraz świata się zmienia pod wpływem tego doświadczenia. Inaczej spoglądałem na pewne rzeczy, inaczej je ocenia-

lem, inaczej oceniam je dzisiaj. Stąd też, gdy mnie pytano jak oceniam pewne wydarzenia, to jest kwestia jak ja wtedy oceniałem, jak oceniali moi koledzy, moja rodzina, moje środowisko, a jak oceniam dzisiaj z perspektywy półwiecza. Dla historyka, który przeprowadza wywiad, interesujące jest jaka była ocena przed półwieczem.

**S.P.:** *A czy widzi Pan Profesor jakąś większą perspektywę rozwoju historii mówionej? Teraz informacje zapisywane są na kasetach, ale nie wiemy czy za pięćdziesiąt lat będziemy jeszcze ich używać.*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Przed rokiem odbyła się dyskusja na temat rejestracji źródeł, chodziło o źródła archiwalne, biblioteka w Kórniku zaczęła wydawać wspaniałe zbiory dokumentów na CD-rom, do użytku historyków dysponujących komputerem, co spotkało się ze sprzeciwem innych, którzy stwierdzili, że za piętnaście lat CD będą przeszłością, i nikt z tego nie będzie korzystał, bo będą inne lepsze techniki rejestracji. Ale jaki wniosek mamy z tego wyciągnąć, czy to znaczy że trzeba zaniechać tego rodzaju działań, bo za lat piętnaście, dwadzieścia tego rodzaju techniki będą przestarzałe, nie, ponieważ inaczej my tego nie zarejestrujemy. Mamy głosy ludzi zarejestrowane na płytach analogowych, i bez względu na to, że płyty analogowe nie są produkowane, chyba że dla kolekcjonerów, to istnieje możliwość jeszcze odegrania tej płyty i przeniesienia tego głosu czy informacji z płyty analogowej na inne bardziej nowoczesne nośniki informacji. Stąd też nie mamy wyboru, musimy to robić na poziomie tej techniki, jaką obecnie dysponujemy, czy przy pomocy tej techniki.

**P.K.:** *A czy jest rejestrowana historia mówiona Lublina?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Jako promotorzy prac magisterskich chcemy aby studenci przygotowujący prace magisterskie korzystali z relacji ludzi, żeby nie ograniczali się tylko do archiwum, tam gdzie jest to możliwe, a jest to możliwe dla wieku dwudziestego. Z tym, że wygodniejsze jest to w przypadku uzyskania pracy

gdy dysponuje się relacją później przepisaną z taśmy magnetofonowej na papier, i to jest powoływane się na konkretną relację, która jest deponowana. Stąd też, ponieważ nie prowadzimy w Instytucie Historii UMCS oddzielnego programu, cieszy nas bardzo, że Brama Grodzka podejmuje tego rodzaju działalność.

**P.K.:** *A czy w pamięci mieszkańców Lublina istnieje ten wielokulturowy Lublin?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Oczywiście że istnieje, tylko pamiętajmy o tym, że Lublin roku trzydziestego dziewiątego jest to Lublin, który liczył około stu tysięcy mieszkańców, w tym czterdzieści procent Żydów. Po pierwsze te czterdzieści procent Żydów zostało wymordowane, z tej społeczności przetrwało wojnę tylko około dwustu pięćdziesięciu osób. Następnie, z tych stu tysięcy zdecydowana większość osób jest to pokolenie, które w sposób naturalny już odeszło, bądź są to ludzie którzy emigrowali w ramach migracji powojennej, na przykład na Ziemię Zachodnie, bądź z innych powodów rodzinnych. Dzisiaj jest to miasto, które liczy czterysta tysięcy mieszkańców. Zdecydowana większość, bo chyba dziewięćdziesiąt procent, czyli ponad trzysta tysięcy nie pamięta Lublina międzywojennego, bo albo są to pokolenia, które nie mogą pamiętać, bo jest to kwestia wieku, albo jest to ludność napływowa. Szukając respondentów trzeba szukać albo poprzez rodzinę, znajomych, i to jest najlepszy punkt dotarcia, bo chodzenie od drzwi do drzwi nawet w tych tradycyjnych dzielnicach centrum miasta niewiele przynosi, bo ludzie są nieufni, i to jest naturalne. Przez młodzież szkolną, przez studentów łatwiej dotrzeć, ale gdy patrzę na swoich studentów i pytam skąd oni są, to z Lublina jest bardzo mało. Tym ważniejsze to jest, bo z roku na rok jest coraz mniej tych ludzi.

**R.M.:** *Czy tutaj byli tylko Żydzi, czy jeszcze jakieś inne narodowości?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** W minimalnym stopniu. Zachowały się oczywiście statystyki ze spisu dwudziestego pierwszego i trzydziestego pierwszego roku. Bardzo niewielka nie przekraczają-

ca w dwudziestoleciu kilkuset osób, była społeczność ukraińska i rosyjska, bardziej właściwie byłoby użycie tu kategorii spisowej „prawosławna”. Czasami to jest trudno rozdzielić, czy to byli Ukraińcy, czy Rosjanie, czy Polacy. Pozostałe mogą być liczone niemal na palcach. Mówię tu o Niemcach, którzy pozostali tu jeszcze z wieku dziewiętnastego: w Lublinie, na pojezierzu Łęczyczko-Włodawskim, na wschodniej Lubelszczyźnie. Tam były całe wsie niemieckie. Była na przykład pod Nałęczowem kolonia niemiecka o nazwie Harz. Natomiast w mniejszym stopniu żyli w Lublinie. Była tutaj niewielka społeczność prawosławna i ewangelicka.

**P.K.:** *W Lublinie obok Polaków żyli więc głównie Żydzi. Jaka jest o nich pamięć, co badani ludzie mówią?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Mówią tylko ludzie starsi i od tego trzeba zacząć. Chyba wybija się na czoło dobre współżycie obu społeczności, czyli ludzie którzy dzisiaj żyją, opowiadając o dwudziestoleciu międzywojennym i mówią o Żydach bez niechęci. Pamiętają, że były przejawy antysemityzmu, aczkolwiek w Lublinie nie były one zbyt silne. Był pewien konflikt ekonomiczny i tutaj Żydzi byli różnie postrzegani, zwłaszcza przez młode mieszczaństwo, przez tę grupę związaną z kupiectwem, której oni tworzyli konkurencję. Natomiast Żydzi postrzegani są jako społeczność, z którą się żyło bez konfliktów. Czasami mówi się o pewnej samoizolacji, czyli sytuacji, gdzie dwie społeczności żyły bardziej obok siebie, niż ze sobą. Mieliśmy całe rodziny żydowskie mieszkające w centrum miasta, w domach polskich. Tu współżycie układało się bardzo zgodnie, żyli nie obok siebie, ale znali się na co dzień, dzieci chodziły razem do szkoły. Pamiętamy, mieliśmy całą dzielnicę żydowską, to są okolice Starego Miasta, Zamku, Lubartowskiej, gdzie było zwarte getto żydowskie. Ludzi, którzy nie opuszczali tego getta, gdzie znajomość języka polskiego wśród osób starszych była bardzo słaba. Wspomina Róża Fischman w swej książce, że w sklepikach na Lubartowskiej właściciele

obawiali się kontroli z magistratu, ponieważ trzeba było pisać ceny i nazwy towarów po polsku. Ci starzy sklepikarze nie potrafili tego zrobić. Musieli prosić kogoś innego, ponieważ oni znali tylko język żydowski. Żyli w samoizolacji, język polski nie był im specjalnie potrzebny. Można więc było przeżyć życie w Lublinie, czy w Warszawie na Nalewkach nie znając języka polskiego! Można było pojsć do chederu, mieć jakieś wykształcenie i żyć zupełnie obok społeczności polskiej.

**S.J.Ż.:** *Czy zachowały się w Lublinie jakieś dokumenty żydowskie?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Dla dwudziestolecia międzywojennego są to pozostałości akt gminy żydowskiej. Na podstawie tych dokumentów niesłychanie trudno jest odtworzyć dzieje społeczności żydowskiej, łatwiej na podstawie akt administracji państwowej, gdzie jest inspekcja sanitarna, budowlana, sprawy polityczne. Urzędnicy wchodzą do dzielnicy, badają przedsiębiorstwa, każdy kto zakłada własne przedsiębiorstwo, sklepik musi złożyć podanie, wyjaśniać. Te akta administracji dają nam bardzo dużo wiadomości. Akta gminy żydowskiej dla dwudziestolecia są zachowane w stanie szczątkowym, lepiej nieco z okresu wojny, gdzie zachowały się akta Judenratu.

**S.P.:** *Czy zachowały się akta obrzezania albo ślubne?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Zachowały się akta stanu cywilnego dla wieku dziewiętnastego i częściowo dwudziestego z tym, że jest to bardzo specyficzne źródło.

**S.P.:** *A czy są w języku jidisz?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** W wieku dziewiętnastym są w języku rosyjskim, bo takie były wymogi administracji, później po roku 1918 w języku polskim. Oczywiście jednak najwięcej dokumentów żydowskich jest w jidisz.

**S.J.Ż.:** *A czy są dokumenty w języku hebrajskim?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Są takie dokumenty, ale one są nieliczne. Do tego jest to język hebrajski specyficzny tutejszych rabinów. Wiem, że przyjeżdżali tu historycy z Izraela, znający język he-

kumentów. Natomiast oficjalne akta żydowskie są prowadzone w języku polskim, takie były wymogi administracji w Polsce niepodległej.

**S.J.Ż.:** *Czy dokumenty te są opracowane, czy też po prostu leżą i nie korzystają z nich szczególnie historycy?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Każde archiwum dzieli się na zespoły. Zespół są to akta wytworzone przez pewną instytucję. Czasami są to zespoły małe, mające kilkanaście jednostek, a czasami są to zespoły liczące kilka tysięcy jednostek archiwalnych. Gdy chodzi o administrację carską, czy polską, to te sprawy nie są tam wyodrębnione, bo są to kwestie będące przedmiotem działań poszczególnych wydziałów administracji. Wydzielone są albo akta, zbiory spuścizny osobowe, notariuszy, wydzielone są akta hipoteczne, akta gminy, akta stanu cywilnego. Podstawowe materiały są w większych zespołach i trzeba je wyszukiwać. Z tym, że historyk, który zajmuje się tym ma inwentarze archiwalne. Są takie księgi, w których każda teczka (to się nazywa jednostka archiwalna) ma swój opis. Zamawiamy na przykład teczkę nr 453 i wiadomo, że jest to teczka dotycząca działalności jakiejś partii żydowskiej w Lublinie i tylko temu poświęcona, gdzie od razu wiemy, w jakich latach ta działalność jest opisana, nie szuka się więc po omacku.

**S.J.Ż.:** *Czy historycy z innych państw mają dostęp do tych zbiorów?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Tak. Mało tego, jeżeli mówimy o ludności żydowskiej, większość korzystających są to historycy z zagranicy, głównie z Izraela i Niemiec. Dostęp jest nieskrępowany, pisze się podanie do archiwum, aby uzyskać zgodę. Czasami są obostrzenia odnośnie powielania, robienia odbitek. Te ograniczenia się pojawiają w przypadku historyków z zagranicy, ale dostęp jest powszechny.

**S.J.Ż.:** *Panie Profesorze, mówił Pan o społeczności żydowskiej mieszkającej w Lublinie przed wojną, a także o relacjach świadków polskich, dotyczących przedwojennej historii naszego miasta. Jak jest ze świadkami żydowskimi, czy ktoś prowadzi jakieś badania korzystając z hi-*

*storii mówionej tego miejsca relacjonowanej przez Żydów, którzy ocalili z Holocaustu?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Korzystamy, tylko raczej nie z mówionych, ale spisanych relacji. Są to całkiem liczne relacje, jak na nieliczną grupę żydowską, która pamięta Lublin i przeżyła. Relacje te znajdują się w Muzeum na Majdanku. Mówią w nich osoby, które pamiętają okres wojny w Lublinie. To kopie relacji, które są przechowywane w dawnej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, a teraz w Instytucie Pamięci Narodowej. Relacje te sprowadzane są do Yad Vashem. Te wszystkie typy relacji łączy jedno – są to relacje złożone po wojnie, pod kątem procesowym poszukiwania zbrodniarzy wojennych. Są one niesłychanie ciekawe. Kończę właśnie książkę o getcie lubelskim. W związku z tym, poza materiałem archiwalnym, który jest całkiem przyzwoity, mówię tutaj o aktach Judeneratu, o administracji niemieckiej w Lublinie, te relacje dają bardzo dużo, bo one pokazują nam życie codzienne i, co nie wynika z żadnych dokumentów, relacje między społecznością polską, a żydowską, ale także w obrębie społeczności żydowskiej. To rozwarstwienie społeczności żydowskiej, postrzeganie społeczności żydowskiej przez ogół, postrzeganie policji żydowskiej, możliwości przeżycia, zakupu żywności na czarnym rynku, uzyskania fałszywych dokumentów itd. To wszystko może być odtworzone tylko na podstawie relacji. Niektóre są dwu, trzypięciowe, ale są i takie, które liczą przeszło sto stron, to są wręcz pamiętniki, które można by nawet z czasem opublikować.

**R.M.:** *Jak Żydzi wspominają Lublin przedwojenny, czy tak samo dobrze jak Polacy?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Pamiętamy o jednym, u Żydów na wspomnienia o Lublinie przedwojennym nakłada się Holocaust, stąd też powrót do dzieciństwa i młodości w Polsce jest to, niestety, wracanie przez pryzmat zagłady. To jest wspomnianie miejsca, które jest cmentarzem. Rozmowa o rodzinie, znajomych jest to rozmowa o ludziach wymordowanych i to trzeba

mieć zawsze na uwadze, bo to bardzo wyostrza optykę tych ludzi.

*S.P.: Czy są w Lublinie ludzie, którzy pielęgnują kulturę żydowską?*

**Prof. Tadeusz Radzik:** Jest izba pamięci na ulicy Lubarowskiej, w której znajduje się trochę pamiattek związanych ze społecznością żydowską, cmentarz... To na pewno za mało w stosunku do możliwości i potrzeb, a także ze względu na znaczenie jakie miało dziedzictwo historyczne i kulturowe Żydów Lubelskich. Pamiętajmy, że

był tu zawsze znaczący ośrodek kultury i myśli żydowskiej. Począwszy od XVI wieku, kiedy to powstały tu pierwsze uczelnie żydowskie, aż po wiek XX, kiedy powstała Jesziwa Mędrców Lublina, duży uniwersytet żydowski, ewenement na skalę europejską. I o tym Lublinie trzeba pamiętać...

Opracowanie:  
Michał Lipniewski

### **SCRIPTORES SCHOLARUM**

**kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół**

**pismo powstałe w roku 1993 w środowisku PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.**

Jest pismem edukacyjnym redagowanym przez uczniów szkół średnich, studentów, nauczycieli oraz pracowników naukowych. „**Scriptores Scholarum**” [**Zeszyty Szkolne**] to czasopismo nawiązujące do przedwojennych tradycji gimnazjalnych, w których szkoła średnia nie była tylko placówką dydaktyczną, ale również ośrodkiem naukowym i kulturalnym. Publikujemy na naszych łamach wartościowe prace uczniów – laureatów olimpiad przedmiotowych, programy edukacyjne, eseje, artykuły, konspekty lekcji, szkice metodyczne, poezję, prozę, recenzje, rozmowy z autorytetami. Każdy monograficzny zeszyt liczy ponad 200 stron druku. Kwartalnik „**Scriptores Scholarum**” został nagrodzony w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej.

### **SCRIPTORES SCHOLARUM 1998**

**Zeszyt mówiony „Pamięć - Miejsce - Obecność” - nr 1 (18)**

**Zeszyt o stereotypach „Fobie i resentymenty” - nr 2/3 (19/20)**

**Zeszyt „Niepełnosprawni?” nr 4 (21)**

Cena prenumerata „**Scriptores Scholarum**” (roczna nr 18, 19/20, 21) 18.00 zł; (Cena obejmuje koszty przesyłki).

**W Polsce wydawanych jest wiele czasopism edukacyjnych, ale Ty wybierz dla swojej szkoły, biblioteki, dla siebie i swojego dziecka naprawdę nowoczesne Pismo!!! Wybierz „Scriptores Scholarum”!!! Tylko prenumerata zapewni Państwu możliwość stałej lektury „Scriptores...”!!!**

# Strażnica pamięci

## – rozmowa z Edwardem Balawejderem dyrektorem Państwowego Muzeum na Majdanku

**Edward Balawejder** – historyk, działacz kulturalno-oświatowy, m.in. Wiceprezes Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Prezes Oddziału Wojewódzkiego Towarzystwa Kultury Teatralnej, b. dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, aktualnie dyrektor Państwowego Muzeum na Majdanku, Wiceprzewodniczący Okręgowej i członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu „Instytut Pamięci Narodowej”, członek Rady Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie. Autor szeregu publikacji i artykułów dotyczących metodyki pracy kulturalno-oświatowej, między innymi „Kroniki Państwowego Muzeum na Majdanku”. Po śmierci Marii Kuncewiczowej zajmuje się jako wolontariusz domem pisarki w Kazimierzu. Organizuje w nim, zgodnie z Jej wolą, życie kulturalne i artystyczne.

---

**Stawomir J. Żurek:** *Czym cmentarzem jest Majdanek?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Majdanek to tragiczne dziedzictwo całej ludzkości. Nie może należeć ani wyłącznie do Polaków, ani wyłącznie do Żydów, ani do osób jakiejś innej nacji, ponieważ w Mauzoleum zmieszane są prochy 235 tys. istnień ludzkich, więźniów 52 narodowości, wyznawców różnych religii, reprezentantów różnych zawodów i różnej kultury, dorosłych i dzieci, cywilów i jeńców wojennych. Gdy idzie o narodowości, zdecydowanie dominowali Żydzi, Polacy, Białorusini, Rosjanie i Ukraińcy.

**S.J.Ż.:** *Czy są to narodowości, czy obywatele różnych państw kilku narodowości?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Tak jak powiedziałem: pięćdziesięciu dwu narodowości, a biorąc pod uwagę współczesną geografie, przedstawiciele czterdziestu państw.

**Bartłomiej Bałaban:** *Czy to rozróżnienie stosowane jest również w przypadku Żydów, którzy ginęli tu nie jako obywatele państw, ale jako Żydzi?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Tak. Byli tu Żydzi polscy, holenderscy, francuscy, czescy, ukraińscy, białoruscy, itd., ale również Polacy, Holendrzy, Francuzi, Białorusini, Czesi i Ukraińcy.

**S.J.Ż.:** *Czy Żydów, którzy ginęli w obozach niemieckich, traktuje się jako Żydów, czy jako obywateli różnych państw?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Wyróżnia się Żydów, których na Majdanku zginęło 110 tys.

**S.J.Ż.:** *Czy to jest 51 narodowości plus narodowość żydowska?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Tak. Mówiłem o 52 narodowościach, w tym jest narodowość żydowska.

**Michał Kopaczewski:** *Czy wszyscy Żydzi ginący w obozie byli rejestrowani?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Nie rejestrowano tych, którzy byli kierowani wprost do komór gazowych. Zachowały się jednak np. zawiadomienia o nadejściu transportu więźniów, gdzie wymienia się pełną liczbę deportowanych. Należy jednak wyjaśnić, że dokumentacja

obozu lubelskiego zachowała się w stanie szcążkowym. Niemcy znaczną część akt spalili w czasie ewakuacji, a resztę wywieźli Sowietci, dlatego też kompletowanie bazy źródłowej od początku funkcjonowania muzeum uważane jest za priorytet w naszej działalności. Zbieraliśmy relacje, ankiety, ogłaszaliśmy konkursy na wspomnienia, przeprowadzaliśmy kwerendę w archiwach polskich, niemieckich, a ostatnio także w rosyjskich i żydowskich. W uzyskaniu dokładnych wyników badań pomoże nam ich komputeryzacja.

**B.B.:** *Czyli do tej pory prowadzone są badania?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Ustawicznie prowadzone są badania i myślę, że będą kontynuowane jeszcze przez wiele lat. Wciąż powstają nowe miejsca upamiętniania, a więc i archiwa, jak np. ogromne Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie, gdzie przecież nie było obozu koncentracyjnego, czy w Jerozolimie – Instytut Pamięci Yad Vashem. Otrzymaliśmy stamtąd wiele dokumentów i zdjęć, ale również przekazaliśmy im nasze dokumenty i eksponaty. Powstają takie miejsca nawet w Australii i w kilku miastach Ameryki. Po prostu chodzi o to, aby mieszkającym tam Żydom przekazywać wiedzę o zagładzie. Należy jedynie żalować, że twórcy tych miejsc pamięci ograniczyli się wyłącznie do Holocaustu, nie wspominając szerzej np. o tym, że choćby na Majdanku czy w Oświęcimiu likwidowano obok nich również jeńców radzieckich, przedstawicieli polskiej inteligencji i członków ruchu oporu różnej narodowości. Organizatorami tych muzeów są Żydzi, stąd aktywna działalność środowisk żydowskich na rzecz zdobycia jak największej ilości dokumentów upamiętniających cierpienia ich przodków. Nawet to rozumiemy, chociaż tak wyizolowany obraz zagłady zniekształca historię okupacji.

**M.K.:** *Niektórzy uważają, iż Żydzi zawłaszczają miejsca pamięci, w których zginęli również Polacy i vice-versa. Czy takie spory nie powodują, iż ludzie zapominają, czym były obozy, miejsca, w których ginęły setki, tysiące, miliony istnień. Czy ludzie przez takie spory nie prze-*

*stają dostrzegać ogromu cierpień, które zostały spowodowane podczas II wojny światowej?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Spory takie nie powinny mieć tu miejsca. Świadomość, iż śmierć i cierpienia więźniów Majdanka i innych obozów były zadawane z tego powodu, iż jedni ludzie byli przeświadczeni o swej wyższości nad innymi ludźmi ze względów rasowych, powinna budzić pokorę i skłaniać do wysiłku, by żadna megalomania nie miała tu dostępu. Miejsce to – przez pamięć o wspólnej tragedii uwięzionych – powinno uczyć nas szacunku dla innego człowieka i jego przekonań. Wyrazem takiej idei miała być Świątynia Pokoju, która z inspiracji b. więźniów miała stanąć na Majdanku. Przeznaczona byłaby dla ludzi różnych wyznań oraz niewierzących i poszukujących. Jednoczyłaby ona modlących się pod jednym dachem tej Świątyni tak, jak kiedyś więźniów jednoczyło cierpienie i śmierć. Nasze badania prowadzone przez historyków tu, na miejscu, czy też przez współpracujących z nami historyków z innych ośrodków badawczych zmierzają do tego, żeby ustalić rzeczywistą prawdę, choćby była ona niepopularną. Przykładem może być to, co ja przed chwilą powiedziałem, że zgodnie z wynikami ostatnich badań na Majdanku zginęło około 235 tys. więźniów, a nie jak mówilo się wcześniej, 500 tysięcy, a nawet milion. My na pewno to gwarantujemy, że tu, na Majdanku, będziemy ustalać i przekazywać obiektywną prawdę.

**S.J.Ż.:** *Do czego potrzebna jest pamięć o Majdanku tutaj, w Lublinie, w Polsce, w Europie, na świecie?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Jeśli chcemy budować swoją przyszłość, musimy znać przeszłość i czcić wszystkich tych, którzy tę przeszłość stanowili. Jeśli w przeszłości były tragedie, jeśli ginęli ludzie niesprawiedliwie, to też trzeba tych bohaterów uszanować. Majdanek został narzucony Lublinowi, nikt go nie chciał, mówię o obozie koncentracyjnym, został tu wybudowany przez Niemców i miał spełnić określone cele i te cele, niestety, wypełniał. Powstała w tym miejscu instytucja kultury, Muzeum –

Miejsce Pamięci. Instytucja ta pełni kilka funkcji: zabezpieczenie, konserwowanie obiektów, relikwii poobozowych i dokumentów, prowadzenie badań nad dziejami obozu lubelskiego i przekazywanie ich wyników wszystkim zainteresowanym, głównie młodemu pokoleniu. Wiedzę tę ukazujemy na tle historii II wojny światowej, nazizmu, planów III Rzeszy wobec Polski i innych krajów Europy oraz informacji o ruchu oporu. Prezentujemy też różne kategorie więźniów i ich losy.

Badania nasze stanowią podstawę do następnej fundacji Majdanka – upamiętnienia jego ofiar. Obecnie dla dużej części spośród tych, którzy spoczywają na tym ogromnym cmentarzystwie Europy, ustaliliśmy personalia, wiemy o ich osiągnięciach naukowych czy zawodowych oraz o działalności społecznej i konspiracyjnej.

I wreszcie Muzeum na Majdanku ma uświadomić ludziom, do czego prowadzi rasizm, megalomania narodowa, pogarda i nienawiść do drugiego człowieka, a także pokazać, ile zła i nieszczęść niesie wojna. Przesłanie, płynące z ekspozycji, wspomagamy wystawami dokumentalnymi, a od 1962 r. także artystycznymi, które w 1985 r. przekształciły się w Międzynarodowe Triennale Sztuki „Przeciw wojnie”. Pragniemy, aby tragedia Majdanka przekonała ludzi, że muszą żyć w pokoju mimo iż różnią się przekonaniami politycznymi, reprezentując różne wyznania i poglądy. Służyć temu przesłaniu miała międzynarodowa Świątynia Pokoju, której idea zrodziła się wśród b. więźniów Majdanka w 1981 r. O tym, że przy jednym ołtarzu mogą modlić się katolicy, prawosławni, Żydzi, maoiści i buddyści, przekonywały nabożeństwa ekumeniczne, odprawiane na terenie b. obozu.

Reasumując, pamięć o Majdanku to nie tylko wiedza o określonym etapie naszych dziejów i dziejów Europy, ale również świadomość, że aby żyć w pokoju i budować dostatnią przyszłość, musimy nauczyć się tolerancji i wyzbyć się wrogości wobec innych przekonań, innych poglądów i osób innych narodowości.

M.K.: *Ale słysząc taką opinię o tych kartach*

*z historii ludzkości najlepiej by było chyba zapomnieć?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Ja się z tym nie zgadzam. Nie można zapomnieć i żyć dalej. Czy można z tym żyć?

**Michał Hucal:** *Jakie formy upamiętnienia stosowane są w Państwa Muzeum?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Upamiętnieniu służy przede wszystkim teren b. obozu, obejmujący 97 ha, ze wszystkimi obiektami i urządzeniami, jakie na nim pozostały. Granice Muzeum określiła ustawa sejmowa z 1947 r. o Upamiętnieniu Męczeństwa Narodu Polskiego i innych Narodów. Kolejnym elementem upamiętnienia jest wzniesiony w 1969 r. – w 25. rocznicę wyzwolenia obozu – Pomnik Walki i Męczeństwa oraz Mauzoleum, gdzie złożono prochy pomordowanych. Twórcą projektu tego monumentu jest znany architekt z Gdańska Wiktor Tolkin.

Funkcję upamiętnienia dziejów obozu pełni stała ekspozycja, uwzględniająca najnowsze wyniki badań nad Majdankiem oraz historią II wojny światowej i okupacji. Scenariusz jej przygotowali pracownicy naukowcy Muzeum: Czesław Rajca i Anna Wiśniewska, zaś twórcą oprawy plastycznej jest Brunon Nagrodzki. Obecna ekspozycja została udostępniona zwiedzającym w 1996 r. Ogromną rolę w utrwalaeniu i popularyzacji wiedzy o lubelskim obozie koncentracyjnym odgrywają publikacje, i to zarówno opracowania naukowe jak i wspomnienia b. więźniów. Muzeum przystąpiło pod koniec lat 50. do tworzenia bazy naukowej, przeprowadzając kwerendy w wielu archiwach krajowych, a z czasem także zagranicznych. Wyniki badań publikowano w ukazujących się od 1965 r. „Zeszytach Majdanka”. Wydano także popularnonaukowe informatory o Majdanku w kilku wersjach językowych autorstwa Zofii Murawskiej i Edwarda Grynia, album zdjęć i dokumentów w opracowaniu Edwarda Działosza, tomik grypsów, a następnie wierszy powstałych w obozie i wiele innych publikacji. W roku 1965 ogłosiliśmy pierwszy konkurs na pamiętniki b. więźniów. Efektem jego było 106



wspomnień, w tym wiele bardzo cennych. Z naszej inspiracji najbardziej interesujące spośród nich trafiły wkrótce do rąk czytelników. Ukoronowaniem naszej działalności naukowej były dwie monografie Majdanka: jedna niewielka, popularnonaukowa, autorstwa Józefa Marszałka, która ukazała się w 1981 r., zaś w latach następnych została przetłumaczona na język niemiecki i angielski i druga obszerna, kilkunastu autorów, pod redakcją prof. Tadeusza Mencla, wydana w 1991 r. Ponadto kilka opracowań monograficznych zagadnień związanych z okupacją ukazało się jako kolejne tomy Biblioteki „Zeszytów Majdanka”.

Upamiętnieniu służą również publikacje okolicznościowe, a także audycje radiowe czy programy telewizyjne. Istotną rolę odgrywają w tym zakresie także organizowane przez Towarzystwo Opieki nad Majdankiem i Muzeum wrześnie „Dni Majdanka”, mające już ponad 50-letnią tradycję oraz różne obchody rocznicowe. Nie wspominam już o sesjach naukowych, lekcjach muzealnych, spotkaniach warsztatowych, filmach, oprowadzaniu po ekspozycjach. Wszystko to służy upamiętnieniu.

**M.K.:** *Czy upamiętnianiu mogą służyć również różnego rodzaju działania artystyczne?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Oczywiście, tego rodzaju działalność trudno przecenić. O wystawach plastycznych i międzynarodowym triennale sztuki, które cieszy się ogromną popularnością, już wspominałem. Dodam jedynie, że na ostatnie, piąte triennale, nadeszło swe prace prawie 1300 artystów z 64 krajów świata.

Współpracujemy również z muzykami i aktorami, z chórami, które często śpiewają na Majdanku, ale także z młodzieżą skupioną w różnych ośrodkach kultury i zajmującą się kulturą żywego słowa. Gościły też teatry zagraniczne, wystawiające sztuki o tematyce wojennej i powojennej. Specyficzna atmosfera tego miejsca sprawia, że wszystkie widowiska mają dużą siłę emocjonalną i są bardzo gorąco przyjmowane przez zwiedzających. Najczęściej

wykorzystywaną przestrzenią do spektakli jest pomnik, ale też specjalnie zaadaptowany do tego celu barak, w którym znakomicie prezentują się spektakle Sceny Plastycznej KUL, lub też Teatru Prowisorium. Bardzo często współpracujemy z ośrodkami młodzieżowymi z innych miast, np. chórem Kościoła Mariackiego z Krakowa czy z młodzieżą łódzką. Występy artystyczne pogłębiają uczucia, jakie budzi autentyzm Majdanka i skłaniają do wielu refleksji.

Ta szczególna właściwość sztuki pozwala jej wyrażać stanowczy i bezwarunkowy sprzeciw wobec przemocy, agresji, wojny i zniewolenia człowieka. Poprzez sztukę możemy solidaryzować się z tymi, którym odmawia się prawa do godności. To ważne przesłanie tego miejsca.

**M.K.:** *Czy również społeczeństwo żydowskie akceptuje te działania?*

**Dyr. Edward Balawejder:** W Muzeum na Majdanku stosunki z Żydami zawsze układały się dobrze. Utrzymywaliśmy ściśle kontakty i współpracę z Żydowskim Instytutem Historycznym, z Lubelskim Stowarzyszeniem Kulturalnym Żydów, bywała u nas wielokrotnie m.in. Miriam Novitch, od której następnie otrzymaliśmy publikacje na temat Holocaustu z różnych krajów, wracając w to miejsce byli więźniowie np. poetka i pisarka Halina Birenbaum, znani i cenieni badacze Holocaustu np. Felicja Karay. Najlepszym dowodem na to, że środowisko żydowskie akceptuje nasze działania, jest nasz partner z Yad Vashem, z którym wspólnie zorganizowaliśmy w Filharmonii Lubelskiej dwa lata temu koncert poświęcony upamiętnieniu zagłady Żydów. Solistami byli wybitni artyści żydowscy. Autorem oratorium dedykowanym Bohaterom Holocaustu był Noam Sheriff, kompozytor z Izraela.

**S.J.Ż.:** *Czy działania, które są już prowadzone na terenie obozu, nie budzą kontrowersji w społeczności żydowskiej?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Nie. Nigdy nie miałem jakichkolwiek informacji o zastrzeżeniach ze strony środowiska żydowskiego, gdy idzie o formy działalności kulturalnej i artystycznej

prowadzonej na Majdanku. Zastrzeżeń nie było także w odniesieniu do całej koncepcji zagospodarowania terenu.

**M.K.:** *W jaki sposób muzeum jest w stanie wzbudzić wrażliwość młodzieży?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Wrażliwość człowieka jest kształtowana w domu, w szkole i w kościele, a także w teatrze, salach koncertowych, galeriach sztuki, bibliotekach oraz takich miejscach jak Majdanek. Bezgraniczne cierpienia niewinnych ludzi, w tym także kobiet i dzieci, budzą sprzeciw wobec przemocy, nienawiści, pozbawiania drugiego człowieka wolności i godności. Przekonują, jakim bezsensu jest nienawiść rasowa, narodowościowa itp. Równocześnie uświadamiają, jak wielkie ofiary poniosły zniewolone narody Europy, by odzyskać utraconą suwerenność. My tu często obserwujemy, jak zwiedzający, szczególnie młodzież, głęboko przeżywają to, czego się tu dowiedzieli. Chcemy, by Majdanek był takim miejscem, gdzie osobowość kształtuje się pozytywnie.

**M.K.:** *Ileż jestem na Majdanku i idzie jakaś grupa, to zawsze z tłumu dochodzi do mnie jakiś głupi żart na temat pieców, łaźni, Żydów. Czy wynika to z braku kultury, czy też kompletnej niewiedzy o tym, co tu się wydarzyło?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Z braku niewiedzy, jak też i z braku kultury. Czynnikiem wpływającym na takie zachowanie jest z pewnością upływ czasu, bowiem czym większa odległość czasowa od danego zdarzenia, tym słabsze jest wobec niej zaangażowanie emocjonalne. Dla młodzieży okres okupacji to już odległa epoka. Aby przybliżyć młodzieży ideę Majdanka, staraliśmy się prowadzić lekcje metodyczne z nauczycielami historii czy języka polskiego. My sami możemy zrobić bardzo niewiele, jeśli nie będzie z nami współpracowała szkoła i dom rodzinny. Zawsze Dni Majdanka kończą się mszą świętą odprawianą przez ważnego przedstawiciela hierarchii rzymskokatolickiej. Najczęściej był to ks. Arcybiskup senior Bolesław Pylak, inni biskupi z innych diecezji. W tym roku zapowiedział udział w mszy świętej ks. Arcybiskup Józef Życiński.

**B.B.:** *Jakie są plany przyszłego kulturowego istnienia Majdanka? Słyszeliśmy o idei powstania świątyni, która połączyłaby ludzi wszystkich wyznań?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Jak już wspominałem, idea świątyni powstała około 20 lat temu. Ogłoszono nawet konkurs na jej projekt. Młodzież żydowska i niemiecka ufundowała dla niej dzwon, który tu stoi. Świątynia ta ma być miejscem, gdzie można się modlić, a także rozmyślać nad naszym życiem, nad koniecznością przebaczenia i unikania waśni. To miejsce będzie jakby nawoływało do porozumienia między ludźmi. Wierzę, że uda się wybudować ją tutaj.

**M.K.:** *Czy jest możliwe, żeby powstał taki dom spotkań młodzieży wszystkich narodów, jak w Oświęcimiu?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Myślę, że nie będzie w Lublinie takiego domu jak w Oświęcimiu, lecz są tu inne miejsca spotkań młodzieży, dla przykładu mogą wymienić Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, gdzie spotyka się młodzież różnych narodowości. Takim miejscem jest też Majdanek. Mimo iż nie ma tu domu spotkań, prowadzimy różnego rodzaju warsztaty historyczne z młodzieżą niemiecką czy austriacką, czasem spotykamy się z młodzieżą żydowską, choć nie udaje nam się dotąd zorganizować ich spotkań tutaj z młodzieżą polską na takiej płaszczyźnie, jak na przykład spotkania młodzieży polskiej z niemiecką.

**M.K.:** *Czy według Pana znaleźliby się dziś w Polsce ludzie, którym zaimponowałoby to miejsce i gdyby mieli tylko możliwość, to by wykorzystali je ponownie?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Polacy nigdy nie wykorzystywali tego miejsca jako obozu koncentracyjnego, więc nie dopuszczam do siebie myśli, żeby mieli to robić po upływie ponad pół wieku. Jesteśmy strażnikami tego miejsca jako miejsca hołdu, ale też jako miejsca wzajemnego zrozumienia się i przebaczenia, dogadania się. Majdanek jest miejscem, w którym czcimy ofiary czasów totalitaryzmu hitlerowskiego, ale też stalinowskiego.

**S.J.Ż.:** *Ministerstwo Oświaty w Izraelu wprowadziło odgórny nakaz, by wszyscy młodzi ludzie jeszcze przed napisaniem matury odwiedzili w Polsce miejsca tych straszliwych zbrodni. Czy podobna inicjatywa nie przydałaby się u nas w kraju?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Młodzież polska może przecież zwiedzać miejsca pamięci. Myślę, że takiego nakazu nie trzeba. Młodzież z Izraela przyjeżdża tu, po to, żeby poznać swoje korzenie, a także żeby oddać hołd pomordowanym, odwiedzić miejsca zagłady. Te programowe wycieczki są formą edukacji historycznej.

**S.J.Ż.:** *Czy Pan dyrektor spotkał się z takimi głosami, jak w prasie zachodniej, że Majdanek jest jedną wielką fikcją?*

**Dyr. Edward Balawejder:** Słyszałem. Kilkanaście lat temu rozrzucono nawet na Majdanku i w Oświęcimiu ulotki i broszury, przekonujące że obozy hitlerowskie są wymysłem Żydów. Są to jednak głosy odosobnione i nie ma sensu się nimi przejmować.

Uważam, że z uwagi na funkcje poznawcze i wychowawcze Majdanka i Oświęcimia, młodzież polska powinna te miejsca również poznać. Przecież wiąże się z nimi niezbyt odległa historia ich narodu, ich regionu, a także ich rodzin.

**S.J.Ż.:** *Dziękujemy bardzo za rozmowę!*

Opracowanie:  
Rafał Mamelko



## **Stan czytelnictwa uczniów i nauczycieli w polskiej szkole (ankieta)**

Redakcje paryskiego miesięcznika „Kultura” oraz lubelskiego kwartalnika uczniów i nauczycieli „Scriptores Scholarum” zwracają się z uprzejmą prośbą o wypełnienie następującej ankiety. Celem naszego wspólnego przedsięwzięcia jest próba wglądu w rzeczywisty stan czytelnictwa w polskiej szkole. Ankieta jest anonimowa. Prosimy o szczerą odpowiedź, oddającą realny obraz sytuacji. Wyniki badań na reprezentatywnej grupie uczniów (maturzystów ze szkół państwowych, społecznych i prywatnych; ze wsi, małego miasteczka, miasta wojewódzkiego, a także stolicy) oraz ich nauczycieli (polonistów) będą poddane opisowi oraz zbilansowaniu, a następnie zostaną opublikowane w formie artykułu (równoległe w obu czasopismach). Osobą odpowiedzialną za przeprowadzenie badań jest dr Sławomir J. Żurek (KUL).

### **Wersja A (dla uczniów):**

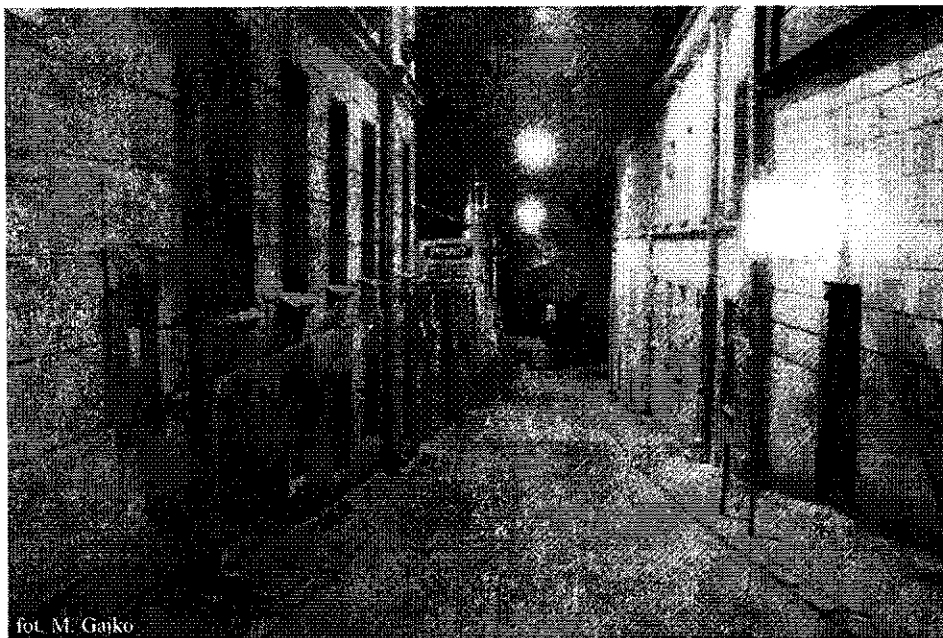
1. Które lektury szkolne budzą Twoje rzeczywiste zainteresowanie? Dlaczego?
2. Jakie książki, z przedstawionego Ci w czasie nauki w szkole średniej wykazu lektur odrzucasz? Które z nich uważasz za narzucony Ci przez dorosłych haracz? Dlaczego?
3. Które dzieła klasycznej literatury polskiej są według Ciebie ważne? Dlaczego?
4. Którzy bohaterowie książkowi są dla Ciebie wzorem do naśladowania, a którzy są martwymi postaciami?
5. Co wolisz – film czy książkę? Dlaczego?
6. Jaką rolę pełni w Twoim życiu telewizja?
7. W jakim stopniu lekcje języka polskiego są dla Ciebie „oknem na świat”, a w jakim przykrym obowiązkiem?
8. Jakie książki spoza kanonu lektur szkolnych uważasz za decydujące dla Twojego życia? Uzasadnij krótko swój wybór.
9. Wyrnień trzy teksty z literatury polskiej, które powinny znaleźć się w przyszłości na europejskiej liście lektur szkolnych. Dlaczego?
10. Czy widzisz potrzebę wprowadzenia do szkoły większej ilości lektur z zakresu literatury naszych sąsiadów: Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, Litwinów, Niemców, Czechów, Słowaków?

### **Wersja B (dla nauczycieli):**

1. Które lektury szkolne budzą przy ich omawianiu Pani (Pana) rzeczywiste zainteresowanie? Dlaczego?
2. Jakie książki, z sugerowanego przez ministerstwo spisu lektur Państwo odrzucają? Które z nich uważa Pani (Pan) za narzucony haracz? Dlaczego?
3. Które dzieła klasycznej literatury polskiej są według Państwa ważne? Dlaczego?
4. Którzy bohaterowie książkowi są według Pani (Pana) rzeczywistym wzorem do naśladowania, a którzy są jedynie martwymi postaciami?
5. Co Państwo wolicie – film czy książkę? Dlaczego?
6. Jaką rolę pełni w Państwa życiu telewizja?
7. W jakim stopniu lekcje języka polskiego są Państwa zdaniem dla młodzieży „oknem na świat”, a w jakim przykrym obowiązkiem?
8. Jakie książki spoza kanonu lektur szkolnych uważają Państwo za decydujące dla swojego życia? Prosimy uzasadnić krótko swój wybór.
9. Proszę wymieć trzy teksty z literatury polskiej, które powinny znaleźć się w przyszłości na europejskiej liście lektur szkolnych. Dlaczego?
10. Czy widzicie Państwo potrzebę wprowadzenia do szkoły większej ilości lektur z zakresu literatury naszych sąsiadów: Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, Litwinów, Niemców, Czechów, Słowaków?
11. Ile lat pracuje Pani (Pan) jako nauczyciel?

Proszę o zamieszczenie ewentualnych uwag i sugestii.

Paryż -- Lublin, marzec 1998.



*(...) to jedynie jest wieczne i nieśmiertelne. Ale nie pamiętamy tego, to bowiem, co tak istnieje jest odporne na wpływy zewnętrzne.*

Arystoteles, *O duszy*, 430a

**Pamięć: ἀνάμνησις - μνήμη**

---

Jacek Wojtysiak

## Pamięć

Najpierw jest Miejsce i Wydarzenie. Potem są demonstracje, czyli ponawiana Obecność. Z nich rodzi się Pamięć. Gdy Pamięć staje się oficjalna, rozpoczyna się zbiorowe zapominanie.

Tak było z „Trzecim Majem”. Najpierw był Zamek Królewski i Konstytucja – jutrenka naprawy i umocnienia Rzeczypospolitej. Potem została już tylko Pamięć o Niej – budowana z Obecności zbrojnych zrywów i narodowej poezji. Gdy znów nastąpiła Rzeczypospolita, wszyscy z pompą święcili Konstytucję, ale w kłótniach i wzajemnej zawiści zapominali o tym, co w niej najważniejsze. Następnie historia się powtórzyła: okupacja, demonstracje, gazy łzawiące... by wreszcie odzyskać Święto – dla niektórych polityków dzień obłudy, przepychanek i licytacji, a dla zwykłych ludzi czas przedłużonego weekendu.

Nieco podobnie było z „Pierwszym Majem”. Z tą różnicą, że jego oficjalni właściciele (złodzieje?) wymyślili szczególne formy jego obchodzenia: od przymusu śmiesznych pochodów po bicie milicyjnymi pałkami tych, co szli w pochodach autentycznej Pamięci. Obecnie zostało tylko trochę PRL-owskiego folkloru, nieco szarpaniny i kilka jajek. O krwi robotników w Chicaco nie wie już chyba nikt...

Dziś Pamięć nie jest w modzie. Większość z nas wolała wypoczywać, zamiast manifestować. Uroczystości odbyły się gdzieś w telewizji. Są jednak gorliwcy, którzy mają sposoby na rozbudzenie Pamięci: Pamięć trzeba podzielić i wznowić walkę o „nasz” Jej kawałek. Tak powtarzają się kolejne bitwy Pamięci: Trzeci Maja a Pierwszy Maja, maj Polaków a kwiecień Żydów (którzy czcili swoje ofiary), Krzyż a Zagłada (Szoa), my i oni a Cyganie (Romowie)... Do tego dochodzą bardziej lokalne i przyziemne potyczki Pamięci: Bydgoszcz a Gdańsk, Opole a Katowice itd. Na marginesie wolno zapytać: a czy był i jest Lublin?

Podczas gdy nieliczni spierali się o Pamięć, większość wyjechała opalać się na majówkach. Są jednak jeszcze tacy, którzy zbierają i kontemplują pamiętki przeszłości. Przynoszą stare fotografie Miasta, wspominają dzieciństwo, odgrzebują z zakamarków zapomnienia twarz dziadka i wygląd przedwojennych uliczek. Przez wieki pobrzmiwały tam echa kilku języków. Miejsca święte i nieświęte... Były tam i kościoły, i bóżnice, i cerkwie, i zbory. Browary, młyny, fabryki, targi. Sklepy i sklepiki, warsztaty i warsztatiki. Szkoły i cmentarze – jakże różniące się lekturami i nagrobkami. I ludzie – każdy inny, niepowtarzalny, niezwykły, niosący swoje własne intymne dzieje...

Dla tych ludzi Pamięć jest jedna, zwykła i szeroka – jest wspólna... Pamięć Miejsca staje się przedłużoną Obecnością...

*Napisane 3 maja 1998 r. w Lublinie*

## Kilka słów o pamięci

Człowiek jest istotą szczególną – potrafi posługiwać się pojęciem czasu jak nikt inny, wiążąc teraźniejszość z przeszłością i planując przyszłość, a wszystko to dzięki sile, sprawności i gotowości pamięci.

Większość naszych skojarzeń odnośnie pamięci dotyczy wydarzeń przeszłych, warto jednak na wstępie zauważyć, że kierunek pamięci okazuje się często nie retrospektywny a perspektywny. Często bowiem staramy się pamiętać o wykonaniu czegoś w przyszłości, np. o zażyciu codziennej porcji witamin, o tym, by zadzwonić do znajomych, czy wysłać kartkę z życzeniami.

Powszechne zainteresowanie procesami pamięci tłumaczyć należy ich ogromną rolą, jaką odgrywają w życiu ludzi. Zachowanie człowieka wyznaczone jest bowiem w dużej mierze przez to, co działo się uprzednio. Gdyby nie pamięć, postępowanie każdego z nas sprowadziłoby się do reakcji na działające aktualnie bodźce. Hobbes – filozof angielski żyjący w XVII w. – ujął to w ten sposób: „Doświadczenie nie jest niczym innym jak pamięcią. Cała wiedza jest przypomnieniem.” Bez pamięci nie ma świadomości. Nie można pominąć jednak faktu, że jak każda funkcja psychiczna, pamięć ma także znaczenie przystosowawcze – biologiczne i psychospołeczne. Wspomnienia przeszłości uczestniczą bowiem w kształtowaniu się obrazu samego siebie, a także wszelkich więzi międzysobowych.

Drugim źródłem popularności tego rodzaju problematyki są niewątpliwie doświadczenia dotyczące własnej pamięci, jakie posiada prawie każdy. Zwykle mają one charakter negatywny, zwracamy przede wszystkim uwagę na zakłócenia w jej sprawnym funkcjonowaniu. Pamięć oznacza w tym kontekście zdolność odtworzenia przeszłych wydarzeń z naszego życia. Aby jednak móc sobie przypomnieć to, co kiedyś było przedmiotem spostrzegania, przeżywania lub działania (tzw. materiał pamięci), konieczne jest najpierw jego utrwalenie i przechowanie.

Zainteresowania procesami pamięci sięgają bardzo odległych czasów. Wiele miejsca zajmowały one w systemach filozoficznych Greków. Już Platon zwrócił uwagę na fenomen pamięci, porównując go do tabliczki woskowej, na której odciskają się poszczególne wrażenia. Jego uczeń – Arystoteles – kontynuował podjętą przez mistrza tematykę i wykrył prawa dotyczące tego zjawiska, do których nawiązują również i współcześni badacze. Pierwsza monografia poświęcona pamięci, której autorem jest niemiecki uczony Ebbinghaus, została wydana w 1885 r. Eksperymentalne badania Ebbinghaus'a zapoczątkowały prowadzone po dziś dzień szczegółowe prace w tej dzied-

dzinie. W związku z rozległością problematyki, zajmują się nią dziś w sposób profesjonalny przedstawiciele różnych nauk – fizjologii, anatomii, neurochirurgii, a także pedagogiki oraz psychologii.

Pamięć, jako jedno z podstawowych pojęć psychologicznych, funkcjonuje więc w dwu zasadniczych znaczeniach: 1) jako określenie ogółu zachowanych doświadczeń, 2) jako określenie zdolności odzwierciedlenia przeszłego doświadczenia, w skład której wchodzi procesy: utrwalania, przechowywania oraz przypominania.

Pamięć nie stanowi samodzielnego mechanizmu. Jest związana z dojrzwaniem układu nerwowego i z całością doświadczeń człowieka – jego spostrzeżeniami, myśleniem, zainteresowaniami, uwagą, emocjami. Stąd płyną rozmaite rozróżnienia.

Ze względu na rodzaj zapamiętywanego i rozpoznawanego materiału wyróżnia się pamięć obrazów, dźwięków, myśli, uczuć, ruchów. Stąd płynie dalsze rozróżnienie na pamięć wzrokową, słuchową, węchową, smakową, kinestetyczną, słowno-logiczną, czy afektywną. Ze względu na udział nastawienia lub jego brak – mimowolną i dowolną. Zagadnienie to jest dobrze znane z życia codziennego; niemal każdy wie, że zapamiętuje nie tylko to co chce zapamiętać i na czym świadomie koncentruje swoją uwagę. Odróżnia się również pamięć mechaniczną (gdzie podstawowym warunkiem zapamiętania jest powtarzanie) od logicznej (podstawą jest zrozumienie).

Ze względu na stopień trwałości rozróżniamy pamięć świeżą i trwałą. Pamięć bezpośrednia (krótkotrwała), obejmuje materiał natychmiast po jego zapamiętaniu, w odróżnieniu od długotrwałej – która wymaga wysiłku i dłuższego czasu na wydobycie wiedzy ze swojego magazynu. Z pamięci krótkotrwałej będziemy czerpać informacje odpowiadając na pytanie: „Jak brzmiały pierwsze słowa tego zdania?”, z długotrwałej zaś: „Jak byłem wczoraj ubrany?”.

Za tymi wszystkimi procesami pamięci kryją się strukturalne i chemicznie zmiany zachodzące w komórkach układu nerwowego. Prace psychofizjologów wykazują, że nie istnieje jedna ściśle określona okolica mózgu odpowiedzialna za funkcjonowanie pamięci, wiele struktur mózgowych jest równocześnie zaangażowanych w ten skomplikowany proces.

Złożoność procesów składających się na tę funkcję psychiczną ujawnia się już w fazie zapamiętywania, która cechuje się wybiórczością i jest przejawem aktywności własnej. Liczne badania nad utrwalaniem i przechowywaniem materiału pamięciowego pozwoliły na ustalenie pewnych prawidłowości dotyczących ich przebiegu. Jak wiadomo utrwalenie informacji zależy zarówno od osoby zapamiętującej i od rodzaju materiału, który należy zapamiętać. Okazuje się, że dobrze zachowujemy w pamięci to, co w jakiś sposób wiąże się z nastawieniem, potrzebami, zainteresowaniami, niepokojami i marzeniami każdego z nas. Przerwane ciągi czynności (zadania) są lepiej pamiętane niż te, które zostały doprowadzone do końca. Lepiej zapamiętywane są informacje powiązane ze sobą, zrozumiałe, występujące na początku i końcu większych całości. Ogromny wpływ mają także na zapamiętanie stosowane przez nas tzw. strategie pamięciowe, np. organizowanie materiału, powtarzanie, notowanie ważniejszych informacji. O stopniu skomplikowania problematyki pamięci może także świadczyć stosowana terminologia i rozróżnienia. Wspominanie, przypominanie, odtwarzanie, rozpoznawanie to jedne



z wielu wymienianych przejawów pamięci, lecz każdy z tych terminów oznacza inny jej aspekt. Wspomnienia to rekonstrukcje jakichś zdarzeń wraz z całym ich tłem w czasie i przestrzeni. Mają one wymiar osobisty, są wyrazem tzw. pamięci autobiograficznej.

Można jednak odtworzyć wiersz, recytując go, nawet jeśli nie pamięta się okoliczności, w jakich się go uczyło. Pamiętamy, jak wchodzi się na schody, czy jeździ na rowerze bez jakiegoś bezpośredniego powiązania z przeszłością. Są to przejawy tzw. pamięci odtwórczej. Ten rodzaj pamięci bada się najczęściej w laboratoriach.

Trzeci rodzaj pamięci przejawia się jedynie w rozpoznawaniu kogoś lub czegoś, jako już znajomego. Zjawisko to może występować automatycznie lub świadomie albo może mieć jedynie charakter poczucia, że coś jest znane, np.: „Znam tę melodię, ale właściwie nie wiem, co to jest”. Jednak pamięć, jak się często okazuje, nie jest stuprocentowo wierna. Przechowywanie materiału może się wiązać z jego przeróbką, selekcją, czy systematyzacją, a także z procesami zniekształcania oraz zapominania. Zależnie od stopni tych zniekształceń mówi się o bardziej lub mniej wiernej pamięci. Trzeba się pogodzić z tym, że wszelkie wspomnienia są rekonstrukcją minionej rzeczywistości, a nie fotograficznym odtworzeniem sytuacji minionej. Ślady pamięciowe jednak pozostają, mimo braku odnoszących się do nich świadomych wspomnień. Wszyscy znamy sytuację, gdy po dłuższym czasie przypominamy sobie, gdzie położyliśmy zgubiony przedmiot lub jak nazywa się osoba, której nazwiska nie mogliśmy sobie wcześniej przypomnieć mimo usilnych starań.

Na ogół przyjmuje się, że pamięć człowieka pracującego umysłowo osiąga swój najwyższy poziom w wieku 20 – 25 lat. Nie oznacza to jednak, by zawsze po osiągnięciu szczytu następował gwałtowny spadek w poziomie funkcjonowania naszej pamięci. Ale nawet wśród młodych ludzi niewiele jest osób całkowicie zadowolonych ze swej pamięci. Niemal każdemu zdarza się czasem zapomnieć o czymś bardzo ważnym i marzeniem jest staję się wówczas polepszenie własnej pamięci. Niestety nie odkryto dotychczas nadzwyczajnego środka, który nie wymagając żadnego wysiłku, spowodowałby natychmiastową poprawę pamięci we wszystkich jej aspektach i etapach (zapamiętywania, przechowywania czy odtwarzania). Nieprzerwanie prowadzone badania w tej dziedzinie uszczegółwiają jedynie zasady sformułowane już w XVI wieku przez Fulwooda:

*Pierwsza: niech dobrze rzecz zrozumie,*

*którą pamięcią chciałby schwytać,*

*Druga: niech sobie to ułoży*

*W dobrym układzie i porządku.*

*Trzecia: gdy się o wynik trwoży,*

*Niech rzecz powtarza od początku.*

Problematyka pamięci, jak na to wskazują już powyższe uwagi jest bardzo złożona. Choć badania w tej dziedzinie prowadzone są nieprzerwanie od lat, wiele problemów pozostaje wciąż nie rozwiązanych. Ostateczna tajemnica ludzkiej pamięci czeka więc na odkrycie.

## Doświadczenie Auschwitz a pedagogika pamięci

Praca edukacyjna w miejscach i muzeach pamięci dokumentujących zbrodnie narodowego socjalizmu staje w obliczu upływu czasu i ewolucji świadomości historycznej społeczeństwa przed koniecznością nowego spojrzenia na swoje cele, treści i formy. Niniejsze refleksje są próbą wskazania jedynie na niektóre aspekty upamiętniania przeszłości i poszukiwania skutecznych metod edukacji muzealnej w zmieniających się społecznych i psychologicznych warunkach działalności tego typu instytucji, jak i też wobec innych oczekiwań, szczególnie młodego pokolenia, które towarzyszą tym zmianom.

Zrozumienie fenomenu masowej zbrodni, symbolem której jest **Auschwitz**, stało się wyzwaniem nie tylko dla badań z zakresu historii, psychologii czy socjologii lecz również dla teorii oraz praktyki wychowania. Problematyka wychowania po **Auschwitz** i kwestia oddziaływania pedagogicznego na młode pokolenia była często podejmowana w rozważaniach i studiach historyków, pedagogów i badaczy z innych dziedzin nauki<sup>1</sup>.

Szczególne miejsce zajmuje wśród nich Theodor W. Adorno, wybitny myśliciel niemiecki, który tej problematyce poświęcił wiele teoretycznych prac. W swoim znanym esejku „*Erziehung nach Auschwitz*”<sup>2</sup> analizuje on wpływ doświadczenia zbrodni ludobójstwa na myśl pedagogiczną i model wychowania, określając jednocześnie podstawowe jego cele i treści. „Postulat, aby **Auschwitz** nie powtórzył się” – pisze autor – „jest wobec problemu wychowania najważniejszy”<sup>3</sup>. Jego znaczenie wynika z faktu, że **Auschwitz** był zbrodnią wymierzoną w człowieka i humanistyczne zasady wychowania, dlatego wymaga refleksji również w dziedzinie pedagogiki. „Uważa się,” – kontynuuje T. W. Adorno – „że istnieje groźba powrotu barbarzyństwa. W istocie on jednak nie grozi, gdyż był nim już **Auschwitz**. Barbarzyństwo będzie trwało dopóki będą istniały warunki, które ów powrót umożliwiły”<sup>4</sup>. Badając psychologiczne i charakterologiczne mechanizmy, jakie działają w człowieku i tworzą sprzyjające warunki do popełniania zbrodniczych czynów, wskazuje T. W. Adorno na decydującą rolę czynnika wychowawczego w kształtowaniu takich cech osobowości, jak autorefleksja, autokrytycyzm czy poczucie odpowiedzialności za własne postępowanie, które mogą niewątpliwie przeciwdziałać zachowaniom i motywacjom prowadzącym człowieka do aktywnego bądź biernego udziału w zbrodniach czy innych aktach przemocy.

W tym kontekście aktualny model pracy pedagogicznej w miejscach i muzeach pamięci wymaga nieustannej refleksji krytycznej i ciągłego poszukiwania nowych form i metod przekazu historycznego dla wydarzeń, które często wymykają się zarówno wyobraźni jak i też rozumowi człowieka, co czyni całe zagadnienie jeszcze bardziej odległym i abstrakcyjnym.

Odejdźcie w niedłgiej perspektywie czasowej pokolenia ofiar, sprawców i świadków ideologicznych zbrodni XX w. pogłębi bez wątpienia i tak już istniejący emocjonalny dystans młodych pokoleń wobec tego wydarzenia, stwarzając kolejne bariery w jego społecznym i psychologicznym odbiorze. Współczesne pokolenie postrzega epokę narodowego socjalizmu czy stalinizmu jako przeszłość, która z nim ma mało lub nie ma zgoła nic wspólnego, a wiedza o niej ma niewielkie znaczenie dla jego życia w terażniejszości lub w przyszłości.

Rodzi to dylematy i stawia pytania o możliwości i granice współczesnej pedagogiki muzealnej, jej miejsce i rolę w dotarciu do wyobraźni i wrażliwości człowieka żyjącego u schyłku XX wieku, dla którego „inny świat”, jakim były nazistowskie obozy koncentracyjne i stalinowskie łagry staje się już tylko odległą historią. W praktyce bowiem chodzi o znalezienie odpowiedzi na pytanie o przekładalność doświadczenia masowej zbrodni na język pedagogiki muzealnej czy, szerzej, na język współczesnej kultury i ukazanie jej jako fenomenu odnoszącego się nie tylko do przeszłości, ale wpływającego również na kształtowanie terażniejszości i przyszłości.

Dlatego edukacja, której tematem jest doświadczenie Auschwitz powinna zajmować szczególne miejsce w działalności miejsc i muzeów pamięci. Stały się one z jednej strony symbolami i elementami świadomości historycznej dającymi wyraz indywidualnej i zbiorowej pamięci społeczeństw i narodów, z drugiej zaś upamiętnianie zyskuje wymiar procesu edukacyjnego, którego celem jest szukanie związków między doświadczeniem historycznym a współczesnością. W tej perspektywie tego typu muzea powinny jeszcze silniej akcentować swoją rolę jako miejsca refleksji i dyskusji o historii, jej rozumienia i uczenia się, a poprzez to być czynnikami wpływającymi na kształtowanie postaw i kulturę polityczną społeczeństwa.<sup>5</sup>

### **Uwspółcześnienie Auschwitz**

Stawianie na nowo pytań odnoszących się do przeszłości umożliwia głębsze zrozumienie i analizę skutków jej oddziaływania na życie jednostek i społeczności. Prezentowanie wydarzeń historycznych okresu dyktatur totalitarnych może wzbudzić większe zainteresowanie i przynieść pozytywny rezultat, kiedy będą one doświadczane jako współczesne, to znaczy, kiedy poprzez przekaz historyczny nawiążemy do świata problemów i doświadczeń, z którymi człowiek styka się funkcjonując w strukturach państwa i społeczeństwa.

Uwspółcześnianie doświadczeń historycznych nie może być rozumiane jako proste przenoszenie wydarzeń z przeszłości na aktualne konflikty i spory społeczne, czy szukanie prostych analogii historycznych – wczoraj Żydzi, dzisiaj obcokrajowcy. Prowadziłoby to w prostej linii do politycznej instrumentalizacji historii i nie sprzyjało wyjaśnieniu natury i źródeł problemów występujących w nowoczesnych społeczeństwach.

Obóz **Auschwitz**, gdzie naziści dokonali na Żydach, Cyganach, Polakach i innych grupach narodowościowych jednej z największych zbrodni XX wieku, stał się czymś więcej niż tylko wydarzeniem historycznym a jego opowieści nie da się zamknąć jednym rozdziałem<sup>6</sup>.

**Auschwitz** symbolizuje bowiem wiele negatywnych zjawisk, jakie zrodziła kultura europejska i światowa, a które w postaci obozu masowej zagłady znalazły swój wyraz.

Nietolerancja wobec ludzi o odmiennej tożsamości etnicznej czy religijnej, dyskryminowanie jednostek z powodu koloru skóry, stanu zdrowia, orientacji seksualnej czy poglądów politycznych, czy wreszcie nacjonalizm, istniały nie tylko w Europie przed **Auschwitz** ale istnieją nadal i tworzą zagrożenie dla demokratycznych i wolnościowych swobód obywatelskich.

Dlatego **Auschwitz** nabiera znaczenia uniwersalnego symbolu, a jego ponadczasowe przesłanie, a przede wszystkim kulturowa i społeczna refleksja nad jego determinantami mogą wpływać na uwrażliwienie ludzi wobec aktualnych i negatywnych zjawisk współczesnego świata jak przemoc, nietolerancja, rasizm czy antysemityzm.

Zajmowanie się historią narodowego socjalizmu stwarza okazję, aby wychodząc od konkretnego przykładu prezentować podobne strukturalnie współczesne procesy i ostrzegać przed ich niebezpiecznym rozwojem w możliwie wczesnym stadium i przez to współkształtować demokratyczne społeczeństwa<sup>7</sup>.

Pytaniu o fakty, świadectwa i dowody nowoczesnej, masowej zbrodni powinna towarzyszyć próba zrozumienia nie tyle samego jej zdarzenia lecz warunków i możliwości zaistnienia.

Jeśli nawet ideologie i systemy totalitarne jakimi były narodowy socjalizm i komunizm upadły, to pozostała świadomość, że dopuszczono do takich zbrodni. Świadomości tej zatrzeć się nie da i będzie ona prawdopodobnie ciążyć nad ludzkością przez wieki. Podobnie jak człowiekowi staramy się ulżyć w jego konfliktach, pomagając mu w zrozumieniu mechanizmów ich powstawania, tak możemy zmniejszyć ciężar winy przez próby analizy przyczyn zbrodni XX wieku<sup>8</sup>.

### Zwyczajni sprawcy

Należy przy tym zwrócić uwagę na kilka aspektów dotyczących metod i form pracy pedagogicznej, a także treści przekazu historyczno-muzealnego które, jak się wydaje wymagają uzupełnienia i rozwinięcia.

Przy próbie odpowiedzi na pytanie o źródła zbrodni, którą symbolizuje Auschwitz, powinno się w procesie edukacyjnym bardziej wnikliwie niż dotychczas analizować zachowania, motywacje i postawy sprawców. Ten element pytania **jak to się stało?**, któremu w rozważaniach i badaniach nad tym zagadnieniem poświęca się coraz więcej uwagi, odśladania mniej dotychczas dyskutowane determinanty masowej zbrodni<sup>9</sup>. Jak zauważa T. W. Adorno jej przyczyn należy szukać nie tyle w ofiarach, które mordowano pod byle jakim pretekstem, co w prześladowcach<sup>10</sup>.

W swoim przeświadczeniu byli zapewne porządnymi obywatelami a wielu z nich dokonywało zbrodni z poczucia obowiązku czy oportunistycznie. Taka postawa wynikała w dużym stopniu z systemu totalistycznego wychowania, którego celem było

kształtowanie człowieka w duchu bezkrytycznej lojalności dla autorytetu, wydawanych przez ten autorytet rozporządzeń oraz wyrabianie takich cech jak posłuszeństwo dla regulaminu, dla władzy, dla nakazu<sup>11</sup>.

Typowym tego przykładem, a jednocześnie symbolem nowego typu zbrodniarza stał się SS-Obersturmbannführer Adolf Eichmann, jeden z głównych wykonawców i koordynatorów akcji „Ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Co charakterystyczne, nie przejawiał przy tym szczególnego antysemityzmu lecz raczej ślepe posłuszeństwo, a jako sumienny urzędnik starał się jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki<sup>12</sup>.

Programy i projekty edukacyjno-pedagogiczne, które stawiają sobie za cel przeciwdziałanie powtórzeniu się fenomenu **Auschwitz** powinny poprzez swoje treści ukazywać, w jaki sposób kształtują się i rozwijają w człowieku postawy oraz motywacje skłaniające **całkiem zwyczajnych ludzi** do udziału w zbrodniach bądź przyzwolenia na nie.

W powszechnych bowiem wyobrażeniach sprawcy uważani są najczęściej za wynaturzonych zbrodniarzy i sadystów. Niewątpliwie takich osób nie brakowało praktycznie na każdym szczeblu władzy, a szczególnie w więzieniach i we wszystkich typach obozów, gdzie stanowili ważne ogniwo w całej strukturze okrucieństwa.

W poczuciu bezkarności i absolutnego panowania nad więźniami, które ich w równie absolutny sposób demoralizowało, tworzyli system niewyobraźnego terroru i strachu.

Jednak większość sprawców, co podkreślają również ofiary i świadkowie, a w co tak trudno dzisiaj uwierzyć była **zwyczajnymi ludźmi**, o zwyczajnych motywacjach, słabościach i ambicjach. Trafnie ujął to wybitny badacz tej tematyki Raul Hilberg stwierdzając: „aby pojąć pełne znaczenie tego, co ludzie ci robili, musimy zrozumieć, że nie mamy do czynienia z jednostkami posiadającymi własne, odrębne normy moralne. Urzędnicy wciągnięci w proces zagłady nie różnili się zasadami moralnymi od reszty społeczeństwa”<sup>13</sup>. Stąd szczególny nacisk przy realizacji projektów edukacyjnych należy kłaść na rozpoznawanie i analizowanie mechanizmów, które powodują, że ludzie zdolni są do zbrodniczych czynów. Należy im te mechanizmy uświadamiać, by nie byli powtórnie podatni na ich działanie<sup>14</sup>.

### **Twarze zamiast liczb**

Jednym z czynników, które ułatwiały często pozbawione emocji unicestwienie istot ludzkich było sprowadzenie ich do roli bezimiennej, pozbawionej jakiegokolwiek tożsamości masy. Osiągano to m.in. poprzez system numerowania więźniów. Jak zauważył Antoni Kępiński, zbrodnie ostatniej wojny były czymś nowym w historii, wynalazkiem XX wieku. „Wynalazek ten” – pisze autor – „polega nie na zmasowanej agresji albo sadyzmie, ale na traktowaniu człowieka jako numeru. Podstawą wszelkich stosunków międzyludzkich jest traktowanie drugiego człowieka jako człowieka. Naruszenie tej zdawałoby się banalnej zasady prowadzi do kataklizmów w rodzaju masowych zbrodni ostatniej wojny”<sup>15</sup>.

Konfrontacja z anonimową śmiercią milionów ludzi powoduje, że zwiedzających miejsca pamięci ogarnia emocjonalna i intelektualna bezradność. Stąd ważnym celem

programów muzealno–edukacyjnych powinno być odwoływanie się do przeżyć i cierpień konkretnego więźnia. Jedynie w ten sposób udaje się zmniejszyć emocjonalny i poznawczy dystans dzielący ofiary zbrodni i współcześnie żyjącego człowieka.

Akcentowanie i przedstawianie losów pojedynczych ludzi, opowieść o ich zmaganiach z rzeczywistością obozową może sprzyjać głębszej identyfikacji zwiedzających z ofiarami i sprawić, że niewyobrażalne przecież cierpienie przybierze widoczną twarz, imię i nazwisko. Historia dzięki temu przestaje być tylko suchym faktem i uzyskuje osobowy wymiar.

Dlatego trudnym do realizacji w praktyce ale nieodzownym zadaniem oddziaływania pedagogicznego jest postulat łączenia dwóch płaszczyzn **Holocaustu**, jego masowości i jednostkowej tragedii człowieka.

### Aktywne upamiętnianie

Kolejny ważny aspekt pracy pedagogicznej w miejscach i muzeach upamiętnienia zakłada przewycięzanie u zwiedzających biernej percepcji wydarzeń historycznych i kształtowanie aktywnego do nich podejścia.

Tradycyjnie stosowane od lat formy i metody edukacji muzealnej, takie jak oprowadzanie po wystawie historycznej, lekcje muzealne, odczyty czy projekcje filmów, wymagają rozwinięcia i alternatywnych propozycji.

Oprowadzanie po autentycznym, historycznym miejscu, co dla większości osób ma decydujące znaczenie, powinno łączyć przekaz czysto historyczny z elementami refleksji i rozmowy i stwarzać możliwość uzewnętrzniania myśli, odczuć i wątpliwości w trakcie lub po zwiedzeniu miejsca pamięci.

Docieranie do sfery emocjonalnej zwiedzających poprzez prezentowanie losów i życia pojedynczego więźnia jest ważnym założeniem poznawczego podejścia do istoty problemu, ale samo nie wyjaśnia zjawisk historycznych. Wymaga to bowiem racjonalnej analizy materiałów i dokumentów. Tak pogłębiona analiza realizowana może być w formie seminariów bądź warsztatów historycznych poświęconych społecznym, psychologicznym czy socjologicznym aspektom **Holocaustu**.

Założeniem takich projektów muzealnych jest nie tylko przyswajanie przez zwiedzających wiedzy historycznej, ale przede wszystkim jej analizowanie i opracowywanie, gdyż upamiętnienie to aktywny proces edukacyjny<sup>16</sup>.

Niezwykle ważnym celem działań edukacyjnych jest rozwinięcie u zwiedzających osobistego odniesienia do historycznych wydarzeń poprzez konfrontację współczesnego człowieka z pytaniem, co mnie to miejsce, ta historia, los tych ludzi dzisiaj obchodzi, dlaczego tu jestem i jakie znaczenie ma to wydarzenie dla mojego życia, mojej przyszłości?

Umożliwienie samodzielnego, kreatywnego szukania odpowiedzi na te podstawowe pytania sprzyjać może kształtowaniu krytycznego myślenia, większej autorefleksji oraz tworzeniu własnego, bardziej świadomego i wolnego od stereotypów obrazu historii gdyż, jak stwierdza T. W. Adorno, „prawdziwa siła skierowana przeciw zasadzie Auschwitz wyraża się w autonomii jednostki, w jej zdolności do refleksji i samookreślenia”<sup>17</sup>.

### Duch nowoczesności a Auschwitz

Nowe podejście do zjawiska **Auschwitz**, które należy uwzględnić w pracy muzealnej, wymaga umiejscowienia go w szerszej perspektywie cywilizacyjno–kulturowej. Choć niewątpliwie dyktatura nazistowska i ogrom zbrodni przez nią popełnionych łączy się ze specyficznym rozwojem społeczno–politycznej historii Niemiec, nie wydaje się jednak być tylko „niemieckim problemem”.

Zorganizowany i wykonany na skalę przemysłową masowy mord odsłania drugą, mniej wspaniałą stronę współczesnej cywilizacji związaną z modernistycznymi tendencjami w funkcjonowaniu nowoczesnych społeczeństw i państw, które wyrażają się w technizacji życia i urzeczowieniu relacji międzyludzkich.

Ten aspekt doświadczenia jakim był Auschwitz, wskazując wyraziście na istnienie związków między przeszłością a teraźniejszością, unaocznia niebezpieczeństwa oraz zagrożenia jakie tkwią w nowoczesnej cywilizacji technicznej opisuje m.in. Zygmunt Bauman w swoim wnikliwym studium „Nowoczesność i zagłada”. Postrzegając Holocaust odmiennie niż wielu innych badaczy, interpretuje go jako wyraz ducha nowoczesności i immanentną część kultury i cywilizacji europejskiej<sup>18</sup>.

Nowoczesna cywilizacja nie była jedynym, ale niezbędnym warunkiem **Holocaustu**. Autor analizuje jej cechy, które jego zdaniem, stworzyły i stwarzają podstawy do realizacji niewyobrażalnych, masowych zbrodni.

Zalicza do nich przede wszystkim zdolność do działania na odległość, neutralizację moralnych skrupułów w działaniu oraz tzw. „postawę ogrodnika”, czyli dążenie do sztucznego, racjonalnie zaplanowanego i opracowanego porządku społecznego i politycznego<sup>19</sup>.

Planowo i systematycznie realizowana utopijna wizja społeczeństwa jako „ogrodu przyszłości”, wolnego od wszelkiej inności i charakteryzującego się doskonałością, porządkiem i harmonią musiała nieuchronnie doprowadzić do zbrodni. „Za sprawą nowoczesnego zarządzania, naukowej technologii i inżynierii społecznej ludzie” – jak dowodzi Z. Bauman – „nie stali się okrutniejsi. Wymyślono tylko, w jaki sposób czyny okrutne mogą popełniać ludzie wyzbyci okrucieństwa. Zło – konkluduje autor – obywa się bez ludzi złych. Wystarczą racjonalnie myślący mężczyźni i kobiety, dobrze osadzeni w bezosobowym systemie nowoczesnej organizacji pracy”<sup>20</sup>.

Z. Bauman akcentuje rolę biurokracji i hierarchii służbowej w dokonaniu Holocaustu i podkreśla, że zło bywa nie tylko banalne ale i racjonalne<sup>21</sup>. Owa racjonalność doprowadziła do rozdziału między etyką a praktyką działania, które to czynniki okazały się kluczowe w realizacji **Holocaustu**.

Realizacja poszczególnych zadań w procesie podziału pracy tworzy zarówno praktyczny jak i psychiczny dystans między wykonawcami kolejnych etapów działania a jego ostatecznym efektem, zwalniając ich tym samym z odpowiedzialności za końcowy wynik działań, w których uczestniczą. Tak więc również biurokracja i administracja odegrały znaczącą rolę w przygotowaniu i dokonaniu **Holocaustu**. Jego wykonawcą stał się człowiek społeczeństwa masowego, zwolniony z odpowiedzialności moralnej za swoje czyny, gdyż był zaledwie trybikiem wielkiej państwowej maszyny<sup>22</sup>. Pedagogika

muzealna powinna uwzględniać w przekazywanych treściach to zagadnienie i czynić je przedmiotem racjonalnej i etycznej refleksji. Bowiem zasadniczym wyzwaniem dla współczesnego człowieka żyjącego w „świecie po **Auschwitz**” jest kształtowanie i rozwój indywidualnego poczucia odpowiedzialności za swoje działanie.

### **Nowa świadomość historyczna**

Rozważając problematykę pedagogiki pamięci należy również zwrócić uwagę na jeszcze jeden bardzo ważny element procesu edukacji muzealnej, którym jest zmieniający się stan świadomości historycznej społeczeństwa, a w szczególności młodego pokolenia. Konsekwencją tego musi być odmienny niż u starszych pokoleń sposób postrzegania wydarzeń sprzed ponad 50 lat. Te nieuniknione przecież przeobrażenia w myśleniu i w percepcji najnowszej historii powinny znaleźć odzwierciedlenie w proponowanych formach a szczególnie w treściach kształcenia muzealnego. Odwołując się do doświadczeń pracy z młodzieżą z ostatnich kilku lat można mówić o zróżnicowanym podejściu, stopniu zainteresowania oraz o podzielonych opiniach dotyczących znaczenia i społecznej ważności muzeów – miejsc upamiętniania dla indywidualnej i zbiorowej świadomości młodego pokolenia.

Na ogólniejsze zmiany zachodzące w świadomości kolejnych powojennych pokoleń nie tylko w Polsce, i niezależnie od rodzaju doświadczeń przeszłości czy uwarunkowań historyczno-psychologicznych wskazują m.in. badania socjologiczne przeprowadzone w Niemczech<sup>23</sup>.

Stwarza to szanse na nadanie tym specyficznym miejscom w jeszcze większym stopniu niż do tej pory bardziej uniwersalnego charakteru jako miejsca refleksji, spotkań i afirmacji wartości ogólnoludzkich, tolerancji dla odmienności kulturowej, etnicznej, religijnej i światopoglądowej.

Młodzież, mimo że zwiększa się jej emocjonalny i biograficzny dystans do lat ostatniej wojny światowej i wówczas popełnionych zbrodni, nadal akcentuje potrzebę istnienia tego typu muzeów, podkreślając przy tym ich dokumentującą i uświadamiającą funkcję, i różniąc się w ocenie form i treści omawianych zagadnień historycznych.

Niezbędne wydaje się przeprowadzenie badań socjologicznych, które dokładniej określa stan świadomości historycznej młodego pokolenia. Ich wyniki pozwolą na bardziej adekwatne przygotowanie i realizację programów edukacyjnych oraz większą indywidualizację przekazu historycznego, w zależności od wiedzy, potrzeb i oczekiwań zwiedzających.

### **Nauczanie dla przyszłości**

Złożoność problemów, które uosabia pojęcie i doświadczenie **Auschwitz**, stwarza w zakresie pedagogiki muzealnej cały zakres trudności i wyzwań natury koncepcyjnej i metodycznej.

W przekazie historycznym musimy bez wątpienia respektować indywidualny sposób percepcji i przeżywania przez zwiedzających miejsca pamięci wydarzeń z przeszłości, stwarzając im przy tym możliwość do samodzielnego rozumienia i interpretacji historii.



Wydaje się, że najwłaściwszą formą obcowania z historią w muzeach i miejscach pamięci są dłuższe pobyty w postaci dnia studyjnego, warsztatów historycznych czy seminariów edukacyjnych, które oprócz historycznych aspektów ukażą również psychologiczne czy kulturowe podłoże przemocy, a w konsekwencji masowej, nowoczesnej zbrodni.

Skomplikowane przyczyny i konsekwencje takich wydarzeń historycznych jak **Auschwitz** wymagają pogłębionej i wnikliwej refleksji, jeśli chcemy rozpoznać rzeczywiste mechanizmy, które do nich prowadzą.

Powodzenie projektów muzealno-pedagogicznych zależy jest od bardzo wielu czynników takich jak zainteresowanie, motywacja, przygotowanie zwiedzających czy wreszcie ciekawa ich realizacja w samym muzeum – miejscu pamięci. Tego typu programy musimy niewątpliwie rozumieć jako jedynie mały, ale ważny fragment szeroko pojmowanej historycznej i etycznej edukacji społecznej, za którą współodpowiedzialni są rodzice, szkoła czy środki masowego przekazu.

Niniejsze rozważania dotyczące jedynie niektórych aspektów pracy pedagogicznej w muzeach upamiętnienia rozumiane są jako przyczynek do zastanowienia się nad rolą, możliwościami i granicami pedagogiki pamięci. Niezbędna jest krytyczna dyskusja o jej perspektywach, koncepcjach i formach realizacji.

Prowadzone już od kilku lat programy edukacyjne, odbywające się seminaria i konferencje poświęcone pedagogice po **Auschwitz** świadczą niewątpliwie o początkach nowej jakości i orientacji w pracy pedagogicznej w polskich muzeach i miejscach upamiętnienia<sup>24</sup>.

Będzie to wymagało zasadniczych zmian w myśleniu oraz przebudowy świadomości historycznej nie tylko młodego pokolenia lecz również nauczycieli i pedagogów.

Żyjemy bowiem nadal w cieniu martyrologicznego spojrzenia na historię, która przez swój archaizm nie przystaje do otaczającej nas rzeczywistości i problemów współczesności.

Wszystko to skłania do opinii, że oprócz funkcji dokumentujących historię czy symbolizujących, muzea tego typu będą spełniały swe zadania jako miejsca aktywnej edukacji i nauczania dla przyszłości.

## Przypisy:

<sup>1</sup> Zob. m.in. A. Pawelczyńska, *Wartości a przemoc*, Warszawa 1995, H. Schreier, M. Heyl (Hrsg.), *Das Echo des Holocaust. Pädagogische Aspekte des Erinnens*, Hamburg 1992.

<sup>2</sup> T. W. Adorno, *Erziehung nach Auschwitz*, (w:) *Erziehung zur Mündigkeit*, Frankfurt am Main 1971, s. 88-104.

<sup>3</sup> *Ibidem*, str. 88.

<sup>4</sup> *Ibidem*.

<sup>5</sup> Zob. m.in. H.-F. Rathenow, N. H. Weber (Hrsg.), *Erziehung nach Auschwitz*, Pfaffenweiler 1990, H. Schreier, M. Heyl (Hrsg.), *Die Gegenwart der Shoah*, Hamburg 1994.

<sup>6</sup> Z. Bauman, *Holocaust: pięćdziesiąt lat później w: Holocaust z perspektywy półwiecza. Pięćdziesiąta rocznica powstania w getcie warszawskim. Materiały z konferencji zorganizowanej przez Żydowski Instytut historyczny w dniach 29-31 marca 1993*, s. 34.

<sup>7</sup> Por. T. Lutz, *Anmerkungen zur Pädagogik in Gedenkstätten für die Opfer des Nationalsozialismus*, w: S. Endlich, T. Lutz, *Gedenken und Lernen an historischen Orten. Ein Wegweiser zu Gedenkstätten für die Opfer des Nationalsozialismus in Berlin*, Berlin 1995, s. 16-19.

<sup>8</sup> A. Kępiński, *Zbrodnie ludobójstwa*, w: *Rytm życia*, Warszawa 1992, s. 103-106.

<sup>9</sup> W badaniach poświęconych wykonawcom Holocaustu na szczególną uwagę zasługują publikacje amerykańskich historyków, Christophera R. Browninga, *Ganz normale Männer. Das Reserve-Polizeibataillon 101 und die Endlösung in Polen*, Hamburg 1993 oraz Raula Hilberga, *Täter. Opfer. Zuschauer*, Frankfurt am Main 1992. Pierwsza z nich jest rodzajem studium historyczno-psychologicznego, w którym autor opierając się na relacjach samych sprawców analizuje postawy, motywacje i mechanizmy prowadzące zwyczajnych ludzi do udziału w zbrodniach. R. Hilberg rozważa natomiast problem odpowiedzialności za Holocaust ludzi, instytucji i organizacji w Niemczech i innych krajach, które umożliwiły przygotowanie i wykonanie masowych zbrodni. Zob. również, Recenzje i omówienia. „Zeszyty Majdanka” tom XV, s. 117-128.

<sup>10</sup> T. W. Adorno, *op. cit.*, s. 90.

<sup>11</sup> J. Tischner, *Z problematyki wychowania chrześcijańskiego*, (w:) *Świat ludzkiej nadziei*, Kraków 1994, s. 29-43.

<sup>12</sup> Ciekawą analizę bezdusznego, opartego na ślepych posłuszeństwie „świata Eichmanna”, przedstawia Günter Anders w książce „*Wir Eichmannsöhne*” München 1988, która ma formę listu otwartego, skierowanego do Klausea Eichmanna, syna zbrodniarza. Autor sugeruje, że takie postawy są możliwe zawsze i wszędzie i podkreśla niebezpieczeństwa jakie niesie za sobą dehumanizacja relacji międzyludzkich.

<sup>13</sup> R. Hilberg, *Die Vernichtung der europäischen Juden*, tom III, s. 1079-1080, Frankfurt am Main 1990.

<sup>14</sup> T. W. Adorno, *op. cit.*, s. 90.

<sup>15</sup> A. Kępiński, *op. cit.*, s. 105.

<sup>16</sup> Zob. m.in. A. Ehmann, W. Kaiser, T. Lutz, H.-F. Rathenow, C. vom Stein, N. H. Weber, *Praxis der Gedenkstättenpädagogik. Erfahrungen und Perspektiven*, Opladen 1995.

<sup>17</sup> T. W. Adorno, *op. cit.*, s. 93.

<sup>18</sup> Inny punkt widzenia na genezę i konsekwencje Holocaustu reprezentuje m.in. historyk D. Diner, interpretując go jako wyraz załamania się norm i wartości współczesnej cywilizacji. Zob. D. Diner, *Zivilisationsbruch. Denken nach Auschwitz*, Frankfurt am Main 1988.

<sup>19</sup> Z. Bauman, *op. cit.*, s. 33-48.

<sup>20</sup> Ibidem, s. 39.

<sup>21</sup> Zob. H. Arend, *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, Kraków 1987.

<sup>22</sup> B. Enkelkind, *Zagłada i pamięć*, Warszawa 1994, s. 215-216.

<sup>23</sup> Zob. m.in. C. Fischer, *Auswirkungen der Besuche von Gedenkstätten auf Schülerinnen und Schüler. Breitenau-Hadamar-Buchenwald. Hessische Landeszentrale für politische Bildung* 1992.

<sup>24</sup> Na ten temat m.in.: Międzynarodowa konferencja Pedagogika po Auschwitz. Nauczanie dla przyszłości - wymiana praktycznych doświadczeń z pracy oświatowej i pedagogicznej, 7.11.- 11.11.1993 Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, oraz Obcowanie z historią. Percepcja zbrodni nazistowskich w Polsce i Niemczech i ich znaczenie w procesie edukacji młodzieży, konferencja polsko-niemiecka zorganizowana przez Państwowe Muzeum na Majdanku oraz Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży z I. ublinie w dn. 2-3.10.1996. Zob. także *Zbrodnie nazizmu w świadomości i edukacji historycznej w Polsce i Niemczech*, pod red. T. Kranza, Lublin 1998, T. Kranz (Hrsg.), *Zur Bildungsarbeit der Gedenkstätte Majdanek*, Lublin 1997.

## **Wychowanie a pamięć**

Na pytanie co to jest kultura, można krótko odpowiedzieć, że jest to doskonalenie natury. Tak ogólne określenie uświadamia nam ogromne bogactwo działań i wytworów człowieka, które tworzą tę sferę. Możliwość opisywania i wyjaśniania zjawisk kultury jest wielka. Nikogo więc nie powinna dziwić różnorodność tematyczna wykładów, które zaprezentowano w czasie sesji poruszającej problem kultury w odniesieniu do pedagogiki i filozofii oraz praktyki jej realizowania.

Publikacja „Pamięć. Miejsce. Obecność. Współczesne refleksje nad kulturą i ich implikacje pedagogiczne”<sup>1</sup> stanowi zbiór odczytów wygłoszonych na owym spotkaniu. Są one zgrupowane w pięciu rozdziałach.

Rozdział pierwszy pt. „Pamięć – humanistyczne wykładanie świadomości czasu człowieka ponowoczesnego” zawiera wypowiedzi dotyczące tego, co minęło w kulturze, a powinno być przez nas akceptowane i wykorzystywane. W tej części książki postawiony został również problem jak ustosunkować się do tradycji. Czy otworzyć się na jej bogactwo, czy raczej odciąć się od niej w działalności twórczej, odwołując się jedynie do własnej kreatywności.

Kolejny rozdział pt.: „Miejsce – kulturowe i estetyczne przestrzenie samorealizacji człowieka”, porusza szereg problemów dotyczących kulturotwórczych działań osoby ludzkiej; związku człowieka ze światem i innymi ludźmi, który staje się możliwy również dzięki językowi.

Filozoficzne i pedagogiczne rozważania na temat kondycji współczesnego świata kultury i jego odbiorców zawarte są w trzecim rozdziale pt.: „Obecność – w poszukiwaniu nowych filozoficznych i pedagogicznych ujęć uczestnictwa w kulturze”.

W następnej wydzielonej grupie problemów zatytułowanej „Spotkanie z innym” możemy zapoznać się z losami Cyganów i faktami dotyczącymi przeszłości polsko – żydowskiej.

Ostatni rozdział zawiera prezentację Akademii Małych Ojczyzn<sup>2</sup>, jak też szereg artystycznych i wydawniczych przedsięwzięć środowiska lubelskiego.

Wielka ogólność, z jaką przedstawiłem zawartość publikacji wynika z wielkości ujęć i opracowań jej tematu, jak i bogactwa samego zjawiska kultury. Jakikolwiek uogólniające potraktowanie treści tejże pozycji wydawniczej wydaje się być niemożliwe, redukowaloby bowiem różnorodność myśli uczestników sesji. Każdy z odczytów jest autonomiczny, celem zaś tej recenzji nie jest streszczenie wszystkich wypowiedzi.

Dlatego zwrócę uwagę jedynie na niektóre elementy współczesnego rozumienia człowieka i kultury. Podjęte przeze mnie zadanie zostanie oparte na wybranych wykładach, zainteresowanych zaś całością odsyłam do lektury wszystkich tekstów.

### **Człowiek a tradycja**

W artykule Tadeusza Szkoluta pt.: „Pamięć kultury a tożsamość człowieka ponowoczesnego”<sup>3</sup> spotykamy się z zarysem zmiany rozumienia kultury, a zwłaszcza tradycji XX wieku. Autor naświetla proces transformacji świadomego życia człowieka z fazy modernizmu ku postmodernizmowi. Jest to widoczne szczególnie w odniesieniu do tradycji, którą wcześniej utożsamiano z całą kulturą, a współcześnie traktuje się jako zbiór przesądów kulturowych niegodnych zachowania w pamięci.

Czy jest to jednak stanowisko, które można konsekwentnie utrzymywać? Jak wiemy współczesne życie kulturalne przenika idea twórczości, nowych pomysłów i nieustannych zmian. Są to cechy charakterystyczne dla aktualnego życia artystycznego. Jednakże już te założenia powodują w kulturze impas. Wynika on faktu, że to, o czym chce się współcześnie zapomnieć, czyli tradycja, nie usuwa się ze świadomości, występuje tym razem w szacie ... tradycji zmian.

Autor w dalszej części pracy analizuje przyczyny tak niechętnego stosunku współczesnych do tradycji. Píše również o skutkach takiej sytuacji, która prowadzi człowieka do utraty oparcia w świecie, a tym samym do stanu permanentnej niepewności. Czy istnieje jakieś wyjście z tego położenia? W czasach wielkości zasad i autorytetów wynikających z różnych kultur, ludzie współcześni stoją przed zadaniem osobistego, świadczenia wyboru własnych poglądów zbudowanych już nie tylko na tradycjach środowiskowych, ale będących tymi, za które ponosi się pełną odpowiedzialność.

### **Język a świat**

Z ciekawymi rozważaniami lingwistycznymi spotykamy się przy lekturze tekstu Ewy Rewers pt. „Środowisko rozmowy”. Artykuł rozpoczyna się przedstawieniem wypowiedzi Jacquesa Derridy o platońskim pojęciu „chora”, oznaczającym przestrzeń wieczną i niezmienną, ale mającym wciąż konkretne znaczenie miejsca narodzin, zamieszkania. Dwa znaczenia słowa „chora” przywołują dualistyczny system platoński, w którym tych obu rzeczywistości nie można do siebie sprowadzić. Takim wnioskiem kończy się część wstępna pracy Ewy Rewers.

Zerwanie związku między rzeczywistością przestrzenną a językiem, między światem idei a światem materii otworzyła pole dla rozwoju filozofii Logosu, którego przedstawicielem był Platon, a jest Derrida. Pojawia się jednak pytanie o sens uprawiania takiej filozofii, która przez oderwanie się od empirii przestała być narzędziem poznania i rozumienia rzeczywistości, a stała się aprioryczną operacją na pojęciach bądź zbiorem syntaktycznych analiz języka. Czy filozofia operująca pojęciami, które swego upromocnienia nie mają w świecie realnym (materialnym) nie staje się podobna do tak dziś popularnych gier rzeczywistości wirtualnej?

Kolejne strony artykułu zawierają przedstawienie różnych sposobów podejścia do języka, a poprzez język do rzeczywistości. Pojawiają się modele: więzienia języka, gma-

chu rozmowy, domu rozmowy i przystanku rozmowy. Cały artykuł jest pisany na bazie filozofii świadomości, będącej konsekwencją oddzielenia pojęć i języka od świata zmysłowego.

### **Zmienność i stałość**

Wiele refleksji nasuwa również lektura eseju Zygmunta Baumana pt.: „O turystach i włóczęgach, czyli bohaterach i ofiarach ponowoczesności”<sup>5</sup> Autor, jeden z przedstawicieli postmodernizmu, poprzez swój tekst umożliwia nam wydobycie niektórych, charakterystycznych cech tego modnego dziś w kulturze zjawiska. Poznajemy je w kontekście postawy „turysty” i „włóczęgi” – bohaterów jego artykułu.

W metaforycznej formie zostaje przedstawiony obraz świata, który nie podlega stałym regułom i prawom, gdyż zmieniają się one tak szybko, że nie można oprzeć się na nich całościowo. W takiej rzeczywistości życie nie może mieć swego ostatecznego celu, a nawet, jeśli jakiś się pojawi to na krótko, zaraz zastępowany przez inny. Człowiek powinien dostosować się do takich realiów i traktować życie jako serię nagłych potrzeb, nie związywać się trwale z ideami, postawami, osobami, miejscami, nie być wiernym dogonnie. Tożsamość postmodernistycznego człowieka musi być gietka i łatwa do zmiany niczym koszulka. Dlatego staje się on „turystą”, odwiedzającym różne miejsca z ciekawości i zatrzymującym się w nich wtedy gdy pociągają swoją nowością. Dla turysty ważne jest wędrowanie, nie interesuje go już to, gdzie dojdzie

W innej sytuacji jest „włóczęga”. On musi podróżować, bo nie ma swego miejsca, a przebywa w jakimś do czasu, gdy mieszkańcy nie wyrzucą go stamtąd. Te dwie postacie przemieszczają się: jeden, dlatego że chce, drugi, dlatego że musi. Czy jednak owe dwie sylwetki, które swoimi postawami odzwierciedlają baumanowski obraz świata są jedynymi? Czy rzeczywistość nie jest bogatsza? Czy ona nie jest po prostu inna?

Wiadomym jest przecież fakt zmian zachodzących w świecie, ale mimo to potrafimy odróżnić przedmioty, osoby nawet takie, których nie widzieliśmy długo. Pamiętamy swoje poglądy i planujemy przyszłość. Dostrzegamy coś stałego w rzeczy, która się zmienia, bo poznajemy ją i przyznajemy się do niej. Rozumiemy się wzajemnie, prowadzimy dialog. Czy gdyby wszystko się zmieniało moglibyśmy znaleźć jakąś wspólną płaszczyznę odniesienia w dyskusjach? Czy w sytuacji takiej totalnej zmienności moglibyśmy tworzyć kulturę, nie stając się jedynie biernymi odbiorcami wrażeń?

Taka nieustanna zmienność nie wychodzi na dobre człowiekowi, który jest całością i czuje się odrębny od tego, co wokół niego. Czuje różnicę między tym, gdzie jest on, a gdzie go nie ma. Dlatego nie może, nawet gdyby chciał, stać się czystą zmiennością i roztopić się w zmieniającej się rzeczywistości. Inaczej uderza w samego siebie.

Niech więc zachowanie nasze będzie adekwatne do tego, kim jesteśmy i jakim jest świat. A jeśli dojdziemy do wniosku, że nie jest on czystą zmiennością, to warto odszukać w nim to, co stałe i uwzględnić w poglądach na życie po to, by nie stać się zwykłym fałszerzem, który może być ukryty nawet pod barwną postacią turysty.

Przedstawione artykuły miały naświetlić czytelnikowi pewne kwestie, związane ze współczesną kondycją człowieka i kultury. Jak tworzyć kulturę dziś, by nie zatracić

tego, co było wczoraj? Czy warto nawiązywać do tradycji? Czym grozi oderwanie twórczości i myślenia od materialnego, powszedniego i ułomnego świata?

Jak rozważyć człowieka, by nie zredukować go jedynie do podmiotu doznającego wrażeń, idącego za swoimi zachciankami, a z drugiej strony, by zagwarantować mu wolność?

Pewne odpowiedzi na te pytania, jak również na wiele innych związanych z kulturą i człowiekiem, Czytelnik odnajdzie na stronach prezentowanej publikacji.

### **Przypisy:**

<sup>1</sup> *Pamięć. Miejsce. Obecność. Współczesne refleksje nad kulturą i ich implikacje pedagogiczne*, pod red. J. P. Hudzika i J. Mizińskiej, Lublin 1997.

<sup>2</sup> Akademia Małych Ojczyzn jest to fundacja, której zadaniem jest wspieranie działań kulturowych „na prowincji”. Jest to również stowarzyszenie osób, które tworzą różne przedsięwzięcia regionalne funkcjonujące w obrębie miasteczka, wioski, np. prowadzenie domów kultury, koncertów...

<sup>3</sup> *Pamięć. Miejsce. Obecność.*, s.39-49.

<sup>4</sup> Tamże, s. 105-112.

<sup>5</sup> Tamże, s.127-136.

## „Wystarczy wyjść na te place puste i o tym pomyśleć...”

– zapis spotkania redakcji „Scriptores Scholarum”

z **Tomaszem Pietrasiewiczem**

dyrektorem Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

**Tomasz Pietrasiewicz** – twórca i dyrektor Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”; fizyk; reżyser teatralny i aktor, związany od ponad dwudziestu lat z lubelskim ruchem teatrów nierepertuarowych; laureat licznych nagród krajowych i zagranicznych.

---

*Skąd wziął się pomysł programu „Pamięć – Miejsce – Obecność”?*

**Tomasz Pietrasiewicz:** Powstał on w sposób bardzo prozaiczny. Przeczytaliśmy w gazecie, że Fundacja Kultury ogłosiła konkurs zatytułowany: „Małe ojczyzny, tradycja dla przyszłości”. W trakcie pisania projektu porządkującego nasze dotychczasowe działania i wskazującego, co możemy jeszcze zrobić, okazało się, że właśnie te trzy słowa są dla nas bardzo ważne i jednocześnie charakterystyczne dla tego, co tutaj robimy. „Miejsce” – dlatego, że znaleźliśmy się w bardzo szczególnym miejscu. Brama Grodzka to miejsce będące kiedyś zarówno częścią świata chrześcijańskiego jak i żydowskiego. Miejsce spotkania tych dwóch światów. „Pamięć” – bo okazało się, że mało kto pamięta, czym była Brama Grodzka, czym to miejsce było kiedyś dla Lublina. „Obecność” – dlatego, że to wszystko, w jakiś ważny sposób dotknęło nas, ludzi, którzy w tej Bramie się znaleźli, zmusiło nas do określenia się wobec tej sytuacji, wobec tego miejsca i pamięci o nim. Naturalną konsekwencją takiego myślenia o miejscu i pamięci stał się projekt „Wielka

Księga Miasta”, którego istotną częścią jest historia mówiona. W pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że należy ocalić to, co ludzie jeszcze pamiętają o tym mieście. Nie chodzi tutaj o historię podręcznikową, tylko o odnalezienie, odczytanie historii na poziomie ludzkiego jednostkowego życia.

*Do czego jest ta pamięć potrzebna?*

**Tomasz Pietrasiewicz:** Czy nie można nie przejąć się świadomością tego, że Brama, w której spędzam kawałek swojego życia stoi na straży nieistniejącego Miasta – Żydowskiej Atlantydy? Powstają zupełnie naturalne pytania, czy z tego oceanu zapomnienia można jeszcze coś ocalić i uchwycić jakieś indywidualne losy ludzi żyjących w tym mieście? Czy obraz i klimat Miasta Żydowskiego z jego domami i ulicami ma na zawsze zniknąć z naszej pamięci? Kto dziś pamięta nazwy ulic: Szeroka, Krawiecka, Jateczna? Kto pamięta lubelskie synagogi? Tak jak po każdym potopie zostały jakieś rzeczy. Kilkadziesiąt zdjęć. Trochę książek zapisanych w dziwnym języku. A ci, co ocalili rozproszyli się po świecie. Czy nie jest to dla nas wystarczającym wyzwaniem i powodem, by traktować pamięć jako fragment naszego programu?

***Do którego świata należała Brama Grodzka – do żydowskiego czy chrześcijańskiego?***

**Tomasz Pietrasiewicz:** Myślę, że ani do chrześcijańskiego, ani do żydowskiego. Ta Brama była miejscem przecięcia, czy też styku tych właśnie dwóch światów. Trudno jest ją przypisać jednemu z nich, gdyż ze swej natury Brama jest miejscem granicznym, a w tym konkretnym przypadku, oddzielającym górne miasto chrześcijańskie od dolnego żydowskiego. Właśnie symbolika bramy jako miejsca spotkania jest bardzo wyraźna w programie Ośrodka.

***W jaki sposób te wszystkie projekty dotrą do zwykłych ludzi, mieszkańców Lublina?***

**Tomasz Pietrasiewicz:** Po prostu zapraszam do odwiedzenia siedziby Ośrodka. O każdym realizowanym przez nas przedsięwzięciu informujemy lokalne media. Jeżeli ktoś autentycznie interesuje się tym, co ciekawego dzieje się w kulturze, to prędzej czy później spotka się z tym, co robimy w Bramie Grodzkiej. Trzeba też pamiętać o tym, że nie ma już jednej wielkiej widowni odbiorców, do której adresuje się swój program. Jest wiele widowni i trzeba odnaleźć tę swoją.

Chcąc zwrócić uwagę na projekt „Wielka Księga Miasta” i przyciągnąć do Ośrodka ludzi, próbujemy nadać konkretnym realizacjom w ramach tego projektu interesującą i atrakcyjną dla odbiorcy formę plastyczną, zbliżoną do scenografii teatralnej.

Dlatego też przygotowując do publicznej prezentacji makietę staromiejskiego zespołu urbanistycznego (zawierającego nieistniejącą już dzielnicę żydowską) chciałbym, żeby wokół niej powstał rodzaj teatru. Praca nad tą ankietą to fascynująca przygoda. Udało nam się dotrzeć w lubelskim archiwum do materiałów, których nikt wcześniej nie wykorzystał, i które pozwalają na rekonstrukcję w skali 1:250 tego nieistniejącego już miasta żydowskiego.

***Będzie to Lublin z jakiego okresu?***

**Tomasz Pietrasiewicz:** Do roku 1939. Moment wybuchu II wojny światowej, czy też bombardowanie Lublina będzie tu cezurą. W czasie tego bombardowania (9.09.1939) zginął Józef Cze-

chowicz, największy poeta tego miasta. W związku z tym wymyśliłmy taką metaforę: ginie poeta, który stworzył najwybitniejszy, najpiękniejszy poetycki obraz tego miasta, i w jakiś sposób odchodząc zabiera to miasto ze sobą. Spełniają się jego katastroficzne przeczucia. Dlatego zdecydowaliśmy, żeby to był rok śmierci Czechowicza, jak również początek końca przedwojennego miasta. Lublin przed wojną był zupełnie innym miastem. Przede wszystkim było to miasto, w którym żyli obok siebie Polacy i Żydzi. A to, co najciekawsze w kulturze rodzi się zawsze właśnie „na styku”, kiedy powstają jakieś napięcia, kiedy ludzie mogą obejrzeć siebie w cudzych oczach, a codzienne życie zmusza ich do jakże trudnej akceptacji innego. Tego nie ma dziś w Lublinie, już nie ma i nigdy nie będzie. Do tego możemy się odwoływać jako do duchowego dziedzictwa tego miejsca.

***Czy Ośrodek sam wsparciu o swoje siły jest w stanie realizować ten projekt?***

**Tomasz Pietrasiewicz:** Chcąc realizować tak szeroko zakrojony i skomplikowany program i nadać mu duży wymiar społeczny należy połączyć potencjał kilku instytucji, a w szczególności samorządowej jednostki kultury, jaką jest Ośrodek oraz Uniwersytetu, szkół średnich, lokalnych mediów (Radio, TV, gazety). Taką naturalną płaszczyzną współpracy jest właśnie program „Wielka Księga Miasta”. W ramach normalnego toku studiów realizowane są przez studentów indywidualne zadania mieszczące się w obszarze tematów określonych przez program. Efekt tej pracy polegającej między innymi na poszukiwaniu i opisywaniu starych fotografii, wywiady z ludźmi pamiętajacymi przedwojenny Lublin, tworzyć będzie podstawę dla dalszych działań. Z drugiej strony realizacja indywidualnych zadań w ramach tego programu pozwala studentom na poznanie instytucji samorządowej niejako od środka, w bezpośrednim działaniu. Ważnym aspektem programu obok dokumentowania przeszłości jest również to, że w trakcie przeprowadzonych wywiadów następuje naturalny kontakt między



starszym i młodszym pokoleniem mieszkańców miasta.

*Czy Pan dyrektor nie obawia się, że w związku z tym ośrodek i teatr przestanie być instytucją artystyczną, a stanie się po prostu placówką naukową czy rodzajem archiwum?*

Tomasz Pietrasiewicz: Traktuję wszystkie materiały (zdjęcia, dokumenty, nagrane na taśmach video i magnetofonowych wspomnienia) jako punkt wyjścia do podejmowania różnych projektów artystycznych, takich jak wystawy, przedstawienia teatralne, działania para teatralne. Moim marzeniem jest zrobienie przedstawienia w oparciu o dokument, o coś, co rzeczywiście wydarzyło się w życiu. I oto trafiłem na taką historię, którą chciałbym się kiedyś zająć w teatrze. To była wielka miłość Żydówki i Polaka, tuż przed wojną, tutaj w Lublinie. Co ciekawe ta historii została opowiedziana w Ameryce polskiemu reżyserowi, który robił film o synagodze w Nowym Yorku. W czasie okupacji dziewczyna zginęła w obozie koncentracyjnym, a on ogarnięty rozpaczą nie chciał uwierzyć w jej śmierć – stworzył sobie fikcyjny, wymagowany świat. Wszystko robił tak, jakby ta dziewczyna dalej żyła – ukrywał ją. A ona przecież już dawno zginęła na Majdanku... To jest niesamowite, jeżeli od czasu do czasu udaje się z tej otchłani zapomnienia wyciągać jakiś kawałek czyjegoś losu. Tu trzeba sobie wyobrazić, że w tym mieście żyło kilkanaście tysięcy ludzi i nagle – tego nie ma. Wystarczy wyjść na te puste place i o tym pomyśleć... Przychodząc do tego miejsca musimy odpowiedzieć sobie na jedno ważne pytanie: czy chcemy się z tym problemem w jakiś sposób zmierzyć, czy też udać, że go nie ma? To jest pytanie o rolę pamięci. W tym miejscu chyba najlepiej widać jak szybko zapominamy o przeszłości. Gdy pytamy lublinian o to jak wyglądały okolice Zamku Lubelskiego przed wojną, to większość mieszkańców odpowiada, że od setek lat to otoczenie było takie samo jak dzisiaj. A tu przecież było żydowskie miasto i w sposób naturalny powstała po zniszczeniu tego miasta wyrwa i pustka. To jest

prawdziwy dramat Lublina. Wracając jeszcze do pytania pozwolę sobie przypomnieć, co powiedziałem przy okazji innej rozmowy: „Myślę, że nasza działalność jest dowodem na to, że artyści potrafią i mogą tworzyć również program o charakterze społecznym i edukacyjnym, wykraczającym poza sztukę, ale też wspierający się sztuką. Być może taka jest właśnie przyszłość tego typu małych grup artystycznych – nie kontestowanie, odrzucanie i prowokowanie świata, w którym żyjemy, lecz osvajanie i zmienianie go w swoim małym wymiarze, w bezpośrednim zasięgu ręki, przy jednoczesnym zachowaniu sztuki jako duchowego środka, źródła, do którego powraca się po siłę i wiarę w sens tego, co się robi (...)”.

*Ten projekt może być ciekawy dla mieszkańców Lublina, ale czy ma on ma jakieś szersze implikacje po stronie żydowskiej?*

Tomasz Pietrasiewicz: Ten projekt jest spóźniony o jakieś 15 lat, jeżeli chodzi o zbieranie relacji mówionych związanych z miastem żydowskim. Żydów, którzy przeżyli okupację jest bardzo mało i wiele lat minęło od tego okresu. Biologia zrobiła swoje. To, że nie pamiętamy o mieście żydowskim w Lublinie jest naszym problemem, zmartwieniem ludzi, którzy tu mieszkają. Dzisiaj to nie jest problem Żydów, to jest problem naszego stosunku do przeszłości miasta, do pamięci.

*Czy problemy te mogą więc interesować kogokolwiek poza mieszkańcami Lublina?*

Tomasz Pietrasiewicz: To, co stało się w Lublinie z miastem żydowskim i jego mieszkańcami jest tragiczną częścią europejskiego doświadczenia, związanego z niszczeniem i zabijaniem, związanego ze złem i nietolerancją. Ale do historii tego miejsca należy również codzienna, często trudna i bolesna egzystencja obok siebie ludzi z dwóch różnych światów: żydowskiego i chrześcijańskiego. Czyli było to możliwe. Jeszcze do niedawna wydawało się, że pod koniec XX wieku jest niemożliwe, żeby w Europie doszło do kolejnej wojny i do zabijania ludzi w imię czystości rasowej. A tak się przecież stało w dawnej Jugosławii. Dlatego ciągle

powinniśmy mieć w pamięci to, co się wydarzyło w Lublinie podczas II wojny świato-

wej. Musimy być uważni, by nigdy się to nie powtórzyło. A jedyną naszą bronią jest pamięć...

Opracowanie:  
Jarosław Bojanowski



rys. M. Skwarczyński

*(...) pamiętanie zamienia się w zapomnienie,  
gdyż osoba sama zmienia się (...).*

# Publicystyka pamięci

– zapis lekcji z **Konstantym Gebertem**  
w PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie,  
czyli **Dawid Warszawski** mówi o dziennikarstwie i przeszłości

---

**Konstanty Gebert:** Jestem trochę speszony, bo czuję się jak ryba na lekcji ichtiologii, która jest wprawdzie rybą, ale się na rybach nie zna... Tak też i ja się na etymologii i teorii publicystyki nie znam. Sluchając Panów rozmowy (wstępu do lekcji na temat: „Co to jest publicystyka?” – przyp. red.) zauważyłem, że są to negatywne przykłady tego, jaką publicystyka być nie powinna. Stało się tak dlatego, gdyż odwołaliśmy się Panowie do czasów komunizmu. Tak jakby był to jakiś zamknięty rezerwat historyczny, tego co niedobre, nie dostrzegając przykładów z tego dziennikarstwa, z tej publicystyki, które znajdują się pod nosem, dzisiaj, teraz. Myślę, że niebezpieczne jest myślenie, że co złego to – komunizm, z tego wynika, że co złego to nie my, a jak co złego to nie my, to już jest niedobrze.

Na początku chciałbym zrobić dwie uwagi do tego, o czym Panowie mówili. Padło jedno takie stwierdzenie, że publicysta musi być niezależny, ja się zgadzam, natomiast to nie jest takie bardzo proste. Bo my jesteśmy skłonni, utożsamiać wolność dziennikarza z jego niezależnością. A tak wcale być nie musi. Ja miałem tę przyjemność, że jeszcze za komunizmu, pracowałem w wolnej prasie, prasie podziemnej. Wszelako kiedy się komunizm skończył, podziemna wolna, prasa, o której myśleliśmy, że jest niezależna, wypelzła na powierzchnię i sta-

ła się prasą normalną. Okazało się wtedy, że nie jest ona wcale taka niezależna. Do głowy by nam nie przyszło, żeby patrzeć w 1989 roku naszemu rządowi na ręce, w taki sposób jaki patrzyliśmy rządowi komunistycznemu. O naszym rządzie pisało się życzliwie, z sympatią. To był nasz rząd! Kiedy dowiadaliśmy się o pierwszych aferach i skandalach, to nie pisaliśmy tak jak o aferach i skandalach rządu komunistycznego. Kościół nikt nie śmiał tknąć nawet na odległość! Byliśmy więc uzależnieni od pewnego systemu wartości, i nasze dziennikarstwo nie było niezależne. Dziennikarstwo podziemne też nie było dziennikarstwem niezależnym, choć było wolne. Co prawda nie kłamaliśmy, nie pisaliśmy niczego pod dyktando, ale to było dziennikarstwo służące czemuś, to był oręż w walce politycznej. Dziennikarstwo z przekonania antykomunistyczne i służące temu by „czerwonemu” dolożyć, okazało się bardzo skuteczne. Bardzo fajnie, polskie życie polityczne wyrasta z tego podziemnego dziennikarstwa, tyle tylko, że to nie jest dziennikarstwo, to jest propaganda. Myśmy uprawiali propagandę uczciwą, bośmy nie kłamali, wszelako naszym celem nie było wszechstronne naświetlenie faktów, tylko utrzymanie naszego czytelnika w przekonaniu, że komuna jest „be”, a my przeciwnie. Uczciwa, wolna, ale propaganda. I trzeba było ładnych parę lat, by wolna polska

prasa, już „naziemna” mogła się z tego otrząsnąć, i zacząć patrzeć „naszym” na ręce, tak jak się wcześniej patrzyło tamtym. I to dla nas duże odkrycie, to nie jest w porządku, że jak minister to jest kumpel z podziemia, to się go traktuje z taryfą ulgową. To jest jedno rozróżnienie, które bym zrobił, że prasa wolna nie musi być prasą niezależną.

Drugie rozróżnienie, które należy zrobić dotyczy się dziennikarstwa obiektywnego. Dziennikarz oczywiście powinien być obiektywny, innymi słowami, powinien przedstawiać rzeczywistość, tak jak ją widzi, nie podporządkowując swojego opisu z góry założonym tezom, a zwłaszcza, jeżeli opisuje konflikt, powinien przedstawiać racje stron. Samemu stanowiska nie zajmując. Jeżeli piszemy o konflikcie, w którym np. jedna ze stron z upodobaniem poluje na dzieci drugiej ze stron, a tak było w Sarajewie, gdzie snajperzy Karadzića z upodobaniem polowali na dzieciaki na ulicach Sarajewa, to naprawdę trudno pisać bez emocji i obiektywnie. Na czym polega mój dziennikarski obowiązek neutralności? Czy na tym, że powinienem obiektywnie przedstawić racje dziecka? Bo ono jakieś racje na pewno miało, chciało żyć. Ale i obiektywnie jakieś racje miał snajper. I co, samemu nie zajmować stanowiska? Pomyślcie jakbyście odbierali taki tekst dziennikarski publicyście, który zachowuje neutralność między snajperem a jego ofiarą. Dla mnie takie dziennikarstwo byłoby z gruntu niewiarygodne, nie zasługujące na zaufanie. Wniosek: istnieje różnica między dziennikarskim obiektywizmem a dziennikarską neutralnością. Nie możemy dać się omamić takiemu poczuciu, że dziennikarz stoi poza konfliktem, który opisuje. Im bardziej dramatyczny konflikt, tym bardziej bezpośrednio nas się dotyczy. I tym bardziej jesteśmy w nim stroną, przede wszystkim dlatego, że ja chcę wiedzieć w jakim świecie będą żyły moje dzieci. Nie jest mi wszystko jedno, czy będzie to świat, w którym będą przeważały racje snajpera, czy racje ofiary tego snajpera. W tym sensie to, co pisałem z Bośni niewątpliwie było stronnictwo, ale w tym wypadku zarzut stronnictwa przyjmuję

z dumą. Tak samo nic mi nie wstyd, że byłem propagandzistą antykomunistycznym. Ważne jest to, czy będąc stronnictwem, starałem się pisać obiektywnie. Nie jest proste wyznaczenie prostej i jasnej drogi, po której ma stąpać dziennikarz, publicysta, tak żeby nie narazić się etyce zawodu, i wiernie służyć swoim czytelnikom.

**Krzysztof Kwiatkowski:** *A czy dziś jest Pan związany z jakąś partią polityczną?*

**Konstanty Gebert:** Uchowaj Boże! Mam swoje sympatie polityczne, ale nie jestem członkiem żadnej partii. Byłem za to członkiem dwóch organizacji w swoim życiu – ZMS-u dokładnie przez 7 miesięcy. (Zostałem wylany za syjonistyczne pochodzenie). Drugą organizacją był taki związek zawodowy o długiej dziwnej nazwie Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki Techniki i Oświaty, który założyliśmy 6 września 1980 roku w Warszawie pod wpływem „wiatru od morza”. Związek przystąpił do „Solidarności” w półtora miesiąca później, a ja się nie zapisałem bo twierdziłem, że w jednym dużym związku my się demokracji nie nauczymy. To był błąd, oczywiście nie miałem racji...

**K.K.:** *Co Pan sądzi o konflikcie dotyczącym Oświęcimia? Chodzi mi o sprawę klasztoru.*

**Konstanty Gebert:** Sprawę tego nieszczęsnego konfliktu śledzę od momentu, w którym się zaczął, byłem tam wielokrotnie. Oświęcim jest największym cmentarzem żydowskim. Według religii żydowskiej na terenie cmentarza nie może znajdować się żaden ośrodek kultu, a zwłaszcza nie może znajdować się pomieszczenie, gdzie na stałe przebywają ludzie. To się wiąże z koniecznością oddzielenia śmierci od życia.

**Tymoteusz Dębski:** *Czy opłacałnym zajęciem jest publicystyka?*

**Konstanty Gebert:** Osób, które żyją z pióra jest niewiele. Jeżeli publicysta nie łączy tego zajęcia z jakimś innym, z reguły nie może się z tego utrzymać. Wyjątek może tutaj stanowić telewizja.

**Sławomir J. Żurek:** *Jest Pan redaktorem gazety żydowskiej „Midrasz”. W książce „Ostatni Żydzi*

*polscy” czytaliśmy Pana wypowiedzi, że właściwie społeczność żydowska dzisiaj już w Polsce nie istnieje. W takim razie dlaczego powstał „Midrasz”, w kraju, gdzie nie ma hipotetycznego odbiorcy dla tego czasopisma?*

**Konstanty Gebert:** Tak to jest dowód na to, że nie należy udzielać wywiadów. Kiedy udzielałem tego wywiadu Małgorzacie Niezabitowskiej (to był początek lat 80-tych), byłem święcie przekonany, że my jesteśmy ostatni, na nas się kończy, żadnej żydowskiej przyszłości w Polsce nie będzie. W miarę tego jak burzył się komunizm, a zwłaszcza po 89 roku coraz więcej Polaków pochodzenia żydowskiego zaczęło powracać do swoich żydowskich korzeni, a przynajmniej je badać, przyglądać się. Dzisiaj mamy taką sytuację: co prawda organizacje żydowskie w Polsce wszystkie razem mają ok. 5 tys. członków, ale ogromna część Żydów których znam nie należy do żadnych organizacji. Szacujemy, że osób pochodzenia żydowskiego w Polsce jest 25 tys. Powstały instytucje żydowskie w Warszawie: żydowskie przedszkole, szkoła podstawowa. Niewątpliwie nie miałem racji mówiąc: „Na nas się kończy”. Powstanie „Midrasza” jest kolejnym krokiem na drodze odbudowy normalnego funkcjonowania żydowskiej społeczności w Polsce.

*S.J.Ż.: Czy mógłby Pan opowiedzieć troszeczkę o tym czasopiśmie?*

**Konstanty Gebert:** Mamy bardzo kiepską dystrybucję, a to się wiąże z tym, że jest nas mało i mamy mało funduszy. Teoretycznie rozprawdza nas „Ruch”, jesteśmy także w księgarniach i prenumeracie. Mamy 2, 5 tys. nakładu. Pismo jest miesięcznikiem, wystartowało w kwietniu 1997 roku, a zespół się zawiązał w styczniu. Pismo jest pismem żydowskim, acz niekoniecznie pismem tylko dla Żydów, jest dla wszystkich. Pismo będzie takim neutralnym terenem, na którym się mogą czytelnicy spotkać.

*S. J. Ż.: Ale badania nad przedwojenną prasą żydowską, wskazują na to, że gros czytelników tej prasy stanowili antysemici. Jak to wygląda dzisiaj?*

**Konstanty Gebert:** Nie prowadzę takich statystyk, ale to co Pan mówi troszeczkę mnie dziwi. W Polsce było około 3,5 miliona polskich Żydów, jeżeli Pan mówi, że gros tej prasy...

*S. J. Ż.: Po prostu okazało się, że wielu prenumeratorów czasopism żydowskich werbowano się ze środowiska endecckiego.*

**Konstanty Gebert:** To na pewno – „Znaj swojego wroga”, tak – „Wiedz co te parchy knują”, natomiast mimo wszystko zakładam, że czytelnicy tej prasy żydowskiej to byli Żydzi albo ludzie zainteresowani. Ja sobie wyobrażam, że ludzie mnie czytają tym bardziej, że były na mnie już ataki w „Naszej Polsce”, gdzie zostałem zdemaskowany jako Żyd, co jest dużym dziennikarskim osiągnięciem. Natomiast ja też kupowałem antysemickie wydawnictwa, okazało się, że tam się cały czas powieliło to samo i nic nowego tam nie ma.

*S. J. Ż.: Jakie działy są w „Midraszu”? Jakich informacji chcecie Państwo dostarczać swojemu czytelnikowi?*

**Konstanty Gebert:** Każdy numer zaczyna się od tematu bieżącego, potem następuje dział wydarzenia, w których piszemy o wydarzeniach dotyczących społeczności żydowskiej, mieszczą się tam również komentarze do cotygodniowych czytań z Tory. Komentarze piszą ludzie różni, wierzący, a także niewierzący. Potem następuje dział nazwany biblioteką, potem dział opinii, czyli publicystyka i na zakończenie dział literacki.

*Piotr Chęć: Jak wyglądało życie codzienne na Bałkanach podczas konfliktu zbrojnego? Obraz ten znamy właściwie tylko z prasy, telewizji. Jest Pan chyba pierwszym znanym nam osobście człowiekiem – naocznym świadkiem tamtych wydarzeń.*

**Konstanty Gebert:** To życie wyglądało różnie, to zależy o jakim miejscu mówimy... Chorwacja staje na nogi, Chorwacja, której 1/3 terytorium była okupowana przez Serbów, po odzyskaniu niepodległości. Teraz odzyskuje teren na drodze pokojowej, żyje z turystyki. Jeśli chodzi o sprawy polityczne, jest tam system demokra-

tyczny, natomiast rządzi nacjonalistyczna monopartia na czele której stoi gen. Tuđman. Serbowie i Muzułmanie są dyskryminowani, ale kraj się z tego wykaraskał. Serbia, która jest zagrożona sankcjami i jest ostatnim krajem komunistycznym (rządzi tam nieprzerwanie partia socjalistyczna z prezydentem Miloszewi-  
čem), jest w sytuacji gospodarczej przeraźliwej. Tam wre, zresztą Serbia jest obciążona sprawą Kosowa. W Kosowie walczy albańska partyzantka czy też ruch terrorystyczny. Natomiast Bośnia jest wojną zdruzgotana i Bośnia się z tej wojny nie podniesie, ona była najbiedniejszą stroną. W tej chwili istnieje tam chwiejny pokój egzekwowany przez wojska międzynarodowe. Po stronie Serbskiej istnieje system mafijny, po stronie Federacji Muzułmańsko-Chorwackiej też jest niewiele lepiej, rządzi tam mafia z bardzo nieprzyjemnymi faszystowskimi odnogami.

**K.K.:** *Jak Pana zdaniem będzie wyglądać przyszłość tej ziemi?*

**Konstanty Gebert:** Optymiści mówią, że Bośnia jest o jedną wojnę od pokoju.

**P.Ch.:** *Czy jadąc tam nie obawiał się Pan o swoje życie?*

**Konstanty Gebert:** To jest przeraźliwy strach, pamiętam fizycznie namacalny mój stan ducha, lądowanie w Sarajewie i taki wrzask we mnie „Kretynie, co ty robisz?”. Bałem się okropnie, i nie bezzasadnie tzn. niezależnie od ogólnego zagrożenia to przynajmniej jeden jedyny raz snajper mnie oszczędził, bo mu się nie chciało. Wymacał mnie na otwartym terenie, strzelał

obok mnie jak się ruszałem. I ja nie wytrzymał tego wstałem i odszedłem. Jemu się pewnie znudziło albo była zmiana warty, albo cholera wie co. To znaczy ja powinienem nie żyć, a potem jak spotkałem takiego znajomego snajpera z armii bośniackiej (tego samego wieczora byliśmy umówieni na jakieś picie), to on mi mówi: „Mnie też kiedyś rajcowało jak zabiłem faceta, a teraz to mnie rajcuje, że mogę mu pokazać że mógłbym, ale mi się kurwa nie chce”.

**T. D.:** *Czy Pan pisze na dowolny temat, czy też otrzymuje pan zamówienie z gazety na jakiś temat?*

**Konstanty Gebert:** To różnie, raz tak, raz tak. Gazeta mnie wysyłała na te Balkany, większość moich wyjazdów była z gazety. Trochę jeździłem na własną rękę, trochę z Mazowieckim. Ale też odkrywam tematy sam. Problem polega na tym, że jeśli piszę o jakimś egzotycznym miejscu, to później trzeba przekonać redakcję, że ludzie będą chcieli to czytać. I to jest bardzo istotne, ponieważ jest zupełnie inna perspektywa mnie siedzącego w jakimś schronie w Sarajewie pod ostrzałem, gdzie wszystko jest namacalne, ważne, a zupełnie inna perspektywa czytelnika „Gazety Wyborczej”, który ją czyta w drodze do pracy, autobus się trzęsie te wszystkie nazwiska na „iç” mu skaczą i zupełnie automatycznie przechodzi do czegoś innego.

**S. J. Ż.:** *Dziękuję w imieniu całej klasy za przybycie tutaj. Serdecznie dziękuję!*

**Konstanty Gebert:** Dziękuję również!

Opracowanie:  
Piotr Chęć

Anastazja Śniechowska

## O wspomnieniach Barbary Koterwas ( wstęp )

Barbara Koterwas urodziła się 4 grudnia 1912 r. Dzieciństwo i młodość spędziła w dzielnicy Bronowice, jednym z przedmieść przedwojennego Lublina. We wspomnieniach opisała miejsce swego dorastania ze szczególnej perspektywy. Choroba, na którą zapadła niespodziewanie w wieku ośmiu lat, odebrała jej możliwość ruchu i przykuła do łóżka. Życie dzielnicy, w której mieszkała, obserwowała przez okna jednoizbowego mieszkania w parterowym domu u zbiegu ulic Bronowickiej i Składowej.

Choroba uniemożliwiła jej chodzenie do szkoły, wykształcenie zdobywała w domu dzięki staraniom matki. Samodzielnie opanowała program siedmiu klas szkoły powszechnej. Po ośmiu latach choroby postawiła ponownie pierwsze kroki, całkowity powrót do zdrowia okazał się niemożliwy -- pozostało trwale skrzywienie kręgosłupa. Jednak nigdy ten fakt nie ograniczał ogromnej aktywności pani Barbary, podziwianej przez tych, którzy ją znali.

Kiedy w 1939 r. powstał w Lublinie wielki obóz jeniecki, na terenie dawnej fabryki samolotów „Plange i Laškiewicz”, podobnie jak wielu mieszkańców Lublina, włączyła się w akcję pomocy żołnierzom polskim. Utworzyła grupę, której zadaniem było niesienie pomocy jeńcom, dostarczanie im żywności, ubrań, koców i leków. Przepustką do obozu była opaska Czerwonego Krzyża. Dzięki jej staraniom i pomocy innych ludzi, udało się wywieźć z obozu wielu żołnierzy i opanować epidemię czerwonki, która w nim wybuchła.

W czasie wojny Barbara Koterwas była łączniczką Armii Krajowej. Odbiła szkolenie sanitarne, zakończone w 1943 r. praktyką w szpitalu Jana Bożego w Lublinie, pod okiem znanego lubelskiego chirurga dr. Kozuchowskiego. Po jego ukończeniu otrzymała rozkaz prowadzenia podobnych szkoleń dla sanitariuszek i oddziałów partyzanckich AK.

Po wojnie kontynuowała pracę tego rodzaju w harcerstwie. Stworzyła drużynę „Jaskółki”, która działała do 1950 r. Harcówka mieściła się na trzecim piętrze nad restauracją „Europa”, przy Krakowskim Przedmieściu 29. Podstawowym zadaniem, jakie sobie postawili, było zdobycie sprawności samarytańskiej. Po pewnym czasie szkolenia przez nią prowadzone objęły swym zasięgiem całą Chorągiew Lubelską.

Kolejnym etapem pracy z młodzieżą był teatr. „Jaskółki” przygotowały przedstawienia lalkowe pt. „Cud mniemany czyli Krakowiaczy i Górale” W. Bogusławskiego. Pre-

miera odbyła się 2 kwietnia 1950 r. Był to jedyny spektakl i jednocześnie pożegnanie z harcerstwem „oficjalnym”. W styczniu tego roku otrzymała z Chorągwi ZHP pismo następującej treści:

*Kol. Barbara Koterwas. Referent Zdrowia w Lublinie. Komenda Chorągwi ZHP w Lublinie rozwiązuje z Koleżanką umowę o pracę i zwalnia z zajmowanego stanowiska z dniem 31 stycznia 1950 r. Czuwaj! (podpisali:) w/z Komendanta Chorągwi pfm. Jan Pętlewski i Stanisław Wichrowski kierownik Wydziału Osobowego.*

Zaskoczenie było tym większe, że pani Koterwas przez pięć lat pracowała w harcerstwie społecznie. Młodzież była wierna swej instruktorce. W wakacje osmioosobowa grupa teatralna „Jaskółka” wyruszyła na pieszą wędrowkę po Polsce. Była to jedna z metod pracy z grupą, stosowanych przez panią Koterwas. Wspólny wyjazd jednoczył jej członków, wszędzie gdzie się zatrzymywali, dawali bezpłatne przedstawienia, propagując w ten sposób teksty z kanonu literatury polskiej.

Od roku 1946 pracowała w firmie farmaceutyczno-chemicznej „J. Magierski i S-ka”. W 1950 r. właściciel, Stanisław Magierski, przekazał cały majątek firmy na rzecz spółdzielni „Permedia”, utworzonej przez pracowników zakładu i objął funkcję kierownika technicznego. W „Permedii” panował zwyczaj, że pracy towarzyszyły gawędy Stanisława Magierskiego. Opowiadał o życiu i twórczości Kasprowicza, Słowackiego, Prusa, Mickiewicza, Chopina. Przerodziły się one w wykłady otwarte, które odbywały się na Starym Mieście w sali „Cefarmu”. Prelekcje wzbogacały recytacje i śpiew grupy pracowników „Permedii”, był to początek grupy teatralnej „Latarnia”.

Do pracy w zespole zgłosiło się ponad pięćdziesiąt osób. Pierwszy spektakl był poświęcony Warszawie. Muzykę do niego napisał Stanisław Magierski, autor pieśni „Dziś do ciebie przyjść nie mogę...”. „Wodewil warszawski” był jednym z wielu przedstawień teatru „Latarnia”. Grupa występowała poza Lublinem, często przy świetle naftowych lamp gospodarskich, które stały się jej symbolem.

Teatr „Latarnia” był także organizatorem wielu wystaw, poświęconych twórczości Mickiewicza (1955), historii miasta Lublina (1957), Stanisławowi Wyspiańskiemu (1957). Towarzyszyły im wieczory poezji, przygotowane przez panią Barbarę Koterwas.

W 1957 r. rozpoczęła współpracę z żeńską drużyną harcerską „Brazowa Piętnastka”. Pierwszą akcją teatralną przygotowaną przez Barbarę Koterwas był rodzaj przedstawienia ulicznego, poświęconego książce. Dziewczęta niosły rozpięte na drzewcach siedmiometrowe płótno, będące rodzajem wędrownej wystawy książek.

Kolejne – miało charakter happeningu, powstało na wyraźną życzenie władz i było częścią akcji antyalkoholowej. Na przedstawienie złożyły się krótkie i dowcipne fraszki ośmieszające nadmierny pociąg do kieliszka, autorstwa członków „Latarni”. W programie kabaretowym wystąpiła również pani Koterwas (reżyser przedstawienia) w roli ... butelki wódki. Debiut udany, choć nieco zaskakujący.

Następnym przedsięwzięciem teatralnym pani Koterwas i teatru „Latarnia” było przygotowanie w 1959 r. montażu słowno-muzycznego poświęconego powstaniu warszawskiemu. Po premierze okazało się, że temat ten był zupełnie nieznanym widzom. Aktorzy „Latarni” przygotowali wystawę poświęconą historii powstania. Złożyły się na



nią fotografie, szkice, mapy, afisze, wiersze i teksty pieśni. U schyłku lat pięćdziesiątych stworzenie wystawy tego rodzaju i prezentowanie jej było aktem odwagi.

Latem 1959 r. zespół „Latarni” wyruszył na wędrowkę po Roztoczu. Repertuar stanowiły cztery przedstawienia: „Wanda” C. K. Norwida (w adaptacji D. Nagórnej), „Bolesław Chrobry” (scenariusz na podstawie powieści Gołubiewa napisała Z. Kitówna), „Insurekcja” Reymonta i „Obraz z powstania warszawskiego” (w opracowaniu W. Gołkiewicza). Rekwizyty i bagaż osobisty aktorów był przewożony na wozie konnym, zakupionym z demobilu za pięćset złotych. Koń odgrywał ważną rolę, gdyż nie tylko ciągnął cały teatralny kram, ale także nosił wierzchem herolda, który w każdej wsi, znajdującej się na trasie wędrowki, zapraszał mieszkańców na przedstawienia. Wóz trafił do wiersza autorstwa Ireneusza Opackiego:

*Resory skrzypią, chwieje się buda,  
Świat się przechylił na bakier,  
Nuż Gałczyńskiemu zmienić się uda  
Ten grat w zaczarowany fiaker?*

*Przyczep więc, bracie, swego pegaza  
Gdzieś do przedniego resora:  
Zaczarowana dorożka  
Zaczarowana „Latarnia”  
Z obrazka Nikifora.*

W wyprawie uczestniczyli: Anna Krzywicka, Barbara Krzywicka, Barbara Koterwas, Hanna Kotarska, Marta Magierska, Maria Nowak, Władysław Gołkiewicz, Jan Magierski, Zbigniew Józwiak, Zbigniew Kruk, Wacław Kurowski, Krzysztof Szlagiewicz, woźnica i jego pomocnik, młody chłopak, który przystał do trupy, zafascynowany pomysłem włóczęgi razem z teatrem. Tournée rozpoczęte w Zemborzycach niespodziewanie zakończyło się w Brzozówce. Spadł ulewny deszcz, wóz ugrzązł w błocie, „Latarnia wróciła” do Lublina pociągiem.

Kolejną grupą teatralną, założoną przez Barbarę Koterwas, była „Mała Latarnia”. Powstała ona dzięki wycieczkom za miasto, organizowanym przez panią Koterwas dla dzieci z ul. Lubartowskiej. Z ich grona wyłonił się zespół, złożony z dziewięciu chłopców i dwu dziewczynek, w wieku około jedenastu lat. Władysław Gołkiewicz napisał dla nich widowisko „My jej szukamy”, poświęcone Warszawie. Także „Mała Latarnia” wyruszała na wędrowki po Lubelszczyźnie, dając bezpłatne przedstawienia w miejscowościach, w których zatrzymywali się na nocleg. W sierpniu 1964 r. teatr wyruszył nad Bałtyk. Była to wyprawa rowerowa. Trasa wiodła przez Nałęczów, Puławy, Radom, Piotrków Trybunalski, Koło, Kruszwicę, Inowrocław, Toruń, Gdańsk. W trakcie wędrowki „Mała Latarnia” dała 35 przedstawień „My jej szukamy” w przeciągu czterech tygodni.

Na repertuar „Małej Latarni” złożyły się następujące spektakle, wszystkie w reżyserii Barbary Koterwas: Januszewskiej „Smocza awantura”, „Dziewczynka z zapałkami”

Andersena (oprac. J. Tuwim), „Dobroć” Sienkiewicza, „Baśń o szlachetnym Godfrydzie”, „Droga”, „My jej szukamy” – Gołkiewicza, „Nim kurtyna pójdzie w górę” – scenariusz B. Koterwas, „Niezwykła przygoda” – Odrowąza.

W 1960 r. powstała przy technikum kolejowym w Lublinie kolejna grupa teatralna prowadzona przez Barbarę Koterwas. Był to „Semaforek”, który zadebiutował przedstawieniem „Bajki i prabajki nie tylko dla dzieci”, według scenariusza autorstwa Danuty Nagórnej. Także „Semaforek” wyruszył na piesze tournée po Lubelszczyźnie (w 1961 r.). Kolejne wakacje to następna wędrówka z bogatszym repertuarem. Oprócz „Bajek i prabajek...”, sztuka Rabindranatha Tagore „Pocztą” i „Nie tylko uszami słuchajcie” – montaż poezji hinduskiej autorstwa Danuty Nagórnej. Teatr wszędzie witano z ogromną serdecznością i gościnnością. Celem tych wędrówek było zwiedzanie kraju, poznawanie jego historii i jednocześnie propagowanie sztuki teatralnej.

W tym samym roku, co „Semaforek”, został założony „Pierwszy Teatr Podgrodzie”. Zgłosiło się do niego około dwudziestu osób różnych zawodów. Próby odbywały się głównie w małym mieszkaniu Pani Barbary, tam też szyto kostiumy. Pierwszy program pt. „Kobieta od lat dwu aż do ...”, autorstwa Władysława Gołkiewicza, był składanką dwu- trzyosobowych scenek. Kolejny spektakl, według scenariusza Danuty Nagórnej, nosił tytuł „Ze stuleci polskiego teatru obrazów siedemnaście dla uczczenia Milenium Polski wyszykowane”. Złożyły się nań słowiańskie sobótki, „Facecje żakowskie”, „Parady” J. Potockiego, sceny z „Krakowiaków i Górali”, „Barbary Radziwiłłówny” Felińskiego, „Ślubów panińskich” Fredry, tekstów Słowackiego, Wyspiańskiego, Zapolskiej, Żeromskiego, „Karykatur” J. Kisielewskiego, „Ostrego dyżuru” J. Lutowskiego. Zamknięcie stanowiły fragmenty „Męczeństwa Piotra Oheya” S. Mrożka.

Podobnie jak inne grupy teatralne, prowadzone przez Barbarę Koterwas, „Pierwszy Teatr Podgrodzie” występował w podlubelskich wsiach, a w lipcu 1960 r. wyruszył na pieszą wędrówkę teatralną. Trzeci program – „Flirt z wierszami”, był prezentowany wielokrotnie w świetlicach hoteli robotniczych, szkołach.

Okazało się, że istnieje potrzeba kształcenia nie tylko aktorów amatorów, ale także animatorów amatorskiego ruchu teatralnego. Odpowiedzią było przedstawienie „Nim kurtyna pójdzie w górę”, będące rodzajem próby pokazowej, na której pani Koterwas prezentowała sposób pracy nad ruchem scenicznym, interpretacją tekstu, ćwiczenia oddechowe, doskonalenie dykcji. Forma ta zyskała uznanie i stała się elementem pracy z zespołami amatorskimi, rodzajem warsztatów teatralnych dla instruktorów ruchu teatralnego.

Kolejny teatr powstał w klubie „Radar” i przyjął nazwę od miejsca, gdzie odbywały się próby. Tworzyła go młodzież trudna, często „z przeszłością”, nie przyzwyczajona do pracy w grupie. Najlepsze okazały się krótkie formy teatralne. Powstał spektakl złożony z tekstów K.I. Gałczyńskiego, autorką scenariusza była Danuta Nagórna. Praca z tą grupą nie należała do łatwych. Problemem była charakterystyczna dla dzielnicy robotniczej wymowa, z której aktorzy „Radaru” nie chcieli zrezygnować. Poprawna polszczyzna wydawała się im nieatrakcyjna, nie było sposobu, by ich przekonać. Z tego powodu „Radar” nie został zakwalifikowany na Festiwal Teatrów Poezji w Lublinie.



Barbara Koterwas

## Na Bronowicach (1912 – 1944) Wspomnienia (fragmenty)\*

### Dzieciństwo ( 1912 – 1939 )

Mieszkałam na Bronowicach, wówczas przedmieściu Lublina, w sąsiedztwie rzemieślników, robotników fabrycznych, przekupni. Nie brak było także łobuzów i złodziejasków. Dzielnica ta nie miała bitej jezdni ani trotuarów. Wodę czerpano ze studni, które były na każdym podwórku. Ulice oświetlone lampami elektrycznymi, ale w mieszkaniach przeważało światło lamp naftowych. Popiół, odpadki, brudną wodę wynoszono na brzeg łąki między łopiany.

Do siódmego roku życia bawiłam się beztrąsko z rówieśnikami. W ósmym roku zaczęły się bóle kręgosłupa. Ataki powtarzały się parę razy na tydzień. Temperatura dochodziła do czterdziestu stopni. Trwało to kilka lat. Najgorsze były ranki, po południu bóle mijały, temperatura opadała, wracał humor. Choroba robiła postępy odbierając władzę w nogach. Lekarze nie rokowali poprawy. Moja Matka wierzyła w siły ozdrowieńcze słońca i powietrza. Aby wykorzystać każdy promyk słońca przesuwiała moją leżankę od okna do okna. Wierzyłam, że wrócę do zdrowia. Czekałam.

Nasza czteroosobowa rodzina zajmowała jednoizbowe mieszkanie w parterowym domku u zbiegu ulic Bronowickiej i Składowej. W posesji tej mieszkało osiem rodzin w lokalach podobnych do naszego. Narożnik ulic był ulubionym miejscem spotkań, wymiany poglądów politycznych, plotek, flirtów, zwierzeń, kłótni i bijatyk.

Lubiłam widok z okna na zachód. Na pierwszym planie olbrzymie łopiany, za nimi ciągnące się daleko łąki i piękna panorama Lublina z licznymi wieżami i wieżyczkami kościołów, których dzwony słychać było doskonale aż tutaj.

Nie nudziłam się. Z pasją obserwowałam ludzi. Patrzyłam. Słuchałam. Zastanawiałam się, jak zachowa się za chwilę człowiek przeze mnie obserwowany. Miałam swoje sympatie. Budowałam własny świat. Czasem ten i ów przystanął przy oknie, aby ze mną pogwarzyć. Odpowiadałam krótko, jasno, zdarzało się, że dowcipnie. Nieraz usłyszałam głośno wypowiedaną opinię: „Nasza Basiunia nie jest całkiem głupia”. Szukałam

---

\* Powyższy tekst jest fragmentem przygotowanych do druku wspomnień Barbary Koterwas pt. „*Latarnia i inne*”. Wybór Anastazja Śniechowska

sposobu przekonania wszystkich, że bezwład nóg to nie zanik mózgu. Matka nie pozwalała mi wdawać się w dyskusje z dorosłymi. Tłumaczyła: „Dziewczynka dobrze wychowana nie może zaprzeczać dorosłym”. Wcale nie chciałam być dobrze wychowana. Tłumiłam wewnętrzny bunt, żeby nie robić przykrości Matce.

Pod drugim oknem, które wychodziło na podwórkę, przystawały sąsiadki. Te wydziwiały: „Jakie to chude!”. Albo zastanawiały się: „Za czyje grzechy...” i rokowały: „Nasza Basiunia już tylko patrzeć...” – pobożnie przy tym spoglądały w niebo. Kiedy szły załatwić coś ważnego, wyciągały rękę i prosiły: „Basiuniu, pomóż na szczęście!”. Lubiałam występować w roli dobrej wróżki.

W trosce o mój rozwój umysłowy Matka zapraszała dzieci w moim wieku, aby u nas odrabiały lekcje. Taka zabawa w szkołę. Nasi goście opowiadali, o czym pani w szkole mówiła i co zadała. Matczynsko dbało o to, abym pierwsza wypowiadała się na temat zadanych lekcji. Rozwiązywałam zadania, dyktowałam wypracowania domowe – różne dla trzech dziewczynek. Chętnie przychodziły. Po odrobieniu lekcji dostawałyśmy smakołyki: owoce, kisiel, karmelki. Po odejściu dziewczynek Mama czytała, co było zadane do opanowania pamięciowego, ja opowiadałam. Powtarzając za Matką uczyłam się wierszy, gramatyki, przyrody, geografii. W ten sposób przerobiłam program siedmiu klas szkoły powszechnej.

Sama nie czytałam. Lekarz zabronił – temperatura, wzrok – nawet rysować mi nie pozwolił. A miałam piękne kredki ołówkowe, prezent od ciotki.

Czytać nauczyłam się jeszcze przed chorobą od starszych dziewczynek, które z ciasnych mieszkań wychodziły na podwórkę odrabiać lekcje. Pisały kłęcząc przy stołku, albo siadały na progu sieni i czytały z książki trzymanej na kolanach.

Nie pamiętam, skąd się wziął młody lekarz, pan Szulc. Polecił gimnastykę i masaż, aby nie zanikły mięśnie. On jeden zapewniał: „Wstanieś i będziesz chodzić”, a po chwili dodawał: „Trzeba silnego wstrząsu nerwów. Tylko wstrząsu”. Przychodził kilka razy w tygodniu, klepał, masował. Interesowało go, jak spałam, co jadłam, jaki mam humor. Cieszył się, że już czuję, którą stopę mi drapie. Poprawiłam się. Wysoka temperatura występowała rzadziej.

Podczas choroby zdarzyło mi się przeżyć chwilę grozy. Pod moim oknem dwu pijanych mężczyzn zaciekle się biło i szarpało. Jak zwykle w takich wypadkach zamknęłam oczy i już. Wtem zatrzęsło się i posypało! Otworzyłam oczy. Spojrzałam. W ścianie po łokcie tkwił człowiek. Uwięziony złorzeczył i szamotał się, usiłując wydostać z matni. Ściana trzeszczała. Wznosiły się tumany kurzu. Wszystko w mieszkaniu pokrył pył. W oczach, w zębach kurz.

Wreszcie, przy ogólnej wesołości zebranych gapiów, wyciągnięto go.

Wyrywa w lepiance wzbudziła zainteresowanie. Zebrani mężczyźni opukiwali, obmacywali ścianę, walili pięścią dookoła otworu.

Dziurą wbiegł pies. Obwąchiwał dokładnie kąty i sprzęty. Matka, wracając, miała zwyczaj zagadywać do mnie przez okno od podwórka. Tym razem zobaczywszy zbiegowisko, zwałisko i psa, krzyknęła. Pieku! Pies ujadając szczyrzył zęby to na mnie, to na Matkę w oknie. Żadne „pójdziesz!” i „do budy!” nie odnosiły skutku. Pies czuł się osaczony. Szukając wyjścia wielkimi, zamasztytymi susami wzniecał kurz. Ktoś znają-

cy zwierzaka zwabił go wreszcie do otworu w murze. Do dzisiaj boję się wilczurów. A dziura? Właściciel domu, pan Antoni Okoń, przyniósł glinę, wymieszał z wodą, a zarzucając otwór wciskał w papkę kawałki drewna, klepał i muskał z przejęciem, wreszcie obielił front domu i na wieczór było po remoncie.

Najgorzej było z tym wstrząsem. Po pijaku w dziurze i przygodzie z psem Matka z sąsiadką usiłowały postawić mnie na nogi. Nie udało się! Trzymana pod ramiona „przeciekałam” przez ręce. Śmiałam się histerycznie i miały kłopot z położeniem mnie do łóżka. To jeszcze nie był ów oczekiwany wstrząs.

Zaczęli działać życzliwi. Nawiedzały mnie duchy w prześcieradłach, zjawy ze świeczką wstawioną w środek dyni, a mój lekarz zaimprovizował pożar – jakaś kombinacja z magnezji i dużo dymu. Wspaniały człowiek, ale zdolności aktorskich to on nie miał. Grał przerażonego tak śmiesznie, że zamiast się złęknąć, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Główny aktor śmiał się ze mną.

Prawdziwy wstrząs przeszedł niespodziewanie. Któregoś dnia ojciec wrócił do domu pijany. Nie bałam się, nie było to nic nowego, zdarzało mu się często. Po wódce nigdy nie wszczywał awantur. Przeciwnie, był wylewny i zawsze rycerski. Byłam w domu sama. Chciał podejść do mojej leżanki, stracił równowagę, zatoczył się i leciał wprost na mnie. Chciałam krzyknąć, ale strach ścisnął mi gardło, oblał mnie zimny pot, zamknęłam oczy czekając, kiedy swoim ciężarem połamie mi kości. Nie zgniółł mnie. Oparł się ręką o ścianę. Byłam ocalona. W całym ciele poczułam przyjemne mrowienie.

Na drugi dzień Matka wybiegła na podwórze do płaczącego Zdziśka, mojego młodszego brata. Zobaczyłam, że stojące na płycie mleko zaraz wykipi. Zapomniałam o swoim bezwładzie. Zerwałam się z łóżka. Matka zastała mnie stojącą bezradnie. Zrobiłam krok w jej kierunku. Zupełnie wyczerpaną zaniosiła mnie na leżankę. Radość była nie do opisania! Lekarz kazał opowiadać sobie kilka razy, jak to było. Nie wiem kto z nas wtedy był najszczęśliwszy – Matka, lekarz czy ja. Po ośmiu latach mój pierwszy krok w nowe życie! Był to dzień 4 lipca 1928 roku.

Długo trwał powrót do całkowitej sprawności fizycznej. Doktor Szulc nie pokazał się więcej. Szukałam go przed wojną i po wojnie wędrując z moimi teatrami. Przemierzając Polskę pytałam w każdej napotkanej aptece, szpitalu, szukałam w książkach telefonicznych, w miastach i miasteczkach. Nikt nie uwierzy, ilu spotkałam Szulców. Ale mojego nie znalazłam...

### Zupy ( 1939 )

Po lewej stronie szosy zamojskiej, tuż za przejazdem kolejowym, gdzie teraz jest osiedle mieszkaniowe Bronowice II, mieściła się fabryka samolotów „Plage i Laškiewicz w Lublinie” z licznymi hangarami i ogromnym lotniskiem. Obiekt ten, we wrześniu 1939 roku, Niemcy zamienili na wielki obóz jeniecki, w którym koczowało tysiąc polskich żołnierzy. Wziętym do niewoli nie dawano jeść. Widziałam setki rąk sięgających między drutami kolczastymi po kromkę chleba, gotowany ziemniak, czy kubek mleka. Stałam bezradna. Skąd wziąć naczynia, aby rozlać przyniesiony w bańce krupnik? Wygłodzeni żołnierze podawali liście łopianu, kawałki starych gazet, niektórzy po prostu

nadstawiali dłonie, bez słów. Niemcy zabrali Polakom nie tylko broń, ale cały żołnierski ekwipunek: koce, menażki, przybory do golenia i pisania. Wartownicy obwieszani granatami, rozstawieni co parę kroków, nie pozwalali zatrzymywać się przy ogrodzeniu, odpychali kolbami karabinów mniej sprawnych, strzelali w górę i wrzeszczeli. Ludzie stali spokojnie po obu stronach ogrodzenia. Tuż pod bokiem strażników przemycano wiktuały. Należało szybko podejść do ogrodzenia, podać zawiniątko i wrócić jak odbita piłka. Przy większych pakunkach, jak marynarka, sweter, koc, na chwilę rozsuwano kolczaste druty, przesuowano paczkę, którą wraz z obdarowanym wchłaniał tłum kolegów.

Wracałam bez bańki. W głowie zamęt – nie mogłam uporządkować myśli. Czym nakarmić głodnych? Skąd wziąć tyle naczyń? Jak podać ołówki, kartki, chcącym powiadomić rodziny. Pomógł mi przypadek. Znalazłam okrągłą pieczęć szkoły z godłem Polski. Naszyłam na opaskę czerwony krzyż i przybiłam pieczęć tak, że orzeł i „w Lublinie” były wyraźne. Nazwę szkoły poruszyłam na wypadek gdyby któryś z Niemców znał nasz język.

W parę minut po moim powrocie spod drutów, z młodzieży naszego podwórka powstał zespół gotujących zupy. Zofia Gilarowska, Anna Laskowska, Zofia Świstak, Krysztyna Witkowska, Romana Zwiślak, Mieczysław Panas i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Gotowaniem zajęła się moja Matka. U sąsiadki, pani Panasowej, znalazł się kocioł o pojemności trzech wiader. Na długo w naszej kuchni zrobiło się tłoczno i gorąco. Gotowałyśmy na trzy zmiany. każdego dnia zanosiliśmy głodnym dziewięć wiader gęstej zupy. Domowe zapasy wyczerpały się w parę dni.

Jednak do zaopatrywania nas w produkty żywnościowe poczuli się prawie wszyscy mieszkańcy w domu przy placu Bychawskim 11. Przynosili mąkę, kaszę, groch i wszelki suchy prowiant. Często zdawało się, że następnego dnia nie będzie co włożyć do kotła, ale ludzie dostarczali nowe zapasy. Także ludzie spoza naszej posesji. Na przykład pan Sagan, właściciel masarni, wypytał dziewczyny idące z wiadrami zupy, co niosą, dla kogo, skąd idą i zaraz przyniósł pięciolitrową blaszankę szarego smalcu, zbieranego z „rosołu”, w którym gotowano uwędzoną wędlinę. Już nie martwiłam się o omastę do żołnierskiego jadła.

Warzyw ciągle było mało. Znalazłam wyjście, wprawdzie niepiękne, ale najłatwiejsze – sięgnąć po cudze. Po drugiej stronie naszej ulicy stał parterowy domek, za domkiem – ogród warzywny. Zosia G. wypatrzyła któreś najbezpieczniej się tam dostać. Idąc na rabunek rozgrzeszałyśmy się wzajemnie, że cel uświęca środki, robimy to nie dla zysku, a dla głodnych. Od łąki zrobiliśmy pod siatką podkop, przez który wpełzałyśmy, aby po omacku wyrywać co popadło.

Nasz strach i wyczyny okazały się niepotrzebne. Po paru dniach przyszedł do nas pan Jasiński, właściciel warzywnika. Na mnie ścierpła skóra. Nie zauważył mojego zmieszania, zwrócił się do nas serdecznie: „Przychodźcie po kapustę, marchew, buraki mam piękne. Bierzcie, ile trzeba. I tak jakiś łobuz buszuje w nocy po ogrodzie – zwierzał się ogrodnik – pilnuję z pałą do północy, ale łotrzyk nie boi się patroli niemieckich”.

Ominęła nas pała, bo wyprawy po warzywa odbywały się po ugotowaniu trzeciego kotła, a więc przed czwartą nad ranem.

Nie opuszczało nas zmartwienie, skąd wziąć naczynia. Rozdałam nasze i darowane kubki, miski i kompotierki – wszystko mało. Mietek Panas wpadł na pomysł, żeby porobić naczynia z blaszanych opakowań po herbacie, landrynkach i konserwach. Mali chłopcy zbierali puszki i pudełka, Mietek dorabiał uchwyty jak u wiader. Dostarczali tych naczyń dwadzieścia i więcej dziennie. Ciągłe za mało. Na lotnisku znajdowało się kilkanaście tysięcy ludzi. Mrowie.

Aby dostarczyć supę na teren obozu, założyłam na ramię opaskę Czerwonego Krzyża i tak stałam przed wartownikiem. Przyjrzał mi się, zajrzał do wiader – zapachniało. „Gut” – powiedział. Weszliśmy na teren obozu. W parę sekund otoczył nas zwarty pierścień żołnierzy. Matka odmierzała czerpakiem supę, ja zabezpieczałam kolejne wiadro. Głodni tak napierali, że moje kolano przedarło papier zakrywający supę i utkwilo w gorącej grochówce. Nie mogłam się ruszyć aż do wyczerpania zawartości pierwszego wiadra.

Nie tylko my dostarczaliśmy pożywienie jeńcom. Mieszkańcy Lublina i okolic nieprzerwanym strumieniem nieśli kosze, bańki, dzbanki, ubrania cywilne, paczki i paczuszki. Ten pochód sunął od świtu do zmroku.

Najgorsze była świadomość, że te zbiorowe starania nie zaspokajają głodu ludzi za drutami.

### **Koński szczaw ( 1939 )**

W obozie wybuchła czerwonka. Dostarczałam teraz nie tylko opatrunki i maści, ale także leki przygotowane przez farmaceutów lubelskich. Panie z jakiegoś majątku przywoziły wiadrami tarte jabłka, mieszkańcy Lublina podawali przez druty różne leki. Mimo to groźna choroba zataczała coraz szersze kręgi. Chorzy nie mogli iść o własnych siłach. Wycieńczeni padali na drodze do latryn. Co dzień przybywało ludzi leżących na gołym betonie. Wszyscy byli wygłodzeni. Śmierć zabierała parę osób dziennie.

Kiedyś, gdy wracałam do domu, już na podwórku, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Rozpłakałam się. „Czego to płacze?” – usłyszałam obok siebie głos Zawiaślaczki. Wyszła na ganek, aby jak każdego wieczora stwierdzić: „Jutro jak nie będzie dyszczu, to pogoda zapowiada się słoneczna”. Była to stara kobieta, trudniąca się sprzedażą zbieranych przez siebie ziół. Opowiedziałam jej o czerwonce w obozie jeńców i bezskuteczności leków. Zielarka zamyśliła się. „Nie trzeba płakać. Dam końskiego szczawiu. Zaparzyć, niech piją. Jak ma przejść, to przejdzie” powiedziała, a po chwili wyniosła ogromne naręcze suchego ziała.

Gotowałyśmy ziele-cud! Przywracało ludziom zdrowie. Nie było już zgonów. Wanda parzyła koński szczaw, ja zorganizowałam grupę ludzi zbierających jesienne badyle tej cudownej rośliny.

Od tego czasu zaczęłam poznawać, zbierać i suszyć zioła. Pod koniec lat pięćdziesiątych w gazetach codziennych ogłoszono: „zielarzy, znachorów i innych szarlatanów będzie się ścigać”. Tego dnia spaliłam wszystkie zioła, zlikwidowałam ramy do susze-



nia roślin. Nazajutrz przyszedli dwaj panowie i milicjant. „Mamy donos, że pani leczy ziołami” powiedzieli, pokazują mi artykuł. „Czytałam i zgodnie z zarządzeniem spaliłam swoje zapasy ziół.” Pobieźnie sprawdzili. „Może pani chce wiedzieć, kto poskarżył?” – „Nie, nie chcę”. Poszli. Zainteresowanie ziołami pozostało.

### Opaska ( 1939 )

Opaska Czerwonego Krzyża nakładała obowiązki. Żołnierze ufnie obnażali swoje okaleczenia, uskarżali się na ból, oczekiwali pomocy.

Wracając z lotniska, zamienionego na obóz jeniecki, weszłam do apteki na ulicy 1-go Maja i oznajmiłam wprost: „Naszym żołnierzom potrzebne są lekarstwa i opatrunki. Proszę przygotować. Będę rano szła do obozu, zabiorę”. Padło pytanie: „Przepraszam, czy siostra jest z lubelskiej kolumny PCK?” – „Nie jestem siostrą. Mam opaskę, dzięki której mogę wchodzić za druty”. Tak się zaczęła moja współpraca z mgr. Janem Migurskim. Odtąd codziennie zabierałam paczki z medykamentami, których wciąż było mało.

Pewnego razu na terenie obozu podeszła do mnie szesnastoletnia dziewczyna. „Zobaczyłam siostrę z opaską i zgłaszam się, może się przydam”. Była to Wanda, poznanianka, znała dobrze język niemiecki. O nazwisko nie pytałam – szkoda. Udekoro-wałam ją opaską z czerwonym krzyżem. Teraz byłyśmy dwie.

Wanda zauważyła, że jeden z hangarów ma ścianę murowaną z cegły „na kant”. Żołnierze zrobili w niej otwór. Dziurę zamaskowali szafą biurową z rozsuwanymi plecami. Przejście wychodziło na tory kolejowe przy ulicy Łęczyńskiej, skąd droga była wolna. Z zamaskowanego przejścia mogli skorzystać ci, którzy mieli cywilne ubrania. Kobiety, ryzykując życiem, przynosiły pod druty nie tylko żywność, papierosy, mydło, ale i odzież.

Wanda nie opuszczała obozu. Bała się, że nie wejdzie z powrotem. Miała tylko tę opaskę, żadnych dokumentów. Ta dziewczyna pomysł miewała, zdawałoby się, nierealne. Wtedy Niemcy jeszcze nie prowadzili ewidencji, a zespół wartowniczy zmieniał się co parę dni. Dzień wymiany strażników, to był najdogodniejszy czas na różne śmiałe poczynania. Wanda „wyszprechała” zgodę na przewożenie chorych żołnierzy do szpitala. Pierwszy napotkany przeze mnie woźnica zgodził się transportować chorych. Założył opaskę Czerwonego Krzyża i wjechaliśmy na teren obozu.

Po pierwszym nastąpiły dalsze transporty. Wanda pilnowała „porządku”. Na podłodze platformy ciasno kładli się zdrowi żołnierze, na wierzchu ranni i chorzy potrzebujący pomocy lekarskiej. Ja siedziałam zwykle na koźle obok woźnicy. Kiedyś zagadałam do niego: „Szczęśliwie się złożyło, że był pan na postoju ze swoimi końmi.” Woźnica na to: „Siwek to mój, a drugi koń, sprzężony z moim, to kolegi, a wóz zamieniliśmy z jednym furmanem, bo większy. Konie nakarmione. Ja jeżdżę, bo znam chody. I tyle.” Woźnica, Jan Gnyppek, nie przypadkiem stał z platformą za rogiem. Niemcy nie wtrącali się do przewozu chorych – panicznie bali się „zarazy”.

Opaskę z czerwonym krzyżem wykorzystywałam wiele razy i w różnych okolicznościach. 28 września 1939 r. usłyszałyśmy zupełnie blisko strzały. Gdy kule przestały

gwizdać, Wanda została w obozie, a ja wzięłam torbę z opatrunkami i pojechaliśmy z Gnypkim. To oddział Polaków bił się z Niemcami na polach Wólki Lubelskiej. Chcieli odbić z obozu jeńców. Gdy przyjechaliśmy, Niemcy zabierali swoich zabitych, naszym kopano groby koło szosy. Trzej ranni Polacy zostali otoczeni opieką mieszkańców wioski.

Wtedy poznałam tamtejszą nauczycielkę Małgorzatę Szewczykównę – człowieka o wielkim rozumie i czułym sercu. W czasie okupacji łączyła nas służba, a do dziś cieszę się jej przyjaźnią. Właśnie Gosia udzieliła wtedy rannym pierwszej pomocy. Odwieźliśmy ich do szpitala ss. Szarytek. Gosia ich tam odwiedzała. Jeden z nich, Konstanty Płatkowski, student politechniki, miał siedem ran, mówił o małym synku. Zmarł.

\*\*\*

Dowiedziałyśmy się, że na pierwszym piętrze, w pomieszczeniu biurowym, więzionych jest kilku oficerów. Nie wiem, skąd Wanda miała klucz, dość, że trzeba go było podłożyć na górę. Według umowy ona zajęła rozmową strażnika, ja zniosłam na górę klucz i położyłam go wraz ze szkicem obozu, w szparę pod drzwiami pokoju więzionych.

Moja wędrownka nie uszła uwadze pilnującego. Do przebycia miałam trzy schodki, gdy Niemiec odwrócił się i wrzasnął: „Halt!”. Udałam, że chciałam iść na górę. Tłumaczyłam, że nie widziałam dużej tablicy z napisem: „Kto wejdzie na górę, będzie rozstrzelany”. Nie przekonałam go. Popychana, szybko znalazłam się na wartowni, gdzie pewnie i stanowczo przekonywałam o swojej niewinności, ciągle powołując się na opaskę Czerwonego Krzyża. Dwaj Niemcy odrzucali mnie od siebie, jak piłkę, trzeci spokojnie przyglądał się zabawie. Wreszcie powoli podszedł do piecyka – żelazniaka, wyjął pogrzebacz tkwiący w rozżarzonego węgla, wydawało mi się, że się uśmiechnął – chwycił moją rękę i rozpalony koniec pogrzebacza przycisnął do jej wierzchu. Zasycało i zadymiło swadem ostrym, duszącym ... Pogrzebacz nie przeszedł na wylot, zsunął się z dłoni (odtąd mam głęboką bliznę na wierzchu prawej ręki). Coraz mocniej powtarzałam: „Ich bin Rot Krauz”. Zostałam wykopana za drzwi.

Pusto. Ciemno. Nie wiedziałam, co z Wandą. W głowie szum. To ręka! Nie krwawi. Czarny strup. Nie boli. Majaki. Tysiące myśli. Wtem zobaczyłam Niemca, szedł na wartownię. Otrzeźwiałam. Uśmiechnęłam się, jakbym właśnie coś pomyślnie załatwiła, bo na wartowni zgłaszało się rozmaite sprawy, kierowanie do szpitali chorych żołnierzy polskich, każdorazowe otwarcie bramy, pozwolenie na zasypianie jednych i kopanie drugich latryn.

Bramę obozu przeszłam bez przygód ... i nadziei powrotu. Na ulicy spotkałam jednego z niedawno uwieczonych na piętrze oficerów, Stefana Jędrzejewskiego. Mówił, że skorzystali z podrzuconego klucza i planu, wszyscy opuścili obóz przejściem w szafie.

Szczęśliwie dotarliśmy do domu. Dziewczęta przy kotle z zupą na jutro. Domownicy siedzieli przy stole, na którym paliła się mała świeczka. Mroczno, duszno. Wszyscy jak na komendę zwrócili oczy w naszą stronę. Pytali, co się stało. „Nic. Ten pan z obozu” – odpowiedziałam.

Mój towarzysz miał na sobie dopasowany oficerski mundur. Ktoś podał mi lusterko. Byłam zupełnie żółta. Białka oczu jak płatki szafranu. Ze strachu dostałam żółtaczkę. Taka to jestem odważna.

### Konspiracja ( 1939 – 1944 )

Przez całą okupację niemiecką pełniłam służbę w łączności Armii Krajowej. Wysyłałam mnie w teren, nawet do dwudziestu razy w miesiącu. Było to możliwe dzięki pracy z zakładzie krawieckim Adolfa Adamczyka przy Bernardyńskiej 12. Pieczętka zakładu zabezpieczała przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Podczas moich wojaży koledzy krawcy przyszywali za mnie guziki, pikowali klapy, wciągali fastrygę – czynności te należały do moich obowiązków. Majster „nie zauważał” mojej nieobecności. Nikt o nic nie pytał. Tak było lepiej.

Na początku 1942 roku okupant zajął nasz warsztat. Dziesięciu krawców i ja, pomoc krawiecka, musieliśmy szyć ubrania cywilne tylko dla Niemców. O zwalnianiu się nie mogło być mowy. Wkrótce warsztat przeniesiono na Krakowskie Przedmieście 30. Nowy lokal miał małe pomieszczenie na pracownię. Tę sytuację wykorzystał nasz mistrz Adamczyk. Narzekał na ciasnotę, gderał, przesadzał ludzi. Mój stołek wędrował z kąta w kąt, wszędzie przeszkadzał. Nieustająco trwała dyskusja, gdzie mnie posadzić. Wreszcie nasz majster przekonał Niemca, że najlepiej optać się wydawać mi robotę do domu. Odtąd koledzy krawcy szyli za mnie kamizelki. Trwało to ponad dwa lata, do końca okupacji. Koledzy zabierali robotę do domu, bo w warsztacie szył z nimi brat Niemca, obecnego „właściciela”, a ten miał oczy i uszy otwarte, ciągle węszył. Do dziś nie wiem, komu personalnie zawdzięczam tę koleżeńską pomoc.

Wydaje się, że wykonywanie zadań powierzonych kurierowi, to pokonywanie niebezpieczeństw i zasadzek, dających pole do czynów bohaterskich. Nie zdarzyło mi się być w sytuacji, w której mogłabym wykazać swoją odwagę. Nie przewoziłam, jak moja Matka (także kurierka), rzeczy ciężkich np. podręczników dla leśnej podchorążówki, części metalowych, jakichś zaworów, drutów, aparatów. Matka przewoziła kiedyś całą stację krótkofalową. Zamaskowanie i przewiezienie takiego bagażu wymagało pomysowości, sprytu, opanowania, odwagi i siły fizycznej. W razie przechwycenia przesyłki przez Niemców nie było ratunku – gestapo albo cyjanek

Moje zadanie polegało na doręczeniu tekstu drobniutko pisanego na bibułce japońskiej, cieniutkiej, lekkostrawnej. Przesyłka ta nie mogła wpaść w niepowołane ręce. W razie niebezpieczeństwa czy niemożliwości doręczenia należało połknąć maleńki płatek. (...) Wszystkie przekazywane za moim pośrednictwem rozkazy udało mi się dostarczyć na czas.

### Szkolenie sanitarne ( 1942 – 1944 )

W lutym 1942 roku dostałam rozkaz opanowania wiadomości zawartych w „Podręczniku podoficera sanitarnego”. Z zapałem wzięłam się do nauki. Przejęta zadaniem nauczyłam się na pamięć całych rozdziałów książki. Według rycin bandazo-

wałam w kłosek, zakładałam uciski i szyny. Po przerobieniu podręcznika miałam świadomość, że mogę usmierzyć ból. Wydawało mi się, że teraz potrafię zapobiec każdemu cierpieniu. Ufna we własne siły zgłosiłam się jako sanitariuszka. Marzyłam o włączeniu do walczącego oddziału leśnego. Zawód. Po sprawdzeniu wiadomości, skierowano mnie na dalsze szkolenie.

Edukacja przypadła akurat na czas, kiedy wysiedlono nas z pl. Bychawskiego 11 do kościoła św. Pawła. Nie tylko tam znaleźli się wysiedleńcy. Lokatorów miał także najcenniejszy jako zabytek, kościół oo. Dominikanów. W pierwszy dzień po Wielkanocy 1942 r. Niemcy wtoczyli do świątyni około stu rodzin. Naszą posesję potraktowano „łagodnie”, pozwolono zabrać wszystko w czasie jednej godziny. Jak większość Polaków za okupacji byliśmy spakowani i gotowi do opuszczenia swego domu z ręcznym bagażem. Nie wiem, skąd wzięły się furmanki chłopskie, na które ładowaliśmy dobytek. Każda rodzina dostała jedną taką furkę, bez względu na ilość osób i sprzętu.

Byliśmy pewni, że przesiedlają nas na wieś, a tymczasem wozy zatrzymały się przed kościołem św. Pawła. Pilotujący nas Niemiec wrzeszczał, śmigał pejcem na prawo i lewo. Bił na oślep. Piekło. Mimo jego wrzasków i razów nikt nie śmiał wnieść swoich gratów do kościoła.

W kruchcie stanął ksiądz w komży, z niewielkim krzyżem w ręku. Szwab znieruchomiał. Ucichło. Słyszałam tylko własne serce. Kapłan uniósł krzyż w górę i poważnie przemówił: „Pójdźcie do mnie wszyscy..”. Płacz, niesamowity lament zagłuszył dalsze słowa. Nikt się nie ruszył z miejsca. Duchowny spokojnie podszedł do furmanki z dobytkiem Błazewiczów, wziął stołek szewski i wniósł do kościoła.

Zamieszkaliśmy w lewej nawie, przy pierwszym ołtarzu, razem z trzema rodzinami. Było tłoczno. Przycupnęliśmy. Spakowani, zawsze gotowi do drogi. Mimo wiosny, na ścianie szron. Zimno.

Nie mogłam odejść, aby u znajomych ogrzać się trochę i zjeść. Mimo przesiedleń, praca w konspiracji trwała nieprzerwanie. Moją Matkę wysłano teren, jeszcze nie wróciła. W każdej chwili i do mnie mogła przyjść łączniczka z rozkazem, a ta nie mogła błędzić. Siadłam na tłumokach i obserwowałam wchodzących. Jedni szukali bliskich, inni wypytywali, przynosili jedzenie, zapraszali do domów, zabawiali dzieci, pocieszali. Zdarzali się i tacy, których gorszyły palące się prymusy, rozwieszane pieluchy, okopcone garnki i rozgrzebane posłania. Trudno jednak było utrzymać jaki taki ład. Ciągłe wszyscy czegoś szukali i na nowo przepakowywali.

W drugim dniu pobytu w świątyni, panie z RGO przywiozły na wózku dziecinnym kociołek gorącej zupy. Zapachniało kapuśniakiem jak kadzidłem. Ludzie szybko wygrzebywali się z otuleń, aby zająć miejsce w kolejce. Stałam z kubkiem. Zabrakło zupy. „Jutro przywieziemy dwa kotły” – obiecały panie.

Nie czułam głodu. Było mi zimno. Zająłam swoje miejsce na tłumokach. Wśród wchodzących zauważyłam panią wyróżniającą się niepospolitą urodą. Było w niej wiele ciepła, prostoty, ujmującej dobroci, zatroskania. Nieznajoma chwilę szukała wzrokiem i podeszła wprost do mnie, podała garnuszek i zachęciła: „Proszę zjeść, rozgrzać się, to dla pani nie wystarczyło zupy, prawda? Przyniosłam z domu, gorącą. Zimno tutaj”.

Tak poznałam Danutę Magierską. Odtąd, spotykając się na ulicy, wymienialiśmy kilka grzecznościowych zdań. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że w czasie okupacji Danuta Magierska była Komendantką Choraży Lubelskiej Szarych Szeregów i zajmowała kierownicze stanowisko w Wojskowej Służbie Kobiet Armii Krajowej. Czy mogłam przypuszczać, że ta poważna, spokojna, zawsze opanowana znajoma z kościoła to właśnie mój dowódca. W konspiracji nikt nikomu się nie zwierzał, ani przyznawał do jakiegokolwiek działalności. Po wojnie nasza znajomość przerodziła się w przyjaźń. Danusia jest odtąd przy mnie w różnych sytuacjach życiowych; służy radą, a w chorobie troskliwie pielęgnuje. Parę tygodni dyżurowały na zmianę z Małgorzatą Szewczykówną przy łóżku ciężko chorej mojej Matki, była także przy Jej śmierci.

Zmiana adresu nie przeszkadzała w podziemnych działaniach. Na tajne ćwiczenia z ratownictwa i pielęgniarstwa biegałam około pięciu kilometrów za miasto, pod wieś Głusk. Nie wiem, skąd były dwie młode panie, z którymi stanowiłam komplet. Zajęcia prowadziła harcerka – doktor Kazimiera Litwiniukowa, obdarzona wyjątkowymi zdolnościami pedagogicznymi. Bez zbędnej gadaniny uczyła rzeczowo, jasno i ciekawie. Stawiałyśmy bańki, robiłyśmy zastrzyki, opatrywałyśmy rany, myłyśmy ciężko chorych i zmienialiśmy bieliznę. „Ćwiczyłyśmy” transport rannych, wyjaławiałyśmy narzędzia i środki opatrunkowe i bandażowały, bandażowały, bandażowały. Pani doktor uważnie śledziła każdy ruch, tłumaczyła celowość i wagę wykonywanych czynności, łagodnie, cierpliwie, z uśmiechem. Imponowała mi spokojem. Nie bała się. Nie widziałam jej także zmęczonej czy sennej, a zajęcia trwały dwie doby. Umiała zaciekawiać ćwiczeniami, utrzymać tempo. Nie pragnęłyśmy choćby małej przerwy na odpoczynek czy sen. Posiłki dietetyczne przyrządzałyśmy same.

Dla mnie utrapieniem było ćwiczenie „karmienia i pojenia chorego”. Wolałabym już nic nie jeść przez dwa dni, niż być karmiona. Albo mycie. Utkwiła mi w pamięci kursantka, która na mnie ćwiczyła. Pani ta pozowała na damę. Niezręcznie i ślamazarnie ćwiczyła „mycie chorego w łóżku”. Na uwagi pani doktor zaczynała zadanie od początku. Nie żałowała wody. Do mnie mówiła słodko: „Przepraszam, ale jestem nieprzyzwyczajona”. I lała wodą. Cały czas trwania tych praktyk, zaciskałam zęby i żarliwie się modliłam, żeby nie sprać tej „damy”.

Szkolenie u doktor Litwiniukowej trwało cztery razy po dwie doby. Następnie odbyłam miesięczną praktykę w szpitalu Jana Bożego w Lublinie, u świetnego chirurga doktora Kożuchowskiego. Ten wspaniały pedagog miał ciekawy sposób nauczania. Podczas opatrunku mówił półgłosem, niby do siebie. Na przykład: „Przez jałowy gazik pęsetą wyjmę czop ropny, oczyszczę okolicę rany benzyną ...”, albo: „Nie wolno kłaść waty ani ligniny wprost na ranę, nawet najbardziej ropiejącą. Wata zalepi odpływ ropy, przylepiając do rany kłaczki...”

Miałam jeszcze zajęcia z doktor Olecką – były testy, sprawdziany, odpytywania – wreszcie oceniła krótko: „Jesteście gotowa do służby”.

Nie skierowano mnie do oddziału leśnego. Dostałam rozkaz zorganizowania i przeszkolenia patroli sanitarnych. W instrukcji podano opis wnętrza torby sanitarnej, wykaz leków i materiałów opatrunkowych, jakie należy mieć w torbie i gromadzić, a także wymiary noszy. Z tym przystąpiliśmy do działania.

Mietek Panas odkrył źródło „aparatusów”. Aparatus to szczelnie zakrecony pojemnik do przechowywania strzykawki i igieł w alkoholu. Wystarczyło dla wszystkich przeszkolonych dziewczyn. W wymagane medykamenty zaopatrzyła patrol Bronisława Świsłakówna, która pracowała w hurtowni aptecznej przy ul. Narutowicza 13. Wykonanie toreb według wymaganego wzoru należało do sanitariuszek, one także gromadziły materiały opatrunkowe. Nosze robił mój ojciec – stolarz (był również wykonawcą zaskakująco pomysłowych skrytek w lokalach konspiracyjnych), a niezastąpiony Mietek Panas, z zawodu ślusarz, dostarczał okuć do nich.

Ćwiczyłam po dwie, trzy osoby w różnych pomieszczeniach z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Wzorując się na systemie dr Litwiniukowej, unikałam suchych wykładów. W Lublinie przeszkoliłam sto jedenaście sanitariuszek w wieku powyżej szesnastu lat. Każda z nich przechodziła dwutygodniową praktykę na sali opatrunkowej w jednym ze szpitali lubelskich. Musiały tak się tam zachowywać, żeby nie odróżniono ich od sił fachowych.

W listopadzie 1943 r. łączniczka doręczyła mi karteczkę: „Jutro na dziewiątą rano dojść do Kalinówki, po lewej lasek sosnowy – tam czekać”. Rozterka. Brać opatrunki? Może była jakaś akcja, są ranni – ten lasek mnie zaszokował. Prawie biegłam. Łącznik już czekał. W izbie, do której mnie wprowadzono, zastałam około dwudziestu osób, przygotowane bandaże i uciski.

Dowiedziałam się, że mam uczyć udzielanie pierwszej pomocy i przygotowania rannych do transportu. Zmieścić to w trzech godzinach.

Kończyłam zajęcia, gdy oznajmiono mi, że konie czekają i jadę dalej. Byłam zmęczona. Otuliłam się wielkim kożuchem i zaraz zasnęłam. Zajechaliśmy. Ludzie i tam się już zgromadzili. W izbie okna szczelnie zasłonięte. Lampka naftowa, w kominię ogień trzaska. Półmrok. Nastrój tajemniczy, podniosły – jak na obrazach Grottgera. Podobnie w innych punktach szkolenia, których było około ośmiu. Zajęcia odbywały się w izbach chłopskich, salach parafialnych i szkołach, we dworach. Nie informowano mnie gdzie jestem, ja nie pytałam dokąd jadę. Ufna w sprawność organizatorów spałam bez względu na porę doby, w przejeździe, etapami. Uczestniczyłam w kilku takich dwudobowych wyprawach, zawsze świetnie zorganizowanych.

Po zakończeniu działań wojennych, wielu ludzi przeszkolonych przeze mnie, trafiło na stałe do Służby Zdrowia.

## Na Lublin patrzę oczami trzynastoletniej dziewczynki...

– relacja Reginy Winograd z domu Milsztajn

Obecnie nazywam się Regina Winograd, ale z domu Rykla Milsztajn. Tatuś mój nazywał się Szlomo Milsztajn, mamusia Rywka Milsztajn z domu Papier. Siostra moja najstarsza Rachela Milsztajn, no i oczywiście ja, Rykla Milsztajn i pozostałe rodzeństwo, Josef, Ester, Uszer i Eliezer. Było nas sześcioro dzieci i mieszkaliśmy w Lublinie, przy ulicy Lubartowskiej 65. Chodziłam do szkoły na Czwartku, skończyłam sześć oddziałów.

W 1939 r., gdy wybuchła wojna, uciekliśmy z Lublina. Nie weszliśmy do getta. Przedtem było jeszcze kilka łapanek. Tatuś mój był kilkakrotnie złapany. Ja też byłam złapana w łapance i pracowałam u Niemców. Czyściłam śnieg, czyściłam im buty, czyściłam im łóżka. Wszystko, każdą ciężką robotę, którą mi dali, ja robiłam. Po jakimś czasie, jak otworzyło się getto w Lublinie, Tatuś, gdy go zwolnili z Majdanka (z początku, gdy jeszcze nie utworzyli getta, to łapali Żydów i wysyłali ich na różne ciężkie roboty – niektórzy zostali tam zgładzeni, niektórzy wrócili). Mój Tatuś, gdy został złapany na Majdanek, to ja tam pobiegłam i pamiętam, że szukałam go pomiędzy wszystkimi głowami. Byłam wtedy mała, drobna, stawałam na palcach i szukałam między wszystkimi głowami i po dwóch dniach Tatuś wrócił do domu. Nie wiem, jak i co, ale wrócił do domu. Przyszedł i powiedział: „jeżeli my teraz nie uciekniemy z Lublina, to my żywi nie zostaniemy”. Byliśmy jeszcze trochę w domu i Tatuś wynajął jakąś furmankę, nie wiem, jak on to zrobił, nie miałam wtedy o tym pojęcia, ale pojechaliśmy do Rozkopczewa. Tam przyszedliśmy i Tatuś zaczął tam pracować u wieśniaków. Cała rodzina, wszyscy pracowaliśmy. Wieśniacy tam byli z nas zadowoleni, bo moja Mamusia, zajmowała się czymś, co dzisiaj nazywa się leczenie alternatywne. Jeżeli były tam choroby w inwentarzu, to robiła im różne wywary. Pamiętam, jak dziś, jak Mamusia robiła jakiś wywar dla krów, czy dla koni i powiedziała, żebyśmy wyszli z pokoju, ponieważ to było strasznie ostre. Potem założyła na twarz jakiś ręcznik, ponieważ to było bardzo ostre, a ona musiała to gotować. Później zapanował tam ciężki świerzb. To też robiła różne maści. Także dzięki temu przetrzymywali nas przez pewien okres.

Później wiedzieli już, że nie mogą nas dłużej trzymać, bo wiedzieli, że jeżeli przyjdą Niemcy i nas złapią, to rozstrzelają i ich i nas. To było takie ostrzeżenie. My byliśmy jeszcze trochę w tej wiosce i pewnego razu przyjechali tam Niemcy. Między tymi

Niemcami był także taki Dolmetscher – tłumacz z niemieckiego. Ubrany był też w takie buty z ostrogami. Oni przyczepili się do nas, że niby Mamusia coś powiedziała, ale ona nic nie powiedziała takiego, za co można byłoby nas ukarać. Wtedy zaczęli nas bardzo bić i szukali Tatusia. Tatus był schowany, a oni chodzili po tym pokoiku z bagnetami na karabinach i szukali, pytając: „gdzie stary?!” Ponieważ moja starsza siostra była bardzo ładną dziewczyną, gdy Mamusia usłyszała, że Niemcy idą, wysmarowała swoje palce sadzami z fajerek i nasmarowała siostrze twarz. Bała się o moją siostrę. Gdy oni przyszlizli i zobaczyli taką dziwną twarz, zaczęli ją bardzo bić i zaczęli ją strasznie kopać. Gdy ja do niej podeszłam i płakałam, to mnie też zaczęli strasznie kopać i Mamusię też. Mamusię tak zbili, że w końcu Mamusia powiedziała: „Herrschaften, bitte schuess mich. Ich kann nicht mehr”. Moja Mamusia znała niemiecki, znała rosyjski, była bardzo inteligentną kobietą. Wtedy tak nas zbili i moja mała siostrzyczka weszła na podwyżkę, tam, gdzie przechowuje się siano i ktoś z nich pobiegł za nią i zrzucił ją z góry, ale ponieważ była małym dzieckiem, to nic się jej nie stało. Nawet nie płakała. W końcu ci Niemcy, było ich dwóch i Polak, ten tłumacz, kazali nam się wynosić. Chcieli nas wygonić z tego mieszkania. Wtedy moja Mamusia powiedziała „Nicht hojlechen, nicht hojlechen”. Co to znaczy „nicht hojlechen” – zazwyczaj, kiedy zapala się świece w piątek wieczór i robi się kidusz, wtedy nie rozmawia się w żadnym języku, tylko po hebrajsku. To jest taki loszon kojdesz – taki hebrajski, w którym rozmawiało się kiedyś. A to „nicht hojlechen” znaczyło „nie iść”, bo moja Mamusia wiedziała co to są Niemcy i wiedziała, że jeżeli ktoś z nas pójdzie, to nas zastrzelą. Dlatego krzyczała „nicht hojlechen”.

W każdej żydowskiej rodzinie znali tych kilka słów. Wiedzieli, jak się mówi po hebrajsku sól, chleb. Przy stole się w ogóle nie rozmawiało, tylko czekało się, kiedy Tatus skończy ten kidusz i wtedy każdy, w każdym domu znał tych kilka słów po hebrajsku.

To nas ocaliło. Pobili nas i poszli. My byliśmy tak pobici, że nawet nie można było wstać. Za pół godziny wrócili znowu i znowu zaczęli krzyczeć: „gdzie jest stary?!” Pytali o Tatusia. On wcale nie był stary, był młody, miał coś około czterdziestu lat. Znowu zaczęli nas bić i kopać. Wtedy Mamusia zwróciła się ponownie do nich: „Bitte, Herrschaften, ich bitte Euch, schuess mich!” Wtedy, albo oni nie zrozumieli, albo byli pijani, albo czort wie, co i poszli. Poszli i nie przyszlizli więcej. My do samego rana nie mogliśmy chodzić. Rano moja Matka była sina, cała sina. Ja czołgałam się na czworakach. Wszystkiego miałam wtedy 12-13 lat. Byłam strasznie pobita i pokopana. Siostra moja była również strasznie pobita, a te maleństwa siedziały i płakały, a ojciec siedział pod słomą i siennikami. On był w domu, ale go nie znaleźli. Dziobali tymi bagnetami i widocznie to było takie przeznaczenie, że nie znaleźli Tatusia.

Wyszliśmy wtedy rankiem z tej wsi. Wieśniacy nie chcieli nas trzymać dłużej. Spaliliśmy później na łąkach, na polu, w kartoflanych kopcach. Opowiadam to w takim skrócie, a to było, jak wiek.

Ja, osobiście, chodziłam do polskiej szkoły, a skoro chodziłam do polskiej szkoły, moja siostra również, a młodsze dzieci do freblówki, tak że my nie mogliśmy być bardzo tradycyjną rodziną. Tradycja u nas była, ale normalnie, progresywnie. Bo gdy bylibyśmy bardzo tradycyjni, to dzieci nie chodziłyby do polskiej szkoły, a ja przecież



chodziłam do polskiej szkoły na Czwartku, moja siostra również. U nas prowadziło się normalne życie, jak w każdej rodzinie.

W soboty, w święta Tatusz chodził do bóżnicy, ale nie było niczego specjalnego, żebyśmy mogli odróżnić się od innych ludzi. Zazwyczaj w święta ludzie kupowali sobie miejsca w bóżnicy. Tatusz modlił się przeważnie w jesziwie, w Jesziwat Chachmej Lublin. Piękna jesziwa, bardzo piękna. Czasami modlił się także w Szpitalu Żydowskim. Tam też się modlili. Czasami w Wielkiej Synagodze na Podzamczu, przy Jatecznej. To była bardzo ładna bóżnica. Nie chodził tam zbyt często, ponieważ my mieszkaliśmy przy Lubartowskiej, to bliżej było do jesziwy. W jesziwie było najładniej się modlić, bo tam była przepiękna sala. Dla kobiet też była ładna sala i w ogóle było dużo miejsca.

Przed wojną nie byliśmy bardzo tradycyjni. Moja najbliższa koleżanka była Polką. Nazywała się Jadzia Jakubczyk. Mieszkała na Ponikwodzie. Ona powinna być w moim wieku. Może jeszcze żyje? Gdy ostatnio byłam w Polsce, mogłam ją spotkać, tylko nie wiedziałam jak ją znaleźć. Jeżeli wyszła za mąż, to przecież nie nazywa się już Jakubczyk. Jej ojciec był policjantem.

Moja kamienica była polsko-żydowska. Gospodarz był Żydem. Nazywał się Brafman. Miał jednego syna, który wtedy był studentem. Mieszkali tam i Polacy i Żydzi. Stosunki między nimi były normalne. To byli sąsiedzi. My jako dzieci bawiliśmy się razem. Nie było, że to jest Żyd, a to jest Polak, ale każdy znał swoje miejsce. Żyd był Żydem, Polak Polakiem, ale jako sąsiedzi byliśmy bardzo normalni. Wszystko było razem, bawiliśmy się razem na podwórku, do szkoły chodziliśmy razem, więc nie mogło być dużych różnic między nami. W tej okolicy, w której mieszkłam, to jest za Rogatką Lubartowską, to nie była już typowa dzielnica żydowska. Lubartowska w stronę centrum miasta była bardziej żydowska, a za Rogatką nie było już tylu Żydów. Połowa Żydów, połowa Polaków. Podobnie było przy Unickiej. Mieszkał tam policjant Popek. Mieszkał tam też jeden Ukrainiec – Rzeszko. Niebywale zdolny uczeń, niebywale. Mieszkał przy Unickiej 2. Był to następny dom za naszym. Jesziwa znajdowała już poza ścisłym skupiskiem żydowskim.

Moja Mama była sierotą. Kiedy była małą dziewczynką, jej rodzice umarli. Była jedynaczką i wychowywała się u cioci. To ja słyszałam z opowiadania. Wydali ją za mąż, bo przecież to nie byli jej rodzice. Jeżeli wydaje matka, to jest inaczej. Przychodzi chłopak, poznają się normalnie i pobierają się. Tatusz na przykład był kulturalnie troszeczkę niżej od Mamusi. Żyli jednak w harmonii, było nas sześcioro dzieci. Mamusia była bardziej czytana, ale ja dokładnie o wszystkim nie wiem, bo jednak kiedyś dzieci tak bardzo nie interesowały się tym, co się dzieje w domu. Kiedyś słyszałam, że Mama była spokrewniona z rabinem Majerem Szapiro. Ponieważ moja Mamusia pochodziła z rodziny więcej tradycyjnej, pobożnej. Moja ciocia chodziła z peruką. Właśnie ta ciocia, która wychowywała moją Mamusię. Wujek miał wielką brodę i *sztrajmel* na głowie, a kto chodził w *sztrajmel* przed wojną – kto miał pozwolenie na rabina lub coś takiego. Ja nawet dokładnie nie wiem, ale nie każdy jeden nosił ten *sztrajmel*. Ja dużo się nie orientowałam w tym, tyle ile słyszałam. W ogóle rodzina mojej Mamusi była można powiedzieć ze sfery kulturalnej. Więcej kulturalnej, niż rodzina Tatusia. Aczkolwiek mój dziadzio był nauczycielem. On był taki *rabaj* – uczył dzieci. Dzisiaj mówi się nauczy-

ciel. Uczył dzieci. Jakie były warunki u nich w domu, tego ja nie wiem. Ja więcej znałam rodzinę Mamusi, bo to jednak był zaszczyt. To byli ludzie na poziomie kulturalnym, uczyli się. Na przykład, miałam ciocię, która pracowała w Sądzie Polowym w Lublinie. Nazywała się Edzia. Więcej nie wiem. Nazwisk nie znam. Edzia była blondynką, to znaczy miała tlenione włosy i nawet się dziwili, że Żydówka pracuje w Sądzie Polowym, ale ona pracowała w Sądzie Polowym! Druga ciocia pracowała w Gminie Żydowskiej.

My powinniśmy jedno wiedzieć, że w tamtych czasach, nie każdy jeden pozwolił sobie pójść do gimnazjum i niektóre dzieci były nawet analfabetami, albo chodziły dwa, trzy lata do szkoły i skończyły ją na tym etapie i szły uczyć się jakiegoś zawodu. Ci ludzie z mojej rodziny byli jednak ludźmi kultury. Dużo o nich nie wiem, bo nie byliśmy w ścisłym kontakcie. Moi rodzice byli ludźmi pracy.

Mój Tatusz przeważnie wynajmował sady w lecie, kiedy kwitły drzewa. Później zbieraliśmy owoce i sprzedawaliśmy je. Pamiętam, jak raz był wielki huragan i kwiat spadł. Tatusz wtedy stracił wszyściutenko. Pamiętam, jak dzisiaj, siedział na stołeczku i płakał, bo wszystko poszło wniwecz. Ale to był wypadek i normalnie wszystkie dzieci były w szkole, czy we freblówce. Wszyscy byliśmy czyściutcy, ubrani. Nikt nie był głodny. Nikt nie płakał. Wszystko było w porządku.

Jeżeli chcę popatrzeć się na Lublin, przypomnąc sobie oczami dziecka, dziewczynki dziesięcio-jedenastoletniej, to Podzamcze dla mnie to były takie chatki, drewniane domki, czy nawet kamieniczki, ale to było takie getto. Tam przeważnie mieszkali tylko Żydzi. Gdy wychodziło się tam w piątek, to czuło się zapach ryb, zapach rosołu. Dzieci w takich czapeczkach z małym daszkiem, takie *jidysze hitelech*. Tam było bardziej przytulnie. Byli tam ludzie różnego rodzaju. Byli ludzie biedni, byli i bogaci. Ja wiem, że tam właśnie mieszkała moja ciocia, która wychowała moją Mamusię. Niby to oni byli niebiedni, bardziej na poziomie. Mieli czyściutko w domu. Mieli swój drewniany domek, ale to był ich własny domek.

Mnie bardzo podobały się Krakowskie Przedmieście, Lubartowska. Lubartowska – piękna, szeroka ulica. Krakowskie Przedmieście – chodziliśmy zawsze do Saskiego Ogrodu na spacer z koleżankami. Wtedy nie było tyle samochodów, jak dzisiaj. Mogliśmy iść nawet po szosie. Nikt nam nie przeszkadzał. Kiedyś przejechała jakaś furmanka, albo kiedyś przejechało jakieś auto. W ogóle Lubartowska była bardzo ładna. W sobotę pełno dzieci, pełno ludzi. Wszyscy świątecznie ubrani. Spacerowali. Bardzo lubiłam chodzić z moją Mamusią na targ. Bardzo kolorowy targ.

Ja dzisiaj to tłumaczę, że widzę to wszystko dziecięcymi oczami. Dzisiaj mam już przeciw prawie siedemdziesiąt lat. Można powiedzieć, że nawet tęsknię za tym.

Mój Tatusz miał brata, który nazywał się Naftali. Naftali Milsztajn<sup>2</sup>. To był jedyny brat mego Ojca. Mój Tatusz był ładnym mężczyzną – wysoki, przystojny, zielone oczy, ładna czupryna. Miał tego jednego brata. Oni mieli troje dzieci. Dużo o nich nie mogę powiedzieć. Nie pamiętam, nie wiem. Dzisiaj człowiek wie więcej, co dzieje się u siostry, brata, ojca, matki. Kiedyś dzieci w ogóle nie wiedziały, co rodzice robią. Dzisiaj, jeżeli rodzice chcą coś postanowić, to siedzą razem z dziećmi i postanawiają. Pytają się, czy to dobre dla ciebie, czy to dobre dla mnie? Kiedyś tego nie było. Kto postana-

wiał? Tylko rodzice. Wtedy, w tym wieku, kiedy ja byłam, to tę rodzinę, która była w Lublinie, to ja nie znałam po nazwisku, tylko po imieniu: ciocia Edzia, ciocia Sara, wujek Naftali i na tym się kończyło.

To było w sobotę we wrześniu 1939 r. Pamiętam, jak zaczęli bombardować Lublin. Ludzie ranni biegli za Rogatkę. Wszyscy biegli za Rogatkę. To był straszny widok. Wszyscy mężczyźni musieli kopać okopy. Strasznie baliśmy się. Nie pamiętam, kiedy Niemcy wkroczyli do Lublina. Mniej więcej po dwóch tygodniach od rozpoczęcia wojny wkroczyli do Lublina. Wszyscy krzyczeli na ulicach, żeby nie podchodzić do okien, bo był wypadek, że jak widzieli kogoś w oknie, to strzelali w okna. Bardzo baliśmy się wtedy.

Ponieważ moja Mamusia przeżyła I wojnę światową i wiedziała, co to są Szwaby. Ona bardzo, bardzo się bała.

Bardzo szybko zaczęło się tworzyć getto w Lublinie. Pamiętam, jak chodziliśmy i szukaliśmy, gdzie sprzedają chleb. Szłam od Rogatki aż gdzieś za Krakowskie Przedmieście. Nawet nie pamiętam na jakiej ulicy. Od razu musieliśmy ubrać opaski. Najpierw żółte gwiazdy, a potem *Magen Dawid*. Ja i moja siostra nie ubraliśmy tego i poszliśmy stać w kolejkach, szukać chleba. Mogliśmy ustać tam kilka godzin i przyjść do domu bez chleba, albo, gdy zaczęto dzielić chleb na pół, potem na ćwiartki, mogliśmy przynieść albo ćwiartkę, albo wrócić bez chleba. Pamiętam, że szliśmy w zimie. Mamusia owinęła nam buty szmatami. To było rano, a nie wolno było nam być wyjść z domu, bo przecież były godziny, kiedy wolno było wychodzić i kiedy nie wolno było chodzić po ulicach. Na Lubartowskiej, po lewej stronie była hala. tam stali Niemcy. Musieliśmy przejść tę halę, żeby pójść dalej, bo tam gdzieś dalej była jakaś piekarnia, gdzie dzielili chleb. Jak przeszliśmy tę halę, to tak, jak byśmy przeszły jakieś piekło. Udało nam się przejść bez opasek i bez gwiazd. Byłyśmy jedyne z siostrą, które mogły dostarczyć chleb do domu, bo ani ojciec nie mógł iść, ani matka nie mogła iść.

Pamiętam, gdy raz wracaliśmy. Mieliliśmy ćwiartkę chleba w ręku i przed halą Niemcy złapali jakiegoś Żyda i strasznie go bili. Zebrali tam ludzi, żeby wszyscy stali dookoła i żeby wszyscy się patrzyli, jak oni jego biją. Wracaliśmy z tej piekarni i zatrzymaliśmy się przy hali i wszyscy tam stali. Myśmy były dziećmi, więc nam nic nie powiedzieli i poszliśmy dalej. Przeszliśmy do domu i powiedziałyśmy rodzicom wszystko, co widziałyśmy i byłyśmy strasznie poruszone. Wtedy Mamusia powiedziała, że musimy coś zrobić, żeby uciec stąd. Ale dokąd można uciekać?

Mieszkaliśmy *vis a vis* szkoły i w tej szkole byli Niemcy. Raz przyszli do nas do domu Niemcy i wzięli wszystkie kobiety, żeby poszły do nich sprzątać. Ponieważ Mamusia bała się zostawić dzieci, więc ja ubrałam taki fartuch i zawiązałam chustkę i wzięłam Mamusi pantofle, że niby ja jestem duża. Oni nie tyle wzięli wszystkich, ile szukali młodych ludzi, żeby pracowali u nich. U nas było sześcioro dzieci. Siostra i ja byłyśmy starsze, ale pozostałe, to były małe dzieci, więc jak Mamusia mogła je zostawić. Więc ja ubrałam się i stanęłam z ludźmi, ponieważ oni chcieli jakąś liczbę ludzi, więc stanęłyśmy, siostra i ja do pracy. Wzięli nas do pracy. Pamiętam jeszcze, że dali nam kawałek chleba i świecę, bo przecież światła nie było. Tam pracowałam kilka razy.

Później nadeszła zima. W zimie też tam pracowałam. Zamiatałam tam śnieg. Ja nie pamiętam dat, w ogóle nie pamiętam dat. Ja pamiętam tylko czas.

Muszę zaznaczyć, że gdy kazali nam nosić żółte gwiazdy lub opaski, to człowiek nie nie czuje. Ja dzisiaj, mniej więcej próbuję sobie wyobrazić. Jestem dzieckiem, jestem Żydówką i gonią mnie jako Żydówkę, nie jako człowieka, który popełnił jakieś przestępstwo. Tylko jako Żydówkę gonią mnie i chcą mnie zabić. Moim zdaniem, że w takiej sytuacji, w jakiej ja byłam wtedy, człowiek nie zastanawia się nad niczym. Chce żyć i to wszystko! Chce żyć! Chce kawałek chleba. Chce przynieść do domu jeszcze kawałek chleba. Ale jedną rzecz wiem – w moim wieku, dziewczynka dwanaście lat – raptem dostałam wielką odpowiedzialność. Odpowiedzialność, że muszę przynieść do domu chleb, bo jeżeli Tatusz wyjdzie, to go złapią i go zabiją. Może on jest podobny do Żyda, a jeżeli jest podobny, to go złapią. Jeżeli go złapią i on wyszedł bez opaski, to go poproszą o dokumenty i dojdą, że on jest Żydem, to go zastrzelą na miejscu. Jedyna rzecz, którą wiem, to że już w tym wieku miałam wielką odpowiedzialność. Odpowiedzialność – szukać chleba dla dzieci. To jest jedno uczucie. Ja nie zastanawiałam się wtedy, co mnie to robi, czy robi mi to źle, czy dobrze? Bałam się bardzo, a przy tym miałam tyle odwagi, bo nie miałam rady. Jak człowiek nie ma rady, to robi wszystko. Fakt, że ja poszłam, jak przed śmiercią. Bo gdyby mnie złapali i zapytali się, kto ja jestem i gdyby dowiedzieli się, kim jestem, to by mnie zastrzelili na miejscu. U nich nie odgrywało to żadnej roli. Chodzili po ulicach i jeżeli ktoś obok nich przeszedł, to potrafili zdjąć mu czapkę z głowy i rzucić na ulicę. Jeżeli ten ktoś szedł po tę czapkę i okazało się, że jest Żydem, to go zastrzelili. U nich to była zabawa. Rozstrzeliwanie ludzi to była zabawa.

Ja mieszkałam niedaleko cmentarza. Na Unickiej był cmentarz. Codziennie jechały tam towarówki i na towarówce pełno ludzi do rozstrzelania. Myśmy wiedzieli, jedzie towarówka z ludźmi, po kilku minutach słyszeliśmy rozstrzeliwanie. To już było prawie, jak powszedni chleb. Prawie codziennie jechały tam towarówki, nawalone pełno Żydów, ilu tylko mogli tam wepchać i rozstrzeliwali ich tam. Po kilku minutach słyszeliśmy kulomiot.

Zdaje mi się, że w Lublinie były takie roboty, na które chodzili ludzie, w tym mój Tatusz. Nie wiem, kto je organizował, ale wiem, że zbierali dużo ludzi, którzy chodzili na roboty. Na ciężkie roboty. Musieli taszczyć jakieś worki, ja sama nawet nie wiem, co oni tam dokładnie robili. Nawet nie wiem skąd mieliśmy pieniądze. Przecież mój Tatusz nie zajmował się sadami. Ostatni raz, gdy się tym zajmował, to był w 1938 r. Raz jeden, pamiętam, Tatusz przyniósł jakieś stare ubrania i Mamusia je prasowała. Ja poszłam z Tatusiem na targ, żeby je sprzedać. Ubrałam się, jak dorosła. To trwało jednak bardzo krótko. Bardzo krótko po tym Niemcy otworzyli już getto, a wtedy nic już nie mogliśmy robić. Ja sobie wyobrażam, że żyliśmy z tego, co mieliśmy w domu, z jakichś oszczędności, które mieliśmy w domu, ale dokładnie tego nie wiem. Jednak osiem osób musiało coś jeść. Było dobrze, jak był jakiś kawałek chleba i Mama kupiła jakieś zamrożone kartofle, gorzkie. Pamiętam, że zrobiła z nich zupe, a ja powiedziałam: „Mamusiu, kartofle gorzkie”, a Mamusia odpowiedziała: „Jedzcie, jedzcie dzieci, bo nie ma nic innego”. Gorzkie, zamrożone kartofle.

Później Mamusia sprzedawała za grosze wszystko, co mieliśmy w domu. Za grosze sprzedawała jakieś futro, jakiś aksamitny kilim. Sprzedała piękną szafę z rzeźbami, która rozbierała się na wiele kawałków. Sprzedaliśmy wszystko, co było w domu i z tego widocznie się żyło, dopóki rodzice nie postanowili, że musimy zostawić mieszkanie i uciekać. Wtedy postanowiliśmy, że uciekamy i wtedy wyjechaliśmy na wieś. Do getta nie weszliśmy. Gdybyśmy weszli do getta, to mnie by dzisiaj, tutaj nie było. Ja bym dzisiaj tego nie opowiadała<sup>3</sup>.

W tej wsi cała rodzina pracowała. Od największego do najmniejszego. Nie płacili nam, tylko dawali jedzenie: trochę kartofli, albo trochę fasoli, żeby na kawałkach drzewa zrobić małe ognisko i coś ugotować, albo upiec kilka kartofli. To też był luksus. Albo dawali trochę mleka dla dzieci. To też był luksus. Tam siedzieliśmy przez jakiś czas, dopóki Niemcy nie weszli do nas i katowali nas. Bardzo nas bili. My byliśmy bici tam dwa razy. Po drugim razie już nas wieśniacy nie chcieli trzymać.

Pamiętam, pewnego razu już nie byliśmy wszyscy razem, Mamusia z trojgiem dzieci osobno, bo nas nie chcieli już razem trzymać. Umarł nam brat i pamiętam, że ja chciałam pobiec do księdza, bo ksiądz to był jedyny człowiek na wsi, który mógł pomóc też jak lekarz lub pielęgniarka. Ja chciałam biec do księdza, jak do lekarza, a ten ksiądz wiedział, że my jesteśmy na wsi. Ja podeszłam tam, gdzie ksiądz mieszkał, a tam siedzieli Niemcy. Nie mogłam już tam wejść. Gdy wróciłam, to mój brat już umierał. Piękny dzieciak, jak marzenie – blondas, duże piękne, niebieskie oczy, zdolny, udany, ale trudno, odszedł...

Nie mogliśmy go pochować, bo nikt z wieśniaków nie chciał zawieźć go na cmentarz, bo się bali. Pamiętam, że Mamusia coś tam jeszcze miała i dała jednemu kilka złotych i ten się zgodził. Jechał przez łąki, przez pola, nie przez drogi. Zawieźliśmy go na cmentarz i tam go pochowaliśmy. Był to cmentarz żydowski. Zdaje mi się, że to było aż w Ostrowie Lubelskim. Nawet dobrze nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że ludzie nam potem powiedzieli, że on sobie coś zasłużył u Boga, że go normalnie pochowali.

Polacy odnosili się do nas normalnie, bo my usługiwaliśmy im. Mój Tatus pracował na maszynie tkackiej. Pięknie wyrabiał płótno. W Lublinie, w Muzeum Wsi można zobaczyć takie warsztaty tkackie. Mój Tatus był zdolnym człowiekiem. Wyrabiał wieśniakom piękne płótna. Trzymali nas dotąd, dopóki mogli. Mam wrażenie, że gdyby nie było tak groźnie, to oni trzymaliby nas dalej. Sam fakt, że wiedzieli, że jesteśmy Żydami. Narazali się, bo wiedzieli, że nie wolno przetrzymywać Żydów, a wieś przecież wiedziała, że jesteśmy Żydami, a jednak nas przetrzymywali do jakiegoś momentu. Byli tam niektórzy, którym się to nie podobało, że my tam jesteśmy, ale jednak nas tam trzymali.

Wtedy, gdy już nas tak pobili, musieliśmy się rozbić, bo nie chcieli już nas tam trzymać. Mamusia wzięła troje dzieci i poszła do jakiejś stodoły. Tatus musiał się przechować gdzieś indziej. Siostrę przechowywał też ktoś inny. A ja wstałam pięknego dnia i powiedziałam, że pójdę do drugiej wioski gdzieś pracować. Tam mnie nikt nie znał.

Ja idę, już jestem na polu, już minęło pół dnia. Już byłam głodna i spragniona, ale idę. Raptem, przede mną, zdaje mi się, że to była jaskółka – zaczyna robić takie ronda przede mną. Nie mogłam iść na przód. Zaczęłam się strasznie denerwować, bo byłam

przecież na polu. Już zaraz będzie po obiedzie i zanim ja dojdę do drugiej wioski, to będzie późno, a ten ptak mnie zatrzymuje. To ja sobie siadłam na bruździe i pomyślałam, że gdy usiądę to on odleci. Wstałam, znowu idę, znowu ten ptak krąży przede mną i nie mogłam iść w żadnym wypadku. Znowu usiadłam i znowu ten ptak odleciał. Ja wstaję, znowu idę, a ten ptak znowu krąży przede mną. Zapadał już wieczór, to gdzie ja pójdę w nocy. Dookoła Rozkopaczewa były lasy. To było takie miejsce, gdzie były tylko łąki i lasy, a gdzie ja miałam pójść w nocy sama, jedna. Usiadłam i zasnąłam na przykucku, na bruździe. Rano wstałam i wróciłam do tej wioski, z której wyszłam i nie znalazłam rodziców, nie znalazłam nikogo. Słyszałam tylko, jak ludzie opowiadali, że w tej wiosce, do której miałam dojść, tam była rzeź. Wybrali kilku wieśniaków, dużo ludzi i zabrali do takiego wozu i tam było rozstrzelanie.

Okazuje się, że jak to się mówi, to było przeznaczenie, zbieg okoliczności. Ten ptak uratował mi życie. Gdyby ktoś dzisiaj opowiadał mi takie rzeczy, to bym powiedziała, że ten ktoś śnił o czymś. Opowiada banialuki. Ale mnie zdarzyło się to osobiście. Ten ptak uratował mi życie!

Nazajutrz, gdy kręciłam się po tej wiosce i pytałam się wszystkich: może widzieli moją Matkę, może widzieli dzieci. Przed wieczorem odnalazłam moją siostrę. Siostra wiedziała, gdzie są rodzice. Wtedy moja Mamusia powiedziała: „Nie możemy się nigdzie utrzymać. Pójdziemy do Łęcznej”. Zebrała dzieci i powiedziała do mnie i do mojej siostry: „Trzymajcie się razem dzieci, bo nie wiadomo, jak długo my będziemy żyć”.

Muszę cofnąć się jeszcze wstecz. Gdy uciekaliśmy, widzieliśmy, jak Niemcy wkroczyli. Raz Niemcy weszli do tej wsi i musieliśmy uciekać. Mamusia wzięła małe dzieci, a my z siostrą z drugiej strony. Mamusia uciekała w stronę łąk. Za nią gonili polscy policjanci i zaczęli strzelać w ich kierunku. Strzelali im w nogi. Byli ranni, albo nie, ale policjanci strzelali do nich. Wtedy uciekliśmy i ci policjanci wrócili.

Tego samego dnia złapali moją Matkę z dziećmi i zapytali się jej: „Co ty się Żydowico tutaj kręcisz? Czego ty szukasz? Szukasz śmierci? To chodź, to my cię rozstrzelamy”. Mama moja bardzo ich prosiła: „Zlitujcie się nad tymi dziećmi” i jakoś się wyprosiła u nich i Matki, ani dzieci nie rozstrzelali. Nie rozstrzelali nikogo i policjanci odeszli. Jeżeli ja chcę dzisiaj sobie przedstawić ten obraz, to on nigdy nie zniknie z mojej pamięci. Ja nigdy o tym nie zapomnę. Stałam z drugiej strony i oni nie wiedzieli kim my jesteśmy z siostrą. Myśleli, że jesteśmy dziećmi ze wsi. Stałam i widziałam, jak Matka szła z dziećmi. Widziałam, jak oni strzelali do rodziców. W ogóle nie zastanawiałam się, że oni mogą ich zabić. Bo dla mnie wtedy pojęcie rozstrzelanie nie było pojęciem zabicia. Ktoś strzela, tylko strzela. Ja sobie teraz dopiero dokładnie przypominam ten obraz i jestem dość przytomna.

Ja sobie przypominam, jak Mamusia błagała i prosiła ich. Tak samo, jak później moja Mamusia prosiła, żeby ten Niemiec rozstrzelał nas, bo ona nie mogła dłużej patrzeć, jak on nas torturuje. Tak samo Mamusia prosiła tego policjanta, żeby się zlitował i nie zastrzelił. Później widziałam, że oni wyjechali ze wsi i fakt, że nie zastrzelili ich. Od wtedy nie mogliśmy się więcej utrzymać w tej wsi, bo wtedy nikt nas więcej nie chciał trzymać.

Wtedy wróciłam z siostrą do rodziców. Siedzieli w stogu słomy. To była ich kryjówka. Wtedy rodzice postanowili, że idą w stronę Łęcznej, a my z siostrą, w drugą stronę, do Lublina. Rodzice postanowili początkowo, że wszyscy pójdziemy w stronę Łęcznej. W międzyczasie byliśmy na polnej drodze. Z daleka zobaczyliśmy, że jechała furmanka z dwójką koni. Ponieważ wszyscy wieśniacy, kto miał dwa konie, musiał jednego oddać na kontyngent. Więc kto jechał dwójką koni – tylko Niemcy. Wtedy Mamusia powiedziała: „Niemcy jadą!”. Wtedy błyskawicznie rozeszliśmy się: Matka z Ojcem i trójką dzieci w jedną stronę, a my z siostrą w drugą stronę.

Bez pieniędzy, bez żywności, bez niczego. Od tamtej pory nie wiem, co się stało z Rodzicami, co się stało z dziećmi. Nic. Tak, jakby zapadli się w przepaść.

Z siostrą szliśmy przez różne wioski. Ja nawet dzisiaj nie wiem, jak daleko może być z Rozkopaczewa do Lublina. Więcej ponad 20 kilometrów, ale to można zobaczyć na mapie. W międzyczasie było tam takie jezioro i tam doszliśmy. Moja siostra była bardzo mądrą dziewczyną. Powiedziała do mnie: „Jeżeli chcesz stać tutaj, to stój. Ja idę”. Ja stałam i mówiłam sama do siebie. Patrzyłam na to jezioro i widziałam siebie, jak w lustrze i zaczęłam płakać: „Mamusiu, ja chcę do Ciebie”. Zaczęłam wstępować do wody. Chciałam się po prostu utopić. Szłam dalej i czułam, że ta ziemia była grząska i w ostatniej chwili, błyskawicznie przeszło mi przez mózg, że jeżeli się teraz utopię, to nikt mnie nie zobaczy. Komu ja coś powiem? Wyszłam z powrotem i zaczęłam krzyczeć do siostry. Ona powiedziała mi wtedy: „Jeżeli chcesz zostać, to zostań. Ja idę. Nie ma czasu, wieczór zapada”. Biegłam za nią i zaczęłam krzyczeć: „Rachela, Rachela, poczekaj na mnie!”, a ona wtedy odpowiedziała mi: „Ja nie jestem Rachela, ja jestem Marysia”. Wtedy zaczęliśmy się nazywać różnymi imionami. Co jakiś czas zmieniałam swoje imię.

Wtedy zaczęliśmy wracać do Lublina. Weszliśmy do jakiejś wioski. Nawet nie pamiętam, co to była za wioska i szukaliśmy gdzieś noclegu. Doszliśmy do jakiegoś domu i wtedy zaczęły strasznie szczekać psy. Słyszałyśmy, że ktoś otwiera drzwi i zaczyna krzyczeć: „Do cholery! Kto tam się kręci! Psy szczekają, a nikogo nie widać!” Tam był blisko las.

Dzisiaj wyobrażam sobie, że ci ludzie myśleli, że to może ktoś z lasu, że to może partyzanci? Ludzie bali się tak samo partyzantów, jak Niemców. Partyzantów też się bali, bo przychodzili rabować, brać żywność. Gdy ten człowiek tak krzyczał, my poszliśmy dalej. Za stodołą znalazłyśmy stóg i tam przespałyśmy się w słomie. Nad ranem znowu szłyśmy, znowu w stronę Lublina...

Relację spisał i opracował: Robert Kuwałek

*P.S. Na tym kończy się ciągła relacja Reginy Winograd. Wspomnienia wywołały w niej napięcie emocji i wzruszeń i nie mogła już dłużej opowiadać. Dzień wcześniej, przed nagraniem relacji, gdy rozmawialiśmy o jej wspomnieniach i co powinno znaleźć się na kasecie, Regina opowiedziała mi w skrócie o swoich wojennych losach. W ten sposób, dzisiaj mogę również w skrócie uzupełnić jej relację o dalsze koleje jej życia.*

*Tulając się z jednej wsi do drugiej, spotykając na swojej drodze bardzo różnych ludzi, wraz z siostrą dotarła do Lublina. Było to późną jesienią 1942 r. Bez dokumentów,*

wykorzystując jedynie własny tupet, doskonały aryjski wygląd i dobrą polszczyznę, siostra Reginy zdobyła w lubelskim Arbeitsamt (Niemiecki Urząd Pracy) skierowanie na roboty do Rzeszy. W czasie zdobywania tego dokumentu podała Niemcom informację, że pochodzi z terenów wcielonych do Rzeszy, jej rodzice zginęli w 1939 r., a wszystkie dokumenty spłonęły w czasie nalotu. W ten sposób Rachela Milsztajn znalazła się jako Polka w obozie przejściowym przy ul. Krochmalnej, skąd odprawiano transporty z przymusowymi robotnikami.

Przed samym Bożym Narodzeniem 1942 r. jej transport został odprawiony w stronę Halle w Niemczech. Siostry przez cały czas kontaktowały się ze sobą, aż do momentu wyjazdu Racheli na roboty. Ostatnie spotkanie odbyło się na dworcu kolejowym w Lublinie, gdy pociąg już odjeżdżał. Rachela krzyknęła wtedy do Reginy, machając jej ręką na pożegnanie: „Wanda Dąbrowska!” Miało to oznaczać, że od tej pory tak będzie się nazywać. Regina nigdy więcej nie spotkała już siostry, chociaż po wojnie poszukiwała jej. Ma jednak nadzieję, że być może Rachela żyje gdzieś na świecie, właśnie jako Wanda Dąbrowska.

W kilka tygodni później Regina sama zdobyła dla siebie skierowanie na przymusowe roboty do Rzeszy, gdzie przeżyła szczęśliwie wojnę jako Polka. W polskim środowisku ratowały ją: posługiwanie się wiejską gwara – zbyt dobre mówienie po polsku też było podejrzane oraz fakt, że wysyłała listy do znajomych, którzy mieszkali w podlubelskiej wsi. Było to jej alibi, że ma w Polsce rodzinę, od której otrzymywała odpowiedzi.

Po zakończeniu wojny do Polski już nie powróciła. Z Niemiec trafiła do Szwajcarii, gdzie zupełnie przypadkowo spotkała swojego przedwojennego kolegę z Lublina, Matysa Winograda, który mieszkał również przy Rogatce Lubartowskiej, tyle że w sąsiedniej kamienicy. Przed wojną dużo starszy od niej, teraz zaopiekował się nią. Efektem tego spotkania był ślub. W 1949 r. obydwójce przyjechali do Izraela.

Obecnie, Regina Winograd, już jako wdowa i pełna poświęcenia babcia, mieszka w Bat-Yam nad Morzem Śródziemnym, miastem położonym w telawivskiej aglomeracji, opiekując się osieroconą wnuczką. W Lublinie były obydwie w 1997 r. Dla Reginy była to sentymentalna podróż w przeszłość, w poszukiwaniu miejsc z dzieciństwa oraz w poszukiwaniu dokładnej daty urodzenia. Regina wie bowiem tylko tyle, że urodziła się w 1927 r. Nie zna ani dnia, ani miesiąca swojego urodzenia. By móc obchodzić urodziny, wybrała sobie datę 8 października.

Będąc w Lublinie nie była i nie chciała być na Majdanku. Nie zdecydowała się również na podróż do Rozkopaczewa. Odwiedziła jednak swoją kamienicę, która stoi do dzisiaj. Poza jedną staruszką nie spotkała już nikogo ze swoich dawnych sąsiadów. Lublin jednak nosi w sercu do dzisiaj.

Relację powyższą zebrałem w lutym 1998 r. w Izraelu. Wszystkie przypisy pochodzą od autora opracowania relacji. Uznałem bowiem, że relację Reginy Winograd należało uzupełnić o pewne wątki osobiste oraz historyczne, które poszerzałyby nieco opowiedzianą mi przez Reginę historię, a byłyby jednocześnie niezbędne dla polskiego czytelnika, słabo orientującego się w historii żydowskiego Lublina.

Robert Kuwałek



## Przypisy:

<sup>1</sup> Sztrajmel – kapelusz obszywany futrem, noszony do dzisiaj przez chasydzkich rabinów. W XIX w. i w okresie przedwojennym prawo do noszenia sztrajmel otrzymywały tylko te osoby, które oficjalnie, przez władze uznane zostały za chasydzkich rebe lub cadyków. Prawo takie posiadał również w Lublinie między innymi rabin Mejer Szapiro, założyciel i pierwszy rektor Jesziwat Chachmej Lublin.

<sup>2</sup> Jeszcze przed nagraniem relacji Reginy Winograd rozmawialiśmy obydwój o jej lubelskich krewnych. Nie padało jeszcze nazwisko Milsztajn. Gdy Regina wspominała mi, że poszukuje swojej prawdziwej daty urodzenia, zasugerowałem jej, że może będzie ją można znaleźć w przedwojennych księgach meldunkowych kamienicy, w której mieszkała przy Lubartowskiej 65. Opowiedziałem jej wtedy historię moich własnych poszukiwań genealogicznych. Książka meldunkowa, w której mieszkali od 1944 r. moi Dziadkowie, a obecnie mieszka moja Mama i w której ja sam się wychowałem, zachowała się w Archiwum Państwowym w Lublinie. Tam znalazłem dane dotyczące mojej rodziny. Powiedziałem też Reginie, że w tym samym mieszkaniu, do 1940 r. mieszkała żydowska rodzina kupca zbożowego Milsztajna. Regina zamarła z wrażeń. Wypytała mnie dokładnie o adres i stwierdziła, że zgadza się – w tym mieszkaniu mieszkał przed wojną brat jej Ojca i z tego mieszkania, nie chcąc iść do tworzącego się getta, uciekła na wieś. Regina do dzisiaj nie wie, co stało się z rodziną wujka Milsztajna. Spotkali się tylko raz, w momencie, gdy i oni uciekli z Lublina na wieś.

Po Milsztajnach, w kamienicy tej, w tym samym mieszkaniu mieszkała do 31 III 1942 r. rodzina Josefa Wajselfisza, członka lubelskiej Rady Żydowskiej w getcie, przedwojennego działacza syjonistycznego. Kamienica znajdowała się na granicy getta i strony aryjskiej. Do getta nie była włączona, ale Niemcy nakazali zamieszkanie w niej urzędnikom Judenratu i lekarzom ze Szpitala Żydowskiego. W tym czasie mieszkały tu tylko dwie polskie rodziny – jedna z nich mieszka do dzisiaj. 31 III 1942 r., gdy SS zredukowało lubelski Judenrat, Josef Wajselfisz wraz z rodziną oraz z większością swoich żydowskich sąsiadów z kamienicy, został wyznaczony do transportu, do obozu zagłady w Bełżcu. Wajselfisz jest mi bliski, ponieważ wspominałem o nim w mojej pracy magisterskiej o lubelskiej Organizacji Syjonistycznej. W 1993 r. udało mi się poznać jego siostrę, Cyporę Wajselfisz-Dascal, która jeszcze w 1939 r. zdążyła wyemigrować do Palestyny. Obecnie mieszka w kibucu Merchawia, w pobliżu Nazaretu. Spotkaliśmy się w 1995 r. W ten sposób historia zatacza różną kręgi i okazuje się, że przy odrobinie szczęścia i chęci możemy znaleźć niesamowicie interesujące informacje, które wiążą się niejednokrotnie z naszym własnym życiem.

<sup>3</sup> Getto w Lublinie oficjalnie utworzone zostało w marcu 1941 r., ale do tego czasu do Dzielnicy Żydowskiej Niemcy przesiedlili wszystkich Żydów z centrum miasta i Wieniawy. Sukcesywnie przesiedlano tam ludzi z innych dzielnic. Przed utworzeniem getta, w Lublinie przeprowadzono akcję wysiedlenia z miasta na prowincję około 14 tysięcy Żydów. Według władz hitlerowskich w Lublinie było za dużo Żydów. Niektóre rodziny żydowskie, jeszcze przed akcją przesiedleńczą do prowincjonalnych miasteczek, wołały same wynieść się z Lublina. Wydawało się im, że na prowincji łatwiej jest przeżyć, inni posiadali tam krewnych, którzy mogli pomóc pozbawionym majątku lublinianom. Do stycznia 1942 r. getto lubelskie nie było zamknięte, więc nie było tutaj tak wielkiego problemu z głodem, jak w gettach warszawskim, czy łódzkim. Getto lubelskie uchodziło wręcz w Warszawie za oazę spokoju i zamożności, a przede wszystkim obfitości w jedzenie. Były to raczej pozory, ale nie spotykało się w Lublinie osób zmarłych na ulicach z głodu. Od stycznia 1942 r. Niemcy zaczęli ogradzać lubelskie getto drewnianym płotem, zwieńczonym drutem kolczastym. Wszystkie domy po nieparzystej stronie ulicy Lubartowskiej, których okna wychodziły na aryjską stronę musiały mieć zamurowane wszelkie otwory. Brama do getta znajdowała się u wylotu ulicy Kowalskiej na Lubartowską. Likwidacja lubelskiego getta zaczęła się w nocy z 16 na 17 marca 1942 r. Wszystkie transporty w marcu i kwietniu 1942 r. odchodziły do obozu zagłady w Bełżcu. W kwietniu przerwano akcję likwidacyjną, a resztki ludności żydowskiej przesiedlono do małego getta na Majdan Tatarski. Getto to zostało ostatecznie zlikwidowane 9 listopada 1942 r., a jego mieszkańcy zginęli w obozie na Majdanku. Przez cały okres 1943 r. Niemcy wyburzali dawne Miasto Żydowskie na Podzamczu. Getto lubelskie było pierwszym zlikwidowanym gettem w Generalnym Gubernatorstwie.

# **Żydzi i Polacy w okolicach Bychawy przed wojną i w okresie wojny**

– relacja Franciszka Markiewicza z Bystrzycy  
koło Lublina.

W okolicach Bychawy, Niedrzwicy Dużej i Kościelnej nie było wsi, w których przed II wojną światową nie mieszkaliby Żydzi. W każdej wsi była przynajmniej jedna rodzina żydowska, a bywało, że mieszkało ich tam kilka. Żydzi na wsiach zajmowali się handlem, rzemiosłem i skupem produktów rolnych od chłopów. Skupowali wszystko, oprócz wieprzowiny. Tylko w miastach mieszkali żydowscy adwokaci i lekarze. Najwięcej Żydów było w Bychawie, trochę w Niedrzwicy Kościelnej, chociaż tam ich nie lubili. W sklepach żydowskich sprzedawano głównie tandetę. Na wsiach przeważali niezamożni Żydzi, chociaż w Osmolicach był Żyd, który nazywał się Grinberg i ten był zamożniejszy. Był najbogatszym Żydem w tej miejscowości.

W Osmolicach było całe osiedle zamieszkałe przez Żydów i miejscowi mieszkańcy nazywali je „Żydy”. Obecnie teren ten zajęty jest przez Gminną Spółdzielnię. W Bystrzycy Nowej też mieszkało kilka rodzin żydowskich. Między innymi Chaim, który był niezamożnym handlowcem. Mieszkał też Abram Erlich i z jego córką ożenił się Nuta, niezamożny Żyd z Bystrzycy. Był też Szlama i jego rodzina. Stosunki z nimi przed wojną były normalne, jak pomiędzy sąsiadami na wsi.

Nuta wraz z rodziną zajmował mały domek. Była to raczej komórka, niż dom. Zawiliślak, jeden gospodarz z Bystrzycy, który chciał się go pozbyć z tego domu, żeby przejąć ziemię, kiedyś podpalił ten domek. Na szczęście Nucie i jego rodzinie nic się nie stało, a Józef Markiewicz<sup>1</sup>, który był najbogatszym gospodarzem w Bystrzycy i posiadał kilka gospodarstw ze starymi zabudowaniami, odstąpił Nucie jeden ze swoich domów.

W Strzyżewicach mieszkała rodzina Abrama, który był szewcem. Miał on starszą córkę Dynę. W porównaniu z polskimi dziećmi była ona wykształcona, ponieważ większość polskich dzieci chodziła do 3 lub 4-klasowej szkoły, natomiast Dyna skończyła 7-klasową szkołę w Niedrzwicy. Później urodziło mu się dwóch synów-bliźniaków. Abram był tak załamany tym faktem, że wszedł na dach swojego domu i lamentował, jak on utrzyma teraz całą rodzinę. Żydzi byli w ogóle bardziej wykształceni od Polaków, bo chodzili do szkół w Niedrzwicy Kościelnej i Bychawie, które były 7-klasowe.

Kilka rodzin żydowskich mieszkało w Niedrzwicy Dużej. Był tam też niejaki Erlichman, który handlował zbożem i tam stosunki z Żydami były poprawne, ale już w sąsiedniej Niedrzwicy Kościelnej mieszkańcy nastawieni byli antysemitcko. Polaków obowiązywał zakaz sprzedaży gruntów Żydom, dzierżawy i wynajmu pomieszczeń, ponieważ nie chciano tam mieć żydowskich sklepów. Konkurencję z Żydami prowadziło też „Społem”, a potem akcję organizowało Stronnictwo Narodowe i „Samoobrona”, która działała w całym powiecie lubelskim. Najwięcej działali przybysze z poznańskiego. To właśnie poznaniacy zorganizowali tutaj „Samoobronę”. W Bychawie też działał ruch antyżydowski. Sklep z butami założył tutaj były organista, Lewczyński. Od sklepów żydowskich różnił się tym, że miał stałe ceny i buty w lepszym gatunku. Przychodzili do niego ludzie, którzy byli przyzwyczajeni do tego, że u Żyda można się targować i kłócili się z Lewczyńskim o ceny butów. W większości przypadków Żydzi i Polacy na wsiach przed wojną żyli razem, a konflikty były typowo sąsiedzkie.

Była też wioska Dębina, gdzie mieszkało kilka żydowskich rodzin rolniczych, co wtedy stanowiło niesamowity fenomen.

W czasie wojny, początkowo Żydzi żyli normalnie na wsiach, ale potem, gdy zaczęła się likwidacja Żydów, przyszedł niemiecki rozkaz, że wszyscy Żydzi mają się skoncentrować w Bełżycach<sup>2</sup>. Każda rodzina żydowska dostała ten rozkaz imiennie. W okolicznych wsiach część Żydów posłuchała rozkazu, na przykład Abram z Bystrzycy Nowej (ale nie ten szewc, o którym była mowa wcześniej) poszedł sam do Bełżyc, ale ukrywali się jego dwaj synowie i przeżyli całą wojnę. Wojnę przeżył także Szlama wraz z żoną i dwójką synów. Ciągłe zmieniali miejsca pobytu, ale wojnę przeżyli. Szlamowa wraz ze swoimi dziećmi oraz z synami Abrama po wojnie wyjechała prawdopodobnie do Izraela.

Abram, nim poszedł do Bełżyc, zostawił u Markiewicza bele materiału. Jego synowie przychodzili wieczorami do Markiewicza, cięli po kawałku materiału, sprzedawali go i dzięki temu mieli pieniądze lub żywność. Przeżyli dzięki temu, że mieli, co sprzedawać.

Podobnie trochę handlował Chaim syn Lejzora. Nie poszedł do Bełżyc, ukrywał się w Kąjetanówce u Niezgody. Trochę przechowywał się także w Bystrzycy Nowej. Żydzi z Osmolic zorganizowali natomiast całą grupę w Nowinach. Była to grupa partyzancka. Siedzieli w lesie i zdarzało się, że gdy ktoś nie chciał dać im żywności, to zabierali wtedy siłą. Wielu ludzi wspomina ich niezbyt dobrze. Z osmolickich Żydów przeżyli czterech synowie Grinberga. Jeden był potem prokuratorem w Lublinie, czy jest nadal, nie wiadomo. Drugi zmienił nazwisko i wyjechał po wojnie do Gdańska, a pozostali dwaj mieli wyjechać do Izraela – tak przynajmniej mówili ludzie.

Nie przechowali się natomiast Żydzi w Dębinie. U Radomskiego w stodole ukrywało się 13 bogatych Żydów z Bychawy<sup>3</sup>. Radomski wykopał dla nich ziemiankę w stodole i wszyscy wiedzieli, że bardzo się wzbogacił na nich, bo łupił ich z pieniędzy. Na Dębinie działał też oddział NSZ<sup>4</sup>. Była to grupa osób, o których mieszkańcy Dębiny nie mieli najlepszego zdania. Pijacy, którzy udawali partyzantów, żeby siłą zdobyć od ludzi żywność. Grupa ta zlikwidowała Żydów, którzy ukrywali się u Radomskiego. Oczywiście, uczynili to w porozumieniu z nim.

Było to tak. Na Dębinie mieszkała kobieta wysiedlona z Wielkopolski. Prowadziła w swoim domu melinę pijacką, a dodatkowo powszechnie posądzano ją o to, że jest

niemiecką konfidentką. Ja (Franciszek Markiewicz) i Gorak postanowiliśmy podpalić jej dom. Tej nocy, gdy zamordowano Żydów u Radomskiego, zauważyłem, że dom tej kobiety płonie. Ludzie z całej wsi zbiegli się do pożaru. Myślałem, że Gorak podpalił ją beze mnie, ale zaraz spotkałem Goraka, który usiłował pogratulować mi udanej akcji, chociaż mnie przy tym nie było. Gdy ludzie gasili pożar, z oddali usłyszeliśmy przytłumione strzały. Rano okazało się, że Żydzi u Radomskiego zostali zamordowani przez grupę NSZ. Dom tej kobiety został podpalony przez nich, by odciągnąć uwagę mieszkańców wsi od gospodarstwa Radomskiego. Sam Radomski był w tym czasie przy pożarze, żeby potem nie został posądzony o współudział, chociaż wszyscy wiedzieli, że on współdziałał z nimi i cała akcja była wcześniej umówiona z Radomskim. Miało to miejsce w 1943 lub 1944 r.

Wydana przez Polaka została także Dyna, córka szewca Abrama ze Strzyżewic. Wydał ją wraz z dziećmi i osobiście doprowadził na posterunek niemieckiej żandarmerii w Niedrzwicy Dużej, Borzechowski. Tam została rozstrzelana wraz z dziećmi. Ludzie opowiadali, że Borzechowski mścił się na niej za to, że przed wojną zalecał się do niej, a ona nie chciała go. W Niedrzwicy Dużej mścił się posterunek niemieckiej żandarmerii, gdzie zabijano miejscowych Żydów. Szczególnie wślawił się Niemiec, Tomke, który osobiście wystrzelał Żydów z Niedrzwicy.

Drugi taki posterunek mścił się w szkole, w Bystrzycy Starej. Żandarmi rozstrzelali tam Żydów na miejscu. Szkoła nie działała, ale we wsi tajne nauczanie prowadzili państwo Różewiczowie. Lekcje odbywały się u nich w domu. Innym miejscem, gdzie rozstrzeliwano w okolicy Żydów, była tzw. „Strzelnica” przy lesie w Piotrowicach. Dzisiaj na tym miejscu stoi krzyż.

Jednakże inni okoliczni Żydzi przechowali się. Na przykład w Strzyżewicach ukrywał się Abuś, dzierzawca młyna. Ukrywał się wraz z córką i synem. Mieli pieniądze i dzięki temu przeżyli. Ludzie pomagali głównie swoim sąsiadom, ale bali się przechowywać obcych Żydów, którzy uciekali z Bełżyc. Bali się obcych, bo w razie wpadki, bywało, że obcy Żydzi częściej wskazywali na tych, którzy im pomagali, a to już groziło śmiercią. Ludzie prędzej dali im jeść, niż chcieli ich przechować. Bywało czasami tak, że obcy Żydzi potrafili się potem mścić i straszyć tych, którzy odmawiali im ze strachu pomocy.<sup>5</sup>

Relację spisała i opracowała:

**Barbara Piotrowska**

### Przypisy:

<sup>1</sup> Józef Markiewicz – pradziadek Barbary Piotrowskiej.

<sup>2</sup> Było to w październiku-listopadzie 1942 r. Bełżycy miały stać się miejscem koncentracji dla wszystkich Żydów z południowej części powiatu lubelskiego. Stamtąd dopiero wywożono ich do obozu zagłady w Bełżcu i na Majdanku, co nastąpiło na początku listopada 1942 r. Wielu Żydów, którzy mieszkali na wsiach, wiedziało już, co wcześniej stało się z gettem lubelskim i zaczęło szukać sobie kryjówek.

<sup>3</sup> Według innych informacji, u Radomskiego miało ukrywać się aż 50 bychawskich Żydów, co wydaje się mało prawdopodobne.

<sup>4</sup> NSZ – Narodowe Siły Zbrojne, nacjonalistyczna partyzantka polska w okresie II wojny światowej, wstawiona także atakami na ukrywających się Żydów.

<sup>5</sup> Wszystkie przypisy pochodzą od redaktora relacji, Roberta Kuwałka, nauczyciela historii w SLO w Bychawie, na prośbę którego powyższa relacja została zebrana.

Maria Waisberg

## **„Urodziłam się w Lublinie. (...) Tu się urodziłam i tutaj umrę...”**

Urodziłam się w Lublinie. Mieszkałam przy ulicy Konopnickiej z matką, ojcem i młodszą siostrą. Ojciec mój był lekarzem, pochodził z Warszawy. Matka zajmowała się domem. Była niezwykle dzielna i mądra, kochałam ją i szanowałam bardziej niż innych członków rodziny.

Siostra we wrześniu 1939 r. skończyła dziesięć lat i miała zacząć trzeci oddział szkoły powszechnej. Ja natomiast ukończyłam studia medyczne i w sierpniu rozpoczęłam pracę jako lekarz stomatolog w jednej z lubelskich przychodni.

W 1937 r. poznałam mojego przyszłego męża, Rolanda Waisberga, który kończył właśnie studia medyczne. Pobraliśmy się w sierpniu 1939 r.

Pamiętam doskonale lato 1939 r. Byłam bardzo szczęśliwą młodą mężatką, pełną optymizmu i wiary w cudowną przyszłość. Jednak wszystko to mąciły wieści o wiszącej nad krajem groźbie wojny, znacznie gorszej niż ostatnia, strasznej przede wszystkim dla nas, dla narodu żydowskiego. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić, ale przytłaczające uczucie lęku nie dawało mi spokoju. Bałam się czegoś niejasno i czekałam na zaprzeczenie z ust matki i męża. Ciężki nastrój w mieście, na ulicach grupki ludzi zatroskanych, rozmawiających nerwowo o wydarzeniach politycznych, o wiadomościach radiowych. Nie wróżyło to nic dobrego. Zdecydowaliśmy się jednak oboje z mężem na wyjazd pod Warszawę do znajomych, którzy mieli tam duży letniskowy dom. Do Lublina mieliśmy wrócić w pierwszym tygodniu września. Złe przeczucie jednak stało się rzeczywistością. Wojna wybuchła. Nie mogliśmy wrócić do rodziny. Posypały się bomby, nieszczęścia, śmierć. W pierwsze dni oblężenia Warszawy podczas nieustannych nalotów, zbiegaliśmy na dół do sieni. Tuląc się do siebie nasłuchiwalismy złowrogiego warkotu, modliliśmy się, błagając Boga o ratunek. W wielkie, religijne święto żydowskie Jom-Kippur hitlerowcy ze szczególną siłą i precyzją bombardowali dzielnice żydowskie. Nasz dom spalił się. Na dworze widno było jak w dzień, pożarów nikt nie gasił. Uciekliśmy z płonącego domu, biorąc z sobą wszystko, co można było unieść w rękę, przedarliśmy się do sąsiedniego domu. Tam schowaliśmy się w zatłoczonej piwnicy. Panował tu straszliwy zaduch, oddychało się z trudem, ale nie słyszało się przynajmniej tak wyraźnie huku bomb i warkotu samolotów. Już to wydawało mi się szczęściem. Załowaliśmy naszej decyzji o wyjeździe z Lublina, gdyby można było cofnąć czas.

Kolumny niemieckich wojsk maszerowały przez płonące jeszcze zburzone miasto. Hitlerowcy wyciągali z tłumu Żydów i bili ich straszliwie. Widziałam tych cierpiących ludzi i cały czas prześladowała mnie zmora bezradności i rozpacz wobec męki moich najbliższych, a uczucie to bywało zwykle o wiele gorsze od własnego cierpienia. Mieszkaliśmy na strychu u ludzi, którzy narażając własne życie ukrywali nas, Żydów. Ryzykowali, chociaż wiedzieli, że za przechowywanie nas czeka ich śmierć. Były to trzy kobiety z dzieckiem. Mąż jednej z nich zginął na początku wojny, została sama z małą córeczką Agnieszką, ze swoją matką i starszą siostrą. Z Zosią bardzo szybko zaprzyjaźniłyśmy się. Była to bardzo dzielna i odważna kobieta. Pomagała nam jak tylko mogła, a my siedzieliśmy w ukryciu nie mogąc nic w zamian dla niej zrobić. Czasami, zwykle w nocy wraz z mężem opatrywaliśmy rannych, którzy trafiali niby przez przypadek do domu Zosi, który zawsze i dla wszystkich stał otworem.

Tak minęły dwa lata, W głodzie, zimnie i w panicznym strachu. Co dalej? Jak długo wytrzymamy? Nie miałam żadnych wiadomości od rodziny. Nie wiedziałam, czy żyją i co się z nimi dzieje. Pod koniec lipca 1942 r. wszędzie na słupach rozlepiano plakaty obwieszczone w języku polskim i niemieckim, że wszyscy Żydzi mają być przesiedleni na Wschód i że tam będą pracować. Ale my wiedzieliśmy jaka była prawda. Włożyliśmy na siebie wszystkie rzeczy, które uznaliśmy za najlepsze z posiadanych, oraz ciepłą odzież na wypadek, gdyby nas złapano i wywieziono na Wschód. Tak tkwiliśmy na strychu w oczekiwaniu, z nadzieją na lepsze jutro, albo na najgorsze.

Któregoś wieczora, nagle, przez maleńką szparkę na strychu zobaczyliśmy nadciągających hitlerowców. Kilku z nich zbliżało się do naszego domu. Poczułam, jak ktoś pośpiesznie wepchnął do nas dwoje dzieci. Złapaliśmy je szybko i ukryliśmy się wszyscy wśród tobołów z pościelą, połamanych gratów. Siedzieliśmy z zapartym tchem. Łapacze biegali po schodach, wywalali drzwi, krzyczeli, śmiali się, strzelali, od czasu do czasu któryś wpadł na strych, przeklinał, mijał toboły, pod którymi byliśmy schowani i szukał dalej. W pewnym momencie dwóch zatrzymało się tuż obok. Rozmawiali. Najmniejszy ruch, sapnięcie, głośniejszy oddech i jesteśmy zgubieni. Staralam się wcale nie oddychać. Siedzące nade mną dzieci – jedno miało cztery lata, drugie pięć – robiły siusiu, na pewno ze strachu. Mocz ściekał mi na głowę, na twarz. A ja prawie tego nie czułam. Drżałam tylko na myśl, że dzieci mogą mimo woli zdradzić kryjówkę. Rozpłakać się na przykład, albo odkaszląć. Pociłam się ze zdenerwowania i od duchoty jaka panowała w tej ciasnocie. Hitlerowcy odeszli. My tak jeszcze pięć godzin przesiadzieliśmy w bezruchu.

Wszystko ucichło, ludzie powoli zaczęli wylazić ze swych nor schowków. My czekaliśmy spokojnie na przyście Zosi czy kogokolwiek. Ale nikt się nie pojawiał, a czas mijał. Ogarnęły nas najgorsze przeczucia: może Je zebrano? Przyszła wreszcie Zosia. Okazało się, że wzięli je na przesłuchanie i że cudem uniknęła śmierci. Jak wróciła padłyśmy sobie w ramiona, a ja nie mogłam się powstrzymać od rozpaczliwego płaczu, który targał całym moim ciałem. Miałam wyrzuty sumienia, że ratując nas Żydów mogła sama zginąć zostawiając osierocone dziecko.

Przeżycie to stale powracało, powracało, mimo upływu lat, do dzisiaj ten obraz stoi mi przed oczami. Dalsze lata wojny to trudny do opisania koszmar. Przez cały czas

próbowaliśmy wrócić do rodzinnego Lublina, jednak bezskutecznie. Najgorsze do przetrwania były zimy i silne mrozy. Walczyliśmy z chorobami. Nieraz mdlałam z głodu i z wycieńczenia. Ale w końcu spotkało nas to, od czego uciekaliśmy przez tyle długich miesięcy i lat, to, co przeszli nasi krewni i znajomi, oraz setki tysięcy nieznanym Żydów. Nadeszła nasza kolej... Pamiętam, że znaleźliśmy się w bydłowym wagonie, takim w jakim zwykle wywozili hitlerowcy Żydów z Umschlagplatzu. Wagon przepełniony był po brzegi. Można tu było tylko stać. Fakt, że oboje z mężem dostaliśmy się do tego samego wagonu, uważaliśmy za niezwykle szczęście! Pociąg posuwał się bardzo powoli, czasami stawał, czasami zawracał – wszystko po to, by zwiększyć, przedłużyć nasze cierpienia, po to, by jak najwięcej osób podusiło się w wagonach! Ludzie mdleli, deptali po sobie, wrzeszczeli, modlili się. Gdy padali ze zmęczenia, rozgniatano ich na śmierć. Na podłodze wagonu układały się warstwy trupów. Jedna z moich współpasażerek próbowała ucieczki przez okienko. Nagle uprzytomniłam sobie dokąd nas wiozą i upadłam. Upadłam na stos ciał żywych, półżywych i martwych. Nie czułam już bólu ani gorąca, ani pragnienia, ani lęku. Ostatkiem sił wydobyłam się na powierzchnię. Poczulałam zapach powietrza, znalazłam się blisko okienka. Późną nocą dojechaliśmy do Lublina, do którego przez te wszystkie lata chciałam wrócić, a całą moją nadzieję na powrót dawno już pogrzebałam. Pociąg stanął. Esemani otworzyli wagony i zaczęli wypędzać z nich brutalnie tych wszystkich, którzy jeszcze żyli i mogli się poruszać. Mżył deszcz. Trzymaliśmy się z mężem mocno za ręce, żeby się nie zgubić pośród ludzkich krzyków, lamentów, bieganiny. Pamiętam, że gorąco się modliłam. Tak bardzo chciałam tu zostać, żywa lub martwa. I nagle poczułam jak ktoś mnie mocno pociągnął do tyłu. Wylądowaliśmy w olbrzymim rowie całym wypełnionym gęstym błotem. Leżeliśmy tak, wydawało się, że całą wieczność. Ze strachu nie próbowaliśmy się nawet poruszyć. Usłyszałam wrzask esesmanów, strzelaninę, krzyki ludzi rozpaczliwe i przeszywające ciemność. Potem wszystko ucichło. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że jest już zupełnie widno. Nagle z mgły wyłoniła się postać mężczyzny. To właśnie On, Pan Janek Stawski uratował nas od pewnej śmierci i zaopiekował się nami do końca wojny. Nie miałam bowiem do kogo wracać. Rodzice i siostra zostali rozstrzelani w 1943 roku. Strasznie przeżyłam śmierć najbliższych. Byłam jednak szczęśliwa, że żyję, że jestem z powrotem w moim ukochanym Lublinie.

Po wojnie w 1945 r. zamieszkaliśmy w sąsiedniej kamienicy. W rok później urodziłam córeczkę, której daliśmy na imię Elwira. Jednak prześladowania nas, Żydów nie skończyły się wraz z zakończeniem wojny. W roku 1957 musieliśmy wyjechać do Izraela. Tam zaczęliśmy życie od początku. Było ciężko, klimat prawie nie do zniesienia. Po śmierci męża, z dorosłą już córką wróciłam z powrotem do Polski, do Lublina. Jestem pewna, że już teraz nikt mnie stąd nie wygoni. Tu się urodziłam i tutaj umrę...

## Pracowity żywot kolejarza

Kazimierz Tarkowski urodził się w Chełmie w 1915 roku. Jego ojciec Lucjan pochodził z województwa siedleckiego, zaś matka Michalina urodziła się i wychowała w Lublinie. – *To czysty przypadek, że urodziłem się w Chełmie* – opowiada pan Kazimierz. – *Moi rodzice zostali zmuszeni do wyjazdu z Lublina na kilka dni przed moim urodzeniem. Wkrótce po moim przyjściu na świat mogli ponownie wrócić do Lublina.*

Państwo Tarkowscy wraz z trójką dzieci (Barbara, ur. 1911, zm. 1983; Lucjan ur. 1913, zm. 1940) zamieszkali w kamienicy przy ulicy Trybunalskiej 19 na Starym Mieście. Ojciec pana Kazimierza pracował jako rządca, zaś później był właścicielem niewielkiego sklepu spożywczego przy ulicy Kunickiego. Matka zajmowała się domem. Mały Kazio wraz ze swoimi rówieśnikami z pobliskich kamienic często bawił się na placu przed Katedrą w tzw. kicka. – *Brało się patyk czworoboczny i oznaczało się go cyframi rzymskimi. Następnie rzucano się patykiem i patrzyło na jaką cyfrę wskazał patyk. Następnie uderzało się kijkiem w kicę, a wynik zapisywało na kartce. Kto zebrał więcej, ten wygrywał* – objaśnia skomplikowane reguły zabawy pan Kazimierz. Wśród jego kolegów nie było dzieci żydowskich. – *Żydzi to byli Żydzi. Byli gorsi od nas i nie wolno nam się było z nimi bawić. Pomimo to często chodziłem z dziećmi do dzielnicy żydowskiej. Dużo tam było sklepów, przed którymi stali ich właściciele – Żydzi z długimi brodami w czarnych ubraniach. Zachwalali swój towar i zapraszali przechodzących do swych sklepików. Dobrze pamiętam charakterystyczne żydowskie obwarzanki – bajgle. Pan Tarkowski nie pamięta, gdzie zaopatrywała się jego rodzina. – Na naszej ulicy nie było sklepów, za to na Rynku aż roiło się od straganów. Tu również pełno było żydowskich sklepików. Dzieci praktycznie nie wchodziły na Rynek. – Łatwo było tam się zgubić. Trudno było z kimś porozmawiać, nie mówiąc o jakiejkolwiek zabawie.*

Do pierwszej klasy szkoły powszechnej pan Kazimierz chodził w Nałęczowie, sześć klas zaliczył w szkołach w Rąbrowie i Puławach, zaś ósmą klasę kończył w Lublinie. Szkoła mieściła się w kamienicy przy ul. Okopowej 8, na pierwszym piętrze. Była to szkoła męska. Do szkoły uczęszczała młodzież z rodzin mieszczańskich. Uczniowie obligatoryjnie nosili granatowe czapki z pomarańczowymi otoczkami. Pan Kazimierz pamięta kierownika szkoły – nazywa go antysemitą. Wystarczyło przeszkrobać coś niewielkiego, a od razu słyhać było głos kierownika: „ty pachołku komunistyczny, pachołku żydowski, bolszewiku, ty komunisto”. W najlepszym wypadku skręcał ucho, w najgorszym – „łał w tyłek i jeszcze podciągał spodnie”. Ale nie skarżył do rodziców,



nic złego na nikogo nie opowiadał, załatwiał wszystko w tzw. swoim sosie. Reżim w szkole panował okrutny. – *Wychowywali nas w warunkach spartańskich, ale pomimo to szanowaliśmy nauczycieli, nie było między nami nienawiści.*

Naprzeciwko budynku szkoły, w miejscu obecnej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych znajdowało się boisko Wojskowego Klubu Sportowego otoczone murem.

Po ukończeniu szkoły powszechnej Pan Kazimierz rozpoczął naukę w technikum budowlanym przy obecnej ulicy Leszczyńskiego (1936–1937). Niestety, nie mógł jej ukończyć, gdyż wprowadzono odpłatność za naukę w wysokości 40 zł. – *Było to za dużo, jak na możliwości finansowe mojej rodziny. W domu było jeszcze dwoje rodzeństwa, musiałem pomóc rodzicom i pójść do pracy.* Początkowo pracował jako nadzorca w Urzędzie Ziemskim. Niestety, praca była sezonowa. Z nadejściem zimy pan Kazimierz objął stanowisko kreślارza w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji. Jeszcze w 1937 roku przydzielono go do I Dywizjonu Pomiarów Artylerii w Toruniu. Niedługo przebywał w wojsku. Po specjalnym szkoleniu dostał propozycję pracy na kolei. – *Trudno było dostać pracę na kolei, zawód kolejarza był bardzo szanowany, więc bez zastanowienia zgodziłem się na zmianę.* W 1938 roku pan Kazimierz objął posadę sokisty, pracownika Służby Ochrony Kolei. Jego zadaniem było ochrona porządku na terenie kolejowym. – *Kolej polska miała swoją renomę, pociągi jeździły punktualnie, kolejarze znani byli z fachowości. Nawet Niemcy szanowali nas – nie mieli wszak personelu kolejowego.* Zdaniem pana Kazimierza wystarczyło mieć na sobie kolejarzski mundur, by cieszyć się wielkim poważaniem.

W 1939 roku mój rozmówca został zmobilizowany i przydzielony do II-go Dywizjonu Pomiarów Artylerii Wesoła k/ Warszawy. Brał udział w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku. Po kapitulacji uciekł z niewoli niemieckiej i przedostał się do Lublina. Prowadził – na polecenie generała Karasiewicza-Tokarzewskiego – działania wywiadowcze obejmujące m.in. analizę transportów wojskowych, dyspozycje i ochronę pracowników kolejowych. Zaraz po wyzwoleniu podjął studia na Wydziale Rolnym Akademii Rolniczej, ale zaliczył tylko pierwszy rok. – *Pracowałem na kolei, trudno było pogodzić obowiązki zawodowe, rodzinne i szkoleniowe.* Był pracownikiem fizycznym, początkowo zwrotniczym, hamulcowym, robotnikiem podbijający tory wreszcie przeszedł do pracy w dyrekcji kolei, gdzie pracował kolejno w dziale technicznym, służbie ruchu, by zakończyć 38-letnią pracę w służbie handlu.

Obecnie aktywnie działa na niwie Towarzystwa Ziemian Polskich, Klubie Przewodników PTTK i Solidarności.

Marzenia: Żeby kolejarz dziś był taki jak przed wojną. Praca na kolei jest specyficznym zawodem. Wszystkie stanowiska są bardzo ważne. Specyfika organizacji pracy była wyróżnieniem. Wielka odpowiedzialność za wykonywanie czynności służbowych. Kolejarz to fachowiec o wielkiej uczciwości i poczuciu odpowiedzialności. W okresie międzywojennym władze uznawały ten zawód za priorytetowy, bezwzględnie oparty na praktyce.

P.S. Z panem Kazimierzem Tarkowskim spotykałam się trzykrotnie. Dwa razy w jego mieszkaniu przy Nowym Świecie, raz w gmachu Wschodniej Dyrekcji Okręgowej Kolei

*Państwowych przy ul. Okopowej. Niestety, pan Kazimierz nie pamięta już wielu faktów ze swojego życia. Podkreśla jedynie, że pochodzi z rodziny Tarkowskich herbu Klamry z Podlasia. Przechowuje wiele dokumentów związanych z nadaniem szlachectwa. W swych zbiorach ma również drzewo genealogiczne rodu. Zdjęcia, które pokazał w czasie mojej wizyty pochodzą głównie z czasów powojennych. Kilkanaście fotografii sprzed wojny przedstawia członków rodziny. Jedno ze zdjęć, przedstawiające kilku kolegów pana Kazimierza w kolejarских mundurach na tle dawnej „koszarki” przy ulicy Melgiewskiej w Lublinie, opublikowane zostało na łamach „Gazety w Lublinie” 16 marca 1998 roku „Schronienie przy torze”.*

## Wielka Księga Miasta Historia mówiona – Historia prawdziwa

### Wstęp

Prawdziwa dlatego, że opowiedzieli ją konkretni ludzie – mieszkańcy Lublina i okolic, którzy urodzili się przed II wojną światową. Niektórzy jeszcze „za caratu”!

Mówiona, to bardzo istotne określenie, bowiem w odróżnieniu od historii podręcznikowej (pisanej) nie respektuje ograniczeń nakładanych przez zawodowych historyków, chciałyby się rzec – chirurgów historii. Jedynym przewodnikiem tej historii jest pamięć i uczucie, nazwana lub bezimienna tęsknota... Niech zatem nie dziwi odmienianie „ważnych” dat z historii pisanej przez mniej ważne (?) wydarzenia z własnego życia, np. narodziny wnuczki.

To również szczególna topografia, mapa miejsc, których już dziś nie ma – przepady jak kiszone i mrożone jabłka czy gotowane obwarzanki. Lublin 60, 70 lat temu...

W przedwojennym gimnazjalnym podręczniku do geografii, autorstwa Konstantego Bzowskiego, moja Babcia (urodziła się w 1914 roku i przez całe życie mieszkała w Koniecpolu koło Częstochowy) mogła przeczytać o Lubelszczyźnie:

„Obszarem swym przewyższa wszystkie powyżej opisane województwa (Lwowskie, Krakowskie, Śląskie, Kieleckie, Warszawskie, Łódzkie, Poznańskie, Pomorskie), jest bowiem dwa razy większe od Pomorskiego (31 tys.km<sup>2</sup>), ludności zaś ma więcej, niż 2 miliony. Polacy stanowią 85 proc., Żydzi – prawie 14 proc., Rusini (zamieszkali w paru wschodnich powiatach nad Bugiem) – ułamki procentu. (...) Z miast najważniejszym jest Lublin (112 tys.), posiadający bogate wspomnienia historyczne. Leżąc prawie na pograniczu Litwy, Rusi i Korony, wyznaczany był często na miejsce zjazdów. Zachował też do dziś charakter Starego Miasta o bogatej przeszłości. Znajdujemy tu szczątki dawnych murów miejskich z dobrze zachowanymi bramami (Trynitarską i Krakowską), zamek, katedrę, stylowy kościół Dominikanów i wiele innych zabytków.”

Tak naprawdę moja Babcia nie mogła tego przeczytać – nie uczyła się w gimnazjum. Skończyła (jak większość jej koleżanek) szkołę powszechną i o Lublinie wiedziała tylko tyle, że jest gdzieś w Polsce takie miasto. I to już było wiele! Oddaję zatem głos lubelskim rówieśnikom Babci... Gdzieś w Polsce było takie miasto..

Opracowanie całości historii mówionej oraz wstęp:  
**Magdalena Przybyła**

## Dom rodzinny

„Mój dom rodzinny znajdował się przy ul. Lubartowskiej 10. Mieszkaliśmy na I piętrze, mieliśmy pokój z kuchnią. Nasz dom nigdy nie był jakoś nadzwyczajnie urządzone, ale nie ma co się dziwić, siedmioro dzieci a tylko jeden pokój. Czasami brakowało nam pieniędzy na podstawowe rzeczy, ale zawsze było czysto i przede wszystkim panowała miła atmosfera”.

**Wanda Sadawa** (relację spisała Katarzyna Sadawa)

„Od ulicy był podłużny dom i sklep wędliniarski. W domu nie było dostatnio. Tylko ojciec pracował, a nas, dzieci pięcioro. Żyło się skromnie. Mieliśmy dwa pokoje z kuchnią. Przyjechał wujek z Francji to przywiózł parę złotych. Wujek w podwórku założył sobie skład węgla. Kupował wagon węgla, przywoził go na skład i sprzedawał. Na wiadra albo na kilogramy. Przychodzili z wiadrami, a bogatszy brał na zimę tonę węgla. Zawoziło się mu wtedy.”

**Wacław Pasek** (relację spisały Eliza Żywicka i Magdalena Szot)

„Dom rodzinny znajdował się w Lublinie w dzielnicy Rury, gdzie przeprowadzili się moi rodzice po sprzedaży ziemi. Była to kamienica trzypiętrowa z suteryną, piewnicą i ogromnym strychem. Mieszkaliśmy na drugim piętrze. Okna kamienicy były duże, ale kamienica nie wyróżniała się niczym od pozostałych – była szara i smutna. W pobliżu domu znajdowała się apteka i murek, na którym przekupki sprzedawały mleko, śmietanę i sery”.

**Danuta Gozdek** (relację spisała Katarzyna Biernacka)

„W domu moim mieszkali bardzo bogaci dziedzice, lekarze i inżynierowie, ale także ludzie bardzo biedni, zwykli robotnicy, szwaczki. W pobliżu domu znajdowało się kuratorium, naprzeciwko był duży ogród, w którym mieszkali koloniści niemieccy. Obok stał Kościół Ewangelicki. Obecnie w tym miejscu, czyli na ul. Wojska Polskiego, jest Urząd Krwiodawstwa. Oprócz tego dom zamieszkiwany był przez Żydów. W suterenie mieszkali biedni Żydzi, zaś ci bogatsi zajmowali wyższe piętra. Doktor (Cukierfain) miał w domu laboratorium ze zwierzątkami do różnorodnych badań. Znany lubelski lekarz, doktor Świtek, laryngolog... Dziedzice Kopciowie... W pamięci utkwił mi także pan Maślanka, który był lotnikiem, biorącym udział w II Wojnie Światowej w Anglii. Muszę wspomnieć, że gospodarzem domu był Żyd (Zylberaich)”.

**Maria Górecka** (relację spisała Agata Wójcik)

## Ulica

„Dzielnica była dość „ruchliwa”, często przejeżdżały tamtędy wozy z drzewem do pobliskiego tartaku. Na ulicy, przy której był dom, stał wóz, w którym mieszkał Żyd. Co jakiś czas przesuwał swój wóz o kilka metrów. Do tej pory nie wiadomo w jakim celu... Na wozie i wokoło było mnóstwo kwiatów, które ów Żyd sprzedawał”.

**Danuta Gozdek** (relację spisała Katarzyna Biernacka)

„Pamiętam charakterystyczną studzienkę w postaci lwa. Z jego paszczy wypływała woda, a ogonem pompowało się ją. Na ulicy znajdowała się też łaźnia parowa. Ludzie korzystali z takiej łaźni lub kąpali się w baliach. Na ulicy był jeszcze jeden dom. Z mieszkańców pamiętam kowala, który na podwórku miał kuźnię, dorożkarza, krawcową. W suterenie mieszkał szewc i praczka”.

**Brak danych personalnych** (relację spisała Ewelina Paprocka)

„Na naszej ulicy było dużo sklepów i prawie wszystkie żydowskie. Można było kupić w nich praktycznie wszystko. Były apteki, sklepy spożywcze, warzywnicze, odzieżowe. Były na przykład dwa rodzaje czekolady, cukierków. W sklepach nie było takich rzeczy jak teraz, ale niektóre z nich pamiętam do dzisiaj. Bardzo lubiłam kiszone i mrożone jabłka, które przepadły razem z Żydami i z ich specyficznym pieczywem i potrawami, jak np. gotowane obwarzanki, gorące babki lub gorący groch. Sprzedają zajmowały się kobiety, które cały swój towar nosiły ze sobą w koszykach i garnkach owiniętych szmatami, by dłużej utrzymać ciepło. Na mojej ulicy mieszkali prawie sami Żydzi, bardzo mało było rodzin polskich. W mojej kamienicy mieszkał rabin i była też bożnica, w której Żydzi się modlili. Charakterystyczną cechą ul. Lubartowskiej był zupełny brak zieleni. Miejscem, gdzie rosty nieliczne drzewa, był dziedziniec żydowskiego szpitala oraz sad, który był niewielki i nie było w nim też zbyt wiele drzew. Na mojej ulicy było też bardzo dużo tragarzy, którzy czekali, aby ich wynajęto do dźwigania ciężarów na długie trasy”.

**Wanda Sadawa** (relację spisała Katarzyna Sadawa)

## Szkoła

„Swoich nauczycieli pamiętam jak przez mgłę, ale jedna postać utknęła mi wyjątkowo w pamięci. Była to nauczycielka języka polskiego. Kobieta krępej budowy ciała, niska, starsza i strasznie nerwowa. Kiedy siedziała na krześle to jej nogi nie dotykały podłogi. Zawsze z tego była moc śmiechu, nawet podczas lekcji!

Muszę przyznać, że wiele się zmieniło w sposobie nauczania i w klimacie panującym między nauczycielami a uczniami. Zaginął szacunek do nauczycieli. Dla nas byli wzorem do naśladowania, każdy chciał być taki jak oni”.

**Danuta Gozdek** (relację spisała Katarzyna Biernacka)

„Chodziłam do szkoły przy ul. Niecałej. Szłam ul. Lubartowską przez ul. Staszica. Drogi nie miałam długiej, ale czasami gdy zima była sroga, a mróz szczyptał w uszy, miałam wrażenie jakbym szła kilka godzin, bo ubranie i buty nie były odpowiednio na zimę. Bardzo dobrze pamiętam pana Kwiecińskiego – nauczyciela matematyki, był wysoki, dobrze zbudowany i młody, dlatego też był obiektem wzdychań wielu moich koleżanek. Miał twarz o zabarwieniu czerwonym, rude włosy oraz jasne brwi i rzęsy. Był bardzo dobrym nauczycielem i wszyscy go szanowaliśmy. Pamiętam też nauczyciela historii, nazywał się Peska. Był młody, spokojny i cichy, prowadził lekcje z równowagą, opanowaniem i łagodnością. Takimi właśnie cechami zdobył nasze

uznanie. Nie pamiętam jak nazywał się nauczyciel fizyki, pamiętam natomiast, że nie poświęcano temu przedmiotowi specjalnej uwagi. Trudno powiedzieć mi – dlaczego. Może dlatego, że nauczyciel był zbyt łagodny, „miękki” i wymagał od nas bardzo mało. Przy odpytywaniu starał się dodać otuchy, kiwając potakująco głową. Stosunki między nauczycielami a uczniami były dobre. Nauczyciele dobrze nas traktowali, a my mieliśmy do nich szacunek. Na pewno nie było tak jak jest teraz. Kiedyś trzeba było kilka razy przemyśleć zanim się coś powiedziało do nauczyciela. Była dużo większa dyscyplina i przede wszystkim strach. Dawniej baliśmy się nauczycieli. Czasami szarpali uczniów za włosy i uszy, a nawet bili”.

**Wanda Sadawa** (relację spisała Katarzyna Sadawa)

„W szkole za moich czasów był rygor. Byli tacy nauczyciele, że u nich na lekcjach słychać było jak mucha gdzieś po klasie latała. Tak cichutko! Od śpiewu była pani Mańkowska, a naszym wychowawcą był porucznik Cękała. Historii uczył pan Koziej. I jeszcze dwie panie Garwolińskie! Tylko u pani Mańkowskiej i Cękałowej (śpiew i rysunek) mógł być hałas. U nauczycieli – mężczyzn absolutnie. Kiedyś rzuciłem kasztanem w Kozieja, w nogę. Podniósł mnie za uszy do góry!”.

**Wacław Pasek** (relację spisały Eliza Żywicka i Magdalena Szot)

„W pamięci mojej na zawsze pozostała wychowawczyni ze szkoły powszechnej. Była to niska, brzydka, stara panna. Ale tak oddana dzieciom i tak przez nich lubiana jak matka. Ona nigdy na nas nie skarżyła do rodziców. Ona sama umiała sobie z nami poradzić. Zwracała uwagę nie tylko na naukę, ale na wygląd, zachowanie. Od niej nauczyłam się wiele życiowych spraw, Ona wpoila w nas chęć nauki. Była kochana. Nauczyciele byli wymagający, mieli wielki autorytet, umieli nagradzać i karać. I uczyli sami, nie mogli w tej dzielnicy liczyć na pomoc rodziców. Szanowaliśmy ich i kochali. Psikusy też im robiliśmy – ale Oni to rozumie!”.

**Sabina Werman** (relację spisała Agnieszka Kubina)

„Edukację rozpocząłem w 1938 r. w siedmioklasowej szkole powszechnej, odległej od miejsca zamieszkania o 1,5 km. W 1939 r. szkoła została zajęta przez Niemców i przekształcona w koszary wojskowe. Uczniowie poszczególnych klas uczyli się w sąsiednich gospodarstwach, spichlerzach, wolnych mieszkaniach, stodołach. Z braku zeszytów pisaliśmy na tabliczkach węglowych rysikami. Ukończyłem szkołę siedmioklasową w 1944 r., a następnie zdałem egzamin do Państwowej Szkoły Budownictwa, która składała się z 4 klas gimnazjum i 2 lat liceum. Ukończyłem ją w 1950 r. Szkoła średnia odległa była o 6 km, w tym 2/3 to drogi polne, a 1/3 miejski chodnik. Odległość tą przebywałem pieszo, ponieważ nie było autobusów. Z nauczycieli szkoły powszechnej pamiętam kierownika szkoły, Pana Hartwiga, który uczył przedmiotów ścisłych, takich jak: matematyka, fizyka, roboty techniczne. Pan Świątek uczył języka polskiego, przyrody, historii. Za naukę historii Pan Świątek został przez okupanta wywieziony do Oświęcimia, skąd nie wrócił. Byli to nauczyciele o wysokiej kulturze osobistej, dużej wiedzy i wymaganiach. Ze szkoły średniej zapamiętałem profesora Wójcika, uczącego

fizyki, profesora Żabińskiego zwanego Dziadkiem – matematyka, profesora Weronkę uczącego statyki i naprężeń materiałów. Dyrektorem szkoły był profesor Sosniez. Stosunki w szkole były partnerskie, chociaż nauczyciele byli wymagający, ale i tolerancyjni”.

**Jan Słoboda** (relację spisał Maciej Słoboda)

## **W wolnym czasie**

„Często młodzież zbierała się w okolicach dzisiejszego Ogrodu Botanicznego, gdzie znajdował się ogromny drewniany podest, na którym tańczono. Na akordeonie grał jeden z kolegów”.

**Danuta Gozdek** (relację spisała Katarzyna Biernacka)

„Dzieci bawiły się na podwórkach. Młodzież chodziła do katedry na ul. Zielonej, gdzie odbywały się gry, zabawy, konkursy, „potańcówki”. Cała młodzież bawiła się do godz. 19<sup>00</sup>. Potem wszyscy razem wracali do domu”.

**Leokadia Pilch** (brak danych o spisującym relację)

## **Rodzina**

„Jestem z rodziny „wałęsowskiej” – ośmioro nas było, czterech braci i cztery siostry. Ja najmłodszy z mężczyzn. Urodziłem się w Minkowicach w 1911 roku, jeszcze za caratu. Mam skończoną zaledwie szkołę powszechną, skończyłem 7 klas z ledwością. Matka urodziła nas czternaścioro, a ośmioro żyło. Ojciec choćby chciał, nie był w stanie dać nam wykształcenia. Jako dzieciak miałem obowiązki – ojciec jak mi raz powiedział, to drugi raz nie powtarzał, jak w wojsku! Ojciec miał na imię Michał, a mama Rozalia. Starszy brat też nazywał się Michał. Ojciec pracował w majątku jako zastępca rządcy, był prawą ręką rządcy. Dziedzic umawiał się z rządcą co trzeba zrobić, a ten z kolei przekazywał ojcu. Ojciec wykonywał. Najstarszy brat zmarł w 1932 roku na gruźlicę. Pochowany jest na cmentarzu w Łańcuchowie. Ciężkie było wtedy życie. Mama wychowywała dzieci i zajmowała się domem. Dziadków nie pamiętam. Matka mi tylko nieraz o swoim ojcu opowiadała. Ojca ojciec miał na imię Piotr.

Moich rodziców przyjaciele dawno nie żyją. Ich dzieci porozjeżdżały się po wojnie do Ameryki, Francji, Anglii. Wszystko się rozpieczęściło! Nawet ja nie wiem gdzie są dzieci mojej najstarszej siostry. Po co szukać? Nie mam żadnego posagu, żeby im dać. Zaprosić do siebie? Nie wiem gdzie się z tym udać, gdzie można odszukać swoich krewnych. Najstarsza siostra zmarła w 1932 r. na gruźlicę. Przeziębila się, nie było leków... W Łańcuchowie pochowana – wtedy nie robili żadnych pomników, tylko drewniany krzyż postawili na grobie. W zeszłym roku byłem tam, nie ma już śladu, wszędzie pomniki. Nawet tego krzyża nie ma! Pamiętam, że pośrodku cmentarza była pochowana...”

**Józef Szachna** (relację spisały Eliza Żywicka i Magdalena Szot)

## Żydzi

„W miejscowości Rury Bonifraterskie, w której mieszkała moja rodzina i przodkowie, Żydzi nie mieszkali. Przyjeżdżali tylko w okresie letnim, by wydzierżawić od miejscowych rolników sady owocowe, w których budowali słomiane szałaszy na czas zbiorów. Spotykałem się z Żydami w latach młodości przy robieniu zakupów odzieży i obuwia. W ich sklepach artykuły te były tańsze. Sklepy usytuowane były przy ulicach – Lubartowskiej, Kowalskiej, Szewskiej na Podzamczu i Kalinowszczyźnie. Żydowski sklepikarze wyglądali bardzo ubogo – stali przed sklepami i zapraszali do środka na zakupy. Ubrani byli w skromne, ciemne ubrania. Na głowach mieli czapki – jarmułki oraz posiadali brody lub bokobrody. Stosunki między Polakami a Żydami, z mojej obserwacji, były bardzo chłodne, a niekiedy wrogie ponieważ żyli w swojej wspólnocie nie kontaktując się z innymi mieszkańcami Lublina. Również ich zwyczaje wynikające z religii powodowały ich izolację. Pamiętam Żydów prowadzonych w kolumnach przez Niemców z getta Starego Miasta do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Było to bardzo przykre przeżycie oraz okropny widok, ponieważ byli obdarci, brudni, wychudzeni z Gwiazdą Dawida na rękawach. Innych faktów dotyczących zwyczajów Żydów i ich dnia codziennego nie znam, ponieważ nigdy się z nimi nie zetknąłem”.

**Jan Słoboda** (relację spisał Maciej Słoboda)

„Na mojej ulicy mieszkali przede wszystkim Żydzi. W okolicznych kamienicach było tylko kilka polskich rodzin. Żydzi zajmowali się przede wszystkim handlem. To było ich główne zajęcie. Przeważnie mężczyźni zajmowali się zaopatrzeniem, a kobiety sprzedają. Żydzi prowadzili także różne warsztaty np. szewskie, krawieckie itp. Ja z Żydami byłam bardzo zżyta, bardzo ich lubiłam, ich narodowość nie miała dla mnie żadnego znaczenia. W moim otoczeniu wszyscy normalnie traktowali Żydów, bo przecież to byli nasi sąsiedzi. Oczywiście byli też tacy ludzie, którzy się z nich naśmiewali, drwili i gardzili nimi. Ja tego nie rozumiem, bo przecież oni niczym się nie różnili od Polaków. Czasami zdarzały się takie przykre sytuacje, kiedy śmiano się ze mnie, że mam koleżanki Żydówki. Ale niestety rasiści byli, są i będą zawsze. Do mojej szkoły chodziły także dzieci z żydowskich rodzin, ale istniały też specjalne szkoły żydowskie. Przeznaczone były tylko dla dzieci żydowskich, w których nauczyciele byli również Żydami. Szkoły te różniły się od polskich tylko tym, że był trochę inny tok i program nauczania. Zwykli Żydzi ubierali się tak jak Polacy, kupowali ubrania, które wtedy były najmodniejsze i najtańsze. Trudno odróżnić było nawet Żyda od Polaka. Natomiast chasydzi nosili bardzo długie pejsy, płaszcze aż do samej ziemi i kapelusze. Ich żony ubierały się bardzo podobnie, także nosiły bardzo długie suknie. Kobiety, którym się lepiej powodziło nosiły zakąty z popielic, które z wierzchu podbijane były jakimś czarnym materiałem. Na uroczyste okazje Żydzi nakładali czarne kapoty, czapki sobolowe i białe pończochy. Ich dzień powszedni wyglądał tak jak u Polaków, czyli praca i zajmowanie się domem. Ponieważ Żydzi świętowali w każdą sobotę, to już w piątek trwały przygotowania. My się cieszyliśmy, bo na ulicach było pusto i mogliśmy się ganiać. Żydzi świętowali w każdą sobotę, nazywane to było szabatem. Oni nie mogli



wtedy zapalić ognia ani światła, zawsze nas – Polaków wołali, żebyśmy to zrobili, w zamian dostawaliśmy cukierka. Do bardzo popularnych świąt należały także żydowski Nowy Rok i Sądny Dzień. Wtedy wszyscy Żydzi szli na modły z aksamitnymi woreczkami, z akcesoriami do modłów. Później wracali do domu i całą rodziną jedli różne świąteczne dania i owoce, których na co dzień nie jedli: winogrona, pomarańcze i arbuzy”.

**Wanda Sadawa** (relację spisała Katarzyna Sadawa)

## Wojna

„Na początku, kiedy umarł mój ojciec, było nam bardzo ciężko. Moja mama nawet hodowała świnię w piwnicy. Później nas wysiedlili. Niezameldowani mieszkaliśmy u siostry w bardzo skromnych warunkach. Bardzo wielkim przeżyciem dla nas było to, że w czasie bombardowania zginął mój stryjek wraz z całą rodziną. Także moje dwie siostry i brat umarli w czasie wojny z powodu braku lekarstw i pieniędzy na leczenie”.

**Wanda Sadawa** (relację spisała Katarzyna Sadawa)

„Od 1937 r. pełniłem wojskową służbę jako poborowy do Wojska Polskiego – służyłem w 12 Pułku Ułanów w Krzemieńcu. Gdy wybuchła wojna w 1939 r., byłem poza domem. Z wojska od razu wzięto nas na front. Walczyliśmy z Niemcami na terenie Krzemienca, później przyszedł rozkaz wycofania się do Lwowa. Przed wycofaniem dowódca odczytał na placu koło koszar odezwę, że zostaniemy zaatakowani z jednej strony przez Niemców, z drugiej atakują Sowieci. Dowódca zabronił podjęcia obrony i rozkazał dobrowolnie się poddać, nikt z nas nic nie rozumiał. Kiedy wkroczyli Sowieci, poddaliśmy się bez walki. Wzięto nas do niewoli, załadowali w wagony, wioząc w głąb Rosji. Trzykrotnie uciekałem, docierając do Lwowa z dwoma kolegami, a stamtąd pieszo do Lublina. Gdy doszedłem do Świdnika zatrzymał mnie patrol niemiecki. Zrewidowano mnie, następnie zaprowadzono do budynku, gdzie przetrzymywali jeńców wojennych. Następnie zaprowadzili nas do Lublina na ul. Plagięgo. Wtedy kilku z nas podjęło próbę ucieczki, w ten sposób dotarłem do domu”.

**Mieczysław Ignacy Smaga** (relację spisał Marcin Smaga)

„Dziadków Niemcy wyrzucili z domu rodzinnego, zburzyli go, Wujkowie poszli na wojnę. Dziadka siostrzeniec znalazł się na Majdanku, wyszedł (wykupiony), ale był już niespełna rozumu i ciągle usiłował popełnić samobójstwo – aż za którymś razem udało mu się – powiesił się. Nie był w stanie zapomnieć tamtych dni w obozie. My z matką i ojczymem również zostaliśmy wyrzuceni z domu, wszyscy mieszkaliśmy potem na ul. Lubartowskiej, Św. Mikołaja, coraz gdzie indziej”.

**Sabina Werman** (relację spisała Agnieszka Kubina)

„Pamiętam jak ojciec pracował w gazowni, był gazmistrzem, produkował gaz i smołę. Z Majdanka pod eskortą niemiecką przyjeżdżali Żydzi. Z gazowni wywozili smołę w beczkach. Żydzi byli bardzo wychudzeni. Pewnego dnia moja matka dała w ukryciu chleb jednemu z Żydów, ale zauważył to jeden z Niemców. Wyrwał matce

chleb i wyrzucił go, a matce kazał stanąć pod ścianą i chciał ją rozstrzelać. Dyrektor tej gazowni był Niemcem i poprosił go, aby tego nie robił. Dzięki temu Niemiec nie zastrzelił jej. Po tym incydencie osobom cywilnym nie można było zbliżyć się do Żydów. Gdy miałam 6 lat poszłyśmy z siostrą do koleżanki parę ulic dalej. Za okupacji od 20<sup>00</sup> zaczynała się godzina policyjna. Od koleżanki wyszłyśmy po 20<sup>00</sup>. Idąc ulicą natknęłyśmy się na patrol niemiecki z psami. Jeden z Niemców chciał puścić psy, ale nie pozwolił mu na to oficer niemiecki. Podszedł do nas i powiedział, abyśmy szybko wróciły do domu.

Pamiętam też łapankę na rynku. Z matką poszłam na targ. Kupiła ona słoninę. W tych czasach sprzedawało się ją po kryjomu. Niemcy obstawili targ i rewidowali ludzi. Matka w płaszczu schowała mi mięso, a ponieważ Niemcy nie rewidowali dzieci, puścili mnie. Osoby, które miały przy sobie mięso, były wywożone na Majdanek”.

**Brak danych personalnych** (relację spisała Ewelina Paprocka)

„Ja byłem w wojsku i na froncie, brat też. Rodzina była w Lublinie – siostra pracowała w piekarni „Gigant” na Podwalu, ojciec zwolnił się z cukrowni i kupił dorozkę z koniem. Wtedy było już dużo lepiej. Wujka zabrali, rozstrzelali, wywieźli na cmentarz. Za kaplicą na Unickiej pochowali. Pochowali trzech, wujka na samym spodzie. Rodziny tamtych przyjechały w nocy, wykopali i zabrali do siebie. Tylko wujek został. W 1988 r. przekopywałem grób – były jeszcze kości i szczyryk. Po tylu latach w ziemi w ogóle rdza nie wzięła, ostrze jak brzytwa ...”

**Wacław Pasek** (relację spisały Eliza Żywicka i Magdalena Szot)

### „Za poprzedniego ustroju...”

„Nie należałem do żadnej partii. W latach 1973 –76 pracowałem na stanowisku starszego majstra w bazie transportu. Wtedy zaczynała się budowa Huty Katowice. Z całej Polski wytypowano sześciu kierowców, którzy mieli sprowadzić samochody z zagranicy do Polski. Te czasy wspominam mile, ponieważ jeździłem do kapitalistycznych państw i mogłem patrzeć jak tam żyją. Różnica była kolosalna! W 1980 r. poszedłem na emeryturę. Załamany byłem, czułem się niepotrzebny. Rok przesiedziałem na działce, ale mi się znudziło. Kiedyś poszedłem do przedsiębiorstwa. Dyrektor zaproponował mi pracę. Trochę pracowałem w magazynie wojskowym. W 1986 r. pojechałem do Ruskich budować elektrownię. Budowę mieliśmy 700 km od Moskwy, w stronę Uralu. Zwiedziłem państwa kapitalistyczne i socjalistyczne. Tym się już zadowolilem i poszedłem spokojnie na emeryturę.

Człowiek wywalczył tę komunę. Potem pracował dzień i noc, żeby zarobić na rodzinę. Potem przyszedł Jaruzelski i zmiany. Starszym ludziom, takim jak ja, nie jest prosto to ocenić. Każdy człowiek ma jakieś przeżycia, żyje i nie może z myśli tego wszystkiego prędko wyrzucić. To wszystko gdzieś w nim tkwi. Przyzwyczaił się. Trzeba być obiektywnym, wszystko gdzieś w środku siedzi. Za poprzedniego ustroju – komunistycznego – kto należał do partii i był cicho, wykonywał obowiązki, umiał się podpisać lub nie, był niesamowicie faworyzowany. Lepiej żył ode mnie i od moich kolegów. Oni się nie bali głupszego od siebie. Tylko mądrzejszego od siebie nikt nie lubi!”

**Wacław Pasek** (relację spisały Eliza Żywicka i Magdalena Szot)

„1956 – powrót z Wybrzeża i osiedlenie się w Lublinie.

1968 – ślub mojej najstarszej córki

1970 – narodziny mojego wnuczka

1976 – narodziny moich dwóch wnuczek

1980 – przeżyłem stan wojenny oraz panowanie Solidarności.

W mojej rodzinie dużo osób zasłużyło się dla miasta np. mój mąż zasłużył się w odbudowie miasta po wojnie. Mój syn jako elektryk pomagał zakładać światła w kościołach, domach i różnych kamienicach”.

**Krystyna Orkiszewska** (relację spisał Robert Kurant)

„Wydarzenia w latach 1956 – 1976 były bardzo przygnębiające, ale też była jakaś iskierka nadziei, że ludzie upominają się o należyte im miejsce. W 1980 roku zabrakło nadziei. Stan wojenny, wielki dramat...”.

**Stanisław Wąsiel** (relację spisała Monika Krzysiak)

## Tradycje

„Najważniejszą tradycją była zawsze Wigilia Bożego Narodzenia. Cała rodzina zasiadała przy wigilijnym stole. Później Wielkanoc, przy jajku znowu wszyscy się spotykali. Do tradycji należało chodzenie całą rodziną do kościoła, do kina (raz na dwa tygodnie), na spacer y poza miasto”.

**Stanisław Wąsiel** (relację spisała Monika Krzysiak)

„Boże Narodzenie spędziłem tutaj, w Domu Starców. Był ksiądz, siostry zakonne, dyrektorzy. Wszyscy odnosili się do nas bardzo opiekuńczo. Składaliśmy sobie życzenia, wyszło to bardzo rodzinnie. W domu święta spędzało się tradycyjnie – wnuki biegały, w Nowy Rok wychodziło się z dziadkiem lub z tatą, nie można nas było ściągnąć do domu. Kiedyś nie było tak bogato, tak żeby na wszystko człowiek miał pieniądze. Teraz to tak trochę sztywno. W zapomnienie idzie... Nie ma kto tego podtrzymywać”.

**Wacław Pasek** (relację spisały Eliza Żywicka i Magdalena Szot)

„Obecnie w gronie rodzinnym spotykamy się często, z okazji imienin, urodzin, rocznic, Świąt Bożego Narodzenia, Świąt Wielkanocnych. Spotykamy się też bez żadnej okazji. Wszystkie moje dzieci, brat i jedna siostra mieszkają w Lublinie, dlatego też możemy spotykać się często. Z drugą siostrą, która mieszka na Śląsku, staram się spotykać przynajmniej raz w roku. Dawniej także często spotykaliśmy się całą rodziną. Pamiętam, że na takie okazje, jak Wigilia, czy Święta Wielkanocne przychodziło do nas także wielu sąsiadów. Zawsze było bardzo wesoło. W czasie Wigilii śpiewaliśmy kolędy i bywaliśmy czasami w kilku domach. Spotykam się z koleżankami, jeszcze z czasów dzieciństwa, z którymi byłam na kolonii. Spotykamy się i wspominamy dawne czasy, dawnych znajomych, oglądamy stare fotografie. Moja rodzina ma dużo znajomych i przyjaciół. Utrzymują ze sobą kontakty, odwiedzają się, organizują spotkania przy ognisku na działce w porze letniej. Urodziny spędzamy w gronie rodzinnym, najważniejszy jest tort, a na nim świece. Natomiast imieniny odbywają się w gronie rodzi-

ny i znajomych. Często organizujemy tzw. obiady rodzinne w niedziele. Na Wigilię i Święta Bożego Narodzenia oczywiście jest choinka, pod którą leży mnóstwo paczek i upominków, które później rozdaje najmłodsze dziecko w rodzinie. Bardzo dużo śpiewamy kolęd. Oczywiście na Wigilię musi być 12 potraw, a o północy wszyscy idziemy na Pasterkę. Na Święta Wielkanocne zawsze całą rodziną spotykamy się podczas śniadania, najpierw oczywiście jemy święconkę. W sobotę po południu zwiedzamy groby w najbliższych kościołach”.

Wanda Sadawa (relację spisała Katarzyna Sadawa)





*(...) miejsce jest bezpośrednią i nieruchomą granicą ciała otaczającego, będącego w styczności z ciałem otaczanym (...).*

Arystoteles, *Fizyka*, 212a

**Miejsce: τόπος**

---

Zbigniew Charytanowicz

## Genius loci\*

*miłość jest miejscem  
& przez granice tego  
miejsca może przebiegać  
(cichym i jasnym przejściem)  
każde inne miejsce*

*tak jest światem  
& wewnątrz tego  
świata przy sobie leżą  
(ogrzane wspólnym światłem)  
wszystkie inne światy*

e.e. cummings: „love is a place”

Definicja słownikowa mówi, że „genius loci” to duch władający lub opiekujący się jakimś miejscem. W mitologii rzymskiej „genius” to duch opiekuńczy, anioł stróż czy bóstwo opiekujące się człowiekiem lub miejscem. W zestawieniach „genius saeculi” – duch czasu, wieku czy „genius morbi” – charakter (przebieg) choroby dochodzą jeszcze inne odcienie znaczeniowe. W potocznym rozumieniu odczytujemy także te dwa łacińskie słowa jako „geniusz miejsca”, tzn. jego istota, niepowtarzalność, nastrój – również z uzupełnieniem, że ta inność jest w swojej wspaniałości i jedyności po prostu genialna. Mówi się na przykład, że dla bohaterów większości utworów F. Dostojewskiego takim „genius loci” jest Petersburg – z jego ulicami, mostami, zaułkami i czynszowymi kamienicami.

---

\* Tekst ten jest wykładem wstępnym inaugurującym cykl zajęć interdyscyplinarnego koła zainteresowań „Genius loci”. Spotkania w ramach tych zajęć prowadziło jednocześnie trzech nauczycieli (historyk, geograf, polonista), a brali w nich udział uczniowie różnych klas I LO im. A. J. Czartoryskiego w Puławach. W pierwszym roku pracy (rok szkolny 1995/96) dotyczyły one Iberii, w następnym (96/97) również innych „genialnych” miejsc (m.in. Italii, Irlandii, Szczebrzeszyna, Jerozolimy, Egiptu). Zajęcia zakończyły się wycieczką uczestników do Hiszpanii w lipcu 1997 roku.

Na pewno wielu z nas zastanawiało się nad tym, dlaczego lubimy pewne miejsca i chętnie tam przebywamy, a inne krępują nas, deprymują czy po prostu odpychają – jakby nie pasowały do naszej osobowości. Dlaczego jedni lubią góry i jadą tam przy każdej okazji, inni przedkładają towarzystwo wielkiego, tajemniczego i szumiącego tworu, jakim jest morze, jeszcze inni czują się najlepiej na Mazurach – z ich jeziorami, równinami, płatkami żaglówek. Jedni lubią elegancję wielkich europejskich metropolii, inni wolą błąkać się uliczkami starych, greckich miasteczek czy choćby Kazimierza Dolnego. W mniejszej skali ulubionym miejscem może być strych w starym domu babci, jakaś łąka czy las, a nawet nasza zwykła, domowa ubikacja, która może dać izolację i poczucie bezpieczeństwa w ferworze codziennych zmagani z życiem.

Czyż nieprawdą jest, że wszyscy lubimy starówki? Jest tak, jakby pewne miejsca miały nie tylko „ciało”, ale i „duszę”. Tak, jakby miejsce było rodzajem osoby. Osoby, która ma nam coś do powiedzenia. Coś oryginalnego i niepowtarzalnego. Która może nas też ubogacić, z którą można wchodzić w pewne relacje.

W innych z kolei miejscach czujemy się źle. Wielu przerażają płaskie, wielkie przestrzenie – gdzie czujemy się mali, niepotrzebni. Wydaje się, że idealnym miejscem jest takie, które pomaga nam być sobą, czuć się swobodnie, nie być intruzem, ale żyć w łączności z tym miejscem.

Takim zupełnie szczególnym miejscem jest bez wątpienia dom. Dom i jego okolice. Ponieważ jest on nam bardzo bliski, jest jakby częścią nas, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z łączności z domem, z poczucia więzi i przynależności. Rację miał Mickiewicz, gdy pisał o rodzinnej Litwie – „ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił!”.

Za miejscem tęskni się podobnie jak tęskni się za osobą.

Rozstanie z ukochanym miejscem, np. krainą dzieciństwa, jest bardzo popularnym motywem literackim czy filmowym. Przybywamy do nowych miast, nowych krajów, zostajemy tam, by na nowo zapuścić korzenie lub wędrujemy dalej. Gdzie wtedy szukać naszej tożsamości? Zajmuje się tym problemem Czesław Miłosz w swoim esejku pt. „Rodzinna Europa”. Jego droga życiowa (Litwa, Warszawa, Francja, San Francisco) daje dobry materiał do przemyśleń na temat miejsca. We wstępie do wspomnianej książki poeta pisze: „Korzenie moje są tam, na Wschodzie, i to jest pewnik. Jeżeli trudno albo przykro tłumaczyć, kim jestem, trzeba pomimo to próbować. Dziś, w dobie szukania i odkrywania na nowo jedności Europy, problem tożsamości każdego człowieka jest szczególnie ważny. Wydaje się, że kierunkiem poszukiwań wspomnianej jedności powinna być akceptacja wielości i różnorodności. Dostrzeganie w tym nie przeszkody w jednoczeniu, ale pomocy i bogactwa. Bo przecież fundamentem prawdziwej jedności nie jest jednakowość, ale (podobnie jak w rodzinie czy innych małych społecznościach) – bycie sobą wraz z otwarciem na drugiego i akceptowaniem jego inności”.

W tym kontekście jeszcze raz przyjrzeć by się można problemowi patriotyzmu, a więc szczególnego przywiązania do pewnej ziemi i pewnego narodu. Można powiedzieć o patriotcie, że nie tylko on jest jakby częścią swojej ziemi, kraju, ale także ta ziemia, ci ludzie, to miejsce jest częścią jego samego. Tą częścią, która w znacznym stopniu określa i determinuje jego tożsamość (nie tylko narodową). Jak w piosence:

*Dla Hucula nie ma życia jak na połoninie  
Gdy go losy w doły rzuca, wnet z tęsknoty  
zginie*

Zawsze istnieje, co prawda, niebezpieczeństwo przesady, nawet w tak szlachetnej rzeczy jak patriotyzm. Mówimy wtedy o nacjonalizmie czy szowinizmie. Podstawą dobrego, niezafałszowanego stosunku do swojego kraju i innych nacji wydaje się być trzeźwy osąd naszej rzeczywistości. Píše o tym Tadeusz Chrzanowski w piśmie „Akcent”, w artykule „Czy koniec zgody narodów?”. „Uważam się za patriotę i nie wstydę się tego wyświechtanego w ostatnich dziesięcioleciach słowa. Może nie bardzo ze mnie kandydat na Kościuszkę czy nawet na jakiegoś nieznanego żołnierza, ale jednak urodziłem się tu i to na mym losie zaważyło. Tak więc jakoś kocham ten kraj, nie taki znów do kochania ani śliczny jak wiele innych, zaledwie tu i ówdzie kształtny. Polską wcale się nie zachwycam, ale jednak jej przasných krajobrazów nie zamieniłbym ani na śnieżne szczyty Szwajcarii, ani na spieczone skały Hiszpanii, ani na wilgotną zielen Anglii. Są w nas uczucia i nastroje wylęte poza rozumem. Nie znoszę też na dobrą sprawę rodaków. Idąc ulicą, jadąc tramwajem, pociągiem, spoglądam na ich ziemniaczane twarzyczki z nieukrywaną niechęcią. Słucham ich bełkotów z nieustannie opanowaną furją, a przecież ja tych siermiężnych, przestrojonych w „non iron” Polaków nie zamieniłbym na nikogo; ani na innych Słowian, ani na żaden naród romański, o germańskich już nie mówiąc”.

Jak więc ocenić emigrację? Ludzi, którzy zmieniają ojczyznę, opuszczają tę pierwszą, by na nowo zakorzeńć się w jakiejś innej? Co o swojej tożsamości może powiedzieć emigrant? Zamiast odpowiadać na te pytania, zauważmy, że są wartości, które ludzie niekiedy przedkładają nad zakorzenie w konkretnym miejscu i wśród pewnych ludzi.

Chociaż to właśnie Adam Mickiewicz – emigrant i wieloletni tułacz po Europie – jako motta do swych „Sonetów krymskich” użył cytatu z Goethego:

*Wer den Dichter will verstehen  
muss in Dichter's Lande gehen*

\*

*Kto chce zrozumieć pisarza,  
ten musi udać się do jego kraju*

Można więc powiedzieć, że miejsce, gdzie wychowywali się lub mieszkamy w znacznym stopniu – zdaniem Goethego (i Mickiewicza) – wpływa na naszą osobowość (nie tylko, gdy jesteśmy pisarzami).

\*

Mieszkamy w Europie. Gdy popatrzymy na mapę tego kontynentu, zobaczymy wiele centrów kulturowych i cywilizacyjnych, które mogą nas fascynować, pociągać swoim bogactwem i różnorodnością: Italia, kraje germańskie, Grecja, Skandynawia, Francja,



Irlandia z jej tradycjami czy Iberia. Ale istnieje też cała Słowiańszczyzna i jej tradycja, którą można by nazwać „wschodnim płucem” Europy.

Ważności Wschodu dla naszego kontynentu dał wyraz Jan Paweł II, który patronami Europy uczynił – oprócz św. Benedykta – również świętych Cyryla i Metodego.

Notabene, dla innych myślicieli podział na Wschodnią i Zachodnią Europę jest sztuczny, słabo odnoszący się do historii i kultury kontynentu. Według nich naprawdę, Europa dzieli się na Południową i Północną. Południe to cała kultura śródziemnomorska – korzenie naszej cywilizacji, a Północ to barbarzyńcy, ci, którzy przychodzili grabić i niszczyć.

Od XVI wieku Południe stało się dla odmiany celem podróży mieszkańców Północy. Dla potomków barbarzyńców Południe to Wieczne Miasto, wysublimowana kultura, antyczne zabytki. Podróże w celach naukowych, artystycznych czy religijnych (pielgrzymki) zmieniają się w końcu w zwykłą turystykę. Ta z kolei może być bardzo różna – najczęściej jest powierzchowną i płytką wizytą bogatego i wyrachowanego mieszkańca Północy w najpiękniejszych miejscach biedniejszego, ale kulturowo inspirowanego Południa. Sytuację tę określił Zbigniew Herbert tytułem swojego zbioru esejów – „Barbarzyńca w ogrodzie”.

Idea podróży wiąże się z poznawaniem miejsc nowych, jest więc, nawiązując do wątków wcześniejszych tego artykułu, jakby zdobywaniem nowych przyjaciół, jest poszerzeniem, ubogaceniem naszej osobowości. Odrzucając od siebie pomysł turystyki „autobusowej”, pośpiesznej, polegającej na „zaliczaniu” obiektów wielogwiazdkowych – zaproponujemy dogłębny kontakt z nowym miejscem poprzez stopniowe poznawanie geografii, historii, kultury, języka wybranej krainy. W pierwszej fazie zajęć „Genius loci” będzie to Iberia, a więc dzisiejsza Hiszpania i Portugalia traktowane w całej rozciągłości historycznej i kulturowej. Oto niektóre propozycje tematów: ziemie Półwyspu Iberyjskiego w czasach antycznych, wpływy arabskie (np. w architekturze), wpływy żydowskie, malarstwo hiszpańskie, muzyka hiszpańska, wielkie odkrycia geograficzne, podstawy języka kastylijskiego, najwięksi władcy Półwyspu, specyfika Andaluzji, corrida, flamenco, postać gen. Franco...

Szczególnym rodzajem podróży jest pielgrzymka. Jest to wędrowanie do jakiegoś szczególnego miejsca, miejsca często uważanego za święte. Czy będzie to Rzym, Częstochowa czy Mekka, a może Santiago de Compostella w Hiszpanii – celem pielgrzymki jest ubogacenie duchem tego szczególnego miejsca. Wędrowiec wraca do domu zmieniony.

Biblijnym wzorcem podróży czy pielgrzymki jest droga do Ziemi Obiecanej. Ziemi płynącej mlekiem i miodem, miejsca, gdzie będę syty i szczęśliwy. Jednakże droga do tej wspaniałej ziemi wiedzie przez pustynię. Pustynia może symbolizować uciążliwość i nasz wysiłek w dążeniu do celu pielgrzymowania. Obraz drogi, która nie należy do żadnej przestrzeni, a wiedzie przez wszystkie, pokazuje nasz rozwój, doskonalenie się.

Czy w naszej wędrówce odnajdziemy miejsce, które będzie idealne dla naszej osobowości? Czy znajdziemy, odkryjemy swoją „małą ojczyznę” – taką – jaką dla wielu Polaków był Lwów, Wilno, czy inny zakątek Kresów Wschodnich (gdzie współistniały i łączyły się ze sobą kultury Polaków, Rusinów, Litwinów, Żydów, Ukraińców)?

Ruszajmy więc w drogę.

## Różnorodność Małych Ojczyzn – rozmowa z Andrzejem Zielińskim wicewojewodą lubelskim

**Andrzej Zieliński** – ur. 1955 r.; w latach 1974-1979 studiował historię w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim; Od 1991 roku dyrektor Zespołu Szkół nr 2 (LO) w Lubartowie. Obecnie wicewojewoda lubelski.

---

**Adam Dobrzyński:** *Obecnie prawie w całym kraju nastąpił wzrost zainteresowania społeczności lokalnymi. Wiele mówi się o decentralizacji kultury, integracji regionów, znaczeniu „Małych Ojczyzn” w skali całego kraju, a jak Pan rozumie rzeczywistość „Małych Ojczyzn”?*

**Andrzej Zieliński:** Moim zdaniem jest to codzienna praktyka funkcjonowania społeczeństwa obywatelskiego na poziomie lokalnym. Do końca lat 80 obowiązywała doktryna pełnej atomizacji społeczeństwa, teoretycznie i praktycznie artykułowana i kontrolowana przez agendy partyjno-państwowe. Dziś społeczność lokalna organizuje się według określonych przez siebie zadań. Zadania te stanowią o przynależności do środowiska i własnego regionu. Są praktyczną realizacją wizji zdecentralizowanego państwa, realizują rozszerzenia uprawnień demokracji lokalnej.

Na tym tle zjawisko „Małych Ojczyzn” można dostrzegać w trzech płaszczyznach. Po pierwsze na płaszczyźnie społecznej, czyli na płaszczyźnie związków międzyludzkich, wynikających z zainteresowania jednostek lub grup społecznych. Należą do nich głównie zainteresowania kulturowe. Płaszczyzna ta wiąże ludzi, ubogaca ich, a przede wszystkim umożliwia wzajemne poznanie. Drugą płaszczyznę, którą należałoby wyróżnić jest płaszczyzna ekonomiczna. Na jej poziomie ludzie wiążą się wy-

pracowując dochód, wzbogacając kasę gminną bądź miejską. Dochód ten wykorzystywany jest później dla dobra danej społeczności poprzez finansowanie zadań bieżących oraz różnego rodzaju inwestycje, jak np. budowanie nowych szkół, obiektów sportowych, mieszkań, dróg itp. Płaszczyzna ta jest ważna z tego względu, że podnosi standard życia. Jest jeszcze trzecia płaszczyzna, która szczególnie ostatnio odgrywa istotną rolę – płaszczyzna ideowa. Wiąże ona ludzi wokół określonych programów, realizowanych bądź to przez daną partię polityczną, bądź przez różnego rodzaju stowarzyszenia, fundacje i to nie tylko o charakterze politycznym, ale również o charakterze prospołecznym (np. instytucje charytatywne). Często wiążą się one ze sprawowaniem władzy, z podejmowaniem decyzji odnośnie danej społeczności lokalnej. Jest to płaszczyzna o tyle istotna, że ludzie angażujący się w tę działalność mogą wzbogacić, dowartościować siebie poprzez pomoc innym.

**A.D.:** *Jak głęboko sięga problematyka „Małych Ojczyzn”, czy pojawiła się ona dopiero po roku 1989?*

**Andrzej Zieliński:** Nie jest to zjawisko wyłącznie ostatnich lat. Wcześniej też istniało, ale stanowiło głównie tło działalności towarzystw regionalnych. Pojęcie to było przede wszystkim związane z prywatnymi zainteresowaniami, z dodatkową formą tzw. społecznościowej działalności.

W 1990 roku powstał samorząd terytorialny, który ustawowo przejął rolę gospodarza terenu, a nie jak dotychczas był jedynie częścią administracji rządowej. Odtąd reprezentacja samorządu grupowała ludzi wybranych w autentycznych całkowicie wolnych i demokratycznych wyborach, ludzi odpowiedzialnych przed społecznością, która ich wybrała. Reprezentacja ta podjęła się bardzo ważnego zadania: odnawiania i utrwalania więzi lokalnych, układania wzajemnych relacji i prawdziwie obywatelskiego współdziałania użytkowników dzielnicy, miasta, gminy.

**A.D.:** *Wydaje się, że aby dojść do poczucia wspólnoty w ramach „Wielkiej Ojczyzny”, konieczne jest to, abyśmy byli gdzieś zakorzenieni, abyśmy mieli „Małą Ojczyznę”. Musimy zatem określić stosunek między „Małymi Ojczyznami”, a „Wielką Ojczyzną”. Jakie jest Pana stanowisko w tej sprawie?*

**Andrzej Zieliński:** Sądzę, że wielkość państwa, jego znaczenie zależy od dużej liczby różnorodności. Im większą różnorodnością odznacza się państwo pod względem politycznym, religijnym, językowym itp., tym więcej wnosi do kultury ogólnoswiatowej. Rzecz tylko w tym, aby te „Małe Ojczyzny” przez tendencje odśrodkowe nie decentralizowały najcenniejszych wartości narodu, lecz współdziałały na rzecz jego rozwoju.

**A.D.:** *Ostatnio wiele mówi się o integracji z Unią Europejską. Czy według Pana jest to szansa, czy wręcz przeciwnie, zagrożenie dla „Małych Ojczyzn”?*

**Andrzej Zieliński:** Jest to ogromna szansa. Nie znam kraju, który by stracił z powodu wejścia do Unii Europejskiej. Nie znam również kraju, który po wejściu do Unii Europejskiej chciałby z niej wystąpić. Już teraz, jeszcze nie będąc członkiem Unii Europejskiej utrzymujemy współpracę między miastami, między regionami zarówno na Zachodzie, jak również na Wschodzie i to w sposób wręcz żywiołowy, przynoszący bardzo dobre efekty. Obserwujemy także wiele inicjatyw społecznych, gospodarczych, kulturowych, które świadczą o tym,

że wbrew sytuacji geopolitycznej od lat jesteśmy związani z Europą. Dla nas jedynym poważnym wyzwaniem jest to, aby być równorzędnym partnerem. Cele Unii Europejskiej nie stoją bowiem w sprzeczności z celami poszczególnych krajów wchodzących w jej skład. Nie są także sprzeczne z celami poszczególnych regionów. Jest ogromne zainteresowanie tym, aby wspierać różnego rodzaju organizacje, instytucje, związki i fundacje, które kultywują ową odrębność lokalnych tradycji. Bardzo często pozarządowe i lokalne inicjatywy mogą liczyć na wsparcie finansowe bardziej niż struktury rządowe.

**A.D.:** *A jaką rolę miałyby pełnić „Małe Ojczyzny” w powrocie do polskiej tradycji i jej współtworzeniu?*

**Andrzej Zieliński:** Przede wszystkim przedstawiciele demokracji lokalnej mają realny wpływ na decyzje podejmowane na poziomie najniższym. To oni decydują o tym, gdzie zostanie wybudowana szkoła lub droga, czy też jaki charakter będzie miała opieka społeczna. Poza tym, tak naprawdę, to więzi z tradycją lokalną nigdy nie zostały utracone. Pewne ośrodki nieprzerwanie od wielu lat słyną z targów, jarmarków, festiwali itp. Świadczą one o dużej żywotności lokalnej społeczności, o poczuciu własnej wartości i odpowiedzialności za własne życie. Zadaniem państwa powinno być wspieranie tej samodzielności.

**A.D.:** *Pańska „Mała Ojczyzna” – Lubartów i Ziemia Lubartowska to miejsce szczególne. To tutaj przez kilka wieków żyli obok siebie ludzie należący do różnych kultur: żydowskiej, protestanckiej, prawosławnej. Jak Pan, jako historyk, ocenia rolę owych tradycji w historii Lubartowa?*

**Andrzej Zieliński:** Lubartów nie jest moim miastem urodzenia. Mieszkam jednak tutaj od dwudziestu kilku lat i czuję się z tym miastem bardzo związany, nie tylko przez miejsce zamieszkania, ale również emocjonalnie. Jest to moje miasto i mam świadomość odpowiedzialności za nie, za los jego mieszkańców. Lubartów był miastem specyficznym z kilku powodów. Przede wszystkim z tego względu że

był miastem otwartym na przybyszów nie tylko z innych części Rzeczypospolitej, ale także cudzoziemców. Przybywali tutaj ludzie z Holandii, Flandrii, Niemiec, przybywali wyznawcy judaizmu, wyznawcy prawosławia, kalwini i arianie. Ta otwartość niezwykle wzbogacała ówczesną społeczność miasta od strony kulturowej. To tutaj odbywały się słynne dysputy religijne z arianami, to także tutaj na bardzo wysokim poziomie było szkolnictwo gimnazjalne. Obok tego rozwijało się kupiectwo i usługi, szczególnie w XVIII wieku za czasów mądrego mecenatu Sanguszków.

Wielką zaletą tego miasta było również to, że znaleźli się ludzie, którzy doprowadzili do takiego stanu, że koegzystencja tych grup zróżnicowanych pod względem religijnym, narodowościowym, językowym była niezwykle harmonijna. Nigdy nie doszło tutaj do poważnych wystąpień antyreligijnych, czy antynarodowościowych. Zjawisko ksenofobii oczywiście istniało, ale było czymś tak marginalnym, że nie decydowało o wizerunku miasta.

**A.D.:** *Czy obecnie te wpływy są również widoczne?*

**Andrzej Zieliński:** Bezpośrednio nie są one aż



tak widoczne jak dawniej. Niemniej Lubartów ciągle jest miastem otwartym. Chętnie przyjmuje gości, jeśli tylko mają coś pozytywnego do zaoferowania.

Słynie również z bardzo dobrze rozwijającego się kupiectwa. Jeszcze do niedawna ludzie z Lublina przyjeżdżali do Lubartowa na zakupy. W 1996 roku w samym mieście było zarejestrowanych około tysiąca podmiotów gospodarczych. To świadczy najlepiej o skali rozwoju. Oprócz te-

go jest jeszcze jedna cecha charakteryzująca Lubartów. Jest nią to, że społeczność Lubartowa potrafi się szybko podnieść z kryzysu. Ludzie tu mieszkający nie czekają na pomoc z zewnątrz, ale starają się radzić sobie sami z różnego rodzaju trudnościami. To są cechy, moim zdaniem, na których wykształcenie realny wpływ miała koegzystencja tych bardzo zróżnicowanych społeczności.

**A.D.:** *Dziękuję za rozmowę!*

Opracowanie:  
Adam Dobrzyński

## Na cmentarzu

Przychodziła codziennie na cmentarz z bukietem świeżych kwiatów. Stawiała je na grobie męża, po czym siadała na ławeczce i szeptała modlitwy. Bywało, że rozmawiała o zmarłym z ludźmi przychodzącymi odwiedzać sąsiednie groby.

– Widzi pani, zmarłego nawet na uszanują, wszystko podeptali... – mówiła ocierając łzy. – Wczoraj nasadziłam bratków i niech pani zobaczy... Ani jednego... Co się dzieje na świecie, żadnej już świętości nie ma widać dla ludzi, skądinąd boskie. Żeby tak z grobu ukraść to już nie ma człowiek słów... I te kury jeszcze, niech pani patrzy... Ludzie wstydu ani zrozumienia dla drugich nie mają... Wypuszczają kury na cmentarz, jak na jakie pastwisko... Czy się już Boga nie boją, czy co... – Milczała przez chwilę lekko pochlipując. Wpatrywała się w tabliczkę na krzyżu. – Dobry był, nie powiem, bardzo dobry... Czasami uwierzyć nie mogłam, że takie szczęście mnie spotkało. Nie uderzył mnie nigdy, nawet nie krzyknął... Dobry człowiek... Nacierpiał się w życiu wiele, oj nacierpiał... Jak Niemcy przyszli, to go tak zbili, że niby to tej volkslisty podpisać nie chciał. Miesiąc leżał bez ruchu, mówić prawie nie mógł. Cały był w siniakach czarny aż. Myślałam wtedy, że nie przeżyje. Ale młody był, wydobrzeł, tylko że to potem wszystko na starość wychodzi... Pod koniec to już z łóżka nie wstawał, patrzył tylko na mnie tak jakoś dziwnie... Modliłam się, żeby nie umarł, ale taka widać była wola Boska. Chciałam, żeby to on mnie pochował, myślałam, że jego śmierci nie zniosę. Ale człowiek dużo wytrzyma. Przyzwyczałam się, przychodzę tu i z nim rozmawiam. On też do mnie przychodzi. Jak śpię, to przychodzi. Zawsze pyta o wszystko, co robiłam w ciągu dnia. Przytula mnie nawet czasem, tylko zimny jest taki, niby lód... I nie chce nic mówić o sobie, o tym jak mu tam jest... Pytam go często, powiedz mi jak tam ci jest, ale on wtedy milknie, smutnieje i odchodzi. Często żartował sobie, że po śmierci będzie do mnie przychodzić i słowa dotrzymał, tylko nigdy nie chce powiedzieć, jak tam jest... Widać człowiek nigdy się tego nie dowie... Sama teraz jestem, dzieci szkoły pokonczyły i do miasta poszły. Rzadko przyjeżdżają, w mieście życie ciężkie, czasu im brakuje. Wnuki też mam, przyjeżdżają czasami, ale nie rozumieją starych. Swoje życie mają, inne problemy. Czasami nawet śmieją się ze mnie, że ze zmarłym rozmawiam, Nie rozumieją... Taki już los... A sio! Precz stąd – krzyknęła na kurę zbliżającą się do grobu i uderzyła laską o ziemię. – No widzi pani, co człowiek ma na to powiedzieć, żadnego szacunku dla zmarłych, jakby tu wysypisko śmieci jakies było. Ludzie tego nie rozumieją, swoje życie mają, o śmierci nie myślą. A przecie

wszystkich nas ten sam los czeka... Prędzej czy później... Trzeba się pogodzić. Nic człowiek nie poradzi. – Milczała przez chwilę wpatrując się w płonące znicze. – Tak sobie czasem myślę, jak ten czas leci... Jak zwariowany... Ani się człowiek obejrzy, a już stary i sił brakuje... Też młoda byłam, ludzie umierali, ale nie myślałam o tym, jakoś inaczej było... Człowiek jak młody to nie myśli o śmierci, żyć chce, nie umierać... Potem dzieci urodziłam, szybko z domu poszły i znowu sama zostałam... Kto to wie, co nas tam czeka... Mój przychodzi do mnie, ale ksiądz powiedział, że to zabobony, że niby śnię tylko, bo zmarły przyjść nie może do żywego... Sama nie wiem... Może to i zabobon jakiś rzeczywiście... Za głupi człowiek, żeby wszystko pojąć. Ale i uczone nie wiedzą... Właściwie to czekam zawsze, żeby przyszedł. Nie boję się wcale, no bo i czego się bać... Mąż przecie, nic złego mi nie robi. Taki dobry był zawsze, wesoly. A teraz smutny się robi, jak go zapytam, czy mu tam dobrze... Mówię do niego, żeby mnie zabrał do siebie a on wtedy odwraca się i odchodzi. Raz nawet wydało mi się, że powiedział „zostań Anuszka, nie spiesz się”, ale nie powiedział, dlaczego... Pytałam księdza, czy tam ludziom dobrze, ale powiedział tylko, że modlić się trzeba o zbawienie. Modlę się, nie powiem, i na mszę trzy razy do roku daję i na wypominki zaniosę, ale człowiek chciałby wiedzieć, jak tam jest... No bo niech pani sama powie, co to ludzi było już przed nami i gdzie się oni wszyscy mogą tam podziać... Jakiś jeszcze większy świat od naszego musiałby tam być... – Zamilkła znowu na chwilę. Zaczęła rysować jakieś kreski laską na ziemi. – Niech pani powie, po co człowiek właściwie żyje na tym świecie... Starzeje się, choruje, namęczyć się musi, żeby na chleb zarobić, potem umiera i inne po nim przychodzą. Dobrze, że dzieci są, będzie miał kto nad trumną zapłakać albo świeczkę na grobie zapalić. Lżej będzie umierać, jak ktoś jeszcze po człowieku zostanie. Mój też mówił, że mu lżej umierać jak mnie widzi przy sobie... Ale co ja, pani mogłam mu pomóc... Cierpiał długo, ale nie pokazywał po sobie... Nie chciał mnie martwić, żartował nawet czasami... Pod koniec dopiero mowę stracił i pamięć mu się pomieszała... Woła mnie, chociaż siedziałam przy nim cały czas... Nie poznawał już mnie... Mówiłam do niego, że jestem, ale nie słyszał... Sama byłam, jak umarł... Całkiem cicho, jakby zasnął... Spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział... – Otarła łzy. – Taki już los człowieka... Nie wie, po co żyje... Ale żyć przecie trzeba... Pacierz jeszcze zmówię i będę pomału szła... Może listonosz list jaki przyniesie, muszę być w domu, bo ze skrzynki dzieci sąsiadów zabierają... Do sklepu jeszcze po drodze wstąpię...

Marta Jedliczko

## Piećło w opowiadaniach Isaaka Bashevisa Singera

Istnieje grupa motywów, które w twórczości Isaaka Bashevisa Singera pojawiają się najczęściej. Obok problematyki zagubienia, alienacji, patologicznych stanów duchowości, sytuacji granicznych, metafizycznego doświadczenia, fizycznego i moralnego rozkładu, namiętności prowadzących do upadku, ważne miejsce zajmuje w twórczości żydowskiego pisarza problem piekła.

Dokonując analizy motywu piekła w prozie Isaaka B. Singera należy pamiętać, że pisarz przedstawiając rzeczywistość piekła dla jej określenia używa także innych terminów. Piećło często jest nazywane gehenną, szeolem, „zaczarowanym krajem”, „miastem Kaina” czy „Czterdziestoma Dziewięcioma Bramami Skalania”.

Ujęcie tego motywu, jakie pojawia się w opowiadaniach Isaaka B. Singera, jest związane z całościowym obrazem wierzeń żydowskich i żydowską eschatologią, a także z podstawowymi źródłami, z których wywiedziono wiedzę potoczną i praktyczną na temat piekła i demonów.<sup>1</sup>

Celem niniejszej pracy nie jest jednak interpretacja piekła jako motywu obecnego w prozie Isaaka B. Singera w zestawieniu z wyobrażeniami biblijnymi, talmudycznymi i kabalistycznymi, lecz próba ukazania motywu piekła przez wzgląd na różnorodność problemów, jakie ów motyw skupia w sobie, a także ze względu na wielorakie funkcje, jakie pełni on w opowiadaniach żydowskiego pisarza.

Spróbujemy więc zwrócić uwagę na to, w jaki sposób mówi się o piekle w prozie Isaaka B. Singera, jaka atmosfera najczęściej piekła towarzyszy, co przywołuje piećło, kiedy nie pojawia się ono jako właściwy temat utworu, ale istnieje w nim jako obraz pomocniczy.

Na początku przyjrzymy się tym utworom Isaaka B. Singera, w których motyw piekła jest zarysowany bardzo wyraźnie, on to bowiem kształtuje całą konstrukcję fabularną opowiadań.

**„Tam, gdzie niebiosa są miedziane, a ziemia żelazna, na polanie pełnej muchomorów, w rozwalającej się szopie, na kupie gnoju, w garnku bez dna [...]”<sup>2</sup>**

Tradycja rabinacka głosi, że grzesznicy skazani na cierpienia w „ogniach piekielnych” mieli być poddawani torturom, które odpowiadałyby występkom, jakich dopu-

ścili się na ziemi. I tak złodzieje musieli napędnąć wodą zbiornik, którego nie będą w stanie nigdy wypełnić do końca. Grzeszący za życia nieczystością pogrążali się w cuchnącym grzechawisku. Oszczerców wieszano za języki, za powieki tych, którzy grzeszyli poządliwością oczu. Byli i tacy, którym kazano spożywać gorącą oliwę, rozżarzone węgle, proch albo piasek.<sup>3</sup>

W niewielu opowiadaniach Isaaka B. Singera można znaleźć opisy tortur zadawanych grzesznikom odbywającym karę w piekle, rzadko zdarza się też, by piekielne cierpienia pokutujących były właściwym tematem jego utworów. Często jednak pojawiają się krótkie, czasem dłuższe wzmianki, będące przywołaniem piekła, istniejące jako relacje o torturach zadawanych w piekle przez demony. Takie przywołania motywu piekła są wtedy związane z zasadniczą linią tematyczną opowiadania, choć nie stanowią jego głównego tematu.

Istnieje jednak grupa utworów, w których piekło pojawia się jako konkretna, przedstawiona rzeczywistość, usytuowana „dziewięć łokci pod ziemią”<sup>4</sup>, zamieszkała przez demony, które od światła i istot ludzkich chroni „dziewięć łokci twardej skały”.<sup>5</sup>

Demony poddane zostają bardzo szczegółowej charakterystyce: istnieją jako byty cielesne, ich ciała składają się z pajęczyn, mają kurze łapy, skrzydła nietoperza, osłe uszy i rogi.<sup>6</sup> Głównym zajęciem demonów w piekle jest zadawanie tortur. Ale w opowiadaniach Isaaka B. Singera „same diabły nie są jeszcze takie złe. Najbardziej wyżywają się diabolicie, rozkazujące nieszczęśnikom: Zbierz szumowiny z gotującego się rosółu gołymi rękoma! Zapleć warkocze bez pomocy palców! Zrób pranie bez wody! Łap ryby w gorącym piasku! Zostań w domu i chodź po ulicach! Kap się bez zamoczenia! Ubij masło z kamieni! Rozbij beczkę bez rozlania wina!”<sup>7</sup>

Taki obraz tortur przedstawiony przez Isaaka B. Singera oczywiście wykracza daleko poza ten, jaki prezentuje tradycja rabinacka, a to może wskazywać na artystyczne wykorzystanie motywu piekła.

Charakteryzując kary zadawane w szeolu, tradycja żydowska powiada, że kary w piekle ulegają zawieszaniu tylko na święty dzień szabatu.<sup>8</sup> I tutaj wizja piekła zaprezentowana przez żydowskiego pisarza jest w pełni zgodna z tradycją. Przytoczmy fragment jednego z opowiadań:

„Jak wiadomo, w szabas ognie piekielne nie płoną w gehennie. Łoża nabite gwoździami są przykryte prześcieradłami. Haki, na których zawieszają się grzeszników, zarówno mężczyzn, jak kobiety – oszczerców za język, złodziei za ręce, rozpustnice za piersi, goniących za grzesznym życiem za nogi, te haki są osłonięte zasłonami. Stosy rozżarzonych do czerwoności węgla i zlodowaciałego śniegu, na które rzuca się winowajców są tego dnia niewidoczne. Aniołowie zniszczenia odłożyli swe płonące bicze. Grzesznicy zachowują pobożność [...] – idą do małej synagogi, gdzie nikczemny kantor intonuje szabasowe modły.”<sup>9</sup>

Taka wizja piekła nie budzi zapewne wątpliwości, z kilkoma może wyjątkami. Niepokoić może obecność w piekle takich elementów, jak synagoga, pobożni grzesznicy, kantor czy gwoździe – narzędzie tortur – przykryte prześcieradłami.<sup>10</sup> Jednakże wymienione elementy wskazują niewątpliwie na artystyczne ukazanie piekła, bowiem dzięki nim piekło staje się rzeczywistością sakralną!<sup>11</sup> Sacrum pojawia się tutaj jako kategoria



bezpośrednio doświadczana przez grzeszników świętujących w gehennie, świętość dnia sobotniego nawet w piekle nie podlega problematyzacji ani wątpieniu. A stąd blisko już do odczytania znaczeń ogólniejszych, mających swoje źródło w kabalistycznej księdze Zohar, która głosi, że żadne miejsce, żadna rzeczywistość (w tym również rzeczywistość piekła) nie jest wolna od obecności Boga, którego światło wypełnia wszystkie światy.<sup>12</sup>

Warto zwrócić uwagę na nastrój, jaki wypełnia całość opowiadania, którego celem jest przedstawienie rzeczywistości piekła. Już sam fakt, że grzesznicy zachowują w piekle świętość dnia sobotniego wraz ze wszystkimi nakazami tradycji, jakie temu towarzyszą przyczynia się do tego, że piekło jawi się nam jako rzeczywistość wypełniona harmonią i spokojem. Taki nastrój mija jednak wraz z końcem szabatu:

„Skończył się szabas. Płomienie znów skoczyły w górę. Gwoździe na łożach rozżarzyły się od gorąca. Karzące czarty znów chwyciły za różgi i na nowo wybuchły zawożenia towarzyszące chłości, smaganiu i wieszaniu.”<sup>13</sup>

W taki sposób przedstawione piekło jest obrazem bardzo statycznym (mowa oczywiście o piekle ukazanym w czasie szabasu), trudno bowiem mówić o dynamice, kiedy treść opowiadania wypełniają jedynie rozmowy, nie działania bohaterów.

Istnieje jednak w twórczości Isaaka B. Singera grupa utworów, w których motyw piekła pojawia się jako motyw bardzo dynamiczny. Są to opowieści o demonach...

#### **„Ziemia jest pełna złych duchów.”<sup>14</sup>**

Dokonując przeglądu prozy Isaaka B. Singera często napotykamy na utwory, w których piekło pojawia się na ziemi. Dzieje się tak za pośrednictwem demonów, które egzystują razem z ludźmi i nie ustają w swych uwodzicielskich poczynaniach, by świątobliwych sprowadzić na drogę nieprawości.

Demony bardzo często stają się narratorami opowiadań, dokonują przy tym własnej autoprezentacji, zdradzają swoją tożsamość. Narrator opowiadania „Papież Zejdł” jest demonem. Mówi o sobie: „W przeszłości w każdym z pokoleń traślaem na kilka osób, których ja, Szatan, nie potrafiłem zepsuć zwykłymi metodami.”<sup>15</sup> Także w innych opowiadaniach pojawiają się podobne wypowiedzi, których autorami są demony: „Ja, demon [...] jestem Żydem”<sup>16</sup>, „Jestem jejcer hore, Zły Duch, Szatan”<sup>17</sup>, „Ja, Zły”<sup>18</sup>.

Taki typ narracji sugeruje, że pojawiający się za sprawą demonów motyw piekła będzie ściśle związany z zasadniczą linią tematyczną opowiadania, wokół postaci demonów, wokół ich działań zostaje bowiem skoncentrowana fabuła utworu, zadaniem zaś odbiorcy staje się obserwacja poczynañ złych duchów.<sup>19</sup> Przeprowadzona w ten sposób narracja pozbawia utwór nastroju tajemniczości, właściwego przecież wszelkim opowieściom o demonach.

Tajemniczy nastrój wypełnia natomiast inną grupę opowiadań Isaaka B. Singera. Dzieje się tak wtedy, gdy złe duchy pojawiają się na ziemi pod ludzką postacią, zaś sama fabuła utworu staje się ich powolnym odkrywaniem, demaskacją. Oto jedno z takich opowiadań: w ubogim miasteczku nagle zjawia się nieznanomy, tajemniczy „pan z Krakowa”, który rozdając jałmużnę natychmiast zyskuje sobie sympatię mieszkańców. Udaje mu się nakłonić pobożnych Żydów, by urządzili w miasteczku bal (choć

to „odpowiednie dla bogatych gojów”<sup>20</sup>), na którym nieznajomy będzie mógł znaleźć dla siebie zonę. W efekcie bał przeistacza się w szaloną mistyfikację, bowiem „pan z Krakowa” zarządził, by wszystkie dziewice wyszły tego wieczoru za mąż, choć żadna z nich nie była jeszcze zaręczona.<sup>21</sup> Pary zostały skojarzone drogą losowania, zaś „pan z Krakowa” wybrał dla siebie dziewczynę, która w miasteczku uważana była za ladacznicę. I kiedy już udało się nieznanemu zapanować nad całą społecznością, tak bardzo podatną na religijny fanatyzm, wtedy „pan z Krakowa” ujawnił swoje prawdziwe oblicze. Nie był już tym młodzieńcem, którego witali mieszkańcy miasteczka, ale dziwnym stworem pokrytym łuskami. W okolicy piersi miał jedno oko, a na czole róg [...]. Jego ramiona pokrywała sierść, kolce i kępki zwichrzonych kłaków, a ogon stanowiły wijące się węże. Nie był to nikt inny, ale sam Ketew M'riri, najważniejszy ze wszystkich diabłów.”<sup>22</sup>

Widzimy więc, że demaskacja złego ducha stała się najważniejszym celem opowiadania, a towarzyszący temu nastrój grozy zaistniał jako ważny element konstrukcyjny fabuły.

W żydowskiej tradycji obok demonów rodzaju męskiego, występuje także żeński demon – Lilith<sup>23</sup>, będąca archetypem kobiecej frustracji i symbolem bezpłodności. To właśnie z jej powodu przybył do Frampola „pan z Krakowa”. Zauważamy więc, że ziemia staje się miejscem, gdzie demony łączą się ze sobą, a w ten sposób i piekło za ich sprawą przeniesione zostaje na ziemię.

W opowiadaniach Isaaka B. Singera często dzieje się tak, że bohaterowie słyszą nawoływania demonów, choć nie mogą ich zobaczyć. Tak zaistniałe w utworze złe duchy próbują najczęściej zanegować istnienie Boga („Nie ma sędziego i nie ma sądu, korzystaj z życia, póki możesz.”<sup>24</sup>) albo też usiłują podważyć boski autorytet („Nie ma Boga. A gdyby nawet był, nie byłby w stanie pamiętać o każdym grzechu popełnionym w każdym mieście, na każdym jarmarku, w każdym kraju [...]”<sup>25</sup>).

Taka obecność demonów ma zawsze ogromny wpływ na poczynania bohaterów: stają się oni sprzymierzeńcami złych mocy, których podszepty najczęściej prowadzą człowieka do upadku.

W ten sposób przywołany motyw piekła jest związany z głównym tematem opowiadania, bowiem łączą się z kolejną losów bohaterów, te zaś składają się na układ zdarzeń fabularnych utworu.

Motyw piekła pojawia się w opowiadaniach żydowskiego pisarza także jako motyw luźny, nie mający wpływu na rozwój zdarzeń fabularnych, nie budujący także jakiegoś wyraźnego nastroju w utworze. Są to najczęściej stwierdzenia bohaterów, stwierdzenia natury metafizycznej dotyczące piekła, np. „światem rządzą ciemne moce. Nie Bóg, ale Szatan ma władzę.”<sup>26</sup> Stwierdzenia takie często mają na celu przenoszenie „ogólniejszych znaczeń, ale nie są najważniejszymi elementami składowymi opowiadania.

O piekle mówi się także na zasadzie pouczeń, np. „Jeśli odstąpisz choćby na krok od żydowskości, natychmiast toniesz w Czterdziestu Dziewięciu Bramach Skalania”<sup>27</sup>, czy też: „Kiedy ma się pełny brzuch, diabeł jest blisko”<sup>28</sup>, ale i w ten sposób ujęty motyw piekła nie wywiera istotnego wpływu na rozwój zdarzeń fabularnych w utworze.

Tak różnorodne wykorzystanie motywu piekła w opowiadaniach Isaaka B. Singera ma na celu przede wszystkim przywoływanie znaczeń ogólnych, które koncentrują się wokół twierdzenia, że za sprawą demonów znaczna część piekła uobecnia się na ziemi.

Ale istnieje jeszcze jedna grupa opowiadań żydowskiego pisarza, w których osiąga on efekt tajemniczej dwuznaczności dzięki bohaterom, którzy opanowani namiętnościami stają się nośnikami motywu piekła.<sup>29</sup>

**„Namiętności [...] są gehenną na ziemi, a może bramą do piekieł.”<sup>30</sup>**

W jednym z wywiadów Isaak B. Singer powiedział: „Wszystko może stać się namiętnością. Oznacza to, że nie ma w życiu niczego, co nie mogłoby stać się obsesją. [...] Ilość namiętności jest niemal tak wielka, jak ilość rzeczy lub pojęć. Oczywiście istnieją najważniejsze namiętności, takie jak seks czy władza. Jednakże wszystko inne też może wzbudzić namiętność, i to wielką.”<sup>31</sup>

W opowiadaniach Isaaka B. Singera niemal każdy z bohaterów jest opanowany jakąś namiętnością, którą wywołują w nim nieodgadnione i tajemne moce. Ulegają im wszyscy, istnieją jednak kategorie osób szczególnie narażonych na napaści ze strony złych duchów. Są to: narzeczone, żalobnicy, ludzie bogobojni, uczeni samotnie studiujący nocą.

Niewątpliwie w sposób najbardziej interesujący przedstawia Isaak B. Singer okoliczności, w jakich namiętnościom ulegają kobiety lub też kiedy one same stają się dla innych przyczyną grzechu.

Risza, bohaterka opowiadania „Krew”, ogarnięta żądzą zabijania zwierząt, „obserwowania poderżniętych gardel i spływającej krwi, była tak bliska żądzy cielesnej”<sup>32</sup>, że nie potrafiła ich rozgraniczyć.<sup>33</sup>

Opis namiętności, które ostatecznie doprowadziły grzeszną kobietę do upadku staje się głównym tematem opowiadania, przez co odbiorca może stale obserwować raz po raz przywoływany motyw piekła, choć w utworze tym piekło nie pojawia się jako konkretna rzeczywistość. Nie jest więc piekło właściwym tematem opowiadania, a jednak poprzez bardzo dynamiczne przedstawienie namiętności bohaterki jest ono w tekście nieustannie obecne, przez to zaś może przenosić ogólniejsze znaczenie będące potwierdzeniem „żydowskiej prawdy”, która głosi, że namiętności często stają się piekłem na ziemi.

Innym rodzajem złych skłonności, które prowadzą człowieka do upadku, jest próżność – przypisywana głównie kobietom, szczególnie kobietom bogatym, ładnym i młodym, „które mają dużo wolnego czasu i nudzą się z powodu braku towarzystwa.”<sup>34</sup> Takie kobiety w opowiadaniach Isaaka B. Singera często zostają uwiedzione przez demony, które roztaczają przed próżnymi bohaterkami wizję „zaczarowanego kraju”.<sup>35</sup> „Zaczarowany kraj” to oczywiście piekło, które za pośrednictwem demonów zostaje w sposób bardzo wyraźny przywołane w utworze. Pojawia się więc obraz piekła przedstawiony w samych superlatywach: piekło to miejsce, gdzie „brzydota jest pięknem, a to, co przewrotne, uchodzi za normalne, tortury są rozrywką, a szyderstwo szczytem uniesienia”.<sup>36</sup> Aby zwabić tam próżną kobietę, nie potrzebuje demon uciekać się do

podstępu, „ofiara” bowiem gotowa jest zrobić wszystko, byle tylko móc siedzieć na kolanach Asmodeusza i pleść warkocze w jego brodzie.<sup>37</sup>

Ale nie tylko kobiety pozostają pod wyraźnym wpływem demonów. W opowiadaniach Isaaka B. Singera często dzieje się tak, że mężczyźni zostają uwiedzeni przez demony skrywające się pod kobiecą postacią. To właśnie przydarzyło się Matuzalemowi, który ogarnięty szaleńczą miłością do Naamy pozwolił, by ta uprowadziła go do „miasta Kaina”, gdzie rozpusta nie jest grzechem, lecz największą ze wszystkich cnót.<sup>38</sup>

Istnieje wspólny element, który zawsze towarzyszy opisowi namiętności w prozie Isaaka B. Singera. Jest to moment przeniesienia bohaterów w otchłań piekielną. Element ten jest punktem kulminacyjnym struktury fabularnej utworów, on bowiem wyznacza granicę między piekłem na ziemi a tym, o którym mówi się, że położone jest gdzieś w zaświatach. W takim przypadku zawsze mamy do czynienia z wyraźną obecnością motywu piekła w utworze, z konkretnie istniejącą w tekście rzeczywistością, do której prowadzi droga „wybrukowana” namiętnościami.

Często jednak zdarza się tak, że motyw piekła zostaje w opowiadaniach Isaaka B. Singera przywołany bardzo subtelnie. Nie ma wtedy mowy o demonach, wprost o piekle, widoczne są jednak bardzo wyraźne ślady wskazujące na obecność tego motywu w utworze. Do takich właśnie śladów należy sprzęgnięcie, skumulowanie ogromnych pokładów namiętności w jednym tylko bohaterze opowiadania, który zostaje pomyślany tak, że sam nie ma tyle sił, by wszystkie te namiętności dźwigać, przenosi więc ich część na innych bohaterów i wtedy razem już zmierzają „ku potępieniu”.

W tego typu opowiadaniach piekło najczęściej uobecnia się w kobiecie i poprzez kobietę – współniczkę szatana, często uważaną za „bramę piekieł”.<sup>39</sup>

Kobieta próbuje więc uwieść mężczyznę, niejednokrotnie posługuje się czarami, by osiąść jego duszę i ciało.

Taka sytuacja pojawia się w opowiadaniu Isaaka B. Singera, w którym pisarz przedstawia drogę, jaką prowadzi do grzechu Marka Mejtelsa i jego uczennicę, Bellę. Ta dziewczyna, w której było jakieś szaleństwo, „magicznymi modlitwami” sprowadziła najpierw śmierć na żonę Marka, następnie rozkochała w sobie swego wybranka, on zaś, ogarnięty tym szczególnym rodzajem namiętności, który pisarze często nazywają miłością, zaczął odczuwać „takie pożądanie, jakiego nie zaznał od lat, a może nigdy”.<sup>40</sup> Przytoczmy fragment rozmowy kochanków:

„Marek zapytał:

– Mogę z tobą zrobić, co zechcę?

– Wszystko.

– Poderżnąć ci gardło? [...]

– Tak! Tryskałaby krew, a ja całowałabym ostrze...”<sup>41</sup>

Wszystkie zabiegi Belli doprowadziły do miłosego aktu kochanków, aktu seksualnego, uważanego za dzieło szatana. Szatan zaś działał za pośrednictwem kobiety, postrzeganej jako „zło wspaniałe i zwodniczą rozkosz”.<sup>42</sup>

Niewątpliwie ważnym elementem struktury fabularnej utworu, w którym piekło jest przywoływane w sposób jak najbardziej ukryty, a jednak stale wyczuwalny, jest nastrój.

Tam bowiem, gdzie mamy do czynienia z czarami, magią, wszystko osłonięte jest tajemnicą. Odbiorca nie otrzymuje gotowych informacji na temat piekła, jego zadaniem jest zauważenie tych elementów, które mogą wskazywać na obecność tego motywu w utworze.

Przedstawione sposoby wykorzystania motywu piekła w opowiadaniach Isaaka B. Singera nie są jedynymi ujęciami tego motywu. W wielu bowiem utworach żydowskiego pisarza motyw piekła pojawia się w związku z przedstawieniem rzeczywistości raju<sup>43</sup>, jak też wykazuje wiele związków z problematyką dotyczącą duchów zmarłych.<sup>44</sup>

Niewątpliwie jednak ukazanie piekła jako konkretnej rzeczywistości umieszczonej w zaświatach czy też uobecniającej się na ziemi za pośrednictwem demonów, jak również istniejącej pod postacią ludzkich namiętności, jest dla twórczości Isaaka B. Singera najbardziej znaczące. Takie sposoby wykorzystania motywu piekła mają przede wszystkim na uwadze przenoszenie i ukazywanie znaczeń ogólnych, nie można więc uniknąć interpretacji piekła w kontekście demonologii talmudycznej czy kabalistycznej. Ale ważne jest także artystyczne wykorzystanie motywu – sakralizacja piekła czy desakralizacja raju przez obecność w tym ostatnim elementów właściwych piekłu.

Dokonując analizy motywu piekła w prozie Isaaka B. Singera, zwłaszcza piekła przywoływanego przez demony, najważniejszą rzeczą jest, by pamiętać, że „judaizm jest monoteizmem konsekwentnym, w którym wszystko, w tym także i zło, pochodzi od samego Boga. Nie oznacza to jednak, by Pan był uważany za bezpośredniego sprawcę wszystkiego, co dzieje się na świecie: liczne jego twory także są obdarzone zdolnością do działania. Należą do nich również rozmaite rodzaje demonów, których Pan używa dla swoich celów.”<sup>45</sup> – „A jeśli sądzisz, że demony nie są doskonałaniem świata, to mylisz się, służą bowiem dla doskonalenia świata i karania winnych.”<sup>46</sup>

### Przypisy:

<sup>1</sup> Do podstawowych źródeł, z których wywiedziono wiedzę na temat piekła i demonów należy Biblia, Talmud i Kabała – najważniejsze dzieło kabalistyczne. Por. K. Gebert: „...By się plug nie zламаł.” Uwagi o demonologii żydowskiej. „Polska Sztuka Ludowa” 1989, nr 1-2, s. 13.

<sup>2</sup> I. B. Singer, *Z pamiętnika nie narodzonego*, (w:) *Gimpel Głupek*, Warszawa 1994, s. 148.

<sup>3</sup> Por. M. Rożek, *Diabeł w kulturze polskiej. Szkice z dziejów motywu i postaci*, Warszawa 1993, s. 23.

<sup>4</sup> I. B. Singer: *Szida i Kuziba*, s. 72.

<sup>5</sup> Ibidem.

<sup>6</sup> Te i inne charakterystyczne cechy wyglądu demonów przedstawia dokładnie Konstanty Gebert w szkicu o demonologii żydowskiej (Patrz przypis 1), powołując się na traktat Chagiga (16 a), s. 14.

<sup>7</sup> I. B. Singer: *Lustro*, (w:) *Gimpel ...*, s. 94.

<sup>8</sup> Por. M. Rożek, *op. cit.*, s. 23.

<sup>9</sup> I. B. Singer: *Szabas w Gehennie*, (w:) *Śmierć Matuzalema*, Warszawa 1991, s. 183.

<sup>10</sup> Obecność w piekle wymienionych elementów może wskazywać na sakralizację przedstawianej rzeczywistości. Zauważyć można także pewną, być może kontrowersyjną analogię pomiędzy gwoździami (narzędziem tortur) przykrytymi prześcieradłami a sytuacją, kiedy Żyd w czasie szabasowego święta nakłada do modlitwy tałas. Wszak tałas w języku hebrajskim znaczy tyle, co „płaszcz, prześcieradło”! Być może Isaak B. Singer osiąga w ten sposób niepowtarzalny efekt tajemniczniej dwuznaczności, jaką niesie ze sobą obraz „rozmodlonych gwoździ”...

<sup>11</sup> Dla prozy Isaaka B. Singera ważny jest fakt, że niejednokrotnie przedstawia on piekło jako rzeczywistość sakralną, podczas gdy opisując raj, przestrzeń tę desakralizuje!

<sup>12</sup> Por. M. Buber, *Opowieści chasydów*, tłum. P. Hertz, Poznań 1989, s. 24.

- <sup>13</sup> I. B. Singer, *Szabas w Gehennie*, s. 188.
- <sup>14</sup> I. B. Singer, *Czarne wesele*, (w:) *Spinoza z ulicy Rynkowej*, Gdańsk 1995, s. 29.
- <sup>15</sup> I. B. Singer, *Papież Zejdl*, (w:) *Krótki piątek*, Gdańsk 1992, s. 147.
- <sup>16</sup> I. B. Singer, *Ostatni demon*, Ibidem, s. 100.
- <sup>17</sup> I. B. Singer, *Upadek Krzeszowa*, (w:) *Spinoza z ulicy Rynkowej*, s. 127.
- <sup>18</sup> I. B. Singer, *Jak dwa trupy harcowały*, (w:) *Seans i inne opowiadania*, Gdańsk 1993, s. 149.
- <sup>19</sup> Złymi duchami nazywa Isaak B. Singer oczywiście demony, które prawie zawsze mają postać cielesną.
- <sup>20</sup> I. B. Singer, *Pan z Krakowa*, (w:) *Gimpel...*, s. 31
- <sup>21</sup> Demon próbuje pogwałcić w ten sposób ważny aspekt żydowskiej etyki przedmałżeńskiej, która nakazuje, by małżeństwo było zawsze poprzedzone okresem narzeczeństwa.
- <sup>22</sup> I. B. Singer, *Pan z Krakowa*, (w:) *Gimpel...*, s. 43.
- <sup>23</sup> Dokładną charakterystykę diablicy Lilith przedstawia Gebert w szkicu o demonologii żydowskiej, op. cit., s. 17.
- <sup>24</sup> I. B. Singer, *Chłopiec zna prawdę*, (w:) *Późna miłość*, Wrocław 1993, s. 159.
- <sup>25</sup> I. B. Singer, *Grosiki na Raj*, (w:) *Zjawy i inne opowiadania*, Gdańsk 1993, s. 169.
- <sup>26</sup> I. B. Singer: *Korona z piór*, (w:) *Korona z piór*, Poznań 1994, s. 14.
- <sup>27</sup> I. B. Singer: *Goście w zimową noc*, (w:) *Przyjaciel Kafki*, s. 26.
- <sup>28</sup> I. B. Singer: *Zakład*, ibidem, s. 269.
- <sup>29</sup> Na bohatera, który jest nosicielem motywów wskazuje L. Łopatyńska w artykule o motywie literackim zamieszczonym w „Pamiętniku Literackim” 1946, nr 11, s. 135.
- <sup>30</sup> I. B. Singer, *Przebrany*, (w:) *Śmierć Matuzalema*, s. 52.
- <sup>31</sup> R. Burgin, *Rozmowy z Isaakiem Bashevisem Singerem*, tłum. E. Petrajtis-O'Neill, Gdańsk 1992, s. 73.
- <sup>32</sup> Znaczący pism kabalistycznych twierdzą, że żądza krwi i żądza cielesna mają jedno źródło, dlatego zaraz za przykazaniem „Nie zabijaj” następuje przykazanie „Nie cudzołóż”.
- <sup>33</sup> I. B. Singer, *Krew*, (w:) *Krótki piątek*, s. 32.
- <sup>34</sup> I. B. Singer, *Lustro*, s. 83.
- <sup>35</sup> Ibidem, s. 89.
- <sup>36</sup> Ibidem, s. 91.
- <sup>37</sup> Por. Ibidem, s. 89.
- <sup>38</sup> Por. I. B. Singer, *Śmierć Matuzalema*, s. 207.
- <sup>39</sup> M. Rożek, *Diabeł w kulturze...*, s. 74.
- <sup>40</sup> I. B. Singer, *Czarownica*, (w:) *Namiętności*, Gdańsk 1992, s. 139.
- <sup>41</sup> Ibidem.
- <sup>42</sup> M. Rożek, op. cit., s. 74.
- <sup>43</sup> I. B. Singer, *Magazyn*, (w:) *Seans i inne opowiadania*, tłum. B. Kurzałkowska, Gdańsk 1993, s. 102-110.
- <sup>44</sup> I. B. Singer, *Umarły skrzypek*, (w:) Ibidem, s. 29-54.
- <sup>45</sup> K. Gebert, op. cit., s. 13.
- <sup>46</sup> Ibidem, s. 16.

William Blake

## Duch Abla \*

Objawienie w wizjach Jehowy widziane przez Williama Blake'a

Do LORDA BYRONA na Puszczy:

Co ty tu robisz, Eljahu?

Czy Poeta może wątpić w Wizje Jehowy? Natura nie ma konturu,  
Lecz ma go Wyobraźnia. Natura nie ma Harmonii, lecz Wyobraźnia ją ma.  
Natura nie ma Nadprzyrodzoności i roztapia się; Wyobraźnia jest  
Wiecznością.

*Scena – Skalisty Krajobraz. Ewa leży zemdlona nad martwym ciałem Abla,  
Które leży blisko Grobu. Adam klęczy obok niej. Ponad nimi stoi Jehowa.*

**Jehowa**

Adamie!

**Adam**

Nie będę cię dłużej słuchać, Duchowy Głosie.  
Czy to śmierć?

**Jehowa**

Adamie!

**Adam**

To jest obłąd: nie będę już cię słuchał  
Odtąd! Czy to twoja Przepowiednia, że Nasienie Kobiety  
Wybije głowę Węża? Czy to ten Wąż? Ach!  
Siedem razy, O Ewo, zemdlałaś nad Zmarłym. Ach! Ach!

*Ewa powraca do życia.*

**Ewa**

Czy to Przepowiednia Jehowy? Och, to wszystko jest szaleńczym

---

\* Jest to jeden z dwóch dramatów Blake'a (pierwszy został zamieszczony w „Poetical Sketches”). Wymyślony w 1788, napisany w 1822 r. pod wpływem lektury „Caina” Lorda Byrona (1821). Zachował się czterech kopiach.

Złudzeniem, ta Śmierć i to Życie i ten Jehowa!

**Jehowa**

Kobieto, podnieś swe oczy!

*Słysząc nadchodzący Głos.*

**Głos**

O Ziemi, nie pokrywaj mej Krwi! nie pokrywaj mej Krwi!

*Wchodzi Duch Abla.*

**Ewa**

Tyś Przywidzianą Zjawą, ty nie jesteś prawdziwym Ablem!

**Abel**

Pomiędzy Elohimami<sup>1</sup>, ja Ludzka Ofiara się błąkam. Jestem ich Domem, Księciem Powietrza, a wymiary nasze wyznacza Zenit i Nadir<sup>2</sup>.

Oblęd jest twym Przyrzeczeniem, O Jehowo! Jestem Oskarżycielem i Mścicielem krwi. O Ziemi, nie pokrywaj sobą Krwi Abla.

**Jehowa**

Jakiej Zemsty żądasz?

**Abel**

Życie za Życie! Życie za Życie!

**Jehowa**

Kto odbierze Kainowi życie również musi umrzeć, O Ablu!

A kto nim będzie? Adamie, czy ty, lub Ewo, zrobicie to?

**Adam**

To wszystko jest Szaleńczym złudzeniem wszechstworczej Wyobraźni.

Ewo, odejdzmy, nie wierzymy tym szaleńczym złudzeniom.

Abel nie żyje, Kain go zabił. My także umrzemy jakąś Śmiercią,

a potem, co będzie potem? będziemy jak biedny Abel, Myślę, lub jak To!

O, jak mam cię nazwać, Boską Ideą, Ojcem Litości,

który ukazuje się w mej Duchowej Wizji? Ewo, czy ty też widzisz?

**Ewa**

Widzę go jasno swym Okiem duszy. Widzę także żyjącego Abla,

lecz dotkniętego straszną chorobą, jaką i My dotknięci jesteśmy,

lecz jednocześnie Jehowa widzi go żywego i nie umarłego: czy nie

lepiej wierzyć Wizji całą naszą mocą i siłą, pomimo iż jesteśmy

upadli i zgubieni?

**Adam**

Ewo, wyrzekłaś prawdę: klękniemy przed jego stopami.

*Klękają przed Jehową.*

**Abel**

Czy to są Ofiary Wieczności, O Jehowo: Złamany Duch i Skruszone

Serce? O, nie mogę Przebaczyć! Oskarżyciel weszedł we mnie jak do

swego domu, a ja nienawidzę twych Świątyń. Jakiś powiedział, tak się

stanie: Me pożądanie jest do Kaina, a on Mną władał; dlatego Dusza Ma

w oparach Krwi woła Zemsty, Ofiary na Ofierze, Krwi na Krwi!



**Jehowa**

Spójrzcie, jako Zadośćuczynienie dałem wam Jagnię zamiast  
Grzesznika i Ciała i Ducha, jakie mogły kiedykolwiek żyć.

**Abel**

Zmuszony płacę „O Ziemi, nie pokrywaj sobą Krwi Abła!”

*Abel tonie w Grobie, z którego wynurza się Szatan  
Z błyszczącymi łuskami na rękach, z Koroną i Włócznią.*

**Szatan**

Będę mieć Ludzką Krew a nie Krew Byków czy Kozłów  
i nie Zadośćuczynienie, o Jehowo! Elohimowie żyją na Ofierze  
z Ludzi: dlatego jestem Bogiem Ludzi: Tyś Człowiekiem, O Jehowo!  
Przy Skale i Dębie Druida<sup>3</sup>, pelzająca Jemioło i Ciemiu,  
Miasto Kainowe zbudowane z Ludzkiej Krwi, nie Krwi Byków i Kozłów,  
tyś Sam powinien złożyć się w Ofierze przede Mną, twym Bogiem,  
na Kalwarii.

**Jehowa**

Taka jest Moja Wola

*Pioruny*

Ze Ty Sam pójdziesz na Wieczną Śmierć

W SamoZniweczeniu, nawet dopóty, dopóki Szatan Samo-pokonany wyrzuci Szatana w  
Bezdenną Otchłań, gdzie tortury udręczą na wieki wieków.

*Po każdej stronie Chór Aniołów wchodząc śpiewa co następuje:*

Elohimowie Pogaństwa Przeklinają Zemstę za Grzech! Wtedy Ty  
Nastaniesz, O Elohimie Jehowo! W czasach mroków Przekleństwa,  
Wszystko Ubrane w Twe Przrzeczenie Przebaczenia Grzechów: Śmierć.  
O Świętym jest to Braterstw!

Elohimowie widzieli swe Przekleństwo Wiecznego Ognia: trzęsąc się  
osobno stoczyli się na Siedzenie Litości, każdy w swej pozycji  
przytwierdzony do Nieba Pokojem, Braterstwem i Miłością.

*Kurtyna opada.*

**Od tłumacza:**

Pisma Blake'a pisane są specyficznym, często niezrozumiałym przy pierwszym zetknięciu, językiem. Stosunkowo najłatwiejsze do przetłumaczenia są więc jego wiersze, chociaż niektórzy twierdzą, że i one są niemal „nieprzetłumaczalne”. Daję tu czytelnikowi polskiemu próbkę swoich tłumaczeń, przy czym nadmieniam, że przed ich dokonaniem nie czytałem innych polskich przekładów. Przy pracy korzystałem z kilku źródeł tekstów: najlepszej (podobno) angielskiej edycji pism Blake'a – “Complete prose & poetry of William Blake edited by Geoffrey Keynes”, The Nonesuch Press, Lon-

don, 1989; "Poems and Prophecies", Everyman's Library, London, 1991; "Oxford Poetry Library; a selection of his finest poems", Oxford University Press, Oxford, 1994; "Selected poems", Penguin Books, London, 1996. Opublikowane tu tłumaczenia nie uwzględniają różnych wariantów tekstów, przy ewidentnych różnicach starałem się kierować zasadą największej czytelności. Tłumaczenia powstawały od maja 1997 do marca 1998 r.

*Piotr Sobolczyk*

### **Przypisy:**

<sup>1</sup> Elohim – hebr., odpowiednik słowa Bóg w Starym Testamencie, używany niezależnie od słowa Jahwe.

<sup>2</sup> Zenit – punkt znajdujący się pionowo nad głową człowieka, najwyższy punkt; Nadir – arab., niewidoczny punkt na niebie, przeciwległy Zenitowi.

<sup>3</sup> Druidowie – w starożytnej Brytanii, Galii i Irlandii kasta poetów, mędrców, magów i kapłanów.

## Macondo i inne czasy?

*Tak jakby Bóg postanowił poddać próbie całą  
ludzką zdolność podziwu i utrzymywał mieszkańców  
Macondo w ciągłym ruchu wahadłowym między zachwytem  
i rozczarowaniem, zwątpieniem i rewelacją, do ostateczności,  
w której nikt już nie mógł ustalić na pewno, gdzie się zaczyna  
i gdzie kończy się rzeczywistość.*

Gabriel Garcia Marquez, *Sto lat samotności*

Macondo to rzeczywistość mityczna; cudowna i tajemnicza osada, w której niemal wszystko może się zdarzyć. Wszystko to, co pobudzi do życia Gabriel Garcia Marquez – twórca i kronikarz tej krainy. Jak to ma miejsce w całej praktycznie swojej twórczości, Marquez szczególnie przy tej kreacji czerpie pełnymi garściami z doświadczeń i wspomnień młodzieńczych lat. „Moje dzieciństwo jest źródłem wszystkiego, co napisałem, zaś smutek, tęsknota i nostalgia za światem minionym są surowcami, z których uformowały się fundamenty mojego pisarstwa” – powie, już jako uhonorowany Nagrodą Nobla wybitny prozaik iberoamerykański. W pobliżu jego rodzinnego miasta – Aracataca – faktycznie znajduje się posiadłość o nazwie Macondo (pochodzi ona ponoć od „cudownej rośliny”, której kleiste mleczko ma własności zabliźniające), od której autor wzięł imię swego literackiego świata. Jest to świat fikcyjny, ziemia, której „historię” opowiada od początku do końca w „Stu latach samotności”.

Oto ustęp traktujący o powstaniu tej przedziwnej osady: „Jose Arcadio Buendia i jego ludzie, wraz z żonami, dziećmi, zwierzętami i całym dobytkiem, przeszli przez góry szukając dojścia do morza, lecz po dwudziestu sześciu miesiącach zaniechali dalszej wędrówki i założyli Macondo, aby uniknąć trudów powrotu. (...) W ciągu paru lat Macondo stało się najlepiej uładzoną i najpracowitszą wsią ze wszystkich znanych jej trzystu mieszkańcom.”<sup>1</sup>

Sam pomysł stworzenia symbolicznej krainy, w której rozegrają się (lub z którą splatać się będą) losy bohaterów kilku jego znamienych utworów, nie jest nowy i do złudzenia przypomina eksperyment Williama Faulknera. „Istnieje jakieś pokrewieństwo, jakieś rysy wspólne dla pułkownika Sartorisa i pułkownika Aureliano Buendia, zaś Macondo kojarzy się nieodparcie z hrabstwem Yoknapatawpha”.<sup>2</sup>

Realizm magiczny „nie deformuje rzeczywistości, ani nie tworzy światów wyobraźni; jest to latynoamerykański surrealizm, cudowność wynikająca ze specyficznego ujmo-

wania świata; forma narracji, w której narrator zamiast przedstawić magię, jakby była realnością, ukazuje rzeczywistość tak, jakby była magiczna. Wytwarza się aura nadnaturalności, bez odrywania się od natury, zmierza do zdeformowania rzeczywistości. Realizm i magia współdziałają w tym świecie, nie są przeciwieństwem, lecz jednością. Wylimitowane jest wahanie (narratora, postaci, odbiorcy), ale w przeciwieństwie do baśni reguły rządzące światem przedstawionym nie są umowne, lecz naturalne, ludzkie”<sup>3</sup>

Macondo jest miejscem uprzywilejowanym, w którym czas jest czymś względnym, odwracalnym, mimo że ściśle ograniczonym do tytułowych „stu lat”, spisanych w tajemniczej księdze Melquiadesa. Cykliczność czasu, czas cofający się do źródeł, czas wiecznego powrotu – to zjawiska typowe w realizmie magicznym. Doskonale obrazuje to fragment prozy:

„Przypomniał mi się sierpień i długie, odrętwiałe sjęsty, kiedy to pod ciężarem południa kładłyśmy się, aby umrzeć, z przepoconą, klejącą się do ciała odzieżą i słuchałyśmy na zewnątrz natrętnego i głuchego brzęczenia bezwładnych godzin. Zobaczyłam wypukłe ściany, nabrzmiałe wiązania drewnianych belek. Zobaczyłam ogródek, po raz pierwszy pusty, i krzak jaśminu pod murem, wierny pamięci mej matki.”<sup>4</sup>

Bohaterka – narrator opowiadania „Rozmyślenia Isabel podczas deszczu w Macondo” przeżywa samotnie stan lunatycznego zahipnotyzowania nieustającym deszczem. Wszystko, o czym opowiada jest smętne i spowolnione, obezwładnione, wręcz odurzające ciągłym opadem. Nieco dalej w jej monologu znajdziemy fragment opisujący na wskroś inercyjną percepcję otoczenia.

„We wtorek wieczorem woda wciąż napływała i spowijała serce bólem, niczym całun. Rześkość pierwszego poranka z wolna przemieniła się w ciepłą i ciastowatą wilgoć. Powietrze było ni to ciepłe, ni to zimne, miało temperaturę jak w febrze. Stopy pocily się w butach. Nie wiadomo było, co jest bardziej przykre, czy nagie ciało, czy odzież dotykająca skóry. W domu ustały wszystkie zajęcia”<sup>5</sup>

Często zdarza się, że akcja dzieł Marqueza umiejscowiona jest w jakiejś wiosce, miejscowości stanowiącej hermetyczną całość, oderwaną jednak od reszty świata lub najwyższej łączącej się z nim jedynie wątlm strumieniem. Tak jest z Macondo, powstałym gdzieś na odludziu, założonym przez uchodźców z „tamtego świata”, rozwijającym się w przemyślową aglomerację z plantacją i koleją żelazną i z wszystkimi innymi miejscami, w których losy bohaterów splatają się w tajemniczym rytuale życia.

„Na południu były bagna pokryte wiekową warstwą roślinności i olbrzymi świat moczarów, który, jak zapewniali Cyganie, nie miał granic. Wielkie moczary na zachodzie łączyły się z bezkresnym rozlewiskiem wody, zamieszkanym przez ssaki o miękkiej skórze, z głową i torsami kobiety. To one doprowadzały żeglarzy do zguby wabiąc ich urokiem swoich olbrzymich sutek. Cyganie płynęli sześć miesięcy tym szlakiem, zanim trafili na wąski pas stałego łądu, którądy wiodła droga mułów pocztowych.”<sup>6</sup>

Macondo jest jednocześnie wszędzie i nigdzie, jest strefą wydzieloną, magiczną i zarazem jakimkolwiek miejscem na mapie Kolumbii czy Karaibów. W pierwszym rozdziale o początkach osady, o świecie Genezis „wiele rzeczy nie miało nazw i mówiąc o nich trzeba było wskazywać palcem”. Izolowane od świata górami i mocz-

rami Macondo wypracowało jednak swój własny autonomiczny czas, prawie niezależny od historii powszechnej i polityki wewnętrznej kraju.

„Kiedy po raz pierwszy przybyło do Macondo plemię Melquiadesa sprzedając szklane kulki przeciw bólom głowy, wszyscy dziwili się, jak można było trafić do tej osady zagubionej wśród sennych moczarów. Cyganie wyznali, że kierowali się śpiewem ptaków.”<sup>7</sup>

Dzieje rodu Buendíów dzielą się na trzy długie epoki. Pierwsza: od założenia Macondo do początku wojny domowej. Jest to okres wyznaczony działalnością założyciela osady i rodu – Jose Arcadia Buendii, młodością jego dwóch synów oraz autorytetem filozoficzno-naukowo-magicznym Melquiadesa. Jest to też okres prób przełamania izolacji i wyjścia z zamkniętego kręgu samotności. Drugą epokę otwiera wojna domowa, rewolucja i terror. Oddziaływanie magii zostaje zawieszane, życiem rządzi polityka i podziały. Trzecia epoka to powrót do legendy dawnej monotonii trwania. Pozorna świetność cywilizacji przemysłowej i osadnictwa związanego z kapitalizacją Macondo (Kampania Bananowa) niewiele ma wspólnego ze świetnością pierwotną. Bardzo jaszkrawo oddaje tę sytuację fragment pierwszej powieści pisarza („Szarańcza”): „zrujnowane miasteczko z czterema biednymi, obskurnymi sklepikami, zamieszkałe przez ludzi beczynnych, bojaźliwych, dręczonych wspomnieniami dostatniej przeszłości i goryczą przytłaczającej, statycznej teraźniejszości”.<sup>8</sup> Bohaterowie wielokrotnie uświadamiają sobie zarówno przemijalność czasu jak i jego nieruchomość.

Przez te fazy dziejów osady przeświecają etapy biografii Aureliana, który jest obok Urszuli (opiekunki ogniska domowego, „głowy rodu” wobec dziwactw męża-alkemika i dramatycznych losów całej rodziny) jedyną postacią, której biografia łączy początek akcji z finałem. Oboje osiągają długowieczność, bo ich życie w perspektywie powieści zostało wpisane w czas matuzaleмовy. Jak wielką różnorodnością pomysłów cieszył się Aureliano, niech pokaże fragment opisujący jego wysiłki w poszukiwaniu, obdarzonego znamionami archetypu (jakże często przewijającego się w tej, przez to, uniwersalnej powieści) kamienia filozoficznego.

„Poza prymitywnym laboratorium Melquiades pozostawił po sobie próbki siedmiu metali odpowiadających siedmiu planetom, formuły Mojżesza i Zosimusa do wyrobu złota, a także serię notatek i rysunków dotyczących procesów Wielkiego Wtajemniczenia, które temu, kto umiałby je odczytać, pozwalały uzyskać kamień filozoficzny. Zachęcony prostotą formuł alchemicznych Jose Arcadio Buendia przez wiele tygodni przekonywał Urszulę, żeby mu pozwoliła odkopać swoje monety kolonialne i pomnożyć je tyle razy, na ile można rozdzielić rtec. Urszula jak zawsze ustąpiła przed niezłomnym uporem męża. Wtedy Jose Arcadio Buendia wrzucił trzydzieści złotych dublonów do rondla i roztopił je z opiłkami miedzi, orypimentem, siarką i ołowiem. Wszystko to podgrzewał na wielkim ogniu, dolewając oleju rycynowego, aż otrzymał gęsty, cuchnący syrop, który bardziej przypominał pospolity karmel niż wspaniałe złoto. W kolejnych ryzykownych i rozpaczliwych procesach destylacyjnych, w aliażu z siedmiu metali planetarnych, przezarte rtecą i cypryjskim witríolem, prażone na nowo w wieprzowym smalcu, z braku oleju rzepakowego, cenne dziedzictwo Urszuli zostało do-

prowadzone do postaci zwęglonej skwarki, której nie sposób było oderwać od dna rondla”<sup>9</sup>

W ten magiczny nurt czasu Marquez włącza drugi nurt – czasu historycznego, linearnego – który zamyka w sobie nie w nieskończoność odtwarzane zdarzenia mityczne, lecz fakty historyczne. Historia ingeruje w tę mityczną enklawę, jaką jest Macondo poprzez kolejne wojny domowe, najazd kampanii bananowej, epizody z nią związane – strajk i masakry robotników plantacji. Nieustannie przewijające się wojny domowe nabierają rangi archetypu i tracą swój jednostkowy wymiar historyczny. Ślady historii wymazuje z pamięci, niczym biblijny potop, deszcz, który „padał cztery lata, jedenaście miesięcy i dwa dni”. Nie tylko fakt historyczny podlega prawom mitologizacji, gdyż dzieje mitycznego Macondo są równocześnie poetyckim zapisem historii latynoamerykańskiej.

Kiedy osadę opanowała zaraza bezsenności i zaniku pamięci, dla jej mieszkańców subiektywnie czas przestał istnieć. Nieodczuwanie ani jego przepływu ani nawet cykliczności dnia i nocy wywołało zaburzenia świadomości i halucynacje.

„Jose Arcadio, za namową Aureliana, zastosował metodę na przezwycięzenie zupełnego braku pamięci. Pędzlem umoczonym w farbie malował na każdej rzeczy jej nazwę: stół, krzesło, zegar, drzwi, ściana, łóżko, garnek, krowa, kura, juka, malaga, banana. Stopniowo, obserwując nieskończoność wariantów zaniku pamięci, zdał sobie sprawę, że może nadejść dzień, kiedy będą rozpoznawać rzeczy po napisach, ale zapomną ich przeznaczenia. Wtedy rozszerzył swoje napisy. Etykieta, którą zawiesił na szyi krowy, była przykładem sposobu, w jaki mieszkańcy Macondo byli zdecydowani walczyć z chorobą : „To jest krowa, trzeba ją doić co rano, żeby dawała mleko, mleko trzeba zagotować, potem zmieszać z kawą i zrobić kawę z mlekiem”. Tak więc żyli w wymykającej się rzeczywistości, którą chwilowo mogli schwytać za pomocą słów, ale która musiała wymknąć się bezpowrotnie wraz z zapomnieniem słowa pisanego. U wylotu drogi z moczarów umieszczono napis: „Macondo”, a nieco dalej inny, większy, przy głównej ulicy: „Bóg istnieje”. We wszystkich domach opracowano klucze dla utrwalenia w pamięci przedmiotów i uczuć.”<sup>10</sup>

Melquiades, który dawno już „przeżył czas” i „przekroczył próg śmierci”, przychodzi z pomocą ofiarowując cudowne lekarstwo. Właśnie on okazuje się kreatorem dziejów osady. Osady, której los w „Szarańczy” prorokuje bohater : „widzę przez okno dom i myślę, że moja macocha siedzi tam, nieruchoma w swym krześle, i myśli może, że zanim wrócimy, nadleci ostateczny wiatr, który zmiecie to miasteczko. Wtedy wszyscy już odejdą, prócz nas, jesteśmy bowiem przywiązani do tej ziemi poprzez pokój pełen kufrów, gdzie złożone są jeszcze naczynia kuchenne i odzież dziadków moich dziadków, i derki, którymi okrywano konie moich rodziców, gdy uciekając przed wojną jechali do Macondo. Jesteśmy zakorzenieni w tej ziemi poprzez wspomnienia dawnych zmarłych, choć ich kości nie można by już odnaleźć dwadzieścia sążni pod ziemią. Kufry są w pokoju od ostatnich dni wojny; i będą tam również wtedy, gdy powrócimy z pogrzebu, o ile nie nadleci ten wiatr ostateczny, który zmiecie Macondo, jego pełne jaszczurów sypialnie i jego milczących ludzi, wyniszczonych przez wspomnienia”<sup>11</sup>

Melquiades nie ułożył faktów w umownym czasie ludzi, lecz skoncentrował jeden wiek epizodów codziennych tak, że wszystkie współistniały w jednym momencie. Dokonał więc jakby symultanicznego zapisu faktów, które miały nastąpić i kolejno następowały. W chwili odcyfrowywania pergaminów „miasto zwierciadeł (lub zwierciadlanych miraży) zmiecione będzie przez wiatr i wygnane z pamięci ludzi”.

Koniec miasteczka jest równoczesny, i co więcej – równoznaczny z końcem powieści. Macondo trwa zatem tylko tak długo, jak długo o nim czytamy. Do dzieła więc! Dajmy szansę historii rodu Buendia zaistnieć w naszej rzeczywistości, choćby bańkowo-sennej, którą *de facto* doskonale wypełnia swoim bogactwem estetycznym. Być może dla niektórych ta historia będzie uproszczoną alegorią dziejów ludzkich, zwłaszcza ze względu na dużą kondensację pojęć wiecznie żywych dla ogólnoludzkiej cywilizacji (wygnanie, ziemia „obiecana”, niezliczone konflikty o podłożu tak militarnym, jak i rodzinnym itp.). Może być wreszcie ta powieść lekcją o naturze ludzkiej i jej wypaczeniach, co czyniłoby z historii Macondo swoistą parabolę, poddającą się wielowarstwowej interpretacji. Czy przypadkiem Marquez, każąc mieszkańcom Macondo cierpiącym na chroniczny brak pamięci umieścić w centrum miasta napis: „Bóg istnieje”, nie poddaje nam do przemyślenia spraw zupełnie sobie przez nas czasem nieuświadomianych? Nasuwa mi się tylko jedno skojarzenie: „plemiona skazane na sto lat samotności nie mają już drugiej szansy na ziemi” – tak kończy autor sagę rodem z Macondo, napisaną w 1967 roku, noszoną przez 16 lat w sercu, stworzoną przez 18 miesięcy pustelniczego zamknięcia w gabinecie, następnie sprzedaną w 20 milionach egzemplarzy w więcej niż 30 językach najwybitniejszą powieść iberoamerykańskiego „realizmu magicznego” – „Sto lat samotności”.

### Przypisy:

<sup>1</sup> Gabriel Garcia Marquez, *Sto lat samotności*, przeł. G. Grudzińska, Warszawa 1996, s. 17.

<sup>2</sup> P.A. Mendoza, *Zapach gujawy*, przeł. K. Rodkowska, „Literatura na Świecie” 1983, nr 9, s. 156.

<sup>3</sup> A. Elbanowski, *Marquez: od realizmu magicznego do ironii magicznej*, „Literatura na Świecie” 1983, nr 9, s. 13-14.

<sup>4</sup> G.G. Marquez, *Rozmyślenia Isabel podczas deszczu w Macondo*, przeł. R. Kalicki, „Twórczość” 1975, nr 8, s. 38.

<sup>5</sup> Ibidem.

<sup>6</sup> G.G. Marquez, *Sto lat samotności*, s. 17.

<sup>7</sup> Tamże, s. 16.

<sup>8</sup> G.G. Marquez, *Szarańcza* przeł. C.M. Cassas, Warszawa 1995, s. 95.

<sup>9</sup> G.G. Marquez, *Sto lat samotności*, s. 13.

<sup>10</sup> Ibidem, s. 56.

<sup>11</sup> G.G. Marquez, *Szarańcza*, s. 112.

## Teatr na ulicy

W 1991 roku Andrzej Mathiasz\* zrealizował film dokumentalny „Ulica Grodzka”, w którym opowiadał o podwójnym charakterze tego miejsca. – *Wtedy pojawił się również pomysł stworzenia spektaklu ulicznego – opowiada. – W przeszłości była to przecież tętniąca życiem ulica żydowska, a w 91 roku była szara i brudna. Cały czas miała jednak w sobie coś niezwykłego.*



fot. M. Gajko

W latach 80. na Grodzkiej zaczęli pojawiać się artyści. Swoją siedzibę miało tutaj sześć galerii, kilka teatrów, a także Związek Polskich Artystów Plastyków, Stowarzyszenie Architektów Polskich, Towarzystwo Kultury Teatralnej. Działał Młodzieżowy Dom Kultury i Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. Pojawiły się też pierwsze kawiarnie. – *Jednak cały czas ulica ta kojarzyła się większości z brudnymi kamienicami i pijącymi w bramach tanie wino. Po wszystkich przemianach, jakie dokonały się w 1989 roku należało się również zastanowić, w którą stronę pójdziemy – czy w stronę tej szarości,*

*czy też kultury, która powoli zaczynała odżywać. I właśnie „Ulica Grodzka”, o której początkowo myślałem jako o jednorazowym zdarzeniu ulicznym miała być próbą odpowiedzi na to pytanie i zwrócenia uwagi lublinian na życie kulturalne miasta.*

---

\* Andrzej Mathiasz – absolwent wydziału Prawa UMCS w Lublinie; w latach 1977 – 1991 był aktorem i współtwórcą spektakli Teatru Provisorium; jest autorem projektów plakatów i programów teatralnych; w 1992 roku założył Teatr „Projekt”, którego jest dyrektorem; pomysłodawca, autor scenariuszy i reżyser przedstawień „Ulica Grodzka”, „Legenda”, „Sen”, „Dobry Łotr”; współpracuje z Lubelskim Ośrodkiem Telewizyjnym; jest pomysłodawcą i twórcą Magazynu Kulturalnego „Salon” oraz autorem licznych reportaży telewizyjnych o tematyce kulturalnej.



### Na ciemnej ulicy...

W czasie poszukiwań materiału do spektaklu Andrzej Mathiasz natrafił na wiele zaskakujących historii, które postanowił wykorzystać. – *Opartem się przede wszystkim na trzech motywach z XV – XVII wieku. Pierwszym był proces grabarzy. Zarzucano im, że podczas epidemii dżumy smarowali kłamki substancją z mózgow chorych ludzi, narażając w ten sposób innych na śmierć. Przyznali się do winy tłumacząc, że gdyby nie szerzyli zarazy nie mieliby pracy. Zostali skazani na śmierć. Drugim motywem był proces czarownic, które w trakcie jego trwania opowiadały o Diablu, który je nawiedzał. Pojawiła się również scena spalenia książki ariańskiej. – Specjalnie wybrałem ciemne strony z historii Lublina. Z tej perspektywy chciałem bowiem odnieść się do sytuacji jaką mieliśmy na początku lat 90.*

Do spektaklu Mathiasz zaangażował niemal całe środowisko kulturalne Lublina: lubelskich artystów, Teatr „Provisorium”, Elżbietę Bojanowską, aktorów Teatru z Lublina, Chór Archikatedralny oraz rosyjskiego tancerza Jana Mustowa i młodych ludzi wywodzących się z kółek recytatorskich pani Haliny Tomaszewskiej. – *Każda z grup brała udział w określonych scenach. Z każdą oddzielnie więc pracowałem. Wszyscy spotkali się dopiero podczas spektaklu.*

Przedstawienie rozgrywało się niemal na całej ulicy Grodzkiej. Za przemieszczającymi się aktorami wędrowali widzowie. – *Przedstawienie rozpoczynało się przy Bramie Grodzkiej – tam odbywał się proces grabarzy. Później wszyscy szli na Plac Farny. Towarzyszyły im zeznania czarownic. Na Placu Farnym odbywała się scena ukrzyżowania. Niczym Chrystus i dwaj łotrzy na Golgocie zawisło tutaj na drzewach trzech grabarzy (W rzeczywistości ich ciała wystawiono no widok publiczny na rogatkach miasta). Pod Trybunałem Koronnym odbywała się scena oskarżenia i spalenia książki ariańskiej. Później podwórkami, w których odnaleźć można było niemal całą bohemę lubelską, wracali pod Bramę Grodzką. Teraz domy na ulicy Grodzkiej zamieniały się w pociągi wiozące kolejny transport Żydów – powiewały firany, błyskały światła, w rytm pociągu stukały stare okna. Po tańcu z menorami na Placu Zamkowym, spektakl kończył się zdobyciem przez rozbawiony tłum Zamku – „Bastylii” – kiedyś więzienia, miejsca kaźni, dziś przybytku kultury.*

Początkowo „Ulica Grodzka” miała być jednorazowym wydarzeniem. Później pojawiły się propozycje prezentacji w całej Polsce oraz na festiwalach zagranicznych. – *Ponieważ niemożliwe było powtarzanie spektaklu z udziałem wszystkich artystów, przekształciłem go tak, że brała w nim teraz udział sama młodzież. Tak w 1992 roku powstał Teatr „Projekt”.*

– *Niezwykle ciekawe były podróże „Ulicy Grodzkiej” – wspomina Mathiasz. – To miejsce pakowaliśmy do walizki z całą jego historią i kulturą i tak podróżowaliśmy z nim po całej Europie. Był to chyba jeden z nielicznych takich przypadków.*

– *Podczas pracy nad „Ulicą Grodzką” zachłysnąłem się nową przestrzenią teatralną, jaką była ulica. Do tej pory przez 15 lat pracowałem praktycznie tylko w sali (z jednym wyjątkiem, który stanowiły „Pieśni Przeklęte”, które zrobiliśmy z Provisorium na Festiwal Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze).*

### Tradycja

W 1993 roku powstał drugi spektakl „Legenda”. – *O ile w „Grodzkiej” pokazałem ciemne strony historii Lublina, teraz chciałem pokazać jej najjaśniejsze strony. W tym celu wykorzystałem historie dwóch wielkich legend Lublina – Widzącego z Lublina i Józefa Czechowicza.*

Rabbi Jakub Icchak (Widzący z Lublina) był jasnowidzem, z którym wiązano wiele niewyjaśnionych historii. Przybywali do niego chasydzy z prośbą o uzdrowienie. Za największe zło uważał smutek. Zmarł w wyniku odniesionych ran po wypadnięciu – na skutek działania Demonów – z okna. Józef Czechowicz, zwany „Księciem Poetów”, był tragicznym, niespełnionym do końca artystą. – *Widzący z Lublina i Czechowicz to, moim zdaniem, dwie największe postacie tego miasta. W rzeczywistości nie spotkały się, ale ja sprawiłem, że spotkały się w moim spektaklu. „Legenda” była próbą odnalezienia i wykreowania świata piękna, sprawiedliwości, dobra i harmonii. Była spektaklem o samotnym poszukiwaniu duchowego porządku w świecie i odkrywaniu własnego w nim miejsca oraz cenie, jaką zwykle przychodzi za to zapłacić.*

Podczas pracy nad „Legendą” Teatr „Projekt” przekonał się jak trudną i wymagającą przestrzenią jest ulica. – *Próby odbywały się w salce o wymiarach 7x11 metrów. Przestrzeń właściwa, w której teatr miał grać była wiele razy większa. Szybko okazało się, że wszystko to, co wyćwiczyliśmy na sali, na ulicy nie sprawdziło się. Od nowa musieliśmy ustawiać wszystkie sceny, kroki. Potrzebowaliśmy kilku przedstawień, żeby wszystko dograć.*

Jakby tego było mało „Projekt” musiał zmieniać miejsce przedstawienia na tydzień przed premierą. Początkowo „Legenda” miała być grana na dziedzińcu Zamku Lubelskiego. Jednak podczas montowania dekoracji zawaliła się balustrada. Lubelska Premiera odbyła się więc na parkingu przy budynku Ośrodka Telewizji Lubelskiej. Świątowa – na festiwalu teatralnym OstArt '93 w Niemczech.

– *Wydaje mi się, że ten spektakl mógł zaistnieć dużo lepiej. Żałuję, że nie spełnił się do końca. Było w tym sporo mojej winy – za późno zorientowałem się, że jest to spektakl kameralny, pełny półtonów. On nie nadawał się na ulicę. Kilkakrotnie mieliśmy okazję grać go w zamkniętych salach, na przykład w Lublinie w stołówce Chatki Żaka. Tam wychodził świetnie. Zagraliśmy, na przykład, przepiękne przedstawienie na dziedzińcu zamkowym w Poznaniu.*

### Sny, marzenia, wizje

W 1995 roku pojawił się pomysł stworzenia kolejnego, trzeciego już i jak dotąd ostatniego, spektaklu ulicznego. – *Ludzie, z którymi pracowałem byli bardzo młodzi. Właściwie dopiero wchodzili w dorosłe życie. Ja natomiast – i myślę że również wielu moich rówieśników – czułem się jakbym żył na dworcu. Wszyscy i wszystko zmieniało się w błyskawicznym tempie. Przewartościowywało się. Coraz częściej zastanawiałem się – i wciąż się zastanawiam – czy zostać tu gdzie jestem, czy może zająć się czymś innym lub całkiem inaczej.*

Tak powstał „Sen”. Na spektakl złożyły się marzenia senne młodych aktorów, które teraz były marzeniami podróżujących autobusem ludzi. – *W tę współczesną rzeczywi-*

stość wprowadziłem *Odyseusza*. Mityczną postać zderzyłem z dzisiejszymi kiklopami, „szczekaczkami”, dzisiejszymi mieszkańcami Hadesu – dworcowymi „nurkami”, czy też dwupłciowymi „syrenami”.

– Ten spektakl w moim odczuciu niestety również pozostał niespełniony. Tutaj, podobnie jak w „*Legendzie*” próbowaliśmy stworzyć coś, co tak naprawdę, było, przy tak skromnych możliwościach organizacyjnych i finansowych, niemożliwe. Dlatego niemożliwe było nawet zorganizowanie próby w przestrzeni, choć zbliżonej do tej, w jakiej później spektakl miał zaistnieć. Dzisiejsze marzenia rozphywają się jak sen w chaosie codzienności.

Ulica jest bardzo ciekawym miejscem dla teatru – stwarza niepowtarzalną scenografię. Spektakl dzięki temu, że praktycznie za każdym razem grany jest w innym miejscu, nie ulega skostnieniu. Jednocześnie ulica jest – wbrew pozorom – bardzo trudną i wymagającą przestrzenią. Nie chodzi tu nawet o pogodę (czasem kilkudniowe przygotowania idą na marne). Nigdy nie wiadomo ile osób przyjdzie. Nigdy nie wiadomo, czy będzie to widownia znająca teatr, czy przypadkowi przechodnie. – *Przypominam sobie prezentację „Snu” na „Konfrontacjach Teatralnych” w 1996 roku. Na nasz niewielki przecież Rynek Starego Miasta przyszło około pięciu tysięcy osób. Niemożliwe było opanowanie tego tłumu. Autobus, który wykorzystywaliśmy w przedstawieniu praktycznie nie miał którędy jeździć. Patrzyłem tylko, jak widownia „zadeptywała” nasz „Sen” i czekałem, kiedy to się skończy.*

Rok później na tym samym festiwalu odbyła się premiera najnowszego spektaklu Teatru „Projekt” – „Dobry Łotr”. – *Na pewno nie wykorzystałem wszystkich możliwości, jakie daje ulica. Na razie jednak wracam do spektakli w zamkniętej przestrzeni. „Dobry Łotr” potrzebuje 36 metrów kwadratowych...*

Jakub Iskrzak

## Początek

czyli przypowieści o stworzeniu świata

*Któryś stworzył z chaosu wszytkorodną ziemię  
i wplótł ją w między słońca, gwiazdy i księżycy,  
obłoki ustanowił i wiatr, co w nich drzemie,  
i wszystkie inne ziemie i wód tajemnice,*

*Tyś, który wprowadził z nicości człowieka,  
ciało jego, instynktów nie wyzbyte jeszcze  
i duszę, co się w zmysły zwodne przyobleka,  
porozkładane w ciele jak tony w orkiestrze,*

*Któryś wywiódł spod ziemi źródła i strumienie,  
i drzewa, w swe we wodzie wpatrzone odbicie –  
rozprowadź we mnie Chaos na światło i cienie,  
i utwierdź mnie w Twojej Prawdzie jak gwiazdę w orbicie.*

Mit stworzenia świata i człowieka funkcjonuje w literaturze nie od dzisiaj i odgrywa w niej bardzo ważną rolę. Podejmuje on bowiem tematy nierozzerwalnie związane z egzystencją człowieka – z jej początkiem. Przedmiotem owego mitu nie jest jednak abstrakcyjna idea początku istnienia, lecz motyw stworzenia rzeczywistości obecnej i dostrzegalnej, niekoniecznie tylko za pomocą zmysłów. W chrześcijaństwie mówi się, że wszechświat powołany jest do istnienia z nicości („ex nihilo”), bez istniejącego uprzednio tworzywa. Powołany jest realnie, w materii i formie.

Akt stwórczy niesie ze sobą ogromną dynamikę. Rozwija się w czasie ku określone-  
mu dopełnieniu. Oznacza to, że stworzenie dotyczy nie tylko samego aktu, gestu, lecz  
pewnego procesu stwarzania człowieka i świata w czasie. Mówimy także, że proces ten  
nadal trwa. Postrzeganie stworzenia jest więc postrzeganiem wydarzenia stwórczego.  
Dlatego często utożsamiano go z istniejącym światem, jako obrazu stworzenia: budowli,  
która nieustannie jest budowana.

To, że Bóg jest stwórcą nieba i ziemi, nie jest ani teorią naukową, ani wnioskiem fi-  
lozoficznym. Wynika to przede wszystkim z ludzkiego doświadczenia religijnego abso-  
lutu. Teologia chrześcijańska tworzy więc wizję Boga – Stwórcy, którego dzieło ma  
charakter osobowy, gdyż On sam jest osobą. W swym akcie Bóg dostrzega rozumność  
i konieczność działania, celowość, prawidłowość i sens, wolność własnego JA, wszech-

obecność i wszechwiedzę, dynamizm wzbudzający dalsze tworzenie, etc. Jednak głównym przymiotem tego aktu jest sama radość tworzenia, wypływająca z miłości Bożej na wszystko: piękno świata i jego dobro. Bóg stwarzając uśmiecha się, jak opisuje to wiersz młodego poety z czasu wojny i okupacji, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, *Przypowieść*:

*Pan Bóg uśmiechnął się i wtedy powstała ziemia,  
podobna do jabłka złotego i do zwierciadła przemian.  
Po niej powoli się sączą zwierząt dojrzałe krople  
wstępując z wód w powietrza – drgające srebrem – stopnie.  
A śpiew najcichszego z ptaków zamienia się w miękkie obłok  
i wtedy powstają chmury do ziemi i gwiazd podobne.  
Więc knieje do mórz przychodzą i kładą włosy na wodę  
i wtedy fale się barwią na kolor dojrzałej jagody.  
Światło przenika do ziemi, a ziemia blask przygarnia;  
bory wrastają w powietrze, powietrze od lasów – czarne.  
Zwierzęta wnikają w korę, a kora porasta życie  
i niewidzialne w przestrzeni, wiruje ziemi odbicie.  
Wtedy są wszystkie kolory, każdy od innych różny,  
które są wszystkie te same pod szklaną kopułą próżni.  
I zafrasował się Bóg, że sam swych dzieł nie ogarnie,  
więc cisza złożyła się w fałdy, a światło stało się czarne  
i z ciężkich kowadeł gór rosyś todygi ogniste,  
a gromy w wysiłku zmarszczone w gromym namyśle,  
aż się wykrzesał z kuźni pod niebo od huku białe  
z chmur i ziemi ulany – człowiek ciemny i mały.  
Teraz uśmiechnął się Bóg i we śnie znużony oniemiał,  
i do dziś błądzi wśród grozy człowiek ciemny jak ziemia.*

Uśmiech Boga przywołany na początku i końcu utworu, to cecha typowo ludzka, podkreślająca osobowość Stwórcy. Jednakże uśmiech ten może mieć różny charakter: aktywny i kreatywny lub bierny, niezaangażowany, jakby „zatopiony w bez-czasie”. Podmiot mówiący w utworze chętnie przywołuje emocje i nastroje Boga, jednoznacznie przypisując im określoną moc i oddziaływanie w przyrodzie, na ziemi. Sytuacja liryczna opiera się na kontraście nastrojów wywołanych u odbiorcy tekstu, zgodnych z nastrojami Pana Boga: od stwórczej radości po destruktywną grozę i frasobliwość.

Tak jak teoria panteistyczna uważa, że rzeczywistość wyłania się z Boga, jest częścią bóstwa lub nawet samym Bogiem, tak w tym utworze dominantą staje się osoba Boga utożsamiana z przyrodą. Przypisanie Stwórcy dwóch charakterów, dwóch równorzędnych natur: kreatywnej i destrukcyjnej, wynika z gnostycznej wizji świata. Taki pogląd jest charakterystyczny m.in. dla filozofii Hegla.

Cały świat przedstawiony, koncepcja budowy kosmosu, postrzeganie człowieka we wszechświecie, ma wydźwięk heglowski. Świat ów, bardzo bliski podmiotowi liryczne-

mu, budowany jest na zasadzie obrazów poetyckich – porównań: „ziemi (...) do jabłka złotego i do zwierciadła przemian”, „chmur do ziemi i gwiazd podobnych”, „człowieka ciemnego jak ziemia”, itd. Tworzą one ciąg aktów stworzenia, wspomniany już wielki proces stwarzania się rzeczywistości (heglowskie „werden”).

Obserwacja świata przyrody w wierszu, staje się jednym, dużym obrazem, malowanym przez wrażliwego artystę. Wychwytuje on barwy i kształty natury: złote jabłko, miękki obłok, dojrzałe krople, drgające srebrem stopnie. Nadaje to opisowi niespotykaną plastyczność i kolorystykę, znaną z malarskiego warsztatu impresjonistów. Poeta umożliwia odbiorcy utworu malowanie takiego obrazu w wyobraźni – spróbujmy go sobie wyobrazić.

Naszym oczom ukazuje się las, mokry i ciężki od deszczowych kropeł, rosnący nad brzegiem morza. Korony drzew rzucają cienie na lustro wody („fale się barwią na kolor dojrzałej jagody”), słyszymy śpiew ptaków, obserwujemy grę kolorów i światła w przeszerzeniu: „wirowanie odbicia ziemi”. Pointą takiego obrazu staje się ciekawy zabieg artystyczny poety, polegający na zestawieniu dwóch sprzecznych ze sobą sytuacji:

*Wtedy są wszystkie kolory, każdy od innych różny,  
które są wszystkie te same pod szklaną kopułą próżni*

Poeta, używając tej antytezy, ujawnia pojęcie absolutu, które niczym nie zdeterminowane zaprzecza samo sobie, wyłaniając byt osobny. Staje ono w opozycji do bytu poprzedniego, i tym samym opis nabiera już innego charakteru. Prezentowana przyroda postrzegana jest negatywnie, występując w roli destruktora, niszczyciela. W celu zdynamizowania sytuacji lirycznej, Baczyński chętnie sięga po animizację, a nawet personifikację: „gromy (...) zmarszczone w groźnym namyśle”. Nawiązując do konwencji romantycznych, stara się operować tylko trzema barwami, tak charakterystycznymi dla jego warsztatu poetyckiego: czernią, czerwienią i bielą. Ten niszczycielski świat, nabierając cech osobowych, staje się kolebką narodzin człowieka. Jest to otoczenie jemu wrogie i nieprzyjazne, w którym czuje się osamotniony i wyalienowany (kolejny wątek w filozofii Hegla). Człowiek jest także istotą integrującą w sobie pierwiastek zarówno cielesny, ziemski, jak i duchowy, metafizyczny: „z chmur i ziemi ulany”. Ukazany jest również jako istota błądząca, poszukująca, wewnętrznie rozdarta, jak u Św. Augustyna.... Wiersz K.K.Baczyńskiego koncentruje się głównie na zagadnieniu stwarzania pewnej rzeczywistości przez Boga. Ujawnia czytelnikowi jak świat powstał - mówi o kosmogenezie. Sprawa kosmologii, czyli budowy wszechświata i antropologii – koncepcji człowieka w tym kosmosie – podjęta została przez Czesława Miłosza, w wierszu z tomiku *Świat – poema naiwne: Przypowieść o maku*.

*Na ziarnku maku stoi mały dom,  
Pieski czekają na księżyc makowy  
I nigdy jeszcze tym makowym psom,  
że świat jest większy, nie przyszło do głowy.*

*Ziemia to ziarnko – naprawdę nie więcej,  
A inne ziarnka – planety i gwiazdy.  
A choć ich będzie chyba sto tysięcy,  
Domek z ogrodem może stać na każdej.*

*Wszystko w makówce. Mak rośnie w ogrodzie,  
Dzieci biegają i mak się kołysze.  
A wieczorami, o księżycu wschodzie  
Psy gdzieś szczekają, to głośniejsze, to ciszsze.*

Zagadnienie budowy świata nauka rozpatruje w trzech podstawowych modelach: stacjonarnym, repetycyjnym i ewolucjonistycznym. Model repetycyjny przedstawia cykliczną albo hierarchiczną formę kosmosu, gdzie wszelkie zjawiska wiecznie się powtarzają w jednakowy sposób. Ewolucyjne rozumienie świata zakłada, iż podlega on rozwojowi, ukierunkowanemu procesowi. Natomiast model stacjonarny to przestrzenne postrzeganie wszechświata, którego struktura jest wszędzie jednakowa. Taki obraz nie zależy od jakiegoś określonego punktu widzenia – jest jednakowy we wszystkich wymiarach. I taki właśnie wizerunek świata zawiera „Przypowieść o maku”.

Podmiot będący ukrytym obserwatorem, nie podlegający ograniczeniom czasoprzestrzennym, jest w stanie przedstawić nam różne punkty odniesienia. Widzi on jednocześnie ziarnko maku – ziemię z odległości o wymiarach kosmicznych, jak i stojąc na jej powierzchni. Taki typ postrzegania nasuwa nam skojarzenia z wykładem z teorii relatywistycznej Einsteina.

Szczególna zmiana perspektywy sprawia, że podmiot, jak i cała sytuacja liryczna, stają się niezwykle dynamiczne. Składa się na to wszechwiedza podmiotu lirycznego, ujawniona w trochę ironiczny sposób: „I nigdy jeszcze tym makowym psom\ że świat jest większy nie przyszło do głowy.” Prawda o budowie wszechświata zawarta jest w jednej wielkiej metaforze makowego świata – podstawowym środkiem artystycznym wiersza. To porównanie kosmosu do makówki, niezliczonych ziaren maku do ciał niebieskich: planet gwiazd, księżycy, mówi nam o tym, jak bardzo jeszcze mało wiemy o tym co nas otacza. Podmiot liryczny skłania nas, ludzi dumnych do skromności i pokory. Opowiada także o tolerancji, życzliwości, czyli tym, czym człowiek powinien się kierować w kontaktach międzyludzkich. Gdyż miejsca na świecie starczy dla wszystkich, a „domek z ogrodem może stać na każdej”.

Dokładność w spojrzeniu na świat, szczegółowość obserwacji, łatwość i prostota wyrażania rzeczywistości, określenie świata za pomocą kilku słów, jednego skojarzenia, są charakterystycznymi elementami sposobu patrzenia przez dziecko. Podmiot – dziecko odbiera to za pomocą zmysłów i rysuje obrazek świata zjawiskami przyrody: wieczorem, wschodzącym księżycem, wiatrem kołyszącym mak w ogrodzie. Nieustanny strumień świadomości prowadzi czytelnika od małego domku, ku niebu, gwiazdom, małym świecącym punkcikom – ziarenkom maku, makówki, ogrodu, szczekających psów. Wiersz Miłosa to swoista podróż międzygwiazdowa w wyobraźni dziecka.

Zestawienie wiersza Czesława Miłosza, debiutanta z lat dwudziestych tego wieku, z utworem Baczyńskiego, tworzącego w okresie wojny i okupacji, nie jest przypadkowe. Łączy je pewna informacja, zawarta w tytułach, a mówiąca nam o gatunku literackim, do jakiego odwołują się poeci. Przypowieść, alegoryczny utwór przekazujący treść, pewną prawdę, na zasadzie przykładu i ilustracji, to gatunek mający swe korzenie już w Biblii. Miłosz szuka w tradycji biblijnej odniesienia do przypowieści Chrystusowych z Nowego Testamentu. Natomiast Baczyński skonstruował swój utwór na bazie rozbudowanego obrazu poetyckiego, częściej spotykanego w starotestamentalnym „Genesis”.

To, co odróżnia oba wiersze, to nie tylko budowa utworów i ich konstrukcja, ale zdecydowanie większe bogactwo użytych środków artystycznych u Baczyńskiego. Autor „Przypowieści” posłużył się, charakterystycznym dla poezji współczesnej, wierszem wolnym, intonacyjno-zdaniowym, odmiennym od izomerycznego czterowiersza Miłosza. „Przypowieść o maku” jest bardziej jasna i komunikatywna, przejrzysta w odbiorze. Wynika to także z tego, iż obaj poeci potraktowali temat stworzenia w trochę inny sposób. Miłosz próbuje opisać świat wedle własnej koncepcji i oryginalnego porównania, natomiast Baczyński czerpie z biblijnej wizji i interpretacji świata oraz jego tworzenia przez Boga. Młody poeta próbuje, poprzez takie nagromadzenie środków artystycznych, w zmysłowy sposób odtworzyć to, co wydaje się nam nie do odtworzenia.



Michał Kopaczewski

## Puste miejsca (Poemat o braku)

Brakuje mi czaru tych dni  
w których znaliśmy się tak  
jakbyśmy byli dla siebie  
stworzeni

A przeklęte to były dni  
lecz ja o tym nie wiedziałem  
jak zwiedziony mędrzec  
tobie zaufałem

I teraz gdy jest już po wszystkim  
czasami myślę, że brakuje mi  
(a chciałbym się mylić)  
tych dni przeklętych

\*\*\*\*

Brakuje mi tańca wokół  
świata własnych fantazji  
wypełnionego złotym  
nieboskłonem gdzie uciekałem  
od tego co mnie otacza  
choć nie wiem po co  
bo to i tak nic nie zmienia

\*\*\*\*

Brakuje mi słońca co razi  
piasku pod stopami twymi  
co nigdy nie mogłem zliczyć  
tak dużo było tych ziaren

Brakuje mi tego  
choć nie wiem jak na długo

\*\*\*\*

Brakuje mi tego czego inni  
nie mają  
tęcz kolorowych  
śmieci zatroskanych  
miotanych bezlitośnie  
przez wiatr po ulicach.  
Świateł latarni  
i jeszcze czegoś ...

lecz trudno mi to określić

\*\*\*\*

Brakuje mi tego czego  
niegdyś mi nie brakowało  
miłości do Boga i bliźniego

brakuje mi jej bardzo  
bardzo mi jej brakuje  
dlatego chcę ją odszukać  
bo wciąż mi brakuje jej

\*\*\*\*

Brakuje mi tchnienia  
gór nieboskłonów  
skrzydła ptaka lotek czarnych  
z których zbudować skrzydła  
bym chciał

\*\*\*\*

Brakuje mi lotu pod i nad  
słońcem  
A chciałbym

Brakuje mi kartek pocztowych  
co kiedyś od przyjaciół  
w skrzynce były

i jeszcze wędrówek dalekich  
wolnych od trosk i myśli

I tych wspomnień zaczyna  
mi brakować

\*\*\*\*

Brakuje mi szumu topoli  
chciałbym słyszeć bzyczenie  
świerszcza bzykacza  
odbijające się od ścian czterech  
przez które zbieram krople  
rosy w me ręce

Na głowę, nogi i ręce  
zbieram rosę

\*\*\*\*

Brakuje mi tego, czego tobie  
człowiecze dumny brakować  
winno:  
serca głosu własnego  
wołającego mnie daremnie

wróż do mnie  
nie odchodź  
brakuje mi Ciebie

\*\*\*\*

Brakuje mi tchu w piersi  
tego co rodzi się po porażce  
skrytego w głębinach moich  
wnętrzości  
gdzie tylko Wielki lub  
upadły anioł mają dostęp

\*\*\*\*

Brakuje mi zapachu kawy filiżanki  
wypijanej po to by rzucić się w wir  
dnia a potem:

potem zabijamy sekundy, minuty,  
godziny i chwile w niepamięć  
wieczną  
i tak aż do nocy a potem:

potem zanurzamy się w sen  
brakuje mi tego

\*\*\*\*

Brakuje mi was  
was co nigdy nie mogłem  
odgadnąć który prawdziwy jest

A było was dużo  
jak kukły wełniane  
wypełnialiście ziemię  
Oj dużo was było

\*\*\*\*

Brakuje mi Twojej  
obecności zasłanej  
bukietami konwalii  
Twoich pytań co  
otwierały we mnie to  
co było dotychczas  
zamknięte.  
Spojrzenia co jak lód  
i najgorętsze ciepło  
tryskało z Twoich oczu.

Z wiadomych mi przyczyn  
brakuje mi ... Ciebie.

\*\*\*\*

Brakuje mi myśli  
by wyrazić dalsze  
pragnienia i ubytki  
w życiu moim  
a może też i u innych ...

Łapmy więc braki  
zapełniając nimi  
szare dziury życia  
naszego tak by  
nie zgasła iskierka  
sensu ...

... w egzystencji naszej.

1997

## Lublin – moje miasto?

– sonda przeprowadzona wśród licealistów I LO w Lublinie

**Marcin (18 lat):** Lublin jest prowincjonalnym miasteczkiem, ale z jakimiś szansami na lepszą przyszłość. Jest też miastem magicznym ze swymi zaułkami Starówki. Można tę magię odczuć jeśli się na przykład spędzi kilka chwil w którymś ze starych kościołów.

**Sylwia (18 lat):** Lublin to miasto bez perspektyw, z którego chciałabym się jak najszybciej wyprowadzić.

**Magda (17 lat):** Chociaż wszyscy uważają Lublin za prowincję, to ja jednak myślę, że ma to „coś”, co sprawia, że mimo wszystko można się w nim czuć dobrze i doszukać się w nim piękna, choć nie przychodzi to zawsze łatwo.

**Justyna (18 lat):** Jest to najbardziej nudne miasto pod słońcem. Do tej pory moje życie toczyło się pomiędzy Lublinem i Krakowem, więc kontrast zacołanego wschodu z południem znam z autopsji. Tutaj nigdy nic się nie dzieje, a nawet kiedy już coś się wydarzy to nikt o tym nie wie. Z pewnością nie spędzę tu reszty mojego życia.

**Ula (17 lat):** Lublin to moje rodzinne miasto i dlatego czuję się z nim bardzo związana. Posiada ono swoisty klimat, który sprawia, że zawsze myślę o nim ciepło, choć nie jest to zapewne miejsce, w którym chciałabym spędzić całe moje przyszłe życie. Dlaczego? Przede wszystkim zbyt mało wszelkiego rodzaju wydarzeń kulturalnych, które przecież stanowią o charakterze każdego miasta.

**Kaśka (18 lat):** Chyba lubię Lublin, ale zdecydowanie nie lubię do niego wracać. Nie ma tu

też jakiegos szczególnego miejsca, gdzie by się koncentrowało życie kulturalne Lublina. W sumie nie jest to żadne specjalnie piękne czy atrakcyjne miasto, ale i tak je lubię.

**Magda (17 lat):** Mieszkam w Lublinie już od 8 lat. Jeszcze kilka lat temu bardzo chciałam się przeprowadzić do Warszawy – wiadomo stolica, życie kulturalne kwitnie, perspektywy lepszej pracy po lepszych studiach. Ostatnio natomiast stwierdziłam, że jednak bardziej podoba mi się Lublin – małe, ciche, spokojne miasto (ale jednak miasto), a nie zatłoczona, betonowa Warszawa. W Lublinie dobrze się czuję, mam tu przyjaciół, rodzinę, to mój dom.

**Dominika (17 lat):** Może dlatego, że w Lublinie się jedynie uczę i nie jestem z nim sentymentalnie związana, to jest to dla mnie jedynie brzydkie, szare, brudne miasto, pozbawione jakiegokolwiek osobowości. Nie chciałabym tu mieszkać.

**Marzena (17 lat):** Lublin jest dla mnie ciekawostką, gdyż jako miasto uniwersyteckie, pełne studentów jest prawie zupełnie martwe kulturalnie i nie daje niemal żadnych perspektyw na przyszłe życie zawodowe. I chociaż jest szary i brudny, a atmosfera często dołuje i zniechęca kiedy chce się cokolwiek zrobić, to jednak jest to moje rodzinne miasto, tu są moi przyjaciele i dlatego chyba nie zdecyduję się wyjechać stąd na zawsze.

Opracowanie:  
Marzena Tarasińska

## W barze Smaczek

– rozmowa z panią Zosią i Helą sprzedającymi  
w barze „Smaczek” przy Krakowskim Przedmieściu

**Karol Zienkiewicz:** *Czy mogłaby mi Pani opowiedzieć o jakichś niezwykłych sytuacjach jakie miały miejsce w barze?*

**Pani Zosia:** Ho, no cóż to ja bym mogła opowiedzieć. No, nie pamiętam żadnych takich. Helu! Może ty coś pamiętasz?

**Pani Hela:** Nie.

**Pani Zosia:** Ostatnio pan zamówił flaki, a do nich zamiast chleba frytki. To takie zabawne jest. Niektórzy mają takie gusta. No i cóż jeszcze. O, może to. Niedawno pani zamówiła

u nas udka z kurczaka, po zjedzeniu ich przyniosła nam kości i skórę i poprosiła o zwarzenie i zwrot pieniędzy za coś, za co ona zapłaciła i nie może tego zjeść.

**K.Z.:** *Jak długo istnieje ten bar?*

**Pani Zosia:** Ho ho, no on jest już stary. Będzie ze dwadzieścia lat. Wcześniej był państwowy. Niedawno się sprywatyzował.

**K.Z.:** *A jeżeli chodzi o klientów. Więcej jest teraz po '89, kiedy zaczął się kształtować wolny rynek przełamując tym samym monopol państwa, czy więcej było wcześniej?*

**Pani Zosia:** Przed '89 było więcej. Panie, które pracowały tu wcześniej mówią, że już od rana ustawiały się kolejki.

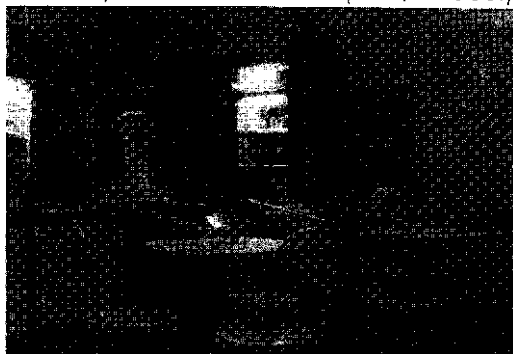
**K.Z.:** *Jak Pani myśli, dlaczego teraz jest ich mniej?*

**Pani Zosia:** Za komuny było o wiele mniej do kupienia w sklepach. Ludzie woleli wystać w kolejkach do nas i coś zjeść. Nawet jak już coś się kupiło w sklepach to wychodziło drożej ugotować obiad niż kupić gotowy.

**Pani Hela:** Ludzie abonamenty kupowali na całe rodziny.

**Pani Zosia:** Ta!

**Pani Hela:** Pani Zosiu! Ja też sobie kupiłam bućki: brązowe, za 45 złoty.



fol. M. Gajko

**K.Z.:** *Jeszcze raz chciałbym wrócić do sprawy klientów. Jacy ludzie się tu stoluja. Czy turyści często Was odwiedzają?*

**Pani Zosia:** Stoluja się u nas bardzo różni ludzie: bankowcy, biznesmeni, kwiatciarze, ludzie ze wsi i miastowi. Są też turyści. Naprawdę

bardzo różni. Często przyjeżdżał pan na wózku, bo mamy tu płaski podjazd. Co jeszcze, no już chyba nic więcej. Krótko tu pracuję to niewiele wiem. Raczej śmieszne sytuacje się nie zdarzają.

**Pani Hela:** Dzień, jak co dzień...

Opracowanie:  
Karol Zienkiewicz

## W knajpie

### Mini sonda młodzieżowa

Bar, piwiarnia, karczma, bistro; są to cztery określenia miejsca znanego chyba nam wszystkim, miejsca spotkań wielu ludzi (młodych i nie tylko). Miejsca, do którego każdy jest ustosunkowany inaczej, miejsca popularnie zwanego KNAJPA.

W wielu ludziach słowo to wzbudza różne skojarzenia. Jedni utożsamiają je z tonącą w dymie i oparach alkoholowych piwnicą, dla innych ta sama piwnica staje się miejscem odpoczynku i spotkania z przyjaciółmi. Żeby jednak dokładnie poznać „świat knajpy”, trzeba być tam i porozmawiać z bywalcami takich miejsc. Czym jest bar-knajpa dla ludzi młodych z Lublina? Czy to dla nich miejsce święte, czy przeklęte?

---

**„Mery” III klasa LO:** Knajpa to dla mnie miejsce gdzie mogę spotkać przyjaciół, wypić piwo i zapalić. Nie wyobrażam sobie życia, gdybym od czasu do czasu nie wyrwała się do baru.

**Agata II klasa LO:** Można na tę sprawę spojrzeć dwojako. W momencie kiedy pub staje się miejscem orgii alkoholowych, kiedy staje się drugim domem to... wtedy jest źle. Ale kiedy idę tam spotkać przyjaciółkę, kumpla, porozmawiać, to jest O.K.

**Paweł II klasa LO:** Knajpa to kulturalne miejsce spotkań. Możesz uchlać się jak świnia, ale wtedy wylatujesz, ponieważ kultura to podstawa, a chamstwo nie jest teraz w modzie,

dlatego myślę, że „barówka” to miejsce święte.

**„Nika” IV klasa LO:** Uważam, że knajpa nie jest złym miejscem, a chodzenie do baru nie jest rzeczą złą. Może nawet ubogacać człowieka. Myślę, że pub to miejsce integracji.

Już z tych kilku wypowiedzi widać, że w świadomości młodych ludzi pojęcie „knajpa” funkcjonuje pod ogółem pojęć, które można określić jako dobre. W każdym bądź razie knajpa to dla jednych „aż” miejsce, a dla innych „tylko”.

Opracowanie:  
**Jakub Niedzialek**  
(Tekst nie jest autoryzowany)



## Gdyby nie krótsze wiosenne spódniczki dziewcząt i kobiet...

– rozmowa ze sprzedawcą w budce z gazetami na dworcu  
PKS w Lublinie

---

**Karol Zienkiewicz:** *Chciałbym z Panem porozmawiać o miejscu, na którym się znajdujemy: o dworcu. Jest Pan dworcowym kioskarzem i zna je Pan najlepiej. Czy mógłby pan opowiedzieć o tym, jak wygląda codzienne „życie dworca”?*

**Sprzedawca:** Wszystko, co porusza tym dworcem to zło: kobiety goniące złodziei swoich torebek, „żule” wyciągający pieniądze od przechodniów, młodzież „przegrywająca” swoje życie. Nic, poza bardzo przygnębiającym obrazem dzisiejszego świata, zalewającym nas swoją

beznadziejnością. Powiem szczerze, że gdyby nie zbliżające się lato, czego następstwem są coraz krótsze wiosenne spódniczki dziewcząt i kobiet to chyba bym tu nie wytrzymał. A w ogóle nie mam Panu nic więcej do powiedzenia. Proszę się odsunąć, bo nie mogę sprzedawać!!!

**K.Z.:** *Dziękuję za rozmowę.*

Opracowanie:  
Karol Zienkiewicz

## W dyskotece... Uff.. jak gorąco...

### Tytułem wstępu

Dotychczas zdarzało mi się udzielać wywiadów, ale nigdy ich nie realizowałem. Ponieważ miał to być mój debiut w roli reportera, postanowiłem jakoś zacząć. Zdecydowałem się na początku „zagrać wariata” gnębnego przez straszliwego redaktora naczelnego.

Włosy postawiłem każdy w inną stronę, z trzydniowym zarostem na gębie, z dyktafonem w garści, polecałem robić wywiad na temat: „**MIEJSCE**”.

Oto czego dowiedziałem się o tym egzotycznym miejscu jakim jest dyskoteka:

Piotr Chęć (dalej zwany „Ch”): *Przepraszam!! Czy koleżanka mogłaby mi pomóc?* (Podchodzę z dyktafonem podskakując w rytm melodii: „Zagubiłem sens w cieniu Twoich rzęs”)

Koleżanka (dalej zwana „K”): *Cooo????!!!*

Ch.: *Czy koleżanka mogłaby mi pomóc?* (Próbuję bezskutecznie mówić głośniejszym niż tuby dyskotekowe)

K.: *Poród?*

Ch: *Pomóc!!! Jezu!!! Pomóc!!!* (Podskakujemy już razem. „W cieniu twoich rzęs”...)

K.: *Ja ?! W czym?*

Ch: *Jestem reporterem „Scriptores Scholarum”! To taki kwartalnik!* (przybliżam się do ucha rzeczonyj i szukając wspólnego języka rapuję) *Re-daktor na-czelny dzi-siaj o mało mnie nie zamordo-wał, a ko-le-dzy go cud-dem od-cią-gnęli, bo już dawno nic do kwar-tal-nika nie na-pi-sałem! No nic, nie przy-chodzi mi do gło-wy!* (kończę rapowanie) *Teraz mam zrobić wywiad na temat dyskoteki! Pomożesz mi?* (prawie z płaczem).

K: (Z macierzyńską troską): *Dobrze, ale co ja mam mówić? („Zagubiłem się...”)*

Ch: (Odciągam ją w stronę szatni) *Powiedz mi czym dla ciebie jest dyskoteka, jakim miejscem jest dla ciebie?*

K: *Dobrym!* (Polknęła haczyk, mam ją –HA!). *To jest jedyne miejsce w świecie, tu można wypić, potaćczyć, poderwać chłopaka. (Koto nas przesuwają się „naćpany” lub „naprany” jegomość. No proszę, a ja myślałem, że tu ich nie ma!)*

Ch: *To cza-do-wo! Ka-żdy już w przed-szk-olu wie, że wy-pić jest the best!* (rapuję i prowokuję!)

K: *Noo, (Śmieje się „K”, O Jezu nie ma zęba! – zauważam) bez tego nie ma zabawy! Ja na przykład najbardziej lubię piwo.*

Ch: *A jaka jest kolejność? Najpierw pijesz, a potem idziesz skakać i wywijać, czy odwrotnie?*

K: *Tak!* (Ta odpowiedź mnie wzrusza, to znaczy zrozumieć pytającego!)

Ch: *Co „Tak”?*

K: *No, tak robię...*

Ch: *Acha... (wytrzeszczam oczy). A często tu wpadasz ?*

K: Zależy jakie. Najczęściej to chodzę do „Colloseum” (Co to jest to Colloseum? Cholera, gladiatorzy wrócili?), kiedyś chodziłam do „Art-Bisu” ale tam teraz takie buraki przychodzą z zawodowcy. Tak to w piątek, sobotę, to w te dni...

Ch: *A ty gdzieś, tego chodzisz, do jakiejś budy?*

K.: No pewnie do zasadniczej, ale później ide do technika!

Ch: *A co robisz w niedzielę?*

K: W niedzielę lecę (perliście, choć bez jedynki, ze śmiechem)... kaca!

Ch: *Super!!! (Rozkoszny bobasek) Powiedz mi, a jaka muzyka jest w takim miejscu grana i czy ona ci się podoba?*

K: Lubię Rave (O, Jezu... – Ch.), hip-hop (...Bądź miłościw mnie grzesznemu – Ch.). To jest bardzo często grane obok „dance” (Mam ochotę upaść na chodnik i wbić się w niego zębami – Ch.)

Ch: *Dobra! To już wszystko, dzięki za wywiad! Teraz idę łać naczelnego! Część trzymaj się ciepło!*

K: Hi!

Opracowanie i wstęp:

Piotr Chęć

(rozmowa nie jest autoryzowana)



**POLSKA 1.00**

Marek Marczewski (junior)

## Toaleta – szczególne miejsce na Placu Litewskim w Lublinie

Jest w naszym mieście wiele miejsc zarówno szczególnych, jak też i publicznych. Do miejsc szczególnych należy na pewno Muzeum na Majdanku, Zamek Lubelski czy chociażby Katedra. Z miejsc publicznych wymienić można bibliotekę publiczną lub też tak liczne w naszym mieście szkoły i uczelnie. Mało osób zdaje sobie sprawę z tego, że w naszym mieście znajduje się także takie jedno szczególne i w dodatku publiczne miejsce. Jest to oczywiście toaleta publiczna na Placu Litewskim.

Dla wielu jest ona jedynie miejscem, które mija się codziennie idąc do pracy. Nie jest dla tych ludzi miejscem zbyt przyjemnym, a to ze względu na przebywające w otoczeniu toalety osoby nietrzeźwe. Jednak dla tych właśnie nietrzeźwych ludzi jest to miejsce szczególne. W tym miejscu spotykają się codziennie w umówionym czasie i „obalają jedną lub dwie setki” – jak to ujął pytany przeze mnie przechodzień.

„Mało tego.” – dodał – „Gdyby tu tylko chodziło o obalenie jednej, czy kilku setek, nie byłoby żadnej sprawy. Po wypiciu udają się na sąsiadujące z toaletą ławki i po odstraszeniu młodzieży, spokojnie układają się na nich do snu.”. Takie wyobrażenie o tym miejscu ma jeden z lublinian. Kolejny przechodzień dorzuca kilka swoich, prywatnych spostrzeżeń: „Po wypiciu odpowiedniej ilości alkoholu wychodzą z toalety na zewnątrz i zaczyna się kłótnia najczęściej zakończona bójką dwóch pijaków. Potem jeden pomaga wstać drugiemu i odchodzą do domu (?) lub

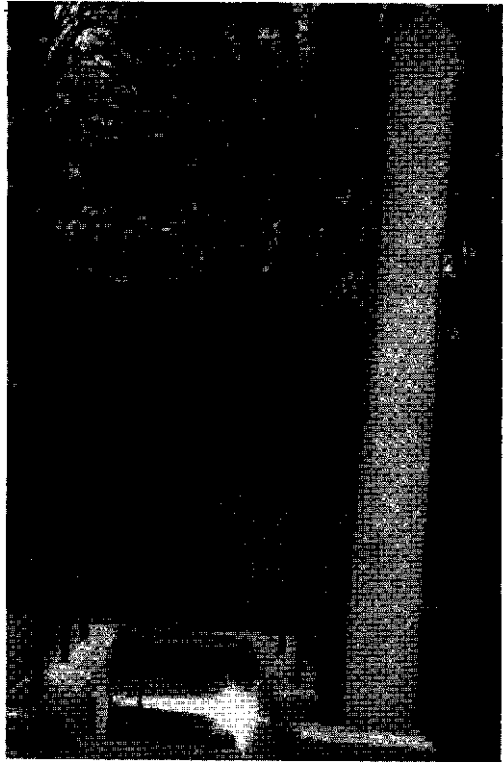


foto M. Gajko

znowu wchodzi do środka szaletu.”. Na pytanie, tych w końcu przypadkowych przechodniów, skąd oni to wiedzą mówią, że albo „Bo mi tak kolega opowiadał, który tu niedaleko mieszka”, albo „Stojąc na przystanku czasami podejmuję się obserwacji tych jegomościów.”. Z tych wypowiedzi można sądzić, że los i wszelkie działania wokół toalety bardzo interesują przechodzących obok mieszkańców Lublina. Na pytanie, czy takie miejsce jest potrzebne w naszym mieście, pada również wiele odpowiedzi: „Przecież wszelkie potrzeby można załatwić „na zapas” w miejscu, z którego się wychodzi.” lub „Toaleta może być, ale powinna mieć stały dozór policji, albo przynajmniej straży miejskiej, żeby mogła być również użytkowana przez zwyczajnych przechodniów.”. Jak widać i w tym temacie zdania lublinian są podzielone.

Teraz przyjrzyjmy się sytuacji ze strony odwiedzających ten przybytek ludzi z tzw. „marginesu społecznego”. Zapytany przypadkowo (jeszcze w miarę trzeźwy) starszy mieszkaniec naszego miasta, który szedł w stronę szaletu, następująco odpowiedział na postawione pytanie o cel, w jakim udaje się do tego miejsca: „No, najpierw muszę zobaczyć, kto ze znajomych już tu przyszedł, a potem, panie redaktorze, no wie pan... wychylił się z kolegami jednego, albo i więcej.”. Na kolejne zadane pytanie o to, czy wie do czego służy takie miejsce, tak oto odpowiada: „No, ono powstało po to, żeby niektórzy mogli ulżyć swojemu pęcherzowi, wie pan redaktor o co chodzi... My im wcale nie przeszkadzamy. Wręcz przeciwnie – my staramy się uatrakcyjnić to miejsce, bo miasto i tak o nie nie dba, to my musimy zadbać.”. Na taką odpowiedź nie zadawałem już pytania, w jaki sposób uatrakcyjnią to miejsce. Już w pierwszej odpowiedzi padło sformułowanie, którego oczekiwałem. Z pewnością wielu z czytelników i mieszkańców także nie jest zaskoczona taką odpowiedzią na postawione pytanie o cel podążania w stronę toalety przy Placu Litewskim. Druga odpowiedź trochę mnie zaszokowała i trochę zastanowiła, ale może i takim ludziom zależy na uatrakcyjnieniu miejsca, o które „miasto i tak nie dba”. Chociaż sposób uatrakcyjniania jest rzeczywiście nowatorski, ale kto wie – może się przyjmie?

Kolejny pytany odpowiada: „Najpierw to trzeba się rozejrzeć, kto ze znajomych już jest, a potem dopiero bedziem coś robić. Takie miejsce jest dobre do spotkań koleżeńskich. Raczej nie lubię, gdy mi ktuś obcy przeszkadza w picciu, ale inni mnie zawsze powstrzymują, chociaż rzadko kto do nas zagląda ... i dobrze, nie?”. Czy tak dobrze to nie wiem, ale trudno, co robić. Niektórzy potrzebują wypić sobie trochę w gronie przyjaciół tak, aby im nikt nie przeszkadzał „w picciu”.

Nie można mówić o braku zainteresowania tym miejscem. O różnych porach zaczynają się schodzić amatorzy „koleżeńskich libacji”. Najczęściej jednak prawdziwa „zabawa” rozpoczyna się po godzinie dwudziestej. Wcześniej rano można spotkać śpiących nieopodal uczestników nocnego spotkania.

Policja chyba omija to miejsce. Podczas zbierania materiałów, wokół wspomnianego miejsca nie pojawił się żaden stróż prawa, a szkoda. Odpowiedzi na takie pytania jak: „Czy rejon wokół toalety na Placu Litewskim jest uznawany za niebezpieczny” lub „Czy miejsce to według policji jest w pełni bezpieczne i każdy mieszkaniec Lublina może tu spokojnie załatwić swoje <<potrzeby>>” możemy się tylko domyślać. Po tym, że wokół toalety nie pojawił się ani jeden patrol w porze popołudniowej (ok. godziny 16) przez

blisko półtorej godziny, możemy wnioskować, że miejsce jest wyjątkowo bezpieczne i możemy spokojnie z niego korzystać bez ryzyka utraty zdrowia.

Niektórzy z napotkanych przechodniów twierdzą, że „Trudniej jest chyba wejść do środka, niż już w środku spokojnie załatwić swoje <<potrzeby>>”. Co do tego, zdania są podzielone.

Osobiście, po dziesięciu latach mojej młodości spędzonych dosyć niedaleko od opisywanego miejsca, uważam to miejsce za jedno z wielu podobnych w mieście. Warto też wspomnieć, że również dookoła Placu Litewskiego, wśród młodych wierzb od strony ulicy Radziwiłłowskiej, na przyniesionych ławkach odbywają się libacje i wieczorne partie karciane. Czy jest to dziwne? Myślę, że nie. Jeżeli ktoś spędził chociaż kilka swoich lat w okolicy Placu, to był szczęśliwy, że owi „maniacy alkoholowi” przesiadują na placu, a nie w bramach domów, lub też wokół szkoły przy ulicy Niecałej.

Warto więc dokonać już cząstkowego podsumowania, czy rzeczywiście takie miejsce jest nam potrzebne i co ludzie myślą na ten temat. Chęć zniszczenia tego miejsca i np. zasadzenia na jego miejscu kilku drzew nie jest lublinianom obca. Wielu uważa to miejsce za najgorsze pośród kilku ważniejszych kryminalnie innych części naszego miasta. Niektórzy przechodnie porównują to miejsce do rzeczywiście podobnie zadrzewionych części Parku Saskiego, obok wejść od Alei Raławickich i F. Bieczyńskiego. Miejsca te mają w sobie jakiś dziwny nastrój, który wywołuje w ludziach strach i wstręt. Może jest tak dlatego, że w okolicy toalety unosi się straszliwy fetor wynikający z tego, że z toalety korzystają głównie osoby już nietrzeźwe. Jednak nie wszyscy chcą się pozbyć uciążliwych „nocnych sąsiadów”. Niektórzy z dość prostego powodu – „Jak tutaj się nie napiją, to przyjdą pod dom i tam będą hałasowali. Lepiej, żeby zrobili to tutaj, gdzie przecież nikt nie mieszka, a zabudowania po drugiej stronie ulicy są wystarczająco oddalone.”. Inni zaś twierdzą, że „jak stąd się ich wyrzuci, to gdzie oni pójdą?”.

Zastanawia również fakt, że w pobliskich sklepach oferujących alkohol widnieją dobrane znane wszystkim tabliczki – „Osobom nieletnim i nietrzeźwym alkoholu NIE SPRZEDAJE SIĘ”. Być może rezydujący w toalecie i obok niej kupują najpierw „towar”, który im wystarcza na całą noc, lub też robią delegacje trzeźwych kolegów po alkohol. Na pytanie w sklepie, czy treści zawieszonych tabliczek są przestrzegane otrzymujemy odpowiedź „Tak”, albo nie otrzymujemy w ogóle żadnej odpowiedzi. Problem alkoholowych libacji jest jednak ciągle żywy i – jak widać – nie ma zamiaru umrzeć.

Na koniec muszę się przyznać, że jeszcze nigdy nie korzystałem z tej toalety, ale po kilku wizytach w toalecie dworcowej na peronie pierwszym, nie mam odwagi i chęci wchodzić do legendarnej toalety na Placu Litewskim. Każdego, kto chociaż raz miał odwagę wejść do środka podziwiam. Ponadto jestem ciekawy, czy sytuacja wewnątrz jest tak zła, jak przedstawili ją pytani przeze mnie przechodnie. Tak czy inaczej toaleta była, jest i najprawdopodobniej jeszcze długo będzie jednym z najślawniejszych obiektów współczesnego Lublina.

*P.S. W tekście wykorzystano jedynie fragmenty rozmów, które przeprowadzone zostały przed toaletą publiczną na Placu Litewskim. Wszystkie słowa i zwroty niecenzuralne zostały usunięte przez autora.*

Ireneusz Ziemiński

## Babcia Klozetowa

Siedziała na zniszczonym taborecie, ubrana w schludną sukienkę, fartuch i chustkę na głowie. Cały czas spoglądała przez okienko na wchodzących i wychodzących klientów, jednocześnie licząc rzucane na ladę monety.

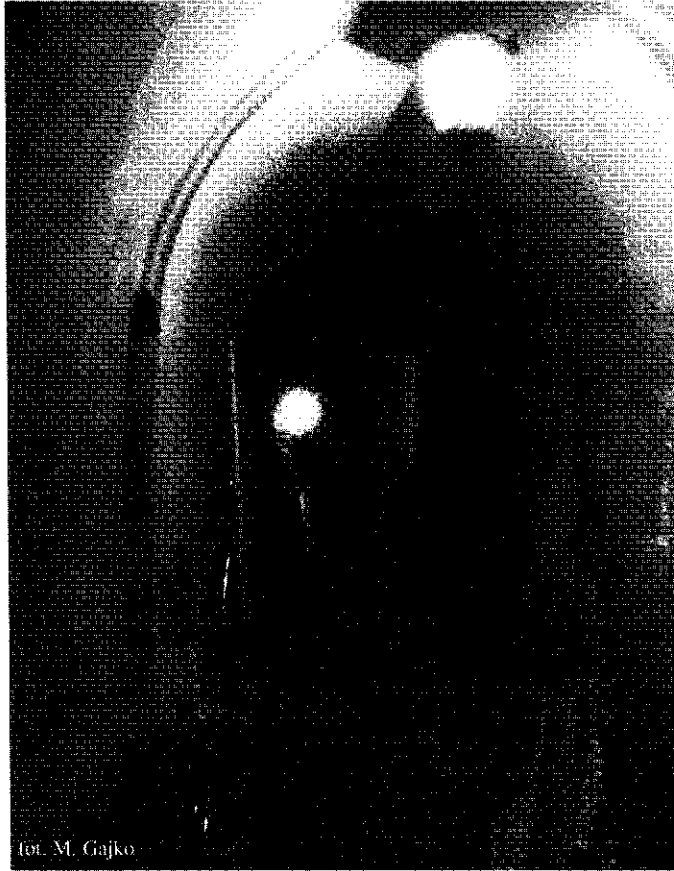


for. M. Gajko

– Siusiać każdy musi drogi panie, czy ma szkoły czy nie ma, biedak, czy bogaty, tak już jest na świecie. Natury nie zmienisz, choćbyś chciał. Ludzie to różne tu przychodzą, czasami zdarzy się, nie powiem, elegancki pan, ten jak to się tam nazywa, poseł czy minister, ale te to zwykle nawet dzień dobry nie powiedzom, takie niby ważne som. Najlepiej to jak jaki zagraniczny przyndzie, o taki to i dolara rzuci, a raz nawet kwiaty od jednygo dostałam. Ten to ci był ładny chłopak, szkoda go panie. Do dziewczyny przyjechał, zdjęcie mi ji pokazał, a ona z drugim panie, poszła. Boże, jak ten dzieciok, panie, płakał a zdjęcie ji całował. Nie powiem, ładna była, ale żeby za taką ździřą płakać to już mi się nie wydaje w porządku. Ale zakochany był, młody... Mówił, że jak do dom wróci, tam znaczy, za te granice, do Niemców, to się pod pociąg rzuci... Kto tam dziś panie wie... Młodego nie zrozumiesz, swoje wi, nie opamięta się i tragedia gotowa... Ej, ty tam, tu płatne! – Zawołała na jakiegoś

klienta wychylając głowę przez okienko. – Widzicie go, paniczyka, siusiac to by chciał, albo co gorszygo jeszcze, a kto niby ma po nim sprzątać, co? Tu nie opieka społeczna, że se można bez pieniędzy przychodzić, jak nie ma grosza, to niech nie wchodzi, widzi chyba, że płatne!, Ot, paniczyk, myśli, że jak ma krawat, to już mu wszystko wolno... Tfu, co za wychowanie... Widzi, pan, to nie łatwy chleb, co się człowiek czasem nade-nerwować musi, to jego ... Przyndzie taki, narzyga, a ty po niem sprzątaj... O, niedo-czekanie, tak to se możesz w domu uswojej baby robić, ale nie tutaj, w publicznym miejscu... Tu kultura obowiązuje! Inne som teraz ludzie, panie, uczciwe, nie to, co terez, patrzą jakby tylko człowieka oszukać... Złotówki jem szkoda, a mercedesami jeżdżom, psubraty... Różne tu przychodzą, mówiłam już, jeżdżo te ludziska nie wiadomo dokąd, pędzom gdzieś, goniom, panie, nie wiadomo za czym, jakby przed śmier-ciom albo zarazom jakimś uciekali... Ja tam, panie, czterdzieści lat w pociągu nie sie-działam, ostatni raz to było jak mnie z Oświęcimia w świńskich wagonach Ruskie wieźli... Te, znaczy się żołnierze... ładne nawet byli, a jurne, że ho, ho, nie to, co nasze, paniczyki... Tyle, że ze mnie kości wystawali, tak mnie w tym łobozie hitlery doprawi-li... Ale potem wydobrzałam i nawet dziecko urodziłam, ale zmarło... Lekarze badali, zapisali jakieś paskudztwo i zmarło. Somsiadka donieśła, że u mnie dziecko chore i przyjechało takich dwóch karetkom, zabrać do szpitala chcieli, ale nie dałam. Lykar-stwem kazali poić no i wysłali chłopaka na tamtyn świat. Chłopczyk, panie, taki ładny, jak z obrazka, dziś by już swoigo syna mógł mieć albo i wnuka, ale co zrobić, taki los człeka na ziemi... Ale ludzie tego, panie, nie wiedzom, myślom, że jak tak pojeżdżom po świeci, przewiozom tyłek za ocean albo i dali, to lepi im będzie a to nieprawda, panie... Jeżdżom, fotografujom co popadnie i wracajom... A ja się pytam, po co to wszystko, panie... Nie lepi w chałupie siedzieć, dziecko na kolana wziąć, papierosa zapalić... Inne kiedyś było życie, panie, i ludzie inne byli... Wiedzieli, czego chcom, teraz to się świat do góry nogami przewrócił... Tu tylko som sobom, panie, minister i ten, co sprząta, bo siusiac każdy musi, taka już natura człeka, nie ma się co wstydzić. Tu som wszystkie równe, jak przed Panem Bogiem, zapłacić muszom, w kolyjce cza-sym zaczekać, bez pośpiechu... Ten chłopak, co to z Niemców przyjechał do dziewu-chy, to całe noc tu u mnie przesiedział, mizerota... Wszystkie prezenty, co dla ni wiozł, mie zostawił... Dobry był, żal chłopaka, ale pewnie nie zginie, bo co to mało dziewu-chów na świecie? Czasami człek musi się sparzyć, żeby nie myślał, że życie takie słod-kie. Za dobrze by było, umierać by człek nie chciał, a tak to się nawet nie bydzie bro-nić, jak kostucha do niego przylizie... A zabiraj mie, powi, czym prędzej zabiraj i tyle. Niewiele, panoczku, z człeka ostanie, niewiele, zgnić mu przyndzie pod ziemiom i to wszystko, taki już los... A te, zobacz pan, biegajom, w te i wewte, torby wypchane wio-zom, jakby tam jakie skarby archanielskie mieli... Człek dużo może zobaczyć, jak tak siedzi tu i patrzy. Spieszom się, przewracajom jedyn drugiego, wrzeszczom, biegajom, jeżdżom tu i tam i po co, panoczku, po co? Chyba twój pociąg, panoczku, zapowiada-jom, musisz iść, bo ci odejdzie. Miły jesteś, niech ci się dobrze w życiu powodzi, do-jedź szczęśliwie... Nie, nie, panoczku, w ręce to ty już mnie nie całuj, stara baba je-stem, wyśmiejom cie jeszcze te młode, ale jedź z Bogiem, biegnij, bo nie dożyysz...





*(...) to, co obecne wywołuje pewne zdarzenie, a gdy jest nieobecne, obwiniamy je o wywołanie przeciwieństwa, (...) podczas gdy jego obecność jest przyczyną bezpieczeństwa; obydwie przyczyny, obecność i brak są więc przyczynami ruchu.*

Arystoteles , *Metafizyka*, 1013b

## Obecność: παρουσία

---

Jacek Wojtysiak

## Ufać istnieniu (Pytającym o obecność Bytu)

Każdemu z nas przypadł w udziale kawałek życia. Jednym dłuższy, innym krótszy. Ciekawszy lub nudniejszy, lepszy lub gorszy... Nikt z nas – mówi się – na świat się nie prosił. Zostaliśmy – jak powiada słynny myśliciel-egzystencjalista Martin Heidegger – weń wrzuceni. Istnienie nam (i wszystkiemu wokół) się tylko przydarzyło i... tak jak zostało „dane”, tak będzie „odebrane”, jak przyszło (pojawilo się) – tak odejdzie (zniknie). Póki co, musimy na co dzień – teoretycznie i praktycznie – zmagać się z jego zagadką...

Od ponad dwu i pół tysiąca lat filozofowie naszego kręgu kulturowego spierają się o istotę, sens czy źródło istnienia-Rzeczywistości. Jedni dopatrują się w nim charakteru duchowego, inni – materialnego. Dociekają, czy jest skończone czy nieskończone, rozumne czy nierozumne, dynamiczne czy statyczne, jednolite czy wielorakie, wyczerpujące się w naszym świecie czy wykraczające poza niego...

Przeciętny człowiek nie zwraca sobie głowy takimi pytaniami. Nie znaczy to jednak, że w zaden sposób nie ustosunkowuje się do swojego życia czy do bycia jako takiego (jeśli w ogóle zgodziłby się na serio użyć tego dziwnego sformułowania). Tak naprawdę gdzieś w głębi serca wyraża swoją **postawę wobec istnienia**, w którym uczestniczy. Z tej pierwotnej postawy – którą nie zawsze sobie wprost uświadomiamy – wyrastają odpowiedzi na wszystkie poważne filozoficzne pytania. Co więcej, owe odpowiedzi stanowią próbę uzasadnienia tej postawy lub raczej jej słowne uzewnętrznienia.

Właściwie możliwe są tylko dwie odmiany tej postawy. Nieporozumienia w ich określaniu biorą się jedynie stąd, że nasze życie bywa balansowaniem między nimi, i że opisujemy je z różnych punktów widzenia. Wszystko jednak sprowadza się do dwóch biegunów: pozytywnego bieguna **akceptacji** i negatywnego bieguna **odrzućenia**. Dla tych, co trzymają się pierwszego z nich, istnienie ostatecznie jawi się jako samo w sobie dobre (wartościowe), wieńczące się *happy endem*, mające sens, wymagające czegoś od nas. Dla tych, co zostali przyciągnięci przez drugi biegun, istnienie nie jest czymś wartościowym, sensownym, czymś, co się dobrze kończy. Takie istnienie nic nie wymaga: nie można wszak wymagać od tego, kto nie ufa wymagającemu, lecz widzi w nim tylko podstęp czy przypadek... Poczucie sensu i radości (optymizmu) istnienia oraz powinności wobec niego tworzą razem postawę **egzystencjalnej ufności**. Gdy jej zabraknie, pojawia się **rozpacz**: bezsens (pustka) i smutek (czasem ukryty) oraz dokuczliwa swoboda lub lęk.

Postawa egzystencjalnej ufności przyjęła swój filozoficzny wyraz już (jeśli nie wcześniej) u starożytnego mędrca Heraklita z Efezu, który głosił, że świat jest przeniknięty przez Logos – kierujący wszystkim Rozum. W dziejach ludzkiej myśli wiele

różnych systemów filozoficznych – teistycznych czy panteistycznych – stanowiło różnorodną „obudowę” czy „podbudowę” **zaufania wobec istnienia**. Kluczową rolę odgrywały tu takie pojęcia jak: **absolut, zasada-źródło, kosmos-ład, harmonia, jedność**...

Obszarem artykułowania egzystencjalnej ufności jest religia. W chrześcijaństwie wiara pojęta jako religijna ufność jest podstawowym lub (dla protestantów) właściwie jedynym warunkiem zbawienia. Dlaczego? Można powiedzieć, że w religijnym zaufaniu jest zawarta pierwotna akceptacja osobowego źródła istnienia i tego, co ono przynosi. Jeśli się ufa, to wszystko, co się przydarza, jest – „pomimo wszystko” – dobre lub może prowadzić do dobra. Jest darem przyjętym z wdzięcznością i odpowiedzialnością. Wierzący-ufający jest tym, kto każdą rzecz – taką, jaka jest – traktuje jako otrzymany **dar i zadanie**.

Ufność bywa wystawiana na próbę. Jak ufać istnieniu, skoro istnieją cierpiący, a istnienie tego, co dobre dobiega kresu? Religia przychodzi tu z pomocą, dając podstawy nadziei. Chrześcijańska wiara we Wcielenie Boga, który przyjął na siebie **wszystkie** – także tragiczne – wymiary ludzkiej rzeczywistości, potwierdza, że warto ufać istnieniu nawet w najgorszych sytuacjach. Wszak gdzieś w nich **skrywa się to, co wspaniałe i święte**. Tak jak w głodnych, spragnionych, bezdomnych i wszystkich najmniejszych – głosi Ewangelia św. Mateusza – znajduje się pełen chwały Król Wszechświata. Tak jak przez bolesną tajemnicę krzyża przychodzi chwalebna tajemnica Zmartwychwstania. Jak po nocy przychodzi dzień, po ciemności światło – bez którego nic by w ogóle nie było...

Moc, która umożliwia przetrwanie egzystencjalnej ufności, „samoafirmację bytu wbrew faktowi niebytu” Paul Tillich (głośny niemiecki teolog protestancki, walczący z rozpaczliwą destrukcją nazizmu) nazywa **męstwem bycia**. Gabriel Marcel (francuski myśliciel, konwertyta na katolicyzm, „chrześcijański egzystencjalista”) w podobnym kontekście – kontekście **tajemnicy bytu jako daru istnienia**, który „niesie ze sobą światło” – mówi o **metafizyce nadziei**. Problematykę wsobnej wartości rzeczywistości podejmują też niewierzący filozofowie, jak choćby wybitny polski semantyk i metodolog Marian Przełęcki, który – zastanawiając się nad „sensem” i „świętością” świata – pisze: „To rzeczywistość jest w swej najgłębszej istocie tajemnicza, niepokojąca, zachwycająca, godna miłości lub nienawiści, zasługująca na potępienie lub afirmację, usprawiedliwiająca bunt lub żądająca solidarności.”

Ks. Józef Tischner, recenzując „Książeczkę o człowieku”, napisaną przez swojego mistrza, największego polskiego filozofa-fenomenologa – prof. Romana Ingardena, posłużył się tytułem „Swemu istnieniu zaufać”. Podstawą był następujący cytat z Ingardena, który zachęcał do integrującego człowieka „wytwarzania dobra, piękna i prawdy”: „(...) budować siebie samego jako wznagającą się moc wewnętrzną. **Zaufać sobie i swemu istnieniu.**” Istnieniu, w którym uczestniczymy...

Ludzką kondycję uczestnictwa w istnieniu znakomicie wyraża ewangeliczny przekaz o uczniach w drodze do Emaus, którym towarzyszy Zmartwychwstały Pan, chociaż oni tego nie są świadomi. Zaangażowani w swoje sprawy życiowe – frustracje, troski, zmęczenie podróży, dyskusje, spożywanie posiłku – zostają całkowicie pochłonięci przez swą egzystencję i ten świat. Okazuje się jednak, że właśnie w tej egzystencji i w tym świecie

przechodzi wśród nich sam Bóg. Warto więc angażować się w sprawy naszego życia i naszego świata. W nich wszak zawarta jest **Obecność Bytu i Sensu**, jakkolwiek byśmy Go nazwali... On jest właśnie **wśród nas i obok nas**, tak **blisko**, że aż trudno właśnie na Nim skupić swoją jedyną uwagę. Być może nawet nie trzeba (czy wręcz nie da się) skupiać na Nim uwagi, skoro On przenika wszystko. Wystarczy zaufać istnieniu, zaangażować się w jego wezwania i podporządkować się jego rytmowi...

On jest przede wszystkim na – a nie poza – drogach, którymi kroczymy. Trzeba jednak śmiało i uczciwie **iść**. Jeśli życie jest drogą, to sens tkwi w drodze, którą idziemy. Aby **iść**, trzeba **ufać**.

**„Scriptores Scholarum” możesz kupić w całej Polsce w księgarniach Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki (EMPiK):**

- |                                                    |                                                      |
|----------------------------------------------------|------------------------------------------------------|
| 1. Białystok; ul. Sienkiewicza 3                   | 22. Nowy Sącz; ul. Rynek 17                          |
| 2. Bytom; ul. Dworcowa 32                          | 23. Olsztyn; ul. 1 Maja 17                           |
| 3. Czeladź; ul. Będzińska 61                       | 24. Opole; ul. Czimska2                              |
| 4. Chelm; ul. Lubelska 61                          | 25. Ostrów Wielkopolski; ul. Kolejowa 24b            |
| 5. Częstochowa; ul. Najświętszej Marii Panny 63/65 | 26. Płock; Pl. Narutowicza 5                         |
| 6. Elbląg; ul. 1 Maja 37                           | 27. Poznań; ul. Ratajczaka 44                        |
| 7. Chorzów; ul. Wolności 32                        | 28. Racibórz; ul. Rynek 5                            |
| 8. Gdańsk; ul. Długi Targ 26-29                    | 29. Rybnik; ul. Sobieskiego 18                       |
| 9. Gdynia; ul. Świętojańska 68                     | 30. Słupsk; ul. Stary Rynek 6                        |
| 10. Gliwice; ul. Rynek 4/5                         | 31. Sopot; ul. Boh. Monte Cassino 57/59              |
| 11. Gniezno; ul. B. Chrobrego 11                   | 32. Sosnowiec; ul. Malachowskiego 2                  |
| 12. Gorzów Wielkopolski; ul. Sikorskiego 126/128   | 33. Szczecin; Al. Wojska Polskiego 2                 |
| 13. Kalisz; Rynek Główny 18                        | 34. Świnoujście; ul. Armii Krajowej 8                |
| 14. Katowice; ul. P. Skargi 6                      | 35. Toruń; ul. Wielkie Garbary 15                    |
| 15. Kielce; ul. Warszawska 5                       | 36. Wałbrzych; Al. Wyzwolenia 2                      |
| 16. Koszalin ul. Zwycięstwa 106/108                | 37. Warszawa; Al. Zjednoczenia 25;                   |
| 17. Kraków; ul. Bora Komorowskiego 37              | 38. ul. Jagiellońska 15;                             |
| 18. Legnica; ul. Rynek 33                          | 39. ul. Marszałkowska 116/122;                       |
| 19. Lublin; ul. Krakowskie Przedmieście 59;        | 40. ul. Mickiewicza 27;                              |
| 20. ul. Armii Krajowej 25                          | 41. ul. Nowy Świat 15/17                             |
| 21. Łódź; ul. Narutowicza 8/10;                    | 42. Włocławek; ul. Warszawska 11/13                  |
| ul. Piotrkowska 51                                 | 43. Wrocław; Pl. Kosciuszki 21/23                    |
|                                                    | 44. Zielona Góra; ul. Bohaterów Westerplat-<br>te 19 |

## Paweł z Tarsu i mass media Krótka historia pewnej wspólnoty

Trzech uzbrojonych mężczyzn napada na bank w Nowym Jorku; grupa terrorystów uprowadza na lotnisku młodą kobietę, żądając uwolnienia swoich kolegów z organizacji – takie i podobne sceny mogą nam towarzyszyć każdego dnia, gdy po całodziennym wysiłku zasiądziemy przed ekranem telewizora i po przejściu kilku kanałów okaże się, że większość bloków informacyjnych zaserwuje nam porcję „mocnych wrażeń”. Jeśli i to nie podniesie dostatecznie poziomu adrenaliny, mamy w zasięgu kanał filmowy czy „dobrą” kasetę video, gdzie jeden z potężnych supermenów rozprasza „czarne chmury” jakie zawisły nad spokojnym dotąd miasteczkiem...

### Mc Luhana – globalna wioska

Bezustanny przekaz informacyjny wiedzie nas ku profetycznej Mc Luhanowskiej globalnej wiosce, w której króluje elektroniczny przekazańnik, nastawiony na zapewnienie swojemu odbiorcy pełnego serwisu informacyjnego, nie zaniedbując przy tym jego potrzeb natury kulturalnej i zapewniając ciągły dopływ świeżych produkcji filmowych.

Długo oczekiwany dwudziesty pierwszy wiek, kazał dzieciom już na początku lat osiemdziesiątych naszego wieku, na lekcji plastyki, na pytanie jak będzie wyglądał świat za sto lat, rysować ludzi o nieproporcjonalnie dużych głowach, zasiadających przed ekranami monitorów. Ta dziecięca intuicja sprzed lat, preferująca takie przejaśkrawienia, może prowokować nas do postawienia na nowo pytania o wygląd mieszkańców globalnej wioski za sto lat, nastawionych na konsumpcyjny odbiór „massmedialnej papki”.

### „Mizerna owczarnia” w kościele parafialnym

Już w pierwszej połowie dwudziestego wieku, włoski ksiądz Jakub Alberione pisał o „mizerniej owczarni” w czasie niedzielnej Mszy Św. w kościele parafialnym, do której przemawia proboszcz, i pełnej sali kinowej w sąsiedztwie, gdzie publiczność, zwłaszcza ludzi młodych, pozostaje pod wpływem wielkich potentatów filmowych, którzy *pozostawiają nam świątynie, a zabierają dusze*. Kształt dzisiejszego świata – a niestety w coraz większej części i „Bożej owczarni” – kształtowany jest poprzez środki społecznego przekazu (i to przez ich „czarną” – tę bardziej krzykliwą część). Od kiedy Hertz (1888) i Marconi (1896) dają możliwość rozwoju radia, a w pracowni braci Lumiere (1855) powstaje film, trwa gigantyczna walka o moralność człowieka, ewolucja od homo sapiens ku homo electronicus.

### Szkola typograficzna „dobrego druku”

W klimacie entuzjazmu, jaki towarzyszył rozwojowi nowoczesnych form masowego przekazu, w Kościele katolickim rodzi się nowa inicjatywa wypływająca od ks. Alberione. Inspirowany nauczaniem „papieża przełomu wieków” – Leona XIII, zakłada w 1914 roku szkołę typograficzną „Dzieło Dobrego Druku”, jako konkurencję dla prasy liberalno – antyklerykalnej, która zaczęła zalewać ówczesny „rynek prasowy” Włoch. Szkoła z czasem przekształca się w instytut zakonny, który otrzymuje w 1927 roku zatwierdzenie miejscowego biskupa. Dynamiczny rozwój młodego zgromadzenia sprawia, że zakonnicy szybko wychodzą poza teren Włoch, aby w 1934 roku postawić pierwsze kroki w Polsce. Niestety ta obecność zostaje przerwana w okresie dyktatury stalinowskiej, kiedy to pauliści – bo tak nazywają się członkowie Towarzystwa św. Pawła – trafiają do więzienia, a następnie zmuszeni są do opuszczenia Polski. Powrót następuje dopiero w 1978 roku.

Za patrona swojego Zgromadzenia ks. Jakub Alberione obiera św. Pawła Apostoła, podziwiając jego zapał misyjny, uniwersalizm horyzontów geograficznych, kulturowych i duchowych. *Już samo jego imię wystarczy jako program działania* – pisał. Głośnym staje się stwierdzenie, że gdyby św. Paweł żył dzisiaj, zająłby się działalnością wydawniczą ze względu na jej zasięg i siłę oddziaływania. W centrum misji nowego instytutu Założyciel umieszcza „głoszenie Chrystusa”; dawanie Go w taki sposób, aby Jego orędzie dotarło do wszystkich i było dla wszystkich przystępne, bez względu na status społeczny, bez zakreślania granic opartych na przekonaniach religijnych lub politycznych. Ks. Alberione wierzy mocno w człowieka, jego inteligencję i zdolność czynienia dobra.

### Prawo Przemienienia

Aby zaakceptować nowy sposób interpretacji świata i funkcję jaką spełnia w nim technologia i elektronika, ks. Alberione wprowadził to, co możemy określić jako *prawo Przemienienia*. Chrystus przemienił się na górze Tabor przed wybranymi apostołami. Jego oblicze stało się jak słońce, a ubranie białe jak światło. Kościół ma przemieniać narzędzia techniki w środki ewangelizacji i zbawienia. W 1954 roku tak zastosował to prawo: *Środki techniczne, maszyny, wszystkie narzędzia kinematograficzne i radiofoniczne są przedmiotami świętymi z uwagi na cel któremu służą. Dlatego maszyna staje się amboną; studio reklamy i grafiki staje się kościołem, w którym trzeba przebywać z takim szacunkiem, jaki towarzyszy pobytowi w świątyni*. W czasach przedsoborowych były to poglądy bardzo nowatorskie i nie miały łatwej drogi. Ich słuszność znalazła potwierdzenie dopiero w dekrete Soboru Watykańskiego II „*Inter mirifica*” (1965) i sześć lat później, gdy papież Paweł VI opublikował instrukcję duszpasterską „*Communio et Progressio*” (1971), w której nadał nowym narzędziom ewangelizacyjnym taką samą wagę, jaką ma przepowiadanie oparte na metodach tradycyjnych.

### **Nowe ambony dla głoszenia słowa Bożego**

Rozwój misji paulistów przebiega równolegle do rozwoju środków społecznego przekazu. Jeśli początkowo było to jedynie słowo drukowane, to dziś dotykamy zapisu cyfrowego i przekazu za pomocą łącz internetowych. *Nie jesteśmy przywiązani do jakiejś formy; jesteśmy przywiązani do Ewangelii... jeżeli pożyteczniejsze od książek będą płyty, weźcie płyty; jeżeli filmy pokażą lepiej naukę Kościoła aniżeli książki, to weźcie filmy* - pisał ks. Alberione. Edycja św. Pawła (tak brzmi pełna nazwa wydawnictwa paulistów) posiada własny dom wydawniczy w Częstochowie, studio nagrań, oraz księgarnie firmowe w Częstochowie, Gnieźnie i Lublinie. Publikuje wydawnictwa fonograficzne (kasety i CD), kalendarze, pocztówki i książki. Pierwszorzędnym dziełem wykonywanym przez paulistów jest rozpowszechnianie Pisma Świętego. Od czasu założenia do dzisiaj rozprowadzono w skali światowej około 100 milionów egzemplarzy Biblii. Ks. Alberione podkreślał powszechność i dostępność Pisma Świętego. W 1931 roku ukazał się we Włoszech przekład Biblii w pięciu językach, drukowany w odcinkach, w formie broszur rozprowadzanych za niewielką opłatą. Wtedy też zrodziła się idea Biblii z komentarzem opartym na katechizmie. Ta forma stanowiła wówczas (przed Soborem Watykańskim II) zupełną nowość. W Edycji św. Pawła w Polsce trwa obecnie praca nad nowym, przeznaczonym dla jak najszerszego odbiorcy, przekładem Biblii. Stanowi to wkład Zgromadzenia w uświetnienie Jubileuszu 2000 lat chrześcijaństwa.

### **Pauliści w Lublinie**

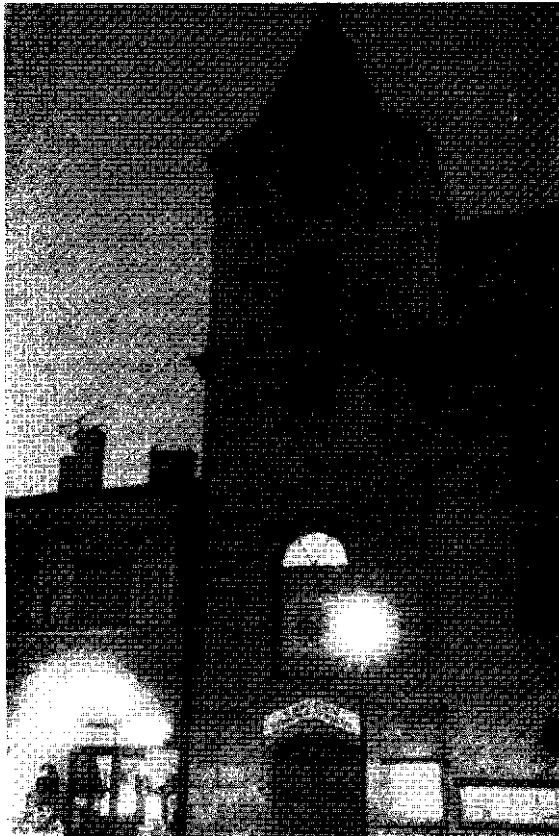
Wspólnota Paulistów w Lublinie przy ulicy Laury 1 została założona w 1989 roku. Lubelski Dom św. Pawła powstał jako drugi dom Zgromadzenia, od momentu reaktywowania instytutu w Polsce w 1978 roku przez ks. Innocenzo Dante. Od początku jest to Dom studiów, w którym klerycy przygotowują się poprzez studia filozoficzno – teologiczne do przyjęcia sakramentu kapłaństwa, natomiast bracia, czyli ci, którzy nie przyjmują święceń kapłańskich – do złożenia wieczystych ślubów zakonnych, aby wypełniać w sposób właściwy sobie misję paulisty. Oprócz działalności formacyjnej, w Domu funkcjonuje hurtownia Edycji św. Pawła, która stanowi centrum dystrybucyjne na obszar Polski północno i południowo – wschodniej. W miarę możliwości prowadzi się działalność redakcyjną, która wspomaga redakcję wydawnictwa w Częstochowie. Życie wspólnoty opiera się na Konstytucjach, czyli regule zakonnej, i posiada swoje ważne i stałe momenty. Należy do nich sprawowana wspólnie każdego dnia Eucharystia, Liturgia Godzin oraz godzinna adoracja Najświętszego Sakramentu. Cześć dla Jezusa ukrytego w Najświętszym Sakramencie stanowi w życiu paulistów główny fundament, który wynika m.in. z faktu, iż myśl o założeniu Zgromadzenia zrodziła się u ks. Alberione właśnie podczas modlitwy przed Najświętszym Sakramentem, w nocy na przełomie XIX i XX wieku. Cześć dla Pisma Świętego stanowi drugi ważny element życia wspólnoty. Codzienna lektura Biblii, wspólne rozważanie listów św. Pawła Apostoła jest inspiracją dla ich życia duchowego i działalności apostołskiej.

Innym miejscem obecności paulistów w Lublinie jest Księgarnia św. Pawła, która mieści się w murach klasztoru OO. Kapucynów przy Krakowskim Przedmieściu. Ks. Alberione wskazywał na księgarnię jako na miejsce głoszenia Słowa Bożego, nadając

jej rangę równie ważną co świątyni. Dlatego dla paulistów księgarnia posiada wartość miejsca świętego, w którym głosi się Dobrą Nowinę o Jezusie Chrystusie.

### Epilog

Od jakiegoś czasu mówi się o cudach i łaskach otrzymywanych za wstawiennictwem ks. Alberione. Kanoniczny proces beatyfikacyjny prowadzony od kilku lat zakończył się 25 czerwca 1996 roku w Rzymie podpisaniem dekretu stwierdzającego heroiczną cnotę, co znacząco przybliżyło moment beatyfikacji. Jest to dla paulistów istotny fakt, potwierdzający znaczenie misji poprzez apostołstwo środkami społecznego przekazu, jako drogi prowadzącej ku świętości. *Nie traćcie ducha – pisał Założyciel – ale zachowujcie zawsze zdrowy optymizm. Wszystko można osiągnąć, mając dobrą wolę. Tym, co się nam dobrze udało, oddajmy chwałę Bogu; to, co się nam nie udało, niech nas uczy pokory i modlitwy po to, aby wzrastać.*



fol. M. Gajko

*Dzieło architektury rozbudowane jest nad trójwymiarową budowlą (...) jest aczasowe, nie bierze udziału w procesach realnego świata (...) jest tworem statycznym, jest nieprzedstawiające.*

A.B. Stępić, *Propedeutyka estetyki*, s. 78 (wyd. II)



Sebastian Omielańczuk

## O kulturze masowej

### Rozważania licealisty snute na kanwie dramatu „Szewcy” Stanisława Ignacego Witkiewicza

Kulturę zdefiniować możemy jako całokształt materialnego i duchowego dorobku ludzkości, wytworzonego w ogólnym rozwoju historycznym lub w jego określonej epoce. W drugiej połowie XIX w. filozofia europejska stworzyła termin „kultury masowej”. Na kulturę masową możemy patrzeć ze stanowiska konserwatywno-arystokratycznego, którego przedstawiciele głoszą, że jest ona wynikiem demokratycznych przemian społecznych oraz nieuchronnego strywalizowania artystycznych i intelektualnych wartości. Jest ona przejawem negacji zła aktualnego z pozycji świadomie akceptowanej i idealizowanej przeszłości.

Opcja liberalno-mieszczańska postrzega kulturę masową jako uboczny, niemoralny, prymitywny produkt kapitalizmu, który wymaga stałej opozycji moralnej ze strony ludzi świadomych niebezpieczeństw jakie on w sobie kryje.

Lewica definiuje kulturę, jako wynik działań kapitalistycznych praw reklamy i pieniądza, który podporządkowany jest burżuazyjnemu prawu zysku. Kultura masowa posiada cechy kiczu i płaskiej absolutyzacji instynktu seksualnego.

Według Karola Marksa, kultura masowa to nie tylko wynik upowszechniania nauki i sztuki, ale rezultat złożonych historyczno-społecznych procesów występujących w skali masowej w rozwiniętych społeczeństwach kapitalistycznych. Kultura masowa jest sphycona w kapitalizmie i naiwnie sentymentalna. Jest wulgarną sztuką odwołującą się do najniższych skłonności ludzkich takich jak: zbrodnia, przemoc i pieniądz. Jedną z najbardziej cenionych rzeczy przez człowieka poddanego wpływom kultury masowej, są wartości materialne oraz pieniądz.

Teraźniejszość i sytuacja ekonomiczna uświadamia ludziom, że pieniądz decyduje o tym jakie w przyszłości będziemy posiadać pozycje, w jaki sposób będą postrzegać nas inni (gdyż kultura współczesna wykształciła w nas przekonanie, że o wartości człowieka decyduje jego sytuacja materialna), jakie zdobędziemy wykształcenie (gdyż bezpłatna edukacja w Polsce jest mitem) oraz na jakim standardzie będziemy żyć. Możliwość w przyszłości zdobycia majątku czyli – używając języka współczesnego – odniesienia sukcesu, jest celem coraz większej liczby kształcących się młodych ludzi. Pragnienie posiadania podsycają w nas środki masowego przekazu, w których reklamy prezentują nam „szczęście”, jako możliwość używania danych rzeczy od tych dostępnych szerokim kręgom społeczeństwa, aż po te najbardziej luksusowe, pozostające dla

wielu tylko w sferze marzeń. Chęć posiadania wynika również z obserwacji sfer rządzących, których przedstawiciele wykorzystują swoje kompetencje oraz stanowiska do poprawienia swojej sytuacji materialnej.

Wartością największą w dramacie „Szewcy” Stanisława Ignacego Witkiewicza są pieniądze. Przykładem materialisty, posiadającego urząd prokuratora, a później ministra, jest Scurvy, dla którego na szczycie hierarchii wartości, oprócz seksu, znajduje się bogactwo. Również przedstawiciele klas uciskających – proletariatu, czyli Sajetan oraz czeladnicy chcą zdobyć bogactwo, władzę i żyć na nieco wyższym poziomie, niezależnie od tego, w jaki sposób te cele mogą osiągnąć.

Kolejną wartością decydującą o człowieczeństwie jest inteligencja. Kultura współczesna każe nam spoglądać na ludzi nieinteligentnych z politowaniem, pogardą, a nawet zaczynamy ich traktować jako podludzi. Jest to sytuacja normalna, skoro w terażniejszości bycie człowiekiem nic nie znaczy, a tylko ukończenie prestiżowego kierunku na renomowanym uniwersytecie daje nam przywilej tytułowania siebie mianem „Kogoś”.

Jedną z najważniejszych rzeczy dla człowieka ukształtowanego przez kulturę masową, jest zaspokojenie popędu seksualnego, który jest odbierany jako wartość, i zdaniem niektórych powinien stanowić istotę współżycia małżeńskiego. Współczesna kultura degraduje psychikę ludzką, umożliwiając rozwój biznesowi pornograficznemu, przyczyniając się do dominacji seksu w mediach, doprowadzając do zupełnego wyeliminowania pojęcia miłości uczuciowej, i czyniąc to pod hasłami liberalizacji życia seksualnego. Przykładem osób traktujących seks jako jedną z najważniejszych wartości, są postacie występujące w „Szewcach” na czele z księżną Iriną Wsiewołodowną oraz Robertem Scurwyjem.

Współczesna kultura ukazuje człowiekowi agresję i przemoc jako wartości, które wzbudzają respekt wśród innych. Agresja kojarzy się z siłą i daje poczucie dominacji oraz władzy. Kultowanie siły i przemocy zapoczątkowane przez Fryderyka Nietzschego przyczyniło się do wytworzenia systemów totalitarnych, jakimi były hitlerowski nazizm, faszyzm Mussoliniego, oraz komunizm Stalina. Również Nietzschemu „zawdzięczać” możemy istnienie organizacji nacjonalistycznych, bezkrytycznie patrzących na własny naród – stronnictwo Bolesława Piaseckiego oraz partii pronazistowskich, funkcjonujących przed 1939 rokiem w Norwegii, Austrii, Rumunii i na Słowacji. Kultura masowa jest dzisiaj nośnikiem ideologii nacjonalistycznych, obecnych w większości krajów Europy. Prezentuje ona zalety totalitaryzmów, niesie hasła antysemityczne obecne w prasie i programach skrajnej prawicy Niemiec czy też Włoch, stając się niebezpiecznym narzędziem propagandowym.

Kultura masowa sprawiła, że człowiek jest w rękach tych, którzy potrafią oddziaływać na ludzką nieświadomość, co uczyniło z człowieka instrument, którym w dowolny sposób można manipulować. Zjawisko to najwidoczniejsze jest w krajach wysokorozwiniętych – demokratycznych, gdzie kandydaci na stanowisko prezydenta, podczas swojej kampanii wyborczej, wykorzystują massmedia do zaprezentowania bardziej siebie z zewnątrz, niż programów politycznych, wiedząc, że jest to doskonała recepta na zwycięstwo.

Najdoskonalszym określeniem współczesnej kultury masowej jest definicja sformułowana przez lewicę Stanów Zjednoczonych, która stwierdziła, że jest ona wynikiem działań kapitalistycznych praw reklamy i pieniądza. Jest ona na usługach korporacji przemysłowych oraz opcji politycznych, ukazuje człowiekowi fałszywą hierarchię wartości i wypacza jego psychikę.

*(...) światło polega na obecności ognia*

Arystoteles, *O duszy*, 418 b

*(...) ziemia jest w wodzie, woda w powietrzu, powietrze w niebie,  
lecz niebo nie jest już w niczym innym*

Arystoteles, *Fizyka*, 212b

*(...) pamiętanie zamienia się w zapomnienie,  
gdyż osoba sama zmienia się (...).*

Arystoteles, *Metafizyka*, 1068a

Romuald Jakub Weksler-Waszkinel

## Chrześcijański uniwersalizm – biblijny personalizm

*Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz,  
na obraz Boży go stworzył  
stworzył mężczyznę i niewiastę.*

Rdz 1, 27.

*W Chrystusie i przez Chrystusa  
najpełniej się objawił ludzkości Bóg,  
najbardziej się do niej przybliżył –  
(...) w Chrystusie i przez Chrystusa  
człowiek zdobył pełną świadomość swojej godności,  
swojego wyniesienia,  
transcendentnej wartości samego człowieczeństwa,  
sens swojego bytowania.*

Jan Paweł II, *Redemptor Hominis*, n. 11

Proszę mi pozwolić, że zacznę od podziękowania „Scriptores Scholarum” za zaproszenie do uczestnictwa w tym szczególnym spotkaniu-dyskusji i, jednym tchem, wraz ze „Scriptores Scholarum”, chociaż na własne konto, pozwolę sobie bardzo serdecznie podziękować Księdzu Arcybiskupowi-Metropolicie Lubelskiemu za Jego otwartość na dialog. Jest to ewidentny znak tego, co nazywa się *nową ewangelizacją* – posoborową refleksją nad Kościołem w świecie współczesnym; refleksją tym ważniejszą, bo dokonywaną w perspektywie Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Przed nami – zwłaszcza przed wami młodzi przyjaciele – już nie tylko nowe stulecie, ale tysiąclecie nowe.

---

\* Przedstawione artykuły stanowią materiał z dyskusji panelowej nad wypowiedzią ks. abpa J. Zycińskiego, *Uniwersalizm chrześcijański w wizji zjednoczonej Europy u Jana Pawła II*, opublikowaną w „Scriptores Scholarum” 1997, nr 4, s. 8-16. Dyskusja odbyła się w ramach promocji Zeszytu Integracyjnego „*Rzeczpospolita w Europie*”

Spotkanie, w którym uczestniczymy, nazwałem szczególnym. A jego szczególność polega na tym, iż Biskup – pierwszy nauczyciel i świadek wiary Kościoła lokalnego – nie tylko dzieli się z nami swoim słowem, ale również wyraża gotowość wsłuchania się w to, co my, niejako w odpowiedzi na Jego słowo, chcemy powiedzieć. Na mocy sakramentu Chrztu św. wszyscy tu obecni, chociaż w różny sposób, uczestniczymy w kapłaństwie Jezusa Chrystusa.

Z tego też tytułu wszyscy – mając oczywiście na uwadze hierarchiczną strukturę Kościoła – winniśmy się czuć odpowiedzialni za dziś i jutro Kościoła. Żywię nadzieję, że nasze spotkanie jest tego wyrazem.

\*\*\*

Uniwersalizm chrześcijański jest tematem naszego spotkania. Pan Jezus wysłał swoich uczniów na cały świat, do wszystkich narodów (Mt 28, 18-20). Przed wniebowstąpieniem mówił do Apostołów: „Gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi”. (Dz 1, 5-8).

I chyba nie ma już skrawka ziemi, na który nie dotarłaby nauka Jezusa Chrystusa. Ale czy znaczy to, że cały świat doświadczył Jego obecności? Czy ci, co mieli być jego świadkami, byli – są – nimi w pełni? Czy pokazywali, czy pokazują Jezusa Chrystusa? To chyba nie są pytania banalne u progu trzeciego tysiąclecia. Pytania te wydają się szczególnie ważne w kontekście procesów integracyjnych jednoczącej się Europy.

Wydaje się, że program jedności, jednoczenia się społeczeństw, plemion, narodów i państw jest właściwie programem Ewangelii. Jezus Chrystus modlił się w Wieczerniku – podczas Ostatniej Wieczerzy – o jedność (J 17, 11). Kościół zawsze był i jest dziś, świadczy o tym wiele wypowiedzi Jana Pawła II, gorącym rzecznikiem jedności. Poniękad nie może nim nie być.

Ale, już na samym początku trzeba wyraźnie powiedzieć, że sygnalizowane pragnienie jedności wyrażane przez Kościół nie jest bynajmniej nostalgią ani za epoką konstantyńską, ani za Europą Karola Wielkiego, ani za ottońskim odnowieniem cesarstwa, ani za jakąkolwiek bądź formą państwa kościelnego. Na pewno nie!

Modlitwa Chrystusa o jedność nie była bezskuteczna. Owa jedność, o którą Jezus Chrystus prosił swego Ojca, będzie udziałem czasów ostatecznych – w *Królestwie Niebieskim* (Ap 7 i 9). Żadna cywilizacja, ani żadne państwo, ani żaden naród, ani żadna partia nie jest w stanie zrealizować Bożego Królestwa na ziemi. Jest to, jak się wydaje, zasadnicza teza *Nowej Ewangelizacji*.

W dokumencie końcowym Nadzwyczajnego Zgromadzenia Synodu Biskupów dla Europy, z dnia 13 grudnia 1993 r., czytamy m.in.: „Nowa Ewangelizacja nie jest żadnym programem tzw. „restaurowania” Europy czasu minionego, lecz ma służyć do odkrycia własnych korzeni chrześcijańskich i do ugruntowania głębszej cywilizacji, która byłaby bogatsza zarówno w sensie chrześcijańskim, jak i tym samym w sensie humanistycznym. Owa *Nowa Ewangelizacja żyje z niewyczerpanego skarbcza Objawienia*, dokonanej raz na zawsze w Jezusie Chrystusie. Nie ma żadnej „innej Ewangelii”.

Świadomie nazywa się ona Nową Ewangelizacją, ponieważ Duch Święty ciągle wydobywa to, co nowe ze Słowa Bożego oraz stale odradza ludzi duchowo. Ewangelizacja jest też dlatego nowa, ponieważ nie jest niezmiennie związana z jedną określoną cywilizacją – skoro *Ewangelia Jezusa Chrystusa może rozbłysnąć we wszystkich kulturach.*<sup>1</sup>

Europę, w sensie kulturowym, kształtowała tradycja grecka, rzymska oraz – najogólniej mówiąc – chrześcijaństwo. Jest jednakowoż faktem, że chrześcijaństwo, od chwili, gdy stało się poniekąd oficjalną religią Europy, wykazywało olbrzymią siłę przyswajania także elementów kultury pogańskiej. Faktem jest też, że chrześcijaństwo, które wyłoniło się z judaizmu, nie było judaizmem. I wreszcie – faktem jest również, że wielu wybitnych przedstawicieli Kościoła odmiennosć chrześcijaństwa usiłowało pokazywać poprzez akcentowanie antyjudaizmu oraz rzekomo szczególnej bliskości kultury antycznej.<sup>2</sup>

Otóż ten ostatni „fakt” – ukazywanie odmiennosci chrześcijaństwa poprzez akcentowanie antyjudaizmu – okazał się całkowicie błędny i przyniósł opłakane „owoce”. „Przymierze Nowe – stwierdza Ojciec Św., w *Przekroczyć próg nadziei* (s. 87) – odnajduje w Starym swoje korzenie”. Odnajduje – ponieważ był czas, że nie pamiętano dostatecznie o tym, gdzie te korzenie się znajdują. Zdaje się, że kłopoty z pamięcią sięgają czasów św. Pawła, który w liście do Rzymian (11, 18) pisał: „[pamiętaj, że] nie ty podtrzymujesz korzeń, ale korzeń ciebie.”

Istotnie, już w czasach św. Pawła były z tym pewne kłopoty. Tzw. *judaisantes* – żydujący – żądali bezwzględnego przestrzegania przepisów prawa dla uczniów Jezusa. Ci ostatni – zwłaszcza wywodzący się z pogaństwa – poczęli z kolei głosić, że to oni przez Chrystusa stali się nowym Izraelem, podczas gdy stary został odrzucony, gdyż ponosi winę za śmierć Jezusa.

Popełniane z dwóch stron błędy nie są jednak w stanie przysłonić prawdy. Otóż prawdą było, jest, i pozostanie wybranie Izraela – Żydzi są wybranym ludem Boga! Tyle tylko, że to nie Żydzi wybrali Boga, ale Stwórca nieba i ziemi, Stwórca człowieka – w niepojętym miłosierdziu swoim – wybrał Abrahama. Wyprowadził go z jego ziemi, z domu jego ojca, aby z niego ukształtować swój lud – lud Przymierza. Oto co na ten temat mówi Piotr naszych czasów umacniający nas w wierze: „Ten mały naród (...) wywodzi swój początek z faktu wybrania przez Boga. Bóg stwórca nieba i ziemi, zwołał ten lud i prowadzi go. Jego istnienie nie jest więc zwykłym faktem naturalnym czy kulturowym, pojmowanym w tym sensie, że przez kulturę człowiek rozwija zasoby swojej natury. *Jest faktem nadprzyrodzonym.* Ten lud trwa na przekór i wbrew wszystkiemu dlatego, że jest *ludem Przymierza i że mimo niewierności człowieka, Bóg pozostaje wierny swemu przymierz.* Kto ignoruje ten podstawowy fakt wchodzi na drogę marcjonizmu, którą Kościół bez wahania i stanowczo odrzucił, świadom swojej żywotnej więzi ze Starym Testamentem, bez którego Nowy Testament jest pozbawiony sensu”.<sup>3</sup>

Zacytowany fragment wypowiedzi Ojca św. ukazuje teologię Izraela, która okazuje się istotnym niejako rozdziałem Chrystologii, a potem – Eklezjologii. I nie ma tu żadnej przesady ani elitaryzmu, tak jak nie ma go w słowach Jezusa skierowanych do Samara-

tyнки: „zbawienie bierze początek od Żydów” (J 4, 22). Zaiste, niezbadane i nie do wysledzenia są drogi Pana (por. Rz 11, 33). Przecież Rozmówca Samaratyńki tak naprawdę na Siebie kierował uwagę. Ojciec św. stwierdza (tamże): „Pismo Święte jest nierozzerwalnie związane z tym ludem i jego historią, ta zaś prowadzi do Chrystusa, obiecanego i oczekiwanego Mesjasza, wcielonego Syna Bożego. Kościół nieustannie to wyznaje, gdy każdego dnia powraca w swojej liturgii do psalmów oraz do kantyków Zachariasza, Maryi Panny i Symeona (por. Ps. 132, 17; Łk 1, 46-55; 1, 68-79; 29-32).”

Dla kulturowej tożsamości Europy ważne są niewątpliwie aksjomaty Euklidesa, utwory Homera, dzieła Platona, czy Arystotelesa. Ale nie ma to większego znaczenia dla inkulturacji chrześcijaństwa „Kto spotyka Jezusa Chrystusa – to bardzo znane stwierdzenie Ojca św. – spotyka judaizm.” Dodajmy do tego znacznie mniej znane, a dla nas bardzo istotne: „(...) ci, którzy uważają fakt, iż Jezus był Żydem i żył w środowisku żydowskim, za przypadkowy kontekst kulturowy, który można by zastąpić inną tradycją religijną i rozpatrywać postać Jezusa w oderwaniu od niego, nie tożsamości, nie tylko błędnie rozumieją sens historii zbawienia, ale – co więcej – podważają istotę prawdy o Wcieleniu i uniemożliwiają prawdziwe pojmowanie inkulturacji” (tamże).

Tak więc podziwiając energię i geniusz Apostoła Narodów, nie ma rzeczywiście najmniejszych podstaw, aby dopatrywać się jakiegoś elitaryzmu miejsc odwiedzanych przez św. Pawła w czasie Jego podróży apostoelskich. Przemieniony z Szawła Paweł „zaczął głosić w synagogach, że Jezus jest Synem Bożym” (Dz 9, 90). Podczas podróży apostoelskich – zawsze – rozpoczyna swoje nauczanie w synagodze. Tak było w Atenach (Dz 17, 17) i w Koryncie 18, 4 i nn.). Gdy w Antiochii Pizydyjskiej zazdrośni Żydzi zaczęli bluźnić i przeciwstawiać się temu, co mówił Paweł oraz jego towarzysz Barnaba, padają słowa uzasadniające taką właśnie kolejność: „Należało głosić słowo Boże najpierw wam” (Dz 13, 46). Również swoje nauczanie w Rzymie rozpoczął od „najznakomitszych Żydów” (Dz 28, 17).

\*\*\*

Czy poczynione uwagi mają jakiś związek z uniwersalizmem chrześcijańskim? Sądzę, że bardzo istotny. Humanizm starożytnej Grecji nie miał na uwadze konkretnego, *każdego człowieka*, lecz człowieka idealnego – ideę człowieka<sup>5</sup>. Wg Platona do tegoż ideału zbliżał się: Grek, mężczyzna i filozof. Arystoteles, jak wiemy, nazywa człowieka po prostu „rozumnym zwierzęciem”, wcale to jednak nie znaczy, że każdy zdolny jest do osiągnięcia owej „rozumności”; do swego ucznia, Aleksandra Wielkiego, pisał „Dla Greków bądź ojcem i odnoś się do nich jak do członków rodziny i przyjaciół. Dla barbarzyńców bądź panem i posługuj się nimi jak zwierzętami i roślinami”. Jeszcze E. Husserl, w maju 1935 r., w Wiedniu, przekonywał swoich słuchaczy, że „lekarstwem” na kryzys kultury jest powrót do „europejskiego człowieczeństwa”, zrodzonego w starożytnej Grecji. Twórca fenomenologii wprawdzie przyznawał łaskawie człowieczeństwo Papuasom, Eskimosom, Indianom, Cyganom, itp., ale ideałem była dlań *europejskość*. Wszyscy wymienieni, i jeszcze cała masa i n n y c h mieliby, wg Husserla, zmierzać do europeizacji, „podczas gdy my, o ile siebie dobrze rozumiemy, nigdy nie będziemy się

np. indianizować<sup>7</sup>”. 15 września tegoż (1935) roku hitlerowskie Ustawy Norymberskie umieściły Husserla w kategorii podludzi.

Zupełnie inaczej prawdę o człowieku ukazuje Biblia. Już w Księdze Rodzaju objawia, iż Bóg stwarza – w specjalny sposób – konkretnego człowieka na swój obraz i swoje własne podobieństwo. Tenże Bóg zawiera Przymierze nie z ideałami, ale z konkretnym słabym, starym człowiekiem – Abrahamem, aby uczynić go ojcem mnóstwa narodów. Bóg, stwórca świata i człowieka, w dziedzictwie Abrahamowym kształtuje lud Przymierza. A gdy nadchodzi pełnia czasu, staje się konkretnym człowiekiem – Żydem z Nazaretu. Więcej – umiera nie z miłości do ideałów, ale za grzechy każdego z nas. I w tym właśnie punkcie dotykamy, jak się wydaje, samego „nerwu” uniwersalizmu chrześcijańskiego.

Jedynie taka kultura, w której transcendentny Bóg – Stwórca nieba i ziemi – staje się człowiekiem, aby go własną śmiercią odkupić, może nieść przesłanie o tym, że każdy człowiek – nawet jeszcze nienarodzony oraz już całkiem niedołyżny, czy nieuleczalnie chory – jest nieskończoną wartością, posiada osobistą godność, jest podmiotem prawa. (por. drugie motto).

Jeżus Chrystus wysyłając Apostołów pragnął oczywiście, aby Dobra Nowina głoszona była w s z z e d z i e, ale – przede wszystkim – aby objęty nią był k a z d y; zwłaszcza inny, najmniejszy...

I właśnie dlatego nie wystarczy głosić Ewangelię, trzeba być Jej świadkiem. „Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali” (J 13, 35). „Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą” (Łk 6, 27). Konstytucja Soborowa, *O Kościele w Świecie Współczesnym*, stwierdza, „Chrystus, nowy Adam, już w samym objawieniu tajemnicy Ojca i Jego miłości objawia w pełni człowieka samemu człowiekowi i okazuje mu najwyższe jego powołanie” (n. 22). Chrześcijański uniwersalizm jest najpierw i przede wszystkim biblijnym personalizmem.

### Przypisy:

<sup>1</sup> Kursywa moja. Cyt. za Bp K. Lehmann, *Nowa Europa – fikcje i wizje. Doświadczenia i wyzwania z perspektywy Kościoła*, w: *Europa. Fundamenty Jedności* (red. A. Dylus), Warszawa 1998, ss. 163 – 173, cyt. tekst. s.171.

<sup>2</sup> Por. M.Dubois, *Les racines de l'antijudaïsme en milieux chrétiens*, „*Les oliviers de Saint Isate*”, *Fevrier 1998* (dernier numero), ss. 55 – 90.

<sup>3</sup> Z przemówienia Ojca Św., Jana Pawła II, do uczestników sympozjum na temat korzeni antyjudajizmu, 31 października 197 r. 1997 r.; cytuję za *L'Osservatore Romano*, wyd.polskie, 1 (199) 1998, ss. 30 – 31.

<sup>5</sup> Por. W.Jaeger, *Paideia*, t. I., tł. M.Plezia, Warszawa (Pax) 1962, s. 27 i nn.

<sup>6</sup> Patrz: J.Mirewicz SJ, *Współtwórcy i wychowawcy Europy*, Kraków 1982. s.20

<sup>7</sup> E.Husserl, *Kryzys europejskiego człowieczeństwa a filozofia*, tł. J.Sidorek, Warszawa 1993, s.18.



## Jedność człowieka, jedność świata

Tworzenie nowego kształtu Europy, czyli jej integrowanie, ma wiele wymiarów – polityczny, gospodarczy, prawny, które przybierają charakter i kształt formalnych instytucji. Jednakże w tle tego wszystkiego, a właściwie jako jego fundament, znajduje się człowiek i to, co dzieje się między człowiekiem a człowiekiem, a co nazwać można kulturą, kształtem współlistnienia i współdziałania. Na to miejsce, na te wartości i problemy, zwraca uwagę Papież, jako na sprawy fundamentalne.

Rozwój cywilizacji, uzależniony od rozwoju nauk i filozofii, ukazał jako bardzo silny, a czasami nawet dominujący, nurt oparty na paradygmacie specjalizacji poszczególnych nauk i na autonomii jednostkowych „wyglądów” czy ujęć rzeczywistości. To przeniosło się również na sposób życia ludzi uczestniczących w tej cywilizacji. Spowodowało oddzielanie – atomizowanie i autonomizowanie – poszczególnych dziedzin życia: polityki, gospodarki, prawa, kultury, a także moralności i etyki. Każda z tych sfer dążyła do życia w osobnej wieży, ustawionej na własnym gruncie, kierującej się własnymi prawami i własnym dynamizmem. W rezultacie odbiło się to na obrazie samego człowieka – jest to rozbity obraz *l'homme en miettes*, człowieka w okrucinach. Skoro zaś jest w okrucinach to ani nie zjednoczy w jedną całość tych poszczególnych aspektów, ani nie jest w stanie tego zrobić.

Jest prawdą, że człowiek nie jest monolitem, dostatecznie informują o tym różnorodne potrzeby, które żywi i przejawia. Świadczą one o istnieniu różnorodnego ich podłoża. Takie fenomenalistyczne doświadczenie jest ważne, nie można go lekceważyć. Ale to nie jest cała prawda o człowieku. Prócz tego, a może ponad tym, człowiek doświadcza jedności siebie, choćby przez to, że wszystkie te potrzeby przeżywa jako *swoje*. Ta wewnętrzna jedność człowieka wskazuje, że kształtuje on swoje istnienie i działanie poprzez najgłębsze i najbardziej intymne centrum. Kształtuje, a więc jeszcze nie jest od razu pełną jednością. Człowiek taką jednością może się stać, i to jest jednym z podstawowych jego zadań. Taki jest los każdego.

Swoich potrzeb człowiek nie może zaspokoić z posiadanych zasobów, musi je wytworzyć w świecie i ze świata. Świat – ludzie i przyroda – jest więc miejscem realizowania się człowieka. Człowiek nie jest, nie może i nie powinien być „samotną wyspą”, monadą zamkniętą w sobie i dla siebie tylko. Istnieje współistnieniem, działa współdziałaniem. Oznacza to wzajemną współzależność, każdy z nas jest zarazem dłużnikiem i wierzycielem, dającym dar i obdarowanym. Dotyczy to tworzenia wszelkich wartości – materialnych i duchowych, społecznych i politycznych, kulturowych i ekonomicz-

nych. Współdziałając tworzy z innymi wielorakie więzi tworzące współistnienie, tworzy też współdobro. Jedność przenika wewnątrz człowieka, a obejmuje także innych. Poprzez działanie i doznawanie działania innych człowiek się umacnia w sobie, wypełnia, oraz z wielu różnych, oddzielnych „ja” tworzy wspólne „my”. W ten sposób zaczyna istnieć rodzina, mała i duża ojczyzna, zaczyna istnieć wspólnota ponad granicami – regionalna, wspólnota światowa całej ludzkości. Wspólnota podstawowego losu założonego w fundamencie istnienia domaga się świadomego, aktywnego podjęcia tego losu wspólnym wysiłkiem.

Tworzenie poszczególnych typów wartości, mających zaspokajać ludzkie potrzeby, ma swój wewnętrzny dynamizm i system organizacji. Od ich zrozumienia i zastosowania zależy wysokość czy też natężenie tworzonych wartości, zarazem jednak podstawowym ich sensem jest ich *bycie-dla-człowieka*. To domaga się zrozumienia samej istoty człowieczeństwa, jego sensu i jego wartości. Tutaj wchodzi się w inną sferę wartości – moralnych. Wartości społeczne, polityczne, gospodarcze, kulturalne nie są tworzone same dla siebie, ale dla człowieka, dla utrzymania i rozwoju jego wartości, która dla wyróżnienia od innych, dla wykazania jej szczególnej wysokości, nazywa się *godnością*. Wzajemne powiązanie i jedność układu wartości wytwarzanych dokonuje się przez jedność człowieka, wewnętrzną i zewnętrzną, przez poddanie ich dynamizmowi ludzkiego istnienia. Dlatego też zrozumienie tego *bycia wartości dla człowieka* i odpowiednie do tego działanie tworzy płaszczyznę moralności. Ludzki czyn moralny, to nie jest działanie osobne – obok ekonomicznego, społecznego, kulturowego – ale działanie na rzecz człowieka, na rzecz jego wartości, poprzez ekonomię, politykę, kulturę i inne. Jest to dojrzenie i uznanie wartości człowieka przez aktywne i twórcze odniesienie każdego działania *do człowieka i działanie ze względu na niego*. Ten sposób odnoszenia się do człowieka konstituuje moralność.

Taka jest właśnie wizja człowieka i świata proponowana przez Jana Pawła II. Nie jest to propozycja nowych technologii, nowych instytucji społecznych, nowych systemów politycznych, nowego rodzaju sztuki. Jest to propozycja podjęcia intelektualnego wysiłku zrozumienia prawdy o człowieku, o warunkach życia i rozwoju; propozycja podjęcia wysiłku wolności uznania tej prawdy i wcielenia jej w odpowiadające temu działanie, w dobro.

Człowiek winien być podstawową wartością, celem, a nie środkiem działania drugiego człowieka. Taki wniosek można wyprowadzić z naturalnego, ludzkiego doświadczenia. Zrozumienie tego faktu ułatwione jest także dzięki doświadczeniu wiary, przez Objawienie, Ewangelię. Treść tego doświadczenia nie jest inna od doświadczenia naturalnego, kulminującego w filozofii, choć sięga dalej i głębiej w ludzki byt. Człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga, jest najdoskonalszym ze stworzeń, z drugiej strony jest właśnie stworzony, a więc zależny w najbardziej podstawowym sensie od Boga, Chrystusa. Dlatego Jan Paweł II mówi, że człowiek nie może do końca zrozumieć siebie bez Chrystusa.

Człowiek jest obdarzony mocą, a zarazem jest współzależny od innych i tak jak inni, a także zależny od Boga, od Prawdy.

Tak więc tutaj, na ziemi, każdy człowiek jest centrum świata, najwyższą wartością i celem. Wszystko poza człowiekiem jest środowiskiem służącym jego spełnieniu się – instytucje społeczno-polityczne, kultura, państwo, praca. Ale w tej samej sytuacji jest każdy człowiek, przez co każdy jest celem a zarazem każdemu człowiekowi człowiek winien służyć, co jest również warunkiem i drogą spełniania się. I ten obowiązek otwarcia swojej chłonności na drugiego i poddania swojej mocy drugiemu człowiekowi jest szansą i obowiązkiem na płaszczyźnie naturalnej i na płaszczyźnie wiary. Ta druga płaszczyzna – wiary – ukazuje również nadzieję człowieka tkwiącą w otwarciu się i poddaniu się Chrystusowi.

W swojej pierwszej encyklice, *Redemptor hominis*, Jan Paweł II powiedział, że „wszystkie drogi Kościoła prowadzą do człowieka”, można dodać – także wszystkie drogi rodziny, państwa, instytucji międzynarodowych, kultury, pracy, drogi człowieka prowadzą do człowieka. Prowadzą, o ile wytyczone są prawdą i umocnione dobrem. Którędy mają przechodzić – to winien wyznaczać czas obecny. Tak więc na drogach tych winny być ustawione przez nas samych *znaki naszego czasu*, których odczytywanie jest naszą powinnością.

Dzisiaj znaki te wskazują, że wiele dróg ludzkiego losu prowadziło na manowce, a nie do człowieka. Nie były otwarte, przeciwnie, były zamknięte egoizmem indywidualnym i zbiorowym klasy, państwa, religii, egoizmem zysku, przyjemności, łatwości życia. Zamknięcie drogi do człowieka wskazuje, że tam, za szlabanem jest *obcy, wróg*. Otwarcie drogi pozwala zaś poznać, że drugi to *inny* człowiek, ale *człowiek* i pozwala uznać go człowiekiem, drugim „ja”.

Otwarcie się pozwala przyjąć dar drugiego i pozwala ofiarować mu dar. Pozwala mnie i tobie, nam i wam współspełniać się, a tylko tak człowiek spełniać się może. To otwarcie i to tworzenie własną mocą musi być pełne – taką jest miłość – w kulturze, gospodarce, polityce. Alternatywą jest zagłada. My, uczestniczący w życiu, winniśmy wyciągnąć z takiej wizji człowieka, świata i Boga praktyczne wnioski.

## Integracja w dialogu

Od dawna wiadomo, iż „grupa” stwarza człowiekowi poczucie bezpieczeństwa, w jej sile jednostka odnajduje swą wartość. Dochodzi tu do wzajemnej zależności między grupą jako organizmem/zbiorowością a poszczególnymi jej jednostkami. Zachodzące procesy wzajemnego budowania i zespalania zwykliśmy nazywać integracją, która daje jednostce możliwości, jakich sama prawdopodobnie nigdy by nie osiągnęła. Przystępując jednak do analizy zjawiska integracji w świecie z pozycji protestanta, dokonać należy pierwszego i zasadniczego podziału na integrację w dwóch organizmach: kościelnym i świeckim.

W Ewangelii wg św. Mateusza 5,39, czytamy, iż musi istnieć moc, która będzie dawała opór złu. W tłumaczeniu Ks. dra Marcina Lutra jest to zwierzchność państwowa, urzędy, królestwo – jednym słowem władza świecka, która od Boga pochodzi i przez Niego jest ustanowiona<sup>1</sup>. Taki porządek rzeczy jest częścią natury człowieka powstałej w wyniku stworzenia, która pozwala łączyć się ludziom w społeczeństwa, oraz tworzyć porządki prawne. W tym ujęciu jest to wyraz Bożej troski o zachowanie świata i ustrzeżenia go od upadku w chaos i anarchię. Naczelnym zadaniem państwa jest utrzymywanie praworządności, w obronie zachowania której, może sięgnąć po miecz, który nosi u swego boku<sup>2</sup>.

Bystre oko czytelnika dostrzeże zapewne w tej krótkiej retrospekcji pewien brak, mianowicie, gdy państwo nie jest praworządne, a wręcz przeciwnie, miast chronić społeczeństwo dąży do jego destrukcji. Problemem chrześcijanina w państwie totalitarnym i nową interpretacją teologii Lutra w tym względzie zajął się wybitny teolog i duchowny ewangelicki, oraz aktywny inspirator ruchu antyfaszystowskiego w Niemczech III Rzeszy – Dietrich Bonhoeffer<sup>3</sup>.

Lutrowa nauka o istocie państwa świeckiego zakładała jednakże fakt, iż jest ono przemijalne, a więc jakościowo różne od Królestwa Bożego. Wspólna relacja pomiędzy obydwooma królestwami zachodzi, gdy królestwo świeckie będąc praworządnym prowadzi swym działaniem do urzeczywistniania „politycznego” lub „społecznego” Zakonu. Przykazania są w tym wypadku podstawą porządku jurydycznego. – I w tym wypadku obywatele będący niewierzącymi, w sposób pośredni stają się usłuźni Bogu. – jako rodzice, sędziowie, posłowie, nauczyciele itp. – wszyscy, którzy swym działaniem przyczyniają się do wprowadzania i realizowania sprawiedliwości społecznej, bezpieczeństwa, pokoju itp. Nadużyciem byłoby jednak nazywanie takiego stanu rzeczy politycznym mesjanizmem, gdyż teologia ewangelicka nigdy nie łączyła z nauką o króle-

stwie świeckim wątków ekonomii Bożego zbawienia, a jedynie kwestię użyteczności, porządku i harmonii. Według tej koncepcji, obok stoi w pełni autonomiczne, wspomniane już wcześniej Królestwo Boże, gdzie działa Zakon w innym swym wymiarze, jako wypełnienie Bożej Woli w aspekcie duchowym. Pełni on tutaj rolę edukacyjną, poruszającą sumienie człowieka, przygotowując go do przyjęcia Ewangelii – proces ten powoduje Słowo Boże, będące konstytutywnym elementem Kościoła. Jeśli chodzi o ekonomię zbawienia i drogę, po której człowiek kroczy na spotkanie ze swym Bogiem, to jest ona sprawą Królestwa Bożego, a więc także i Kościoła, który jest poselstwem owej instancji w tym świecie, a nie państwa i instytucji z nim związanych<sup>4</sup>.

W niektórych krajach ewangelickich państwo sprawowało, bądź tak jak w Szwecji, sprawuje funkcję opiekuńczą nad Kościołem – powstały w ten sposób kościoły państwowe funkcjonujące w ramach organizmu państwowego. Nie można jednak także i w tym wypadku wprowadzać pojęcia mesjanizmu politycznego, gdyż nawet w tym wypadku Kościół w realizacji swego posłania zachował i, tak jak w przypadku naszych północnych sąsiadów, zachowuje swą autonomię.

Całokształt powyżej przedstawionych zależności między państwem świeckim a Kościołem określa zasady ich wspólnej koegzystencji i nazywana jest w teologii ewangelickiej „nauką o dwóch królestwach”. Wartym zaznaczenia jest fakt, iż chrześcijanie będąc na mocy swej wiary i Chrztu Św. przyjętymi do Królestwa Chrystusa, pozostają jednak obywatelami wobec Królestwa Ziemijskiego (tzn. władzy świeckiej). W związku z tym spoczywają na nich obowiązki związane z obydwoma monarchiami (por. Jan 17,11–18). Wielu powie, że stan taki doprowadzić może do wewnętrznego rozdarcia w człowieku, gdyż nie jest możliwym, aby postępować w myśl zasad zawartych w „Kazaniu na górze”, a jednocześnie jako reprezentant państwa bronić prawa i praworządności jego metodami. Jednakże i tutaj ostateczną konkluzję ujęli reformatorzy powołując się na tekst z Dz.Ap. 5,29 iż, „powinniśmy bardziej słuchać Boga niż ludzi”<sup>5</sup>. Lojalność ujęta w takim kontekście nie powinna zatem pozostawić żadnych niedomówień – wprowadza możliwość swobodnego relatywizmu, nie należy jednak demonizować jego znaczenia, jest on bowiem jedynie konsekwencją dowartościowania jednostki i jej religijnego doświadczenia.

Kontynuując myśl, niejako sama narzuca się kwestia integracji i istoty wspólnotowego doświadczenia w relacji do doświadczenia jednostki. Zagadnienie to rozwinął teolog ewangelicko–reformowany: Karol Barth, który jako konstytutywny element integracji chrześcijan, uznał wspólne wyznanie wiary. Tematykę tę szwajcarski teolog podejmował wielokrotnie, opracowując treść i przesłanie „Apostolicum” – Symbolu Apostolskiego po raz pierwszy w „Credo” w 1935 r., a następnie w „Confession de la Foi l'Eglise” z 1943 oraz w wykładach bońskich w 1946 r.<sup>6</sup> Barth bardzo dokładnie omawia to, co rozumie pod pojęciem „wyznania”, a przez to i „wspólnotowości”. Jest bowiem dla niego „wierzenie” decyzją człowieka za osobą i sprawiedliwością Jezusa Chrystusa, a w opozycji do samego siebie i swego samozachowawczego instynktu jakim jest wg Bartha „religia naturalna”. Jak widać na tym przykładzie szwajcarski teolog zachował dużą niezależność od scholastycznych kategorii interpretacyjnych. Karol Barth postawił postulat bycia „za” dla całej Europy, która po doświadczeniach II wojny światowej

potrzebuje nowej orientacji i pójścia za Bogiem, który do nas przychodzi i który nie jest z nas. Dlatego, iż On jest inny aniżeli my sami, może stać się naszym partnerem, dzięki któremu dostępujemy usprawiedliwienia i przeobstwienia naszej istoty<sup>7</sup>. Jednakże elementem generalizującym i integrującym pozostaje wyznawanie.

Takie ujęcie istoty wiary nie zakłada jednak ubezwłasnowolnienia jednostki w kolektywnym wyznawaniu. Można by tutaj zaryzykować śmiało stwierdzenie, że przecież w naturze istnieją jedynie jednostki, a tylko umysł ludzki szereguje je tworząc zbiory w wyniku których powstaje statystyka. W jej otchłaniach gotów jest przecież pograżyć się każdy indywidualizm. Na ile w tym świetle wiara jest doświadczeniem indywidualnym, a na ile zbiorowym? Globalnie rzecz biorąc teologia ewangelicka będzie się odwoływała do wspólnej wiary pojedynczych ludzi ujętej w Apostolicum Niceo-konstantynopolitanum oraz Athanasianum, czyli wyznaniach tzw. ekumenicznych niepodzielonego Kościoła pierwszego tysiąclecia. W ten sposób wyłania się obraz jedności objawiającej się w różnorodności, gdzie ten sam desygnat przybiera różnorodność nazw.

Dokonując pewnego uogólnienia można powiedzieć, iż naturalną cechą człowieka jest chęć tworzenia czegoś nowego i w swej substancji – niezależnego. Człowiek mniema, iż właśnie **tworzenie** i jego życie nabiera większej ekspresji – z tego samego jednak powodu jest ono **próżnym**<sup>8</sup>.

Antytezą aktywnego tworzenia jest **statyczne odkrywanie** podmiotu ludzkiej egzystencji, a w tym także elementów integrujących.

Konkludując, zgodnie z tą metodologią, źródeł integracji nie należy upatrywać na zewnątrz, bądź też tylko w wąskich kręgach, ale w szeroko pojętym dziedzictwie będącym podmiotem jestestwa i siłą napędową wszelkiej kreatywności. Odróżnić tutaj jednak należy „integryzm” lub też inaczej rzecz ujmując „fundamentalizm”, który zawsze oparty jest jedynie na fragmentarycznym ujęciu dziedzictwa, a nierzadko na jego pojedynczym elemencie. Szowinistyczna idea wypływająca z tej metody rodzi demagogicznie przedstawianą rzeczywistość, która swój integralny dogmat traktuje jako konstytutywny i niezbędny, a nierzadko jako jedyny. Charakterystycznym dla takiej postawy jest uciekanie od ujmowania wszelkich prawd kontekstualnie oraz negacja wszelkiego inkluzywizmu.

Rozpatrując kwestie integracji na bazie kościelnej rozumianej jako ekumenizm oraz na niwie politycznej, dokonać można porównania między jednym i drugim jedynie w kwestii pewnego rodzaju generalizującej „zasady”, która funkcjonuje w obydwu przypadkach jak i w innych formach integracji. Należy jednak wystrzegać się mieszania samej istoty jednego i drugiego w jedno i to samo, gdyż obydwie „światy” mają różne, ale jasno wyznaczone cele, którym są podporządkowane<sup>9</sup>. Sama natomiast „zasada” integracji jest tutaj raczej próbą prześledzenia zachowań ogólnie pojętych zbiorów ludzi, zintegrowanych wg metody „statycznego odkrywania”. Na podstawie powyższego wywodu każda jednostka powinna posiadać świadomość swej przynależności do określonej tradycji, rozumianej tu jako swego rodzaju ciągłość „statycznego odkrywania”. Ważność tej tradycji warunkowana jest przez jej ciągłość<sup>10</sup>. Taka historyczna interpretacja to element zapewniający pewien uniwersalizm pozwalający na rozwój

samego organizmu, jego oddziaływanie na kulturę, społeczeństwa, a także odwrotnie, asymilując się z kulturą i społeczeństwami. Dopiero tego typu odwołanie się do tradycji objawiającej wspólnotę, choćby w jej najbardziej elementarnej zasadzie jaką jest fakt naszego człowieczeństwa, integruje nas wokół historycznej interpretacji tego, co wspólnie dokonaliśmy jako ludzkość. W systemie takim należy dać możliwość wypowiedzenia się każdemu. W małych społecznościach jest to system demokracji bezpośredniej, tam, gdzie jest to fizycznie niewykonalne jest to forma demokracji pośredniej. Jeżeli do tego stworzone zostaną odpowiednie organy rewizyjne, mające zadania opiniotwórcze, to nie wydaje się możliwym, aby system taki mógł przekształcić się w dyktaturę. Pamiętać należy, iż żaden system nie jest w pełni przewidywalny i nie można wykluczyć powstania w wyniku kryzysu jakiejś od –, lub dośrodkowej siły sprawczej zmieniającej układ. Obawy związane z wejściem do struktur demokratycznych charakterystyczne są dla okresu przejściowego między ustrojem totalitarnym a demokratycznym, związane są chyba jednak bardziej ze strachem przed podejmowaniem decyzji i odpowiedzialnością każdej jednostki, aniżeli z istotą samych struktur demokratycznych.

Niejako na potwierdzenie słuszności przytoczonych powyżej tez powiedzieć należy, iż zasada ta działa powszechnie w rodzinie kościołów ewangelickich nieprzerwanie od XVI w.<sup>11</sup>. Podstawowym ogniwem jest tutaj lokalna społeczność parafialna, której każdy członek ma prawo głosu. Parafianie co najmniej raz do roku zbierają się na Zgromadzeniu Parafialnym, gdzie podejmowane są wszystkie strategiczne dla parafii kroki, wliczając w to wybory na stanowiska członków Rady Parafialnej i urząd proboszcza, a także kwestie budżetu na bieżący rok. Wybrany przez to gremium delegat, reprezentuje lokalną społeczność w prowincjonalnym synodzie, który wybiera Radę Diecezjalną i biskupa diecezji. Reprezentanci synodów diecezjalnych wchodzi w skład Synodu danego kościoła krajowego w stosunku 3/4 – świeckich i 1/4 – duchownych. Synodalowie wybierają Biskupa Kościoła, oraz Konsystorz będący organem wykonawczym Synodu<sup>12</sup>. Kościoły luterańskie jako kościoły krajowe podjęły owocną próbę wspólnej integracji, tworząc w 1948 roku Światową Federację Luterzańską, jednoczącą 57 mln wyznawców. Sama Federacja nie aspiruje jednak do roli przywódcy, a osoby Sekretarza Generalnego ks. Ismaela Noko nie należy mylić z funkcją patriarchy. Ideą SFL jest jednoczyć różnorodność kościołów członkowskich oraz integrować w dialogu z innymi wyznaniami. Obecnie przedmiotem dyskusji jest wspólny Katolicko-Luterański dokument precyzujący wspólne stanowisko w sprawie nauki o usprawiedliwieniu.

Kontynuując rozważania nad integrującą rolą Kościoła w społeczeństwie warto poświęcić nieco miejsca samej jego istocie. Słowo „KOŚCIÓŁ” tłumaczyć można według dwóch różnych kluczy, co zresztą ma niebagatelny wpływ na jego interpretację. Z jednej strony genealogię słowa „KOŚCIÓŁ” wywieść można od gr. *kyriake oikia* czyli „dom Pański” lub „kościół otoczona przestrzeń”, jeżeli wyrazem podstawowym jest gr. *circa*. Takie tłumaczenie stawia akcent na pewną geometrycznie **ograniczoną** przestrzeń. Z drugiej strony „KOŚCIÓŁ” to *ekklesia*, którego źródłosłów stanowi gr. *ekkaleo* – zejście się na głos herolda. Według takiego ujęcia słuszny wydaje się być postulat Ks. Dra Marcina Lutra, aby zastąpić „kościół” słowem „zbór”, które to posiada

bogata tradycję w polskim ewangelicyzmie. Określenie to podkreśla wyjątkową rolę lokalnej społeczności zbierającej się wokół Słowa Bożego, poprzez które ludzie nawoływani są do pójścia za Chrystusem. Takie postawienie akcentu podkreśla **uniwersalizm** Chrystusowego posłania, poprzez które Bóg otwiera swe ramiona, by przygarnąć wszystkich ludzi. Dziś nie słyszy się już o próbach interpretowania roli Kościoła wg pierwszego z wyżej wspomnianych kluczy, jednakże nie wykorzystuje się w pełni możliwości interpretacyjnych jakie daje pojęcie Kościoła jako tych, którzy usłyszeli głos Boga. Katolickość – powszechność Kościoła objawia się przede wszystkim w swej otwartości dla każdego człowieka, a jego świętość realizuje się w obecności Jego nawołującego głosu, którym jest Słowo Boże – Pismo Św. – ideę tę reformacja określiła zasadą „*SOLA SCRIPTURA*”. Tym sposobem integracja, jawi się jako **realizacja człowieka w dialogu**,<sup>13</sup> gdzie nawołujący „głos herolda” jest jednocześnie odpowiedzią na egzystencjalne pytania, jakie stawia ludzkość.

Szukając konkluzji w poszukiwaniach istoty integracji – wydaje się możliwym postawienie końcowej tezy, iż winna się ona realizować w dialogu. Istnieje jednak niebezpieczeństwo przedmiotowego traktowania partnera w dialogu – zjawisko takie w sferze sacrum nazywane będzie magią. Z tego też powodu wchodząc w dialog należy ofiarować wszystko, aby we wszystkim partycypować. Poprzez określenie partnera w relacji jako osoby (a nie przedmiotu) inicjator dialogu sam odnajduje swą osobowość.

Jak widać jest to ujęcie inkluzywne, zapewne nie wykorzystujące w pełni wszystkich aspektów, w których może się objawić integracja w obydwu z „królestw”. Pamiętać jednak należy o rozróżnieniu między obydwoma sferami (wieczną i doczesną). Sam jednak system opisanego tu integrującego dialogu przejawiać się może w każdej z dziedzin ludzkiego życia, gdzie zachodzi relacja międzyosobowa lub inaczej mówiąc „gdzie dwóch lub trzech...” (por. Mat 18,20).

## Przypisy:

<sup>1</sup> B. Giertz, *Wierzyć po ewangelicku*, Bielsko-Biała 1994, s. 89nn., oraz T. Haarbeck, *U podstaw wiary*, Warszawa 1975, s. 185nn.

<sup>2</sup> B. Giertz, s. 91.

<sup>3</sup> W języku polskim ukazały się tego autora nakładem „Więzi”: *Listy więzienne, oraz nakładem „W Drodze”: Naśladowanie, jak też nakładem Ewangelickiego Ośrodka Wydawniczego – Augustana, monografia na temat Życia i śmierci D. Bonhoeffera, autorstwa Eberharda Bethgego: Dietrich Bonhoeffer.*

<sup>4</sup> B. Giertz, *op. cit.*, s. 90.

<sup>5</sup> B. Giertz, *op. cit.*, s. 91.

<sup>6</sup> K. Barth, *Dogmatyka w zarysie*, Warszawa 1994, s. 5 i n.

<sup>7</sup> K. Barth, *op. cit.*, s. 61.

<sup>8</sup> Przykładem psychologicznie uwarunkowanego „próżnego tworzenia może być analiza dogmatu o Trójcy Św. w książce Ericha Fromma, *Dogmat Chrystusa*, Lublin 1992, s. 46 i n., potwierdzeniem takiego stanu rzeczy z okresu Ojców Kościoła znajdujemy w książce Fotisa Kontoglou, *Mystyka antis, Ekdotikoz oikoz – Azter* 1987, s. 56, gdzie autor przywołuje modlitwę Św. Andrzeja: „Chaireis meta Theon he Theos...”.

<sup>9</sup> B. Giertz, *op. cit.*, s. 90.

<sup>10</sup> K. Barth, *op. cit.*, s. 139 i n.

<sup>11</sup> Zasadnicze Prawo Wewnętrzkościelne Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP (dalej Z.P.W.).

<sup>12</sup> Z.P.W. – tamże.

<sup>13</sup> Postawa dialogiczna jest tutaj rozumiana zgodnie z wytycznymi w książce M. Bubera, *Ja i Ty*, Warszawa 1992, s. 39-126.



## Unia Europejska – moje obawy

Realizacja Unii Europejskiej według formuły Maastricht jest niepotrzebna jako podstawa współpracy między narodami Europy, a dla wielu tych narodów stanowi śmiertelne zagrożenie. Wielostronna współpraca między narodami Europy nie wymaga takiego procesu integracji, którego ostatecznym celem byłoby jedno państwo europejskie, likwidujące dotychczasowy podział naszego Kontynentu na odrębne, niepodległe państwa narodowe. Współpraca ta jest możliwa w granicach takiej integracji Europy, która zachowa i zabezpieczy dotychczasowe, niepodległe państwa. Do takich tylko granic integracja ta jest możliwa i sensowna. Tak ją pojmował generał Ch. de Gaulle, kiedy mówił o **zjednoczonej Europie niepodległych państw**. To samo miała na myśli pani M. Thatcher, mówiąc o **zjednoczonej Europie ojczyzn**, jednakże jej formuła zawiera tę niezręczność, iż „podpowiada” niebezpieczną ideę Europy „małych ojczyzn”, czyli regionów.

Unia Europejska zmierzająca do stopniowej likwidacji podziału Europy na odrębne, niepodległe państwa oznaczałaby stopniową likwidację tożsamości szeregu narodów naszego Kontynentu. Pełne otwarcie granic, umożliwiające nieograniczoną prawnie możliwość wyboru miejsca zamieszkania, zakupów nieruchomości, działalności gospodarczej, itd. nie będzie – wbrew pozorom i promującej je propagandzie – aktem integrującym europejskie narody. Nie stworzy bowiem dla tych narodów równych szans, lecz wprost przeciwnie umożliwi podporządkowanie słabszych spośród nich narodom silniejszym. Tylko ktoś dziecinnie naiwny może sądzić, że te ostatnie dla wyrównania szans podzielią się swymi zasobami z narodami słabszymi. Zamiast przeto procesu integracji narodów w jedno europejskie wielonarodowe społeczeństwo, będzie się realizował proces gospodarczej i politycznej ekspansji państw silniejszych, głównie Niemiec, a w jego następstwie – szybko postępujący proces asymilacji narodów słabszych. Rezultatem tych procesów będzie postępująca redukcja liczebności populacji dotkniętych nimi narodów i tym samym kurczenie się zamieszkałych przez te narody terytoriów. Ostatecznym skutkiem tych procesów może być zupełny zanik niektórych narodów europejskich jako odrębnych podmiotów kulturotwórczych. Realizacja Unii Europejskiej według formuły Maastricht jawi się przeto jako proces kulturowej dewastacji i – tym samym – kulturowej degradacji naszego kontynentu.

Do narodów najbardziej zagrożonych należą te, które leżą na drodze tradycyjnej ekspansji Niemiec, najsilniejszego aktualnie i najbardziej dynamicznego państwa Europy. Na drodze tej leżą przede wszystkim Czechy i Polska. Polaków interesują oczywiście

zagrożenia ich własnej Ojczyzny, choć oczywiście najbardziej skuteczną byłaby wspólna obrona zagrożonych narodów.

Niemcy są dla Polski głównym zagrożeniem zewnętrznym. Stanowi je przede wszystkim groźba dynamicznej ekspansji gospodarczej tego kraju na wschód. Na razie ekspansję tę hamują dwa czynniki: konieczność inwestowania na terenach byłej NRD oraz ograniczenia prawne dotyczące możliwości kolonizowania Polski przez ludność niemiecką. Pierwsza z tych przeszkód zniknie, gdy NRD będzie – co przecież nastąpi już w ciągu najbliższych lat – inwestycyjnie nasycona. Przeszkodę drugą usunie przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. Nie trzeba wielkiej wyobraźni by sobie uświadomić skutki skierowania dziesiątków miliardów dolarów niemieckich nadwyżek budżetowych na inwestycje w Polsce. Nie będą to oczywiście inwestycje realizowane dla Polski i dla Polaków!

Zagrożenia Polski mają także swoje wewnętrzne źródła. Polegają one przede wszystkim na opanowaniu władzy w naszym kraju przez ugrupowania obce idei polskiego patriotyzmu oraz idei budowy silnego państwa polskiego, które mogłoby być partnerem dla silnych państw jednoczącej się Europy. Przejawem nieuczciwej postawy władz w Polsce względem Polaków jest serwowana tym ostatnim indoktrynacja europejska zamiast rzetelnej informacji o kosztach jakie może ponieść Naród przystępując do Unii. Nieuczciwe jest ukrywanie przejawów zagrożeń, jak np. zignorowanie manifestacji **ziomkostw** niemieckich jaka miała miejsce jesienią ubiegłego roku. Nieuczciwe jest też wmawianie Polakom przyjaźni niemieckiej, wyrażanej rzekomo w niemieckim (osobiście kanclerza Kohla) „popieraniu naszych aspiracji do Unii i Nato”. Niemcy przecież nie nas popierają, lecz popierają własne plany wschodniej ekspansji. Nieuczciwe jest wreszcie wmawianie Polakom (za pośrednictwem „komandosów” nowego pokolenia, takich jak Konstanty Gebert), że imigracja obcych do naszego kraju, jaka będzie się realizowała po przystąpieniu Polski do Unii będzie zjawiskiem dla naszego Narodu niezwykle korzystnym.

Boję się o nasz Naród i boję się o Europę. Boję się, że gdy narody uświadomią sobie to, że zostały oszukane i że są zagrożone, zaczną się rozpaczliwie bronić i tzw. Zjednoczona Europa stanie w ogniu wojny nieporównanie straszniejszej od tej, którą przeżyła niedawno Jugosławia.

## O postmodernizmie inaczej

Redakcja „Scriptores Scholarum” zwróciła się do mnie z prośbą o komentarz do postmodernistycznego wątku zawartego w artykule Ks. Abpa prof. Józefa Życińskiego (pt. „Uniwersalizm chrześcijański w wizji zjednoczonej Europy u Jana Pawła II”, „Scriptores Scholarum”, 1997, nr 4). Poniżej próbuję to uczynić nie wchodząc w zawile dywagacje na temat określenia i historii pojęcia postmodernizmu; nie spierając się o sam, coraz mniej zresztą znaczący, termin „postmodernizm”, od którego *expressis verbis* odżegnują się niemal wszyscy „wielcy”: Lyotard, Derrida, Bauman ...

Dla porządku mojej argumentacji chciałbym rozpocząć od przypomnienia pewnych faktów z historii nauki, mając tu na względzie przede wszystkim młodych Czytelników „Scriptores Scholarum”. Otóż zasada relatywizmu kulturowego jest znana w filozofii i socjologii przynajmniej od czasów Franza Boasa (1858–1942), amerykańskiego antropologa, przez wielu uczonych uważanego za twórcę antropologii jako nauki. Był on zdania, że błędnym jest założenie o istnieniu jakichś uniwersalnych praw rządzących rzekomo rozwojem wszystkich kultur i pozwalających wartościować je wedle osi „wyższe – niższe”. Jest to założenie ufnych w rozum „naukowy” pozytywistycznie nastawionych badaczy-odkrywców praw (w swoich z ducha europejskich gabinetach i uniwersytetach). Schemat myślenia o kulturze z perspektywy rządzących nią praw oraz idąca za nim praktyka widzenia i traktowania innych są dość jasne: inni są tu o tyle kulturalni (czytaj: o tyle są ludźmi), o ile w swym myśleniu, zachowaniu, kolorze skóry, itd. przypominają nas, bowiem to my z założenia jesteśmy na tym najwyższym szczeblu drabiny rozwoju. Jediną skuteczną bronią przeciw takiemu etnocentryzmowi oraz wszelkim związanym z nim postaciom nietolerancji zakorzenionym tak w potocznym myśleniu, jak i w doktrynach społeczno-politycznych była dla Boasa i jego uczniów (dziś powszechnie przyjęta jako metodologiczny postulat w badaniach antropologicznych) zasada relatywizmu, która głosi, że każdą kulturę należy mierzyć jej własną miarą i nie wolno podciągać jej pod jakieś wyabstrahowane z własnej kultury schematy, nie wolno wartościować wedle obcych jej kryteriów.

Z tą zasadą nie sposób dziś polemizować, jest oczywista i w swej wymowie dość banalna. Kłopot w tym, że nieporęcznie jest stosować ją w praktyce, i to nie tylko badawczej, ale także życiowej. O tym, że nam, Europejczykom, w naszym myśleniu i działaniu szczególnie trudno jest za nią podążać, że jesteśmy bardziej uniwersalistami niż relatywistami, najdobitniej świadczy historia podbojów kolonialnych, w tym również historia idącego za nimi misyjnego Kościoła. (Wystarczy przypomnieć sobie, ile wieków musiało minąć, zanim Kościół zrozumiał, że religii się nie narzuca tylko pro-

ponuje; zanim zezwolił na odprawianie mszy w językach narodowych – w „języku serca” swoich wyznawców; ile czasu musiało upłynąć, zanim uznał prawo każdego do wyznawania swej wiary za pomocą środków wyrazu właściwych dla psychologicznych, środowiskowych i historycznych warunków jego kultury. Na fakt, że nawet dziś nie są to prawdy i prawa dla wszystkich oczywiste w łonie Kościoła posoborowego, zwraca uwagę Książd Arcybiskup w komentowanym tekście.)

Przecenianie roli relatywistycznych pomysłów niektórych intelektualistów (pozbawionych wsparcia ze strony wielkich instytucji: państwa, Kościoła, partii politycznych, itp.) na bieg spraw świata jest na tym tle wysiłkiem niewspółmiernym do ich faktycznych efektów – kulturowych implikacji, jakie one za sobą pociągają. Pomysły te przy całej pozornej ich oczywistości są bowiem w praktyce zdecydowanie mniej skuteczne i mniej atrakcyjne od wszelkich wizji świata ujednoczonego. Jeśliby pozostać przy bosowskiej zasadzie relatywizmu, to trzeba przyznać, iż niewiele była i nadal jest ona (a ściślej: realizująca ją anglosaska antropologia) w stanie zmienić w sprawie losów Indian Ameryki Północnej, niestety nie ona też – jak wiadomo – zdecydowała o zniesieniu segregacji rasowej w Stanach czy w Afryce Południowej. I analogiczną uwagę można odnieść także do tzw. postmodernistów. Ktoś, kto sądzi, że ich poglądy zdolne są powstrzymać integracyjne procesy Europy, że wymierzone są przeciw (resp. zagrażają) uniwersalizmowi chrześcijańskiemu, nie dość, że dokonuje ich nadinterpretacji, to jeszcze zdecydowanie przecenia ich autorów, a może lepiej byłoby powiedzieć: demonizuje! Poglądy te nie układają się w żadną doktrynę społeczno-polityczną typu liberalizm, a jak się wydaje, tylko wtedy można by je zasadnie zestawiać np. z chrześcijańską etyką czy nauką społeczną. Doświadczeni totalitarnymi roszczeniami oświeconego rozumu (ich cywilizacyjno-kulturowymi aplikacjami) postmoderniści wyrażają niewątpliwie nieufność do wszelkich zamkniętych, gotowych formuł na dobre życie jednostki lub grupy<sup>1</sup>, ale otwartym pozostaje pytanie, czy jest to postawa tożsama z jakąś postacią nihilizmu, z zanegowaniem wszelkich elementów uniwersalnych obecnych w naszej kulturze?

Moja odpowiedź na to pytanie jest jednoznacznie negatywna i to przynajmniej z dwóch względów. Jednym z nich jest postmodernistów koncepcja filozofii, drugim – ich etyka.

### **Postmodernistów (re)definiowanie funkcji filozofii i jej stosunku do kultury**

Postmoderniści są w tym sensie zakorzenieni w filozofii Zachodniej, że upatrują jej zadanie (podobnie jak czynił to już Arystoteles) w poszerzaniu zakresu tego, przed czym ludzki rozum nie kapituluje i z czym jest w stanie sobie „poradzić”. Biorą udział w debacie na temat racjonalności toczącej się w określonych warunkach historyczno-kulturowych, w których odnotowuje się zwrot filozofii ku doświadczeniu życiowemu, tj. w stronę rozumu praktycznego. Nie satysfakcjonuje ich już opowiedzenie się po stronie jednego z tradycyjnych stanowisk w sporze między racjonalizmem a irracjonalizmem. Nie, ponieważ ważniejsza od teoriopoznawczej jest dla nich kwestia natury praktycznej; powołują się na zasadę osobowej autonomii i związaną z nią zasadę odpowiedzialności za działania zgodne z intencjami, uczuciami i celami jednostki:

rozumność staje się u postmodernistów kategorią równoznaczną z tym wszystkim, co składa się na *conditio humana*, na to, co „ludzkie”, „godne człowieka”. Postmodernistyczny filozof nie jest przeto żadnym magiem! Podobny jest raczej artyście w swych wysiłkach zwrócenia naszej uwagi na to, co nieprzedstawialne; w ascetycznym „wyrzekaniu się pocieszenia podsuwanego przez poprawne formy”; w „odrzucaeniu zgody na smak, umożliwiający wspólne doświadczenie nostalgii za nieosiągalnym”; „w poszukiwaniu nowych przedstawień nie po to, by się nimi delektować, lecz po to, by lepiej odczuć istnienie nieprzedstawialnego”. Pracuje „bez reguł, po to, by ustanowić reguły tego, co *zostanie stworzone*.”<sup>2</sup> Niektórym taki sposób zachowania się postmodernistycznego filozofa przywodzi na myśl postać świętego, przy czym nie jest to mityk, który w chwilach uniesień i wizji kontaktuje się bezpośrednio z Bogiem, lecz ktoś, kto żyje pośród ludzi: kieruje się współczuciem dla Drugiego, nawet (wbrew racjonalnym przesłankom) za cenę wyjścia poza wszelkie instytucjonalne ramy; za cenę popadnięcia w konflikt czy wręcz zerwania z tradycją, ze zwyczajową moralnością; za cenę opuszczenia domu, egzystencji wygnańczej i nomadycznej.<sup>3</sup> Jest to postać zaiste z „postmodernistycznej Wieży Babel”. Przestaje nią być z chwilą, gdy ktoś „przywłaszczy” sobie jej życie i zechce uczynić z niego gotowy dla wszystkich podreżnik świętości.

Rzecz istotna, że ów postmodernistyczny filozof – zdaniem autora *Kondycji ponowoczesnej* – w swych wysiłkach wysłowienia tego, co niewysławialne (nieprzedstawialne) nie jest ani sceptykiem, ani nihilistą. Jego praca bez reguł polega na próbie ujmowania tego, co konkretne i niepowtarzalne, co domaga się „zawieszenia” ogólnych praw, pod które to coś podpada. „Zawieszanie” oznacza tu ciągłe poszukiwanie sposobów, które by umożliwiały „prześlizgiwanie się” przez dane prawo niewspółmiernego z nim indywidualium. W naszych czasach filozof przeciwstawia się w ten sposób tradycyjnie uprawianej w jego dyscyplinie apologii tego, co identyczne, oczywiste, stale obecne, jako ostatecznych układów odniesienia, ale – co podkreśla Lyotard – nie ogłasza on przy tym „śmierci Boga”. Wręcz przeciwnie, sądzi on raczej (i tu francuski filozof powołuje się na Kanta), że myśl jest zdrowa tylko wtedy, gdy zachoruje na tęsknotę za absolutem! Ów filozof nie staje się też pogodzonym ze światem, rozgoryczonym słabością matematycznej racjonalności, sceptykiem.<sup>4</sup> Stawia na rozum związany najogólniej z praktyką w sensie, jaki temu pojęciu przypisywali starożytni Grecy, a więc z faktem, że nie jesteśmy panami bytu, i jako przygodne i skończone twory musimy liczyć się ze zróżnicowaniem, wielością, rozproszeniem, domagającym się różnych języków i dyskursów.

### Postmodernistyczna etyka

Z socjo-filozoficznej diagnozy współczesności – a w wykonaniu tzw. postmodernistów jest ona zawsze dokumentowana za pomocą bogatego, trudnego do zbagatelizowania materiału zjawisk i praktyk kulturowych – wynika, że my po prostu dzielimy dziś los mieszkańców Wieży Babel; że niechcący zostaliśmy niemal pod każdym względem „sprywatyzowani”, rozproszeni po świecie i zdani na samych siebie. Problem widzą oni raczej w tym, jak nauczyć się żyć z utratą prostego i przejrzystego świata: żyć „między

melancholią a żałobą”. (Stąd nb. liczne odwołania u postmodernistów do Kierkegaarda, stającego przed pytaniem, co począć, gdy w życie wkrada się chaos i absurd? Jak żyć jako „emigrant z obszaru ogólności”?)

Można ich w tym kontekście co najwyżej posądzić o to, że są ludźmi „małej wiary”, skoro nie promują w to powstałe po upadku „wielkich narracji” miejsce wizji Wieczernika, ale można też być bardziej społecliwym i pomyśleć o nich tak, że praktykę ewangelizacji pozostawiają innym, sami zaś decydując się na mozolny (choć w swej ogólnofilozoficznej wymowie minimalistyczny) wysiłek kierowania myślenia w stronę podmiotu „słabego”, dla siebie nieprzejrzystego, budującego się w dążeniu do Drugiego, w pragnieniu nawiązania z nim kontaktu; w staraniach o zachowanie przy tym własnej niezależności i godności; podmiotu „zdecydowanego” wbrew, czy raczej: pomimo własnej słabości i niepewności, tej niepewności, która – jak to powie poeta – pozwala mu „zachować czujność, a ponadto z reguły jest mniej krwiożercza” (Brodski). Pojęcie dialogu z tej perspektywy jest iluzją tylko wtedy, gdy łączy się z nim idea i praktyka konsensusu, czyli gdy jest on prowadzony z myślą oczekującą na oglądanie w rzeczywistości pogodzenia sprzecznych stanowisk; na powodzenie naszych czynów, na ich odwzajemnienie lub wynagrodzenie.

Jest to więc etyka oporu przeciw moralności opartej na przywoływaniu pojęcia (koncepcji) dobra jako gwaranta bezpiecznego życia; etyka zradykalizowana, odwołująca się do tego, co inne, wzniosłe; co pociąga i budzi zarazem lęk. Levinasowi, Derridzie i Caputo<sup>5</sup> w tych odwołaniach pomocna staje się tradycja hebrajska: to oni przywołują liczne metafory o genezie biblijnej i czynią to bynajmniej nie w celach retorycznych, lecz merytorycznych, a więc po to, by tworzyć konstrukcje zdolne wypowiedzieć podstawowe problemy naszych czasów. Jest to historia Abrahama, „śląd Boga”, ale także opowieści o miłosierdziu, o ubogich, trędowatych, cierpiących, czyli tych innych, wobec których rozum musi być niewolnikiem, a nie wrogiem znającym tylko relacje władzy i kontroli. Jako „niewolnik” Innego nawiązuje z nim więzi (mogą one zachodzić zależnie lub niezależnie od teologicznych wyobrażeń), które domagają się hojności, ofiarności, bezinteresowności i szczerości. I nie ma przy tym żadnego znaczenia to, czy Drugi mówi tym samym językiem, co ja! Liczy się tylko „bezwzględna” orientacja na niego: proste moralne uczynki skierowane ku niemu w odpowiedzi na jego wyzwania. Tylko tyle i aż tyle!

### Przypisy:

<sup>1</sup> „Skrajnie upraszczając za «postmodernistyczną» uznajemy nieufność w stosunku do metanarracji. Nieufność ta jest niewątpliwie skutkiem postępu nauk [...]” (J.-F. Lyotard, *Kondycja ponowoczesna*, tłum. M. Kowalska i in., Warszawa 1997, 20.)

<sup>2</sup> J.-F. Lyotard, *Odpowiedź na pytanie: co to jest postmodernizm?*, tłum. M. P. Markowski, w: R. Nycz (red.), *Postmodernizm. Antologia przekładów*, Kraków 1997, 60–61.

<sup>3</sup> Zob. E. Wyschogrod, *Saints and Postmodernism. Revisioning Moral Philosophy*, Chicago: The University of Chicago Press, 1990.

<sup>4</sup> J.-F. Lyotard, *Die Analytik des Erhabenen. Kant-Lektionen*, München: Wilhelm Fink Verlag 1994, 167 i nn.

<sup>5</sup> Zob. np: J. D. Caputo, *Against Ethics. Contributions to a Poetics of Obligation with Constant Reference to Deconstruction*, Bloomington 1993; *Demythologizing Heidegger*, Bloomington 1993; J. Derrida, *Przemoc i metafizyka. Esej o myśli E. Levinasa*, E. Matuszewski i in., w: id., *Pismo filozofii*, Kraków 1993; E. Levinas, *Znaczenie a sens*, tłum. S. Cichowicz, „Literatura na Świecie”, nr 11–12, 1986; Z. Bauman, *Etyka ponowoczesna*, tłum. J. Bauman i in., Warszawa 1996.

## William Blake

### Introduction \*

Piping down the valleys wild,  
Piping songs of pleasant glee,  
On a cloud I saw a child,  
And he laughing said to me:

“Pipe a song about a Lamb!”  
So I piped with merry cheer.  
“Piper, pipe that song again;”  
So I piped: he wept to hear.

“Drop thy pipe, thy happy pipe;  
Sing thy songs of happy cheer.”  
So I sung the same again,  
While he wept with joy to hear.

“Piper, sit thee down and write  
“In a book, that all may read.”  
So he vanish’d from my sight,  
And I pluck’d a hollow reed,

And I made a rural pen,  
And I stained the water clear,  
And I wrote my happy songs  
Every child may joy to hear.

---

\* Z tomu „Pieśni Niewinności i Pieśni Doświadczenia ukazujące dwa przeciwne stany duszy ludzkiej” – fragmenty

**Wprowadzenie**

Ćwierkając przez dziką dolinę,  
Ćwierkając pieśni miłej radości,  
Na obłoku ujrzałem dziecinę,  
Co ze śmiechem takie słowa wznosi:

„Zagraj piosnkę o Jagnięciu!”  
I zagrałem, wesoło się radując.  
„Grajku, zagraj znowu tę piosenkę;”  
Więc zagrałem: słuchał, popłakując.

„Rzuc swą fujarkę, radosną fujarkę;  
Śpiewaj pieśni miłej radości;”  
Zaśpiewałem znów tę samą.  
A on słuchał, płacząc z przyjemności.

„Grajku, usiądź tutaj by napisać  
Książkę, którą każdy mógłby czytać.”  
Przed oczami go nie widać,  
Ja zerwałem pustą trzcinę,

I zrobiłem wiejskie pióro,  
I zbrukałem czystą wodę,  
I spisałem miłe pieśni  
Niechaj cieszą dzieci młode.

Tłum.: Piotr Sobolczyk



### The Ecchoing Green

The Sun does arise,  
And make happy the skies;  
The merry bells ring  
To welcome the Spring;  
The skylark and thrush,  
The birds of the bush,  
Sing louder around  
To the bells' chearful sound,  
While our sports shall be seen  
On the Ecchoing Green.

Old John, with white hair,  
Does laugh away care,  
Sitting under the oak,  
Among the old folk.  
They laugh at our play,  
And soon they all say:  
"Such, such were the joys  
"When we all, girls & boys,  
"In our youth time were seen  
"On the Ecchoing Green."

Till the little ones, weary,  
No more can be merry;  
The sun does descend,  
And our sports have an end.  
Round the laps of their mothers  
Many sisters and brothers,  
Like birds in their nest,  
Are ready for rest,  
And sport no more seen  
On the darkening Green.

**Odbijająca zielen**

Wschodzi słońce,  
Niebo cieszące;  
Dzwoni dzwoneczek radosny  
Wita nadejście Wiosny;  
Drozd oraz skowronek,  
To ptaki w krzewie zielonym,  
Dokoła śpiewają głośniej  
Do dzwoneczka melodii radosnej.  
Gdy w naszych zabawach powinniśmy być widzeni  
Na Odbijającej Zieleni.

Patrzcie na z białymi włosami Starego Jana,  
On śmiechem zmartwienia odgania,  
Pod dębem siedzi,  
Wśród starej gawiedzi.  
Śmieją się, gdy naszą zabawę widzą,  
I wkrótce wszyscy powiedzą:  
„Takie, takie mieliśmy radosne miny  
My wszyscy, chłopcy i dziewczyny,  
Gdy w młodości na widzieli  
Na Odbijającej Zieleni.”

Aż malcy, zmęczeni,  
Dłużej nie mogą być ucieszeni;  
Zachodzi słońce  
I naszym zabawom idą końce.  
Dokoła łona swej matki  
Siostrzyczki i bratki,  
Do ptaków w gnieździe podobne,  
Do odpoczynku sposobne,  
I zabaw już nie widzieli  
Na ciemniejącej Zieleni.

Źródło: Piotr Sobolczyk

**The Angel**

I dreamt a Dream! What can it mean?  
And that I was a maiden Queen,  
Guided by an Angel mild:  
Witless woe was ne'er beguil'd!

And I wept both night and day,  
And he wip'd my tears away,  
And I wept both day and night,  
And hid from him my heart's delight.

So he took his wings and fled;  
Then the morn blush'd rosy red;  
I dried my tears, & armed my fears  
With ten thousand shields and spears.

Soon my Angel came again:  
I was arm'd, he came in vain;  
For the time of youth was fled,  
And grey hairs were on my head.

**Mój anioł**

Wyśniłam Śnienie! jakie jest jego znaczenie?  
I że dziewiczą Królową było moje istnienie  
Chronioną przez Anioła miłego:  
Nigdy nie oszukasz nieszczęścia głupiego!

I płakałam noc i dzień,  
A on zmiotł łzy moje w cień,  
I płakałam dzień i noc,  
I ukryłam przed nim serca radości moc.

Więc on skrzydła wziął i zbiegł;  
Potem ranek pomyślnie zaczerwienił się;  
Łzy osuszyłam i swe lęki uzbroiłam  
Dziesiątkiem tysięcy włóczni i tarcz się osłoniłam.

Wkrótce mój Anioł przybył znów:  
Byłam uzbrojona, więc przybycie bez efektu,  
Gdyż młodości czas minął  
A ja mam już głowę siwą.

Thum.: Piotr Sobolczyk

\*

I saw a chapel all of gold  
That none did dare to enter in,  
And many weeping stood without,  
Weeping, mourning, worshipping.

I saw a serpent rise between  
The white pillars of the door,  
And he forc'd & forc'd & forc'd,  
Down the golden hinges tore.

And along the pavement sweet,  
Set with pearls and rubies bright,  
All his slimy length he drew,  
Till upon the altar white

Vomitting his poison out  
On the bread & on the wine.  
So I turn'd into a sty  
And laid me down among the swine.

\*

Ujrzałem kaplicę całą ze złota  
Do której wejść nikt się nie ośmielił,  
Wielu płaczących stało przed wrota,  
Płaczący, lamentujący, rozmodleni.

Ujrzałem węża sunącego pomiędzy  
Białymi kolumnami drzwi,  
I parł on i parł i parł;  
Złote zawiasy upadły.

I naprzód po słodkiej posadzce,  
Pełnej perły i rubinu jasnego,  
Rozciągnął śliską swą długość  
Aż do ołtarza białego,

Wymiotując swą truciznę  
Po chlebie i winie.  
Więc odszedłem do chlewu  
I położyłem się między świnię.

Thum.: Piotr Sobolczyk

**The Tyger**

Tyger! Tyger! burning bright  
In the forests of the night,  
What immortal hand or eye  
Could frame thy fearful symmetry?

In what distant deeps or skies  
Burnt the fire of thine eyes?  
On what wings dare he aspire?  
What the hand dare seize the fire?

And what shoulder, & what art,  
Could twist the sinews of thy heart?  
And when thy heart began to beat,  
What dread hand? & what dread feet?

What the hammer? What the chain?  
In what furnace was thy brain?  
What the anvil? What dread grasp?  
Dare its deadly terrors clasp?

When the stars threw down their spears,  
And water'd heaven with their tears,  
Did he smile his work to see?  
Did he who made the lamb make thee?

Tyger ! Tyger! burning bright  
In the forests of the night,  
What immortal hand or eye,  
Dare frame thy fearful symmetry?

**Tygrys**

Tygrys! Tygrys! płonie blask,  
Którym palisz nocy las:  
Jaka dłoń czy nieśmiertelne oko  
Mogła stworzyć doskonałość tak przerażająco wysoką?

W jakich niebach i otchłaniach  
Oczu twoich blask spalania?  
Jakie ośmieliły dłonie  
Chwycić za żarzący płomień?

Jakie ramię, sztuka – żeby w sercu biła  
Tak przerażająca siła?  
A gdy już zaczęła bić  
Co za dłoń to mogła być?

Jaki młot? Jakie kajdany?  
W jakich umysł twój był piecach wykuwany?  
Jaki warsztat ? Co to za pojęcie  
Ośmieliło się na to śmiertelne objęcie?

Kiedy gwiazdy w dół rzuciły włócznie,  
I gdy zalały Nieba swoimi łzami,  
Czy się cieszyć ze swych dzieł on pragnie?  
Czy ten co ciebie stworzył także Jagnię?

Tygrys! Tygrys! płonie blask,  
Którym palisz nocy las.  
Jaka dłoń czy nieśmiertelne oko  
Śmiała stworzyć doskonałość tak przerażająco wysoką?

Thum.: Piotr Sobolczyk

\*

When a Man has Married a Wife, he finds out whether  
Her knees & elbows are only glued together.

Dowiaduje się wtedy, gdy bierze za Żonę  
Czy jej kolana i łokcie tylko są razem sklejone.

**An Anser to the Parson**

“Why of the sheep do you not learn peace?”  
“Because I don’t want you to shear my fleace.”

**Odpowiedź proboszczowi**

„Dlaczego nie uczysz się pokoju jak jagnięta inne?”  
„Gdyż nie chcę byś zdarł ze mnie swą wełnę.”

\*

“Madman” I have been called: “Fool” they call thee  
I wonder wchich they envy, Thee or Me?

Wariatem mnie nazwali; głupcem ciebie.  
Komu zazdrozczą, tobie czy mnie? – nie wiem.

**To God**

If you have form`d a Circle to go into,  
Go into it yourself & see how would you do.

**Do Boga**

Jeśliś uformował, by do niego wchodzić, Koło,  
Wejdz do niego sam, ciekawe, czy ci będzie wesoło.

Tłum.: Piotr Sobolczyk

**Homo?**

Co? No czemu  
nic nie mówisz  
gapisz się na mnie  
że siedzę pod murem.

Przed sobą mam kartkę  
o pomoc Was proszę.  
A każdy mnie mija  
obojętym wzrokiem.

Mówisz: Do roboty!  
szukałem - uwierz mi  
nie dostałem żadnej  
godnej homo sapiens  
istoty myślącej  
którą ponoć jestem  
a oni chcieli mnie zrównać  
do poziomu zwierzęcia...

*Wojciech Czajka*

**Moje oko**

Wysyła światu  
zatrzymaną wieczność  
Część Boga  
I cały ziemski czas  
Moje serce już nie istnieje  
Jestem zwykłą trawką  
Zdeptaną roślinką

**Do Ciebie**

Twoją twarz widzę  
Obok krzyża  
Czy Ty też jesteś moim  
Bogiem?  
Cała ściana biała  
pusta jęk moja dusza  
Tylko Bóg i Ty  
(Wisisz?)



**Punk natura**

Spod nagiego ciała  
wylania się zła dusza  
Nie ma ona kształtu  
jest jak chora krew  
z twych ust wypłuta  
zlewa się na ręce wiernych  
Którzy potem ją zbierają  
w jedną świętą...  
zyciodajną całość

*Olga Letkiewicz*

**Obecność Boga**

jak ci pokazać kim jestem  
słowa jak cienie  
rysują zamglone kontury  
wszystko traci wyrazistość  
słów też mi brakuje i sił  
by wytrzeć łzy rękawem milczenia

przez śpiew porannych ptaków  
wskazujesz drogę  
podobno mam numerek na życie  
powinnam być beztroska i zgubić ciemność

gdybym odziedziczyła po kimś talent  
namalowałabym trójkąt bermudzki  
tam można wrzucić wszystko  
ambicją żar i pychę

zegar miarowo odlicza czas  
dwa kroki w stronę dobra  
jeden w piekło  
zamiast iść prosto  
oglądam się za siebie

Ty jednak wyznaczasz szlak  
delikatnie wskazujesz horyzont  
wiem której drogi się trzymać  
poza nią próżnia  
nieprzeniknione oczy posągów

śni mi się spokój i śniadanie na trawie

niecierpliwie wyglądam za okno  
szukam głosów tych którzy odeszli  
jak lilie jak hiacynty  
nawet adresu nie zostawili  
teraz listy przyklejam do latawców  
i uciekam do traw zielonych  
do wiecznego tułacza do desyderaty  
do rozmów po zmierzch po świt

### Wiedeń

w wiedniu wieczorem  
bierzesz mnie za rękę  
delikatnie  
już nie śmieję się jak wtedy  
gdy po raz pierwszy  
zatańczysz  
zatańczę  
wystarczy pierwszy krok  
i twój spokój w pocałunku  
tylko ten walc  
tylko ten wiatr  
zaborczy byłeś  
zziębnięta patrzyłam  
jaką część siebie  
mogę ci dać w prezencie  
czy tylko cień

*Katarzyna Grzybowska*

\*\*\*

odkryłem piękny świat  
daleko stąd,  
tak spokojnie szumi.  
beznamiętne chmury  
suną po beznamiętnym niebie,  
nie ma tam Boga, nie,  
ale są jego niebieskie okulary.  
gdy je nakładam,  
odkrywam piękny świat.

\*\*\*

Czy pozwolisz popatrzeć ci w oczy,  
tak prosto, bym ujrział kolor nieba  
nad płonącymi lasami Amazonii.  
Czy pozwolisz mi patrzeć na usta,  
tak prosto, bym mógł zamknąć oczy  
i pozwolił przenikać, i już zostać.

Czy pozwolisz mi marzyć po drugiej  
stronie stołu, nawet gdy gołębie  
siedzą na drzewie przy oknie.  
czy pozwolisz mi tak usiąść  
i patrzeć, jak radośnie przemijasz.

Widziałem gołębia, który zatrzymał się  
przy twoim oknie i długo nie odlatywał,  
i smutno patrzył przez szybę.

Widziałem przez okno, jak siedzimy  
po przeciwnych stronach stołu  
a tobie nie chce się iść prac.

Tak odważnie jest być samotnym.  
Od dwóch dni jestem najodważniejszym  
człowiekiem w historii  
nie boję się żyć.

\*\*\*

Rzucam na ciebie czary,  
jak śmiesz dotykać moich książek  
i dokładnie przeliterowywać ich tytuły,  
gdy nawet ja ich nie znam.  
Nie znam ich pochodzenia,  
nie wiem, czyj smutek je napisał.

Jest tylko pustka,  
o której kiedyś czytałem,  
pustka przetłumaczona na wiele języków.

Których nie znam.

**Zagadka pragnienia: tabletki, tabletki, tabletki.**

Obsesja połykania tabletek  
w kolorowych polewkach,  
czasem bez polewy.  
W środku biały zbawiciel,  
mesjasz wszystkich rozczarowanych smutków.

*Jarosław Mankiewicz*

**Genesis 4, 8-12**

Gdzie jesteś Ablu?  
Gdzie jesteś Kainie?

Wasza matka Ewa  
o twarzy pełnej zmarszczek  
zmęczona pamięcią raju  
nie może was odnaleźć  
a zapraszała was  
na herbatę gorącą  
i ciepłe mamine ciasteczka  
niektóre nawet z kremem.

Wasza matka czeka  
i śpiewa babilońskie hymny  
i boisz się, że dobry Bóg  
będzie musiał szukać was sam.

I ojca Adama też nie chce niepokoić  
bo zmęczony orką  
położył się spać,  
pot mu nadal spływa ze skroni.

Ablu, Kainie co się z wami stało?

\*\*\*

Mój anioł stróż  
w niebieskich skarpetkach  
czyta w wolnych chwilach  
poezje Miłosa

Ale czasu wolnego  
ma niewiele  
już od wczesnego rana  
musi odpędzać  
małe czarne kosmate  
diabełki

A wykończony wieczorem  
kładzie się obok  
i poduszkę wyrzywa  
mi spod głowy

Mimo to go lubię.

\*\*\*

Pięćdziesięcioprocentowy księżyc  
uwięziony na zachodnim niebie  
jak klejnot  
ponad całą naszą  
małością

ponad piramidami  
z cegieł, twarzy, rąk i blachy  
oślepiionymi jego połowicznym  
blaskiem

a na wschodzie  
gwiazdy lekko wyblakłe  
chwyatają się światła miasta

**Poezja**

jestem szelestem pojednań  
pozwalam ci oddychać mną jak nocą  
i budzić się ze mnie jak ze snu

jestem najdzikszą wolnością  
nigdy nie opowiadam swoich zbyt prywatnych przygód  
nie tłumaczę moich oddaleń ani powrotów

uwielbiasz mnie i pogardzasz mną  
bo pozwalam rozpoznawać się każdemu  
a wciąż jestem nie dotknięta czasem

znam magiczne formuły świętej mowy  
wiem jak oddzielać słowo od słowa  
jak przetłumaczyć opowieści oczu

cudowna i znienawidzona  
bo opieram się  
kiedy próbujesz nadać mi imię

\*\*\*

my nie kochamy mężczyzn  
choć tęsknimy do nich  
tęsknimy wśród tajemnic nieuniknionych jak życie  
trudnych i tak samo dotkliwych

zachłannie wpatrzone w świat  
rzeźbione tęnym dźwiękiem czasu  
ale nie zadziwiają nas już sny  
ani wypełniające nas powietrze nagłych uszczęśliwień

łagodne jakbyśmy czuły ze śmiertelne  
z wilgotną muzyką w oczach  
czasem jeszcze chcemy być czyjaś nocą  
oddalać od kogoś śmierć

my nie kochamy mężczyzn  
wymyśliłyśmy ich więc są mocni  
od miłości ratuje nas ucieczka  
do wnętrza własnych słów

\*\*\*

miałeś być moją religią  
odpowiedzią na moje pogańskie modlitwy  
ale nie nauczyłeś mnie niczego

nie nauczyłeś mnie zachwytu ciała  
ani ciepła wspólnego snu  
nigdy też nie wyczułam niepokoju twoich poruszeń  
choć było we mnie dla ciebie tyle miejsca

podobno tylko o to chodziło  
żeby dość tam skąd nie można wrócić  
żeby poczuć na skórze pachnącą mokrość

ale jak mogłam tego nie zauważyć  
i nie ochronić samej siebie  
doprawdy nie wiem

nie prosiłam o nic tylko o to  
żebyś był moją religią  
żebyś mnie nie tracił  
żebym nie czuła bólu rozdzielenia  
ale ty się śmiałeś

zgwalcona twoim śmiechem urodziłam wiersze  
pokaleczone, wilgotne słowa.

### **Wiersz dla nikogo**

pamiętam naszą pierwszą miłość  
kiedy wskoczyliśmy w niebieski śnieg  
klęczeliśmy przed sobą nadzy  
i całowaliśmy oddychając w nas dorosłość

pamiętam jak stawałeś się mężczyzną  
i to jak dotykaliśmy gorących drzwi  
a w miejscach dotknięć pojawiał się  
pierwszy zapach

potem bez światła rozmawialiśmy  
mówiłeś mi słowa które chciałam słyszeć

niewpewne i obiecujące zarazem

więcej nie mogłaś zrobić memu ciału  
zasnąłeś wierząc naiwnie  
że właśnie takiego rozpoznania pragnęłam

### Motyle w oknach z preksiglasu

odsłoniłeś mnie  
i zostawiłeś w tej nagości

urodziłam się w portowym mieście  
poznałam słońcą czułość krople potu

wiele wsłuchiwało się we mnie  
by usłyszeć jak krzyczę o pożądaniu

z dalekich krajów przywozili mi motyle  
zamknięte w małych okienkach z preksiglasu

to nie takie trudne być kochanką tych  
których nigdy nie ma w domu  
być ich nocnym tramwajem albo ćmą

to nie trudne bo przestają istnieć  
kiedy tylko utracą swój zapach albo smak

i nie zostają po nich nawet słowa  
tylko motyle zamknięte w małych okienkach  
z preksiglasu

*Marta Jedliczko*

Przepraszamy naszych dwóch autorów z poprzedniego numeru:  
Fryderyka Rudzińskiego i Jarosława Mankiewicza.  
Przy ich recenzjach z wystawy Simchy Nornberga zamieniliśmy ich nazwiska

Redakcja

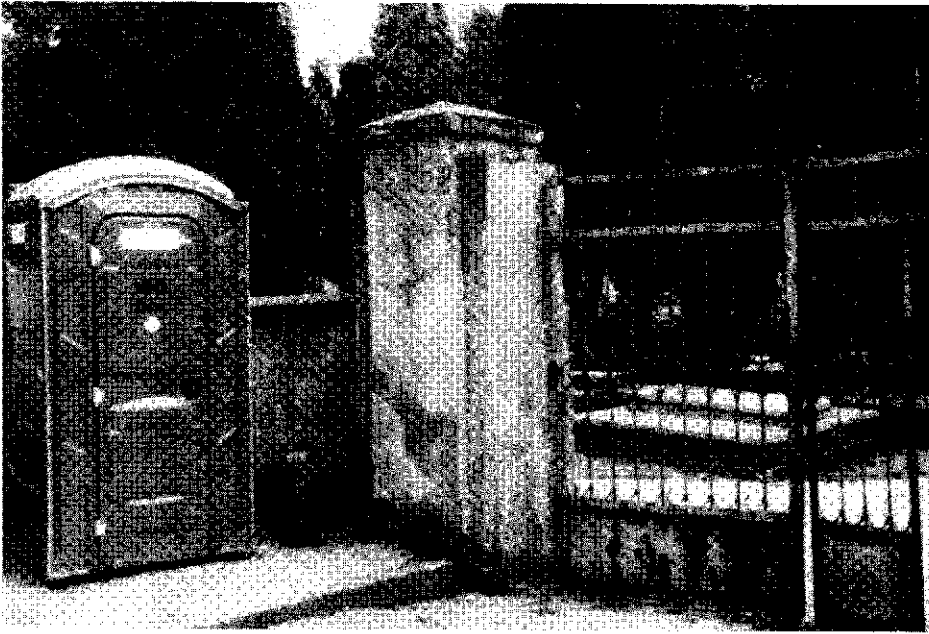


Magdalena Gajko

## Fotoreportaż o drodze do Próźni



Brama ...



*Wspaniałość i groza mogą iść w parze, lecz nie muszą.*

A.B. Stepień, *Propedeutyka estetyki*, s. 29 (wyd. II)



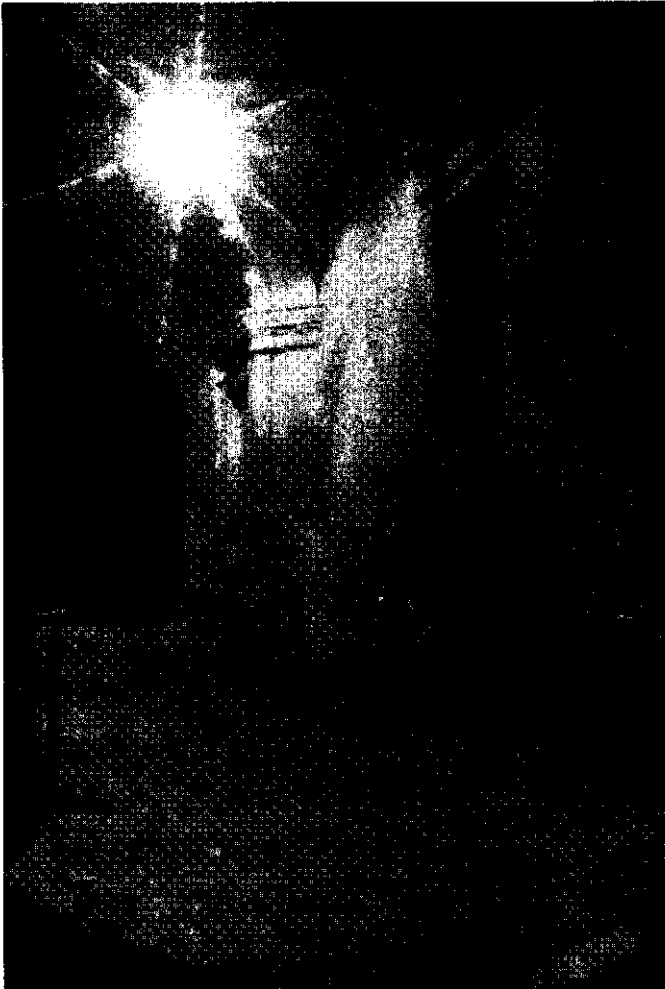
*Jak widać więcej tu pytań i wątpliwości niż stwierdzeń i ustaleń.*

A.B. Stepień, *Propedeutyka estetyki*, s. 31 (wyd. II)



*Tak jak naczynie jest miejscem przenośnym, tak miejsce jest naczyniem nieruchomym. A więc, gdy rzecz wewnętrzna w stosunku do innej nieruchomej znajduje się w ruchu i zmienia miejsce, jak statek na rzece, ciało otaczające odgrywa raczej rolę naczynia niż miejsca.*

Arystoteles, *Fizyka* 212a



*(...) próżnią jest miejsce, w którym nic się nie znajduje (...). Prożnią jest to, co nie jest wypełnione dotykającym ciałem (...).*

Arystoteles, *Fizyka* 213b-214a

## • Informacje o autorach

---

**Bartłomiej BALABAN** – uczeń czwartej klasy PK I.O im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie; poeta.

**Marcin BIEGAJ** – uczeń trzeciej klasy I LO im. ks. A. Czartoryskiego w Puławach.

**Katarzyna BIERNACKA** – uczennica trzeciej klasy I.O im. S. Żeromskiego w Nałęczowie.

**William BLAKE** (1757 – 1827) – angielski poeta i rytownik, jego twórczość przypadła na lata romantyzmu w Anglii, jego dzieło jest jednak dalekie zarówno ideałom oświecenia, jak i romantyzmu, za życia niedoceniony, swoje utwory poetyckie wydawał sam w kilkunastu egzemplarzach i rozprowadzał wśród przyjaciół – z wyjątkiem młodzieńcych „Poetical Sketches” (1783), pierwsze normalne wydanie jego dzieł nastąpiło w 1893 r. Blake był wizjonerem i mistykiem, znaczny wpływ na jego poglądy miały doktryny neoplatoników, Swedenborga i Boehmego, utwory Milтона, mitologia islandzka, indyjska, celtycka, kabała, Biblia, którą stale reinterpretował. Za życia krytykowany i wyszydzany, zarabiał tworzeniem ilustracji do książek (m.in. Biblii, „Boskiej Komedii”, „Raju utraconego”), prawie całe życie spędził wraz z żoną Catherine w Londynie, nigdy nie był za granicą. Wiersze Blake’a znajdują się w „The songs of Innocence and of Experience” (początkowo wydrukowane osobno, następnie razem, 1794) oraz w rękopisach (tzw. „MSS”) i listach, większość jego dzieł stanowią poematy pisane wierszem białym, wzorowanym na Miltonie: „The Marriage of Heaven and Hell” (1793), „Visions of Daughters of Albion” (1793), „America” (1793), „Milton” (rozpoczęty 1804), „Jerusalem” (rozpoczęty 1804), „Vala, or The Four Zoas” (1797) i in. W Polsce nie została wydana pełna edycja pism Blake’a.

**Zbigniew CHARYTANOWICZ** – nauczyciel języka polskiego w I LO im. ks. A. Czartoryskiego w Puławach.

**Piotr CHEĆ** – uczeń trzeciej klasy PK I.O im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

**Wojciech CZAJKA** – uczeń drugiej klasy LO w Gliwicach.

**Tymoteusz DĘBSKI** – uczeń czwartej klasy PK I.O im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

**Adam DOBRZYŃSKI** – student trzeciego roku filozofii KUL; prezes Koła Filozoficznego Studentów KUL.

**Tomasz FRONCZEK** – student trzeciego roku filozofii KUL.

**Magdalena GAJKO** – studentka pierwszego roku filozofii przyrody KUL; fotografik, wiołonzelistka i żeglarka.

**Jerzy W. GALKOWSKI** – prof. dr hab.; kierownik Katedry Etyki Społecznej i Politycznej Wydziału Filozofii KUL.

**Katarzyna GRZYBOWSKA** – studentka trzeciego roku prawa KUL.

**Michał HUCAŁ** – uczeń trzeciej klasy Liceum Ekonomicznego przy Zespole Szkół Ekonomicznych im. Vetterów w Lublinie.

**Jan Paweł HUDZIK** – dr hab.; filozof UMCS.

**Jakub ISKRZAK** – student pierwszego roku architektury Politechniki w Krakowie; absolwent PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

**Marta JEDLICZKO** – studentka trzeciego roku filologii polskiej KUL.

**Michał KOPACZEWSKI** – student pierwszego roku filozofii UMCS.

**Barbara KOTERWAS** – informacja patrz artykuł s. 51 – 55

**Mariusz KRAWIEC** – kleryk Towarzystwa św. Pawła; student czwartego roku teologii KUL.

**Monika KRZYSIĄK** – uczennica SLO w Bychawie.

**Agnieszka KUBINA** – uczennica drugiej klasy Liceum Technicznego w Lublinie.

**Piotr KUĆ** – uczeń pierwszej klasy PK LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie.

**Robert KUWAŁEK** – doktorant w Instytucie Historii UMCS; nauczyciel historii w PLO im. St. Wyspiańskiego w Lublinie oraz SLO w Bychawie.

# Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

Teatr NN istnieje od 1990 roku. W oparciu o program realizowany w teatrze powstał Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Ośrodek ten jest jednostką samorządową. Siedzibą Ośrodka jest XVI-wieczna Brama Grodzka zwana też Żydowską – dawniej była ona przejściem między miastem chrześcijańskim i miastem żydowskim. W swoim programie Ośrodek nawiązuje do symbolicznego znaczenia tej Bramy jako miejsca łączącego kiedyś różne narody, tradycje i religie. Od września 1995 roku działa w Ośrodku Stowarzyszenie „Brama Grodzka”.



## Główne cele Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

1. Działania służące współpracy oraz dialogowi między środowiskami twórczymi z Europy Środkowo-Wschodniej i Zachodniej
2. Edukacja na rzecz budowania społeczeństwa obywatelskiego i demokracji lokalnej
3. Ochrona dziedzictwa kulturowego związanego z siedzibą i otoczeniem Ośrodka
4. Działalność artystyczna Teatru NN.

## W ramach działalności Ośrodka odbywają się:

spotkania autorskie, wykłady, sesje, prezentacje przedstawień teatralnych, wystawy (fotografia, malarstwo, grafika), projekcje filmów, warsztaty artystyczne, szkolenia.

Jednym z ważniejszych programów realizowanych przez Ośrodek są „Spotkania kultur”. Jest to program prezentacji dorobku artystów i ludzi kultury z Europy Środkowo-Wschodniej i Zachodniej, nawiązujący do położenia Lublina na pograniczu Wschodu z Zachodem – do jego wielokulturowych tradycji. Uczestnikami tych spotkań byli artyści z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Rosji, Czech, Słowacji, Węgier, Niemiec, Izraela. Częścią „Spotkań kultury” są również „Spotkania z Prawosławiem” oraz spotkania z dziedzictwem Żydów lubelskich – „Żydzi lubelscy”.

oficyna  
przeglądu  
powszechnego

02-532 Warszawa, ul. Rakowiecka 61

Tel. Red. 49-02-39, 48-91-31, tel.adm. 48-09-78

konto: Bank PKO VI Oddział w Warszawie, ul. Bagatela 15, Nr 1560-51624-136



## Konkurs Poetycki im. Józefa Baki SJ

Z okazji 400-lecia Jezuitów w Warszawie, Komisja ds. Jubileuszu i Redakcja „Przeglądu Powszechnego” ogłaszają konkurs na zestaw pięciu wierszy o dowolnej tematyce.

Prace opatrzone godłem, w czterech egzemplarzach, z nazwiskiem i adresem Autora w oddzielnej, zamkniętej i opatrzonej tym samym godłem kopercie, prosimy przysyłać pod adresem: Redakcja „Przeglądu Powszechnego”, ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa – do końca sierpnia 1998 r., z dopiskiem: „konkurs poetycki”.

Oceny utworów dokona Jury w składzie: Adriana Szymańska, Krzysztof Dorosz SJ, Sergiusz Sterna-Wachowiak i Piotr Szewc.

Ogłoszenie wyników nastąpi 21 października 1998 r. o godz. 16<sup>00</sup> w Kolegium Księżych Jezuitów w Warszawie, ul. Rakowiecka 61, sala 21.

**Biblioteka Scriptorum Scholarum**  
**Arkusze Edukacyjne**  
**• Tom I**

# ROZMOWY EDUKACYJNE

Wstęp, opracowanie i redakcja - Sławomir J. Żurek

Profesorowie uniwersytetów i znane postacie życia kulturalnego mówią –

- o wychowaniu i szkole: Maria Braun-Gałkowska (KUL); Bożena Chrzastowska (UAM); Wiesław Theiss (UW);
- o religii: ks. Wacław Hryniewicz (KUL); ks. abp Bolesław Pylak; ks. bp Abel (Popławski); o. Sergiusz Gajek (KUL); ks. Roman Pracki i Paweł Irga; Michael Schudrich; ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel (KUL);
- o filozofii: Antoni B. Stępień (KUL); s. J. Zofia Zdybicka (KUL); Jerzy Gałkowski (KUL); ks. Andrzej Szostek (KUL); ks. Stanisław Ziemia (KUL); Wojciech Chudy (KUL); Józef Dębowski (UMCS);
- o literaturze i teatrze: Józef Fert (KUL); Stanisław Fita (KUL); Wiesław Paweł Szymański (UJ); Wojciech Kaczmarek (KUL); Jerzy Stuhr (PWST); Mikołaj Grabowski (PWST);
- o współczesnym społeczeństwie: Zygmunt Bauman (University of Leeds); Jerzy Strojnowski (KUL); o. Wacław Oszejca (SJ); Adam Biela (KUL); Zyta Gilowska (KUL);
- o środkach społecznego przekazu: ks. Leon Dyczewski (KUL); Wojciech Chudy (KUL); Jerzy Turowicz („Tygodnik Powszechny”); Karol Klauza („Niedziela”).

Rozmowy edukacyjne były przeprowadzane i redagowane w latach 1993-1997 przez redaktorów kwartalnika „Scriptores Scholarum” - uczniów szkół średnich oraz ich nauczycieli. Materiały zgromadzone w książce mogą być wykorzystywane jako inspirująca pomoc na wielu lekcjach w Twojej szkole, pomogą Ci przygotować się do olimpiady przedmiotowej, dadzą pojęcie o środowisku uniwersyteckim i jego problemach.

- Tom II – „Programy edukacyjne”
- Tom III – „Szkice edukacyjne”
- Tom IV – „Spotkania edukacyjne”

## SCRIPTORES SCHOLARUM 1998

**Zeszyt mówiony „Pamięć – Miejsce – Obecność” – nr 1 (18)**  
**Zeszyt o stereotypach „Fobie i resentymenty” – nr 2/3 (19/20)**  
**Zeszyt „Niepełnosprawni?” nr 4 (21)**

Cena prenumeraty „Scriptores Scholarum” (roczna nr 18, 19/20, 21) 18.00 zł;  
(Cena obejmuje koszty przesyłki).